

BOGNA ZIEMBICKA



MIŁOŚĆ W CIENIU WIELKIEJ WOJNY



Panie na Koborowie

„Powieść, która pieczołowicie
maluje tło epoki i z pasją
przywołuje do życia zapomniane
historie”.

Ewa Stachniak
Autorka *Bogini tańca*

FILIA

BOGNA ZIEMBICKA



**MIŁOŚĆ W CIENIU
WIELKIEJ WOJNY**



Panie na Koborowie

FILIA

Ten, kto patrzy, rozlewa krew tak samo jak ten, kto zadaje cios.

Laktancjusz

Półwysep Iberyjski
na początku XIX w.

0 50 100 150 200
km



Sztandar ze spódnicy



Był luty 1793 roku.

Z wysokiego parteru Pawilonu Flory w pałacu Tuileries dobiegały podniesione głosy:

- Łotr!
- Łajdak!
- Gdybym chciał, napisałbym taki akt oskarżenia, że od razu trafiłbyś na gilotynę!
- Napisz, bardzo proszę! Nie boję się ani ciebie, ani twoich przyjaciół! Też mi dyktatorzy! Śmiechu warte!
- Żądam usunięcia obywatela Brissota z komitetu!
- Wylecisz stąd przede mną, Saint-Just!
- Ty marny dziennikarzyno! Wychowanku klechy! Zaraz cię zrzucę z tej trybuny!

W sali powstał tumult.

- Na gilotynę z nim!
- Dziennikarzyna?! Znają go w całej Europie!
- I w Chinach!
- I wśród dzikusów nad Orinoko!
- Szubrawcy!
- Durnie i ignoranci!

Jegle cofnęła się kilka kroków i stanęła na palcach, żeby zajrzeć do sali. Widziała tylko czubki głów. Wyciągnęła szyję, dała jeszcze krok w tył, potem drugi, trzeci...

- Och! Najmocniej pana przepraszam! – zawołała do mężczyzny, na którego wpadła.

Mężczyzna schylił się po kapelusz, który straciła mu z głowy.

- Stąd nic nie widać i niewiele słysząc – powiedział z uśmiechem. – Cudzoziemka, prawda? – spytał bezceremonialnie.

Policzki Jegle spłonęły rumieńcem. Niemodna sukienka, dziecięcy kapelusz i odziedziczona po babci torebka wyróżniały ją w tłumie. Czowała się śmiesznie prowincjonalna. Wolałaby mieć na sobie trójkolorową spódnicę, czepek z kokardą narodową i fartuch. Gdyby wyglądała jak sankiulotka^[1], nabrałaby pewności siebie.

– Tak – odrzekła, dygając odruchowo.

„Czemu zachowuję się jak mała dziewczynka?” – pomyślała i jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

Przełknęła ślinę i z udawaną swobodą spytała:

– Jak pan zgadł?

– Bo my tutaj mówimy sobie „ty” albo „obywatelu”. Jeśli tak nie mówisz, to jesteś arystokratą lub cudzoziemcem.

Jegle spojrzała na szary płaszcz z doskonałego sukna, śnieżnobiałą koszulę, wysokie myślące czoło, wypielęgnowane dłonie. Ten mężczyzna, choć miał na sobie sankiulockie spodnie do kostek i nie nosił rękawiczek, nie był człowiekiem z ludu.

– Dziękuję za radę, obywatelu.

W ostatniej chwili powstrzymała się przed dygnięciem.

– Pani jest Angielką? – spytał, patrząc na jej blond włosy, zielone oczy i niemuśniętą szminką twarz. – Jeśli chciałaby pani zobaczyć obrady Konwentu...

„Pani? Jest pan arystokratą czy cudzoziemcem?” – pomyślała.

Odczytał to pytanie z jej spojrzenia i uśmiechnął się.

Jegle lubiła ludzi, którzy uśmiechają się nie tylko wargami. Twarz mu się rozjaśniła, oczy rozbłysły i nagle, choć na pewno przekroczył czterdziestkę, wydał jej się młodym człowiekiem.

– Jegle?! Jegle! Na litość boską, wszędzie cię szukam! – rozległo się po polsku za jej plecami.

– Och, Maryniu, odeszłam tylko kawałek. Nie jestem dzieckiem, nie zgubię się.

– Łaskawe panie pozwolą, że się przedstawię: Jean-Louis de Voss. – Mężczyzna skłonił głowę. –

Gdyby chciały panie zobaczyć Konwent albo posiedzenie jakiegoś klubu, służę swym towarzystwem.

Jegle przez chwilę walczyła z sobą. Choć nie wypadało, miała wielką ochotę skorzystać z propozycji pana de Vossa. Obrady Konwentu były otwarte i już dwa razy oglądała je z miejsca dla widzów. Teraz chciałaby zobaczyć spotkanie jakiegoś klubu, najlepiej jakobinów. Pan Dominik Radłowski, mąż Maryni, mówił, że w tym klubie dyskutuje się o najważniejszych dla Republiki sprawach, a przy tym nierzadko beszta ministrów, generałów i posłów. Że zacni i szanowani ludzie przestają przychodzić na zebrania, bo do klubu przyjmuje się teraz ludzi o złej sławie, ekstrawaganckich, po prostu wariatów, którzy za nic mają parlamentarne maniery.

Kiedy usłyszała od pana Dominika, że wielu funkcjonariuszy rządowych nie umie czytać i zwracając się do nich, można się wylegitymować choćby efektownym kawałkiem starego afisza, przed kilkoma dniami spróbowała w ten sposób wejść do pałacu Tuileries na naradę jakiegoś komitetu. Serce biło jej mocno, gdy podawała odźwiernemu zaproszenie na herbatę do księżnej Lubomirskiej. Ten kilka razy obrócił je w rękach, potem rzekł: „Poczekaj tu, obywatelko. Pójdę zapytać przewodniczącego”. Gdy tylko zniknął za drzwiami sali posiedzeń, Jegle uciekła. „Gdybym była mężczyzną, po prostu by mnie wpuścił” – pomyślała.

– Bardzo dziękujemy, panie de Voss, lecz nie możemy skorzystać z pańskiej uprzejmej propozycji – powiedziała Marynia. – Miło nam było pana poznać. Do widzenia.

Przez głowę Jegle przebiegła zuchwała myśl, by się przedstawić i przyjąć propozycję pana de

Vossa. Dlaczego mężczyznom tyle wolno, a kobietom nic nie wypada?

– Chodźmy – rzekła Marynia, biorąc ją pod rękę.

Gdy odeszły kilkanaście kroków w głąb ogrodu Tuileries, karcąco spojrzała na Jegle.

– Nie nabieraj rewolucyjnych obyczajów, moja droga. Twojemu ojcu to by się nie spodobało. –

Westchnęła. Wujowi Wincentemu nic się nie podobało. – Czemu powiedziałaś „obywatelu” do tego de Vossa czy jak mu tam?

– Zwrócił mi uwagę, że w Paryżu trzeba mówić „ty” albo „obywatelu”.

– Co za bzdura! Nie ma takiego nakazu. W restauracji Pod Koroną, to znaczy teraz Pod Równością, jakiś stary kelner mówił do gości „panowie”. Kilku się oburzyło, nazwało go niewolnikiem i złożyło doniesienie do sądu. I wiesz, sędzia orzekł, że żaden dekret nie nakazuje, by mówić sobie „ty”, że to sprawa najzupełniej dobrowolna. – Marynia uśmiechnęła się do Jegle. – To co? Idziemy na zebranie klubu Sióstr Konstytucji?

Jegle westchnęła w duchu. Zebrania tego klubu rozczarowały ją. Na pierwszym członkinie dyskutowały o obsadzie amatorskiego przedstawienia teatralnego, na drugim darły szarpie i szyły bieliznę dla walczących z Austriakami żołnierzy.

– Może przejdziemy się po ogrodzie? Wolałabym zaczerpnąć powietrza – powiedziała.

Zazdrościła swojej kuzynce. Nie chodziło nawet o paryskie życie, lecz o swobodę. Marynia była mężatką i mogła sama jeździć po mieście, decydowała o wszystkim w domu, dostawała od męża pieniądze na drobne wydatki, a on nigdy jej z nich nie rozliczał. Może dlatego że w połowie był Francuzem i wychował się w Paryżu, w domu przy rue des Vieux Augustins, gdzie Jegle teraz mieszkała?

Kobiety w Paryżu grały pierwsze skrzypce. Kilka dni wcześniej Jegle widziała, jak tłum napadł na sklepy na ulicy Saint-Honoré. Mężczyźni tylko krzyczeli, że kupcy to pijawki wysysające krew ludu, że trzeba z nimi zrobić porządek. Ale to kobiety weszły do sklepów, zarządziły, że wszyscy mają ustawić się w kolejce, a potem kazały subiektom podawać towary i mówiły, ile kto ma zapłacić za mydło, ocet, korzenie, cukier czy kawę. To one śpiewały, śmiały się i żartowały, stojąc godzinami w kolejce po chleb. To kobieta przepędziła gazeciarza, który przed piekarnią, dwa domy od domu Maryni, przez cały ranek wykrzykiwał o skazaniu na śmierć jej właściciela, a żona piekarza stała w oknie i płakała.

Brat Jegle Franek przez rok mieszkał w Paryżu, u Maryni, i po powrocie opowiadał, w jakim pędzie żyje to miasto, jakie jest nowoczesne, inne od wszystkich miast w Europie. Jegle słuchała, myśląc, że nigdy tego nie zobaczy. Tymczasem w listopadzie zeszłego roku szykujący się do wyjazdu do Lipska ojciec kazał znieść ze strychu drugi kufer i oznajmił, że ją z sobą zabiera i że z Lipska pojedą do Francji.

Paryż w pierwszej chwili rozczarował Jegle. Miasto było brudne, bruki nędzne, ulice zatłoczone marnymi pojazdami, chodniki pełne bosych żebraków, a paryżanie bez ostrzeżenia wyrzucali śmieci przez okno. Teraz, gdy się tu trochę zdomowiła, wszystko widziała inaczej. Czuła się wolna jak ptak, oddychała pełną piersią. Tu powietrze było świeższe niż gdziekolwiek na ziemi, gdyż nie

napotykało żadnych barier. Robotnicy burzyli stare mury przegradzające ulice, a Konwent znosił mury międzystanowe. Nawet w kościele widziała raz otwarte tabernakulum – „by Pan Bóg nie czuł się zamknięty i odgradzony od świata”, jak jej wyjaśniono.

Tylko czasem nachodziły ją wątpliwości. Czy rzeczywiście wszystko powinno być na widoku? Czy skuwanie z murów pięknych francuskich lilii przynosi coś dobrego? I najważniejsze – czy składanie ślubów zakonnych jest niezgodne z prawem naturalnym, jak twierdził francuski rząd? Bo co do tego, że w społeczeństwie zakonnice są do niczego nieprzydatne, na pewno się mylił.

– Tak mało się odzywasz – powiedziała Marynia. – Franek nieraz mi opowiadał, jaka jesteś mądra, ile czytasz...

Na wspomnienie brata oczy Jegle napełniły się łzami. To dzięki niemu wiedziała, co to jest Deklaracja praw człowieka i obywatela i czym się różnią jakobini od żyrondistów.

– To, co wiem, to kropelka, a to, czego nie wiem, to całe morze – odrzekła cicho.

Marynia spojrzała na nią ze współczuciem.

„Biedactwo! – pomyślała. – Straciła brata i babcię, najbliższych sobie ludzi. Bo ojciec po tylu latach rozłąki stał się dla niej obcym człowiekiem. Dziwny jest ten wuj Wincenty. Czasem zachowuje się tak, jakby nie lubił własnej córki. No i ten klasztor... Jak można taką ładną dziewczynę zamykać za kratą! Do tego ona ma dopiero szesnaście lat! Niczego jeszcze nie przeżyła. Czy ja dziewięć lat temu, gdy byłam w jej wieku, wiedziałam, czego naprawdę chcę? Skąd!”

– Słyszałaś, że w lipcu zeszłego roku bojkotowano ten ogród? – spytała, by odciągnąć myśli Jegle od świeżej żałoby. – Zawsze było w nim tłoczno, a tu nagle ani żywej duszy. Ktoś otoczył go wstążką, tak jakby rodzina królewska mieszkająca tu wtedy w pałacu zapadła na dżumę. Widziałam raz, jak jakiś nieostrożny młodzian przekroczył ten sanitarny kordon. Ludzie zaczęli wrzeszczeć: „Na latarnię z nim!”. Wtedy natychmiast się cofnął, zdjął buty i demonstracyjnie otarł je chustką z piasku. Wszyscy zaczęli wołać: „Brawo! Niech żyje dobry obywatel!”.

Jegle uśmiechnęła się blado.

Spacerowały wśród obrzeżonych bukszpanem kwater wypełnionych kwitnącymi już tulipanami. Jegle z zachwytem patrzyła na lśniące czerwone i żółte kwiaty.

„W Jeglach i w Koborowie leży jeszcze śnieg” – myślała.

Podczas rewolucyjnych zamieszek zburzono część murów otaczających ogrody klasztoru Sióstr Wniebowzięcia i teraz ogród Tuileries niemal się z nimi łączył. Jegle, idąc z Marynią kamienną alejką do powozu, zastanawiała się, co się dzieje z zakonnice, które kiedyś chodziły po tych ścieżkach.

Skromne lando z podniesioną czarną budą czekało na nie opodal zmienionego w koszary kościoła Notre Dame de l'Assomption. Podczas jazdy ulicą Saint-Honoré Jegle siedziała ze spuszczonej oczami. Bała się częstego tu widoku: telepiącego się po bruku katowskiego wózka wiozącego skazańców na gilotynę ustawioną na placu Rewolucji. O tej gilotynie Franek jej nie wspomniał, tak samo jak o innych złych rzeczach towarzyszących rewolucji, o których usłyszała dopiero od kuzynki.

Marynia omijała plac Rewolucji. Tylko raz tamtędy przejeżdżały. Gdy Jegle zobaczyła gilotynę,

bardziej przerażający niż jej ostrze i poplamiony krwią szafot wydał jej się tłum czekający na widowisko.

Z początku, kiedy widziała czerwone wózki wiozące skazańców, z całych sił starała się wierzyć, że ci ludzie są winni, że sędziowie słusznie skazali ich na śmierć, że nie trzeba się nad nimi litować. Straciła tę wiarę, przysłuchując się rozmowom ojca z mężem Maryni i z generałem Tadeuszem Kościuszką o procesie króla Ludwika. Żaden z nich nie był rojalistą, mimo to zgodnie twierdzili, że proces był farsą.

Ludwik XVI jechał tędy przed miesiącem na miejsce straceń. Tamtego styczniowego dnia w domu Maryni panował żałobny nastrój. Jegle cały ranek modliła się za duszę króla i za jego uwięzioną w Temple rodzinę. Kiedy koło południa stanęła w oknie, zobaczyła ludzi wracających z placu Rewolucji. Szli, trzymając się pod rękę, śmiejąc się, rozmawiając poufale, tak jak się wraca z jakiegoś święta. Na ich twarzach nie było żadnych śladów zmieszania. A wieczorem przedstawienia teatralne odbywały się jak zwykle.

– O czym tak dumasz? – spytała Marynia, patrząc na milczącą Jegle.

– O tym, że Franek inaczej widział Paryż niż ty. Albo może nie chciał mnie zasmucać, opowiadając o złej stronie rewolucji.

„Jaka ona do niego podobna! Te same oczy, ten sam profil” – pomyślała Marynia.

Los jest niesprawiedliwy! Franek nie powinien był zginąć w jakiejś nieważnej bitwie gdzieś na Ukrainie.

Westchnęła, wyciągnęła ręce i uściśnęła dłonie kuzynki.

– Wiesz, jakie są teraz najmodniejsze imiona w Paryżu? – spytała, by ją trochę rozweselić.

Jegle potrząsnęła głową.

– Pika dla dziewczynki i Trikolor dla chłopca. – Marynia znowu westchnęła. – O, spójrz! Widzisz tych ludzi? – Nachyliła się, pokazując na dwóch mężczyzn wychodzących z kawiarni. – Ten rozchełstany, w kaszkiecie to Marat, dziennikarz, który wydaje „Przyjaciela Ludu”, tę okropną, krwiożerczą gazetę. Drugi to François Chabot, eskapucyn i hulaka lubiący towarzystwo dam niewielkiej cnoty. – Marynia urwała. To nie były szczegóły dla uszu przyszłej zakonnicy. – Wiesz, jak ludzie mówią na tych posłów z Konwentu? – dodała szybko. – Bosa hołota. Większość nie ma innego powozu jak własne kalosze i parasole.

– Myślisz, że kobiety będą kiedyś posłami? – spytała Jegle.

– Kto by wtedy zajmował się domem? Wiesz, że Konwent obraduje codziennie od rana do nocy. Poza tym ile tam brutalności i obelg! To nie jest miejsce dla kobiety.

– Twój mąż mówił, że w niektórych gminach kobiety mogą głosować.

– Tylko w niektórych i tylko wdowy, które stoją na czele rodziny. Jeśli powiesz coś takiego przy ojcu, pomyśli, że to ja nabiłam ci tym głowę.

– Nie powiem.

W domu Jegle zmieniła czarną przedpołudniową suknię na czarną popołudniową. Nie czekając na dzwonek na obiad, poszła do jadalni.

Z salonu dobiegały męskie głosy – lekko zachrypnięty baryton ojca i tenor pana Dominika Radłowskiego. Zapach kawy wskazywał, że jest tam też generał Kościuszko. Pił kawę kilka razy dziennie i sam ją parzył na różne sposoby.

Jegle usiadła na krześle przy drzwiach między jadalnią a salonem, by słyszeć rozmowę.

Wiedziała, że generał Kościuszko przyjechał do Paryża w tajnej misji – chciał w Polsce wywołać powstanie, aby odzyskać ziemie stracone po rozbiorze. Gdyby Francja wsparła powstańców, rzecz byłaby do pomyślenia. Ojciec Jegle, dawny towarzysz broni generała podczas wojny w Ameryce, całym sercem zaangażował się w te projekty, tak samo jak pan domu.

– Wyobraźcie sobie, że wprost zażądał łapówki. Mówię do niego: „Myślałem, obywatelu, że pieniądze wam śmierdzą”, a on mi na to: „Nikomiu nie śmierdzą. Są w niewłaściwych rękach”.

– Tylko biura Ministerstwa Wojny z honorem bronią jakobińskiej nieprzekupności – zgodził się pan Dominik.

– Żeby chodziło jedynie o pieniądze – ciągnął ojciec Jegle. – Najgorsza jest ta biurokratyczna mitrega. Odsyłają od Annasza do Kajfasza i po trzech miesiącach zabiegów ciągle nic nie jest załatwione.

– Porządny człowiek, wiedzący jak należy pracować, wychodzi z tych biur ze ściśniętym sercem – z westchnieniem zauważył generał Kościuszko.

– Niektórzy urzędnicy ledwie umieją się podpisać – sarknął ojciec Jegle. – A większość to żalotne kreatury, które nawet nos boją się wytrzeć bez rozkazu Konwentu.

– Słyszałem dziś kapitalną historię – powiedział pan Dominik. – Otóż w jednej z gmin departamentu Haute-Marne zebrała się rada, żeby zrobić listę podejrzanych. W okolicy nie było szlachty ani nikogo, kto by się nadawał do wpisania na nią. Ale odesłanie do Paryża formularza z adnotacją „nie ma” jest ryzykowne, bo można zostać oskarżonym o brak rewolucyjnej gorliwości, więc rada postanowiła wytypować podejrzanego przez losowanie. I pech chciał, że ten los wyciągnął mer!

Panowie się zaśmiali i w tej samej chwili rozległ się dzwonek na obiad.

Przy stole Jegle siedziała naprzeciwko generała Kościuszki. Słyszając od ojca, jakim jest nieustraszonym żołnierzem, wyobrażała sobie jakiegoś olbrzyma. Tymczasem Kościuszko był niepozorny – szczupły, niewysoki. Mimo nieregularnych rysów i zadartego nosa przyciągał spojrzenia kobiet. Jegle podobała się jego żywa mimika, gęste nieupudrowane włosy bez śladu siwizny i niezwykle wyraziste niebieskie oczy.

Jakby czując na sobie jej wzrok, zwrócił się do niej:

– Słyszałem, że była pani na dwóch posiedzeniach Konwentu. Jak je pani znajduje? – zapytał.

Jegle zerknęła na ojca. Był zajęty rozmową z gospodarzem, odrzekła więc szczerze:

– Myślałam, że będzie trochę jak w kościele: uroczyście, poważnie, dostojnie. Tymczasem sala wyglądała jak wielka ulica, po której ludzie chodzą bez ładu i mówią wszyscy naraz.

– Wszyscy są wolni i równi i wszyscy, jak to Francuzi, zanim zaczną słuchać, pragną, aby ich wysłuchano – zaśmiała się Marynia.

– A o czym dyskutowano? – spytał generał, uśmiechając się do Jegle.

Zawsze był bardzo uprzejmy, pełen galanterii. Jegle słyszała, jak kiedyś mówił, że płeć piękna jest ozdobą rodzaju ludzkiego.

– O rewolucyjnej ekonomii – odrzekła. – Jeden z posłów przekonywał, że trzeba powiększyć produkcję rolną i w związku z tym zwiększyć powierzchnię pól. Wydawało mi się, że ma rację, dopóki nie powiedział, jak to trzeba zrobić.

Jegle, wychowana na wsi i dopuszczana przez babcię do wszystkich gospodarskich spraw, słuchała bezsensownych projektów z oburzeniem. Gdyby była posłem, przerwałaby temu nieukowi.

Aż się zaczerwieniła na wspomnienie swojej irytacji i poczucia niemocy.

– Zaproponował, żeby osuszyć i zasypać wszystkie stawy, bo są niepotrzebne. Przecież nie trzeba już jeść ryb, skoro skasowano wymyślone przez klechów bezsensowne posty. Chciał też wyciąć winnice, zaorać pastwiska, a w parkach sadzić tylko kapustę i cebulę...

– Wystarczy, Jegle – rozległ się spokojny, ale lodowaty głos pana Wincentego. – Młode panienki szybko przejmują rewolucyjne obyczaje. Pora wracać do domu, bo mi się córka rozpuściła jak dziadowski bicz – dodał ze sztucznym uśmiechem.

– Panna Jegle jest bystrą obserwatorką i ma rację, że ten poseł to osioł – powiedział generał Kościuszko.

Jegle spojrzała na niego z wdzięcznością, ale do końca obiadu nie odezwała się już ani słowem.

Gdy wszyscy wstawali od stołu, ojciec dał jej znak, by została w jadalni.

– Nie pochwalam włączenia się po miejscach pełnych ordynarnych mężczyzn i przysłuchiwania się mowom niedowarzonych polityków. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Ojczy...

Uniósł dłoń, by ją uciszyć.

– Gdyby nie to, że mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia, wyjechalibyśmy jutro, zanim któregoś dnia, porwana rewolucyjnymi przemówieniami, wrócisz z miasta z piką w ręku albo uszyjesz trójkolorowy sztandar z własnej spódnicy.

Był taki sarkastyczny, oschły i obcy. Jegle rozpaczliwie zatęskniła za babcią, za jej łagodnymi połajankami, które kończyły się przytuleniem i całusami.

– Koniec z Konwentem i z tym idiotycznym kobiecym klubem. Koniec z popisami przy stole. Trochę więcej pokory. To zaleta niewiast.

Jegle łzy stanęły w oczach.

– Ale generał Kościuszko spytał mnie...

– Mogłaś grzecznie odpowiedzieć, zamiast dawać nam wykład. W dodatku bezsensowny. Mówisz o rzeczach, na których się nie znasz.

Łzy Jegle obeschły. Był niesprawiedliwy! Poczowała gniew.

– Swobodne wyrażanie myśli i poglądów jest jednym z najcenniejszych praw człowieka – zacytowała Deklarację praw człowieka i obywatela, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Szare oczy ojca stały się zimne jak dwa kawałki lodu.

– Kobieta wygłaszająca swoje zdanie jest jak pies stojący na tylnych łapach. To nienaturalne i nie dziw, że marnie mu to wychodzi. – Popatrzył na Jegle niemal nienawistnie. – Gdyby nie to, że księżna Lubomirska zaprosiła cię dziś do teatru, nie opuściłabyś tego domu do dnia naszego wyjazdu.

Jegle spuściła głowę.

– Przygotuj się do wyjścia. Powóz księżnej nie powinien na ciebie czekać.

Odwrócił się i wyszedł z jadalni.



– Ojciec dał ci reprimendę? – spytała Marynia, gdy we troje, z jej mężem, wchodzili do Comédie-Française.

Jegle kiwnęła głową.

– Zabronił mi opuszczać dom.

– Dominiku, mój złoty! – Marynia zwróciła się do męża. – Spróbuj udobruchać wuja Wincentego! Może zmieni zdanie. Jegle nie po to tu przyjechała, żeby siedzieć w domu.

– Dziękuję – powiedziała Jegle, myśląc, że próba udobruchania ojca jest z góry skazana na niepowodzenie.

Pierwszą osobą, którą zobaczyli w foyer, była księżna Rozalia Lubomirska. Księżna, rówieśnica Maryni i matka, wyglądała, jakby nie przekroczyła dwudziestego roku życia. Miała wspaniałą figurę i rudoblond włosy, a lat ujmowało jej także zachowanie pełne płóchej niefrasobliwości. Było tajemnicą poliszynela, że nudzi się w małżeństwie z księciem Aleksandrem, a w Paryżu chętnie spędza czas w towarzystwie swego kochanka, niezwykle przystojnego i wykształconego hrabiego Tadeusza Mostowskiego.

Tego wieczoru miała na sobie lekką suknię à la antique ze srebrzystego jedwabiu i złoto-czerwony kaszmirowy szal. Na widok swych gości puściła ramię kochanka.

– Jakże się cieszę, że państwa widzę! Nie zgadną panie, kogo przyprowadziłam. – Wzięła pod rękę Marynię i Jegle. – To ktoś, kto marzy o poznaniu pań. Poruszył całe miasto, żeby się dowiedzieć, kim są dwie tajemnicze piękności, które dziś spotkał w ogrodzie Tuileries. Błagał mnie, żebym go paniom przedstawiła. Panie pozwolą, hrabia Jean-Louis de Voss.

Jegle od razu poznała mężczyznę, któremu zrzuciła kapelusz, usiłując zajrzeć do Pawilonu Flory.

Pan de Voss powiedział kilka komplementów Maryni, która rzeczywiście ładnie wyglądała w sukni z jasnozielonej tafty, skrojonej na wzór angielskiego redingotu, potem zwrócił się do Jegle.

– Panna Jegle Aniszewska – powiedział. – Chciałbym się nauczyć prawidłowo wymawiać pani nazwisko.

– Mówiłam panu: Ha-ni-szewska – wtrąciła się księżna ze śmiechem. – Przy kolacji posadzę pana koło panny Jegle. Będzie pana uczyć aż do skutku.

W nowych teatrach, które wyrastały w Paryżu jak grzyby po deszczu, nie było łóż ani balkonów,

gdyż te według rewolucjonistów gwałciły zasadę równości. Stare teatry, takie jak Comédie-Française, miały zostać przebudowane. Na razie jednak nie było na to pieniędzy.

Siedząc w loży, Jegle w zamyśleniu patrzyła na wspaniałe wnętrza, na publiczność hałaśliwą i różną jak chyba nigdzie na świecie. Były tu kobiety w wykwintnych toaletach i w codziennych sukniach, mężczyźni w perukach i z haftowanymi halsztukami pod szyją oraz sankiuloci w czapkach frygijskich.

– O czym pani myśli? – zapytał siedzący obok niej pan de Voss.

– O tym, że chyba ostatni raz w życiu jestem w teatrze – odrzekła bez zastanowienia.

– Dlaczego? Nie lubi pani teatru?

Jegle się zaczerwieniła. Ojciec miał rację – lepiej, żeby milczała. Jak wytłumaczyć obcemu mężczyźnie, któremu nie mogła się przecież zwierzać, że ojciec obwinia ją o śmierć matki i że za kilka tygodni na zawsze zamknie się za nią brama klasztoru?

Z opresji uratowało ją pojawienie się na scenie aktora. Publiczność zaczęła klaskać i tupać.

– Szanowni państwo... – zaczął.

Rozległy się gwizdy.

– Mówi się „obywatele”! – krzyknął ktoś.

Jegle uśmiechnęła się porozumiewawczo do pana de Vossa.

– Obywatele! Panna Claire jest niedysponowana...

– Żadna tam panna! – rozległy się głosy. – Obywatelka!

– Szanowni państwo! Obywatelka Claire jest niedysponowana i zastąpi ją dziś panna Sophie...

Gwizdy, tupanie i krzyki zagłuszyły aktora.

– Biedak – powiedziała księżna Lubomirska. – Nie może się pozbyć starych przyzwyczajęń.

Dawano *Szkolę żon*. Jegle po raz pierwszy widziała tę sztukę na scenie. Była kilka razy w teatrze w Pałacu Spiskim w Krakowie z bratem lub babcią, ale większość dramatów знаła tylko z lektury.

Ceniła komedie Moliera za zdrowy rozsądek i za to, że budziły szczery śmiech. W tej Molier poszedł dalej niż w *Szkole mężów*. Tam Sganarelle pojawiał się tylko po to, żeby było się z kogo śmiać, tu Arnolphe, choć chwilami oschły, samolubny, cyniczny, nie był głupcem i wyraźnie cierpiał, gdy został zdradzony.

Kiedy Arnolphe powiedział do Agnès: „Ja tu panem, ja każę: masz słuchać i kwita”, Jegle pomyślała o popołudniowej rozmowie z ojcem i poczuła łzy na policzkach. Otarła je szybko i uśmiechnęła się, żeby wyglądało, że płacze ze śmiechu.

Podczas antraktu księżna rozprawiała o małżeństwie. Jegle przysłuchiwała się w milczeniu. Nigdy się nie przekona, czym jest ten stan.

– Mężczyzna powinien się ożenić przynajmniej jeden raz w życiu – mówiła księżna, patrząc na pana de Vossa.

– Czy to bezpieczne w Paryżu, gdzie każda żona zdradza, a każdy małżonek nosi rogi? – odrzekł.

Zaraz się zorientował, że ten cytat z Moliera zabrzmiał niezręcznie, i dodał:

– Mam na myśli oczywiście tylko Francuzki i Francuzów.

– Mój mąż zwierzył mi się kiedyś, że dostał od ojca taką radę: „Trzymaj ją krótko, dopóki jej nie ułożysz” – powiedziała księżna. – Może dlatego niektórzy szukają istotek młodziutkich i głupiutkich albo tak jak Arnolphe od małego przysposabiają sobie dziewczynkę na żonę.

– Już Molier wiedział, że z głupiej gęsi nie będzie dobrej żony – rzekł de Voss.

– Ja nie mam nic przeciwko głupim gęsiom, jeśli są ładne – zaśmiał się hrabia Mostowski.

Jegle przypomniała sobie słowa Moliera: „Dusza od wiatru lżejsza, umysł do niczego, słabszego nie ma w świecie nic ani głupszego”. Tak właśnie widział ją ojciec. Może naprawdę taka jest?

Podczas kolacji, na którą pojechali z teatru do domu księżnej, Jegle siedziała koło pana de Vossa. Często się do niej zwracał i w świetle świec dobrze widziała jego twarz. Miał regularne rysy i błyszczące inteligencją piwne oczy.

Odsunął jej krzesło, podniósł rękawiczkę, którą niechcący upuściła, przysunął koszyczek z suszonymi figami, widząc, że jej smakują. Nigdy nie spotkała tak czarującego mężczyzny.

– Co ma zrobić ktoś, kto chce mieć żonę, lecz nie wierzy ani w miłość, ani w kobiecą uczciwość i bezinteresowność? Nie dziwię się, że poczciwy Arnolphe postanowił sobie wychować od dziecięcia żonę idealną, nieznającą świata i w pełni mu posłuszną – mówił hrabia Mostowski.

– Chciałby pan, by jak u Moliera, narzeczona pytała: „Czy to prawda, że dzieci przynoszą bociany”? – zdziwił się mąż Maryni.

– A czyż tak właśnie nie jest? – odrzekł Mostowski. – Najpierw poucza się panienkę, żeby nigdy nie pytała, jak przyszła na świat. Potem rodzice przyprowadzają obcego mężczyznę wystrojonego od stóp do głów i słyszy, że oto zostanie jego żoną. Pan ów, rozogniony bez granic, egzekwuje swe prawa, o nic nie prosi, tylko żąda. Gdy się podnoszą, on jest okryty kroplami potu, ona łzami...

Rozległ się brzęk spadającego na posadzkę talerza.

– Jestem taka niezdarna, przepraszam – powiedziała Marynia.

„Biedna Marynia, musiała rozbić talerz, żeby przerwać zbyt swobodną rozmowę” – pomyślała Jegle.

Nie była głupiutkim dziewczątkiem jak Molierowska Agnès. Oczywiście nikt jej nie uświadamiał, lecz miała oczy i uszy otwarte, a przede wszystkim babcia pozwalała jej czytać swoje lekarskie książki.

– Porozmawiajmy nie o ciele, lecz o duszy – zaproponowała księżna.

– Ach, o wątpliwej według rewolucjonistów nieśmiertelności duszy i o Bogu jako wielkim „być może” – ziewnął Mostowski.

– Według mnie słusznie pytają, jak dusza, która jest bytem niematerialnym, może oddziaływać na materię – rzekł mąż Maryni.

– Bardzo prosto! – powiedziała Marynia. – To z duszy bierze się świadomość.

– A co pani sądzi o nieśmiertelności duszy, panno Jegle? – spytał Mostowski.

Jegle wydało się, że słyszy w jego głosie ironiczną nutę.

„Prowincjuszka. Tak o mnie myśli”.

Ale czy było w tym coś złego? Właśnie tak z czułością mówił do niej Franek, jej najmądrzejszy na

świecie brat, mistrz słownych potyczek. Co on by odpowiedział?

– Ja po prostu w nią wierzę, choć ani w Nowym, ani w Starym Testamencie nie ma o niej słowa, a człowiek jako niematerialna dusza umieszczona w materialnym ciele to koncepcja kartezjańsko-platońska.

Zapadła cisza, wszyscy na chwilę znieruchomieli, potem się roześmiali.

– A to dopiero! Zapędziła mnie pani w kozi róg! – zawołał hrabia Mostowski. – Zdrowie panny Jegle!

Unieśli kieliszki.

– Specjalistką od dusz, a raczej duchów była księżniczka Olimpia Radziwiłłówna – powiedział Mostowski. – Uwielbiała straszyć historiami o duchach, dopóki nie wyleczył jej z tej przypadłości profesor Józef Frank z Uniwersytetu Wileńskiego.

Siedząca naprzeciwko kuzynki Marynia mrugnęła do niej porozumiewawczo i Jegle przypomniała sobie, że księżniczka Radziwiłłówna to żona hrabiego Mostowskiego.

– Otóż Frank namówił profesora Robertsona, tego słynnego specjalistę od balonów na ogrzane powietrze, który akurat robił pokazy w Wilnie, by nastraszyć księżniczkę. Wiedzieli, że będzie jechała na kolację do letniego domu generała Bennigsen w Zakrecie. Droga z Wilna do Zakretu prowadzi przez las jodłowy z kaplicą-grobowcem księżnej Repninowej i tam właśnie Robertson przygotował iluminację przypominającą błędne ogniki. Księżniczka wpadła do Bennigsen przerażona, opowiadając, że jej powóz otoczyły pokutujące dusze i że za żadne skarby świata nie odważy się wracać w nocy do miasta. Całe towarzystwo, wtajemniczone w intrygę, zgodnie powątpiewało w opowieść i solennie przyrzekło, że ją odprowadzi aż do rogatek. Gdy dojechali w pobliże grobowca, ukazało się mnóstwo błędnych ogników. „Widzą państwo?!”, zawołała księżniczka, na co wszyscy odpowiedzieli chórem: „Co takiego? Nic nie widzimy”. A kiedy powozy zrównały się z grobowcem, wyłonił się z niego biały kształt, który rósł w oczach. Księżniczka zaczęła krzyczeć wniebogłosy i wtedy profesor Frank, w obawie o jej zdrowie, uspokoił ją, mówiąc, że to tylko jeden z balonów Robertsona.

– Moja żona lubi opowieści o duchach. – Dominik Radłowski ucałował dłoń Maryni. – Może powinienem pomyśleć o podobnej kuracji?

– A pani, panno Jegle? – spytał pan de Voss. – Czy pani też je lubi?

– Tak. Ale wołałabym, żeby mnie nie leczono takimi sposobami. – Uśmiechnęła się. – Moja babcia w takich sytuacjach cytowała wierszyk biskupa Krasickiego:

Doktor, widząc, iż mu się lekarstwo udało,
Chciał go często powtarzać; cóż się z chorym stało?
Za drugim, trzecim razem bardzo go osłabił,
Za czwartym jeszcze bardziej, a za piątym zabił.

Pan de Voss roześmiał się, patrząc na nią z zachwytem.

Gdy goście zbierali się już do odejścia, podszedł do niej i cicho powiedział:

– Panno Jegle, dawno nie przeżyłem tak cudownego wieczoru. Czy mogę powiedzieć: do zobaczenia, do jutra?

– Chyba już nigdy się nie spotkamy – odrzekła Jegle.

Twarz pana de Vossa się wydłużyła, zgrabił się. Posmutniał tak gwałtownie, że Jegle zrobiło się go żal.

– Proszę nie myśleć, że to pan jest przyczyną. To decyzja mojego ojca. Uznał, że atmosfera Paryża ma na mnie zły wpływ, i woli, bym nie wychodziła z domu.

– A pani? Czego pani sobie życzy?

Nikt nigdy jej o to nie pytał.

– Ja? Ja polubiłam Paryż – szepnęła.

Pan de Voss się rozpromienił. A kiedy podała mu rękę na pożegnanie, trzymał ją o sekundę dłużej, niż wypadało obcemu mężczyźnie.

Dlatego się nie zdziwiła, gdy następnego dnia do Radłowskich przyjechała z wizytą księżna Lubomirska. Powiedziała panu Haniszewskiemu, że pokochała Jegle jak córkę i chciałyby, żeby dziewczyna jak najczęściej ją odwiedzała. Ojcu Jegle nie wypadało się nie zgodzić i odtąd codziennie o czwartej pod dom Radłowskich zajeżdżał powóz. Z początku Maryni i Jegle towarzyszył pan Dominik, potem jeździły same. Codziennym gościem u księżnej był także pan de Voss.

Pewnego dnia lokaj księżnej Lubomirskiej przywiózł do Radłowskich dwa bukiety tulipanów – żółtych dla Maryni i czerwonych dla Jegle. Po południu u księżnej pan de Voss podszedł do stojącej przy kominku Jegle i nieśmiało podał jej bilecik.

– Ośmieliłem się wysłać pani kwiaty, bo wczoraj mówiła pani, że lubi tulipany. Nie dołączyłem bileciku: księżna mi to odradziła. Powiedziała, że pani ojcu mogłoby się to nie spodobać. A ja nie chciałbym pani narażać na najmniejszą nawet przykrość.

Jegle wsunęła bilecik do swego czarnego woreczka. Otworzyła go dopiero po powrocie do domu. Był w nim cytat ze *Szkoły żon*:

*Miłość to mistrz nie lada; ona w jednej chwili
Czyni z nas coś, czym przedtem nigdyśmy nie byli;
Nieraz w naturze naszej, w sposób niesłychany,
Nauki jej sprawiają zupełne przemiany;
Jednym tchnieniem potężnym ta wszechmocna władza,
Jakby cudem, na innych ludzi nas przeradza;
Z jej woli wraz się skąpy staje rozrzutnikiem,
Tchórz rycerzem, gbur prosty czułym zalotnikiem;
Najbardziej tępej duszy ona daje ostrze
I nagłą bystrość wlewa w objęcie najprostsze.*

Jegle przeczytała bilecik, potem zdmuchnęła świecę i stanęła przy oknie. Serce biło jej szybko, policzki płonęły. Przyłożyła czoło do zimnej szyby.

Co ma teraz zrobić? Ach, gdyby babcia żyła i mogła jej coś doradzić! Ukochana babcia, która jej pokazała, jaki piękny jest świat, i nauczyła, że drzewa, woda, zioła są święte, mają moc. Jegle niemal poczuła ciepło babcinych objęć i zapach jej sukni. Brakło jej tchu, serce tak się ścisnęło, że się rozplakała.

„Noc przynosi dobrą radę” – powtarzała babcia. Jegle nie zmrużyła oka i może dlatego rano miała pustkę w głowie.

Czuła się wytrącona z równowagi, wręcz chora, i tego dnia nie pojechała z Marynią do księżnej.

Późnym wieczorem Marynia zaszła do jej pokoju.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Lepiej – odrzekła Jegle.

– Pan de Voss bardzo się zaniepokoił, gdy mu powiedziałam, że jesteś cierpiąca.

Marynia przysiadła na jej łóżku, milczała chwilę, potem ujęła dłoń Jegle i patrząc jej w oczy, spytała:

– Czy on ci się oświadczył?

– Nie, Maryniu, skądże.

Marynia uścisnęła kuzynkę.

– Może napijesz się bulionu? Jesteś taka blada.

– Nie, dziękuję.

– To dobranoc.

Jegle zgasiła świecę i leżała w ciemnościach. Wyobraziła sobie, że jest już w klasztorze. Mur, modlitwa, medytacja, milczenie. Nigdy więcej nie będzie galopować po polach, zbierać grzybów, pływać w rzece, leżeć na łące i patrzeć na spadające gwiazdy. Nie widziała morza i już go nie zobaczy.

Ale przecież sama tak zdecydowała. Czasy średniowiecza, gdy rodzice mogli zamknąć córkę w klasztorze, dawno minęły. Śluby złożone pod przymusem teraz uważano za nieważne i starannie badano motywację kandydatek do nowicjatu. Jegle od dziecka wiedziała, że pójdzie do zakonu, i tak się przyzwyczaiła do tej myśli, że stała się jej własną. Mogła w ten sposób odpokutować nieumyślnie popełniony grzech – gdyby się nie urodziła, jej matka żyłaby jeszcze długie lata.

Tak już jest na tym świecie, że kobiety żyją dla innych, nie dla siebie. Jegle zawsze robiła to, czego od niej oczekiwano. Dopiero niedawno po raz pierwszy pomyślała: „A czego ja chcę?”.

Gdyby stanęła przed nią teraz dobra wróżka i powiedziała, że może spełnić jedno jej życzenie, czego by sobie życzyła?

„Powrotu do Koborowa”.

Oczyrna wyobraźni zobaczyła ganek, stojące na nim dwa wyplatane z trzciny fotele i stary okrągły

stolik ze świecą w cynowym lichtarzu. Dalej była wyłożona kamieniem sień, salonik z wytartą otomaną, kuchnia, gdzie smażyła z babcią powidła. Potem skrzypiące schody i jej biały pokój, w którym w nocy słyszała, jak w sadzie z głuchym stukiem spadają jabłka. Pociągnęła nosem i wyraźnie poczuła zapach lata: woń róż ze szpaleru koło ganku, jaśminów i lip kwitnących za domem... Wrażenie było tak żywe, że jeśli ktoś przechodziłby teraz koło domu w Koborowie, pewnie by uciekł z krzykiem, bo zobaczyłby jej błakającego się tam ducha.

Lecz powrotu do Koborowa nie było. Ojciec zdecydował, że majątek będzie jej klasztornym wianem, i już podpisał intercyzę z klaryskami. Zresztą nawet gdyby tak się nie stało, jak mogłaby tam mieszkać sama?

Gdybyż była mężczyzną! Mogłaby gospodarować w Koborowie, pójść na studia i zostać lekarzem, pojechać jak ojciec do Ameryki... Co może zrobić jako kobieta? Wyjść za mąż i urodzić gromadę dzieci, pójść do klasztoru, uciec od ojca i zostać służącą albo szwaczką, bo ze swoim zdobyтым w domu wykształceniem na nauczycielkę nie ma kwalifikacji.

Uklękła przy łóżku i zaczęła się modlić. Błagała Boga, babcię, brata, by spojrzeli na nią z nieba i wskazali jej drogę.

W środku nocy obudziło ją zimno. Z trudem wstała z kolan i weszła do łóżka. Może przeziębila się śmiertelnie i umrze? Z tą myślą zasnęła.

Ale nie tak łatwo umrzeć, mając szesnaście lat i dobre zdrowie. Gdy rano otworzyła oczy, poczuła, że wczorajsza słabość minęła. Podniosła się na łóżku i jej wzrok padł na czarną sukienkę.

„Wdowa! – pomyślała. – Chcę być wdową”.

Panna podlegała władzy ojca, mężatka – władzy męża. Wdowa była wolna. Miała własny dom, własne pieniądze, nikt jej nie mówił, co ma robić.

Tylko żeby zostać wdową, trzeba najpierw wyjść za mąż. Najlepiej za starca, by małżeńska niewola trwała jak najkrócej. Gdyby był chory, z radością by się nim opiekowała.

Stojący na stoliku bukiet czerwonych tulipanów przypomniał jej o bileciku od pana de Vossa. Marynia zapytała wczoraj, czy jej się oświadczył. A więc Jegle się nie zdawało, że zabiega o jej względy. Nie miała w tych sprawach żadnego doświadczenia. Nigdy nie była na balu, tańczyła tylko z bratem, nikt się nigdy o nią nie starał. Świat był przed nią zamknięty, bo jej przeznaczeniem był klasztor. Zachowanie pana de Vossa dowodziło, że mogła się spodobać mężczyźnie.

Gdy kończyły z Marynią jeść śniadanie, do jadalni wszedł ojciec. Jegle zerwała się z krzesła.

– Jegle, pożegnaj się dziś z księżną i podziękuj jej za łaskawość – powiedział. – W piątek wyjeżdżamy.

– Tak prędko... – zaczęła Jegle.

– Muszę załatwić pewną sprawę w Berlinie – przerwał jej. – Zatrzymamy się tam na dzień lub dwa.

– Ale to już za trzy dni. Może moglibyśmy zostać dłużej...

– Nie – uciął stanowczo.

Jegle poczuła, że zaraz się rozplacze.

– Ojczy, proszę! Nie chcę jeszcze wyjeżdżać.

– Rób, co każe! – powiedział ostro.

Skinął głową Maryni i wyszedł z jadalni.

Jegle spojrzała na kuzynkę oczami pełnymi łez.

– I co ja teraz pocznę?

– Co masz na myśli?

„Chcę być wdową”.

Absurd tego pomysłu uderzył ją jak obuchem. Była głupia, snując równie niedorzeczne plany.

Marynia wstała i przytuliła ją do siebie.

– Jegle, czy ty go kochasz? – spytała.

Minęła dłuższa chwila, zanim Jegle zrozumiała, że Marynia mówi o panu de Vossie. A gdyby wyszła za niego? Nie, był zbyt miły, żeby go oszukiwać, i miał dopiero czterdzieści parę lat. Będzie jeszcze długo żył.

Marynia wzięła jej milczenie za „tak”.

– On kocha cię na pewno. Widziałam, jak na ciebie patrzy – powiedziała, myśląc: „Wuj Wincenty to tyran! Tyran i okrutnik! Nie można mu pozwolić, by zamknął Jegle w klasztorze”.

– Musicie się z panem de Vossem rozmówić dziś u księżnej. Trzy dni! Tak mało czasu, żeby coś postanowić! Skończ śniadanie. Ja muszę pojechać do miasta.

Uścisnęła kuzynkę i wyszła.

Oszołomiona Jegle nie ruszała się z miejsca. Chciało jej się płakać, ale na rozpacz nie miała czasu. Od decyzji, jaką teraz podejmie, będzie zależało całe jej życie.

Wróciła do swego pokoju i chodziła nerwowo z kąta w kąt.

Myślała o klasztorze, potem o domu pana de Vossa w Wandei, blisko oceanu. Pan de Voss opowiadał jej o tej krainie poletek zagubionych wśród zarośli i zagajników, o krętych drogach, o małych osadach składających się z kilku domów, milkliwych chłopach na co dzień rozmawiających tylko ze swoimi wołami. Najwyższym autorytetem był tam proboszcz – rozsądzał spory, doradzał przy wyborze męża i żony, czuwał nad wiejską szkołką, roztaczał opiekę nad chorymi. Życie toczyło się powoli, zgodnie z odwiecznym rytmem pór roku.

Dzwonek na obiad ją zaskoczył. Nie wiedziała, że jest tak późno.

Przy stole nie mogła niczego przełknąć, a gdy ubierała się na wizytę u księżnej, wszystko leciało jej z rąk.

W powozie Marynia ją uściskała.

– Widziałam się z księżną. Ona jest ci życzliwa. Wszystko ułoży tak, byś mogła porozmawiać z panem de Vossem sam na sam.

Jegle przebiegł dreszcz.

– Zimno ci? – spytała Marynia. – A może się boisz? Ja też się trzęsłam, gdy Dominik przyjechał się oświadczyć. Ale kiedy już porozmawiał z rodzicami i razem do mnie przyszli, zdenerwowanie minęło jak ręką odjął.

Marynia i Jegle weszły do salonu. Siedziała tam księżna z panem de Vossem. Po kilku zdaniach powitała księżna skinęła na Marynię i obie wyszły z pokoju.

Pan de Voss ukląkł przed Jegle.

– Panno Jegle, zachwyciła mnie pani od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem przy Pawilonie Flory. Jest pani wyjątkową kobietą. Kocham panią i byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby zechciała pani zostać moją żoną.

W miarę jak mówił, Jegle się uspokajała. Ręce przestały jej się trząść, serce biło coraz bardziej miarowo.

– Jeśli pani się zgodzi, pojedę do pani ojca i poproszę go o pani rękę. Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną?

Głos lekko mu drżał. On naprawdę prosił i nie był pewien jej odpowiedzi.

Jegle usiadła na otomanie i wskazała mu miejsce obok siebie.

– Proszę, niech pan usiądzie. Muszę panu coś powiedzieć. Widzi pan, moja mama o mało nie umarła, gdy mnie rodziła. Ojciec złożył wtedy ślub, że jeśli Pan Bóg ją uratuje, odda mu dziecko. Bóg nas obie ocalił, ale mama tak naprawdę nigdy nie wróciła do zdrowia. Dwa lata później zaraziła się tyfusem i umarła. – Jegle westchnęła spazmatycznie.

Pan de Voss delikatnie ujął jej dłoń i pocałował.

– Ojciec oddał mnie wtedy babci na wychowanie, Franka, mojego brata, starszego ode mnie o dziesięć lat, wysłał do szkół do Krakowa, a sam popłynął do Ameryki. Nie było go dwanaście lat, dlatego właściwie jesteśmy sobie obcy. Rozumie pan, ja go prawie nie znam.

Spojrzała w oczy panu de Vossowi. Słuchał uważnie i chyba rzeczywiście ją rozumiał.

– Ojciec w Ameryce się ożenił, niedawno urodziła mu się córka, Cecylka... Ma nową rodzinę, ale i tak mi nie wybaczył śmierci mamy. Bo w jakiś sposób mnie o nią obwinia. Sama czasem myślę, że ma rację, bo gdyby nie ja...

– Proszę tak nie mówić. Nie ma w tym najmniejszej pani winy.

Jegle uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Wie pan, ojciec zdecydował, że gdy skończę siedemnaście lat, pójdę do klarysek. Prosiłam, żeby wybrał szarytki, bo mogłabym się opiekować chorymi, jak moja mama i babcia, ale odmówił.

– Kiedy wypadają pani siedemnaste urodziny?

– Niedługo. Ósmego marca.

– Chce pani iść do klasztoru?

– Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Od dziecka wiedziałam, że będę zakonnica. Przyzwyczaiałam się do tej myśli. Ale teraz...

– Teraz zmieniła pani zdanie. Jest pani wolnym człowiekiem i może pani to zrobić.

Jegle poczuła łyzy w oczach. Nie spodziewała się, że mężczyzna potrafi przeniknąć kobiecą duszę.

– Księżna mówiła mi, że nosi pani żałobę po babci i bracie, który poległ na wojnie z Rosją.

Jegle kiwnęła głową. Z całych sił starała się powstrzymać łyzy.

Nieśmiało ją do siebie przytulił, tak jak się tuli skrzywdzone dziecko, i łagodnie kołysał ją w

ramionach.

Jegle powoli się uspokajała. Obręcz, która wcześniej ścisnęła jej piersi, znikła.

Pan de Voss zajął jej w oczy.

– Czy pani lubi mnie choć trochę? – spytał.

– Jest pan najmiłszym mężczyzną, jakiego znam.

Rozpromienił się.

– Ale nie jest pani pewna, czy chce za mnie wyjść, prawda?

– Tak – odrzekła szczerze.

Pocałował ją w czoło.

– Teraz widzę, że pani ojciec nie odda mi pani ręki. A czy pani zgodzi się ze mną wyjechać?

Wcześniej oczywiście się pobierzemy, nie może być inaczej, ale niech to będzie tylko cywilny ślub.

Po jakimś czasie, gdy mnie pani lepiej pozna, zdecyduje pani, czy chce zostać moją prawdziwą żoną, przed Bogiem. Jeśli nie, weźmiemy rozwód. Wie pani, że teraz we Francji można się rozwieść, i to bez większego trudu?

Jegle nie wierzyła własnym uszom. Jej modły zostały wysłuchane.

– Tak, chcę. I tak, wiem – odrzekła.

Uśmiechnęła się do pana de Vossa, a on, patrząc w jej zielone oczy, w których ciągle jeszcze błyszczały łzy, pomyślał, że będzie na nią czekał do końca świata.

– U Świętego Wawrzyńca, to znaczy teraz w Świątyni Hymenu i Wierności, można szybko wziąć ślub – powiedział zachrypniętym ze wzruszenia głosem. – Prawo wymaga wprawdzie publicznego zawiadomienia o ślubie na osiem dni przed jego zawarciem, ale łatwo to obejść. – Odchrząknął i jego głos nabrał jasności. – Potrzeba czterech świadków. Czy ma pani kogoś, kogo chciałaby pani poprosić na świadka?

– Marynię – odrzekła Jegle, ale zaraz zmieniła zdanie: – Nie, lepiej jej do tego nie mieszać i nie narażać na gniew mego ojca.

– W takim razie ja przyprowadzę świadków. O której pani ojciec zwykle wychodzi z domu?

– Około dziesiątej.

– Przyjadę więc po panią jutro o jedenastej.

Jegle przypomniała sobie o jeszcze jednej ważnej sprawie.

– Zapomniałam panu powiedzieć... Ja nie mam posagu. Koborów, majątek, który odziedziczyłam po babci, dostaną klaryski. Ojciec na pewno nie wycofa tego zapisu.

– Czy wyglądam na łowcę posagów? – Pan de Voss się uśmiechnął. – Panno Jegle, i bez tego jestem najszcześliwszym człowiekiem na świecie. – Sięgnął po jej rękę i zamknął ją w swoich dłoniach.

Jegle wyobraziła sobie furię ojca, gdy odkryje jej ucieczkę, i zadrżała. Powinna była lękać się Boga, któremu została obiecana, tymczasem bardziej bała się ojca.

– Co się stało? Zimno pani?

– Nie... Bardzo pana proszę, nie mówmy księżnej ani Maryni o naszym planie. Lepiej, żeby o

niczym nie wiedziały.

– Z radością spełnię każde pani życzenie.

To był dziwny wieczór. Jegle miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, jakby się domyślali, co planuje. W końcu szepnęła Maryni, że boli ją głowa i prosi, żeby wracały do domu.

W powozie Marynia ją uścisnęła.

– Wiem, że ci się oświadczył i że go przyjąłeś. Nie pisnął słówka, ale tak na ciebie patrzył...

Jegle odwzajemniła uścisk.

– Taka jestem szczęśliwa! – mówiła Marynia. – Sprowadzę krawcową, żeby ci uszyła najpiękniejszą ślubną suknię. Nie możesz iść do ołtarza w czerni.

– Jestem w żałobie.

– Ach, możesz ją zdjąć, skoro wychodzisz za męża. – Zawahała się. – Może chcesz, żeby Dominik porozmawiał z twoim ojcem i go przygotował?

– To wielkoduszna propozycja, ale z ojcem muszę porozmawiać sama – odrzekła Jegle.

„Jutro rozpocznę nowe życie!” – pomyślała.

Kiedy wreszcie znalazła się w swoim pokoju, opadły ją wątpliwości. Czy nie nazbyt pochopnie zdecydowała? A jeśli pan de Voss zmieni zdanie i nie da jej rozwodu, gdy małżeństwo będzie nieudane? Albo ją porzuci? Co powie jego matka, gdy zobaczy żonę, którą jej ukochany syn wziął w jednej koszuli?

Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Na przemian targały nią wątpliwości i ogarniała ją radość.

Sen zmorzył ją dopiero nad ranem, lecz już o siódmej była na nogach.

Wychodząc do miasta, nie mogła zabrać kufra, spakowała więc do pudła na kapelusze trochę bielizny, modlitewnik, kilka pierścionków, które dostała od babci. Potem wzięła papier i zanurzyła pióro w atramencie.

„Najdroższy Ojcze!” – napisała. Co dalej? Jak mu wytłumaczyć, że go opuszcza, w dodatku w taki sposób?

Najdroższy Ojcze!

Pragnę Ojca powiadomić, że oświadczył mi się pan Jean-Louis de Voss. Przyjęłam go, choć Ojciec na pewno uzna, że nie miałam do tego prawa. Zamierzamy wziąć ślub i wyjechać do jego domu w Wandei.

Będę się modliła za Ojca do końca moich dni. Jeśli Ojciec może mi wybaczyć, to proszę o wybaczenie.

Kochająca córka Jegle

Wiedziała, że ojciec nigdy jej nie daruje nieposłuszeństwa. Spaliła za sobą wszystkie mosty.

Zostawiła list na stoliku, wzięła pudło na kapelusze, wysunęła głowę z pokoju, sprawdzając, czy korytarz jest pusty, szybko zbiegła po schodach i przez frontowe drzwi wyszła na ulicę.

Dwa domy dalej stał powóz, a przy nim pan de Voss z naręczem białych tulipanów.

[\[1\]](#) Na końcu książki znajduje się dodatek „Historia mało znana” zawierający objaśnienia dotyczące czasów, w których toczy się akcja.

Rozdział 1

Buonaparte



– Żołnierze są po to, żeby umierali.

Gaston raczej odczytał te słowa z ruchu warg, niż je usłyszał. Może Buonaparte powiedział całkiem co innego?

Cesarz patrzył na ułożone w sieni ciała tych, którzy umarli w nocy. Leżały tak zwykle do późnego popołudnia, gdy przychodzili hiszpańscy posługacze, odzierali trupy z resztek odzienia i żeby sobie zaoszczędzić trudu, wyrzucali je przez okno. Upadając, wydawały głuchy odgłos, jak worki wypełnione zbożem. Potem ładowali ciała na wóz i wieźli paręset kroków dalej, do dołu wykopanego opodal gaju oliwnego.

Zaprężone w woły chłopskie wozy na pełnych kołach obracających się wraz z osią wyglądały jak żywcem przeniesione z czasów cesarstwa rzymskiego. Gaston widział podobne na rycinach przedstawiających rzymskie *plaustrum*. Rysunki nie mogły jednak oddać głównej ich cechy: wrzaskliwego skrzypienia drewnianych osi trących o drewno. Skrzypiały tym głośniejsze, im cięższy był wóz. Hiszpanie mówili, że nawet wozy się cieszą, wioząc ciała wroga do wspólnego grobu. „Lepsza dzuma niż Francuzi” – dodawali, zaciskając pięści.

Buonaparte przemaszerował wzdłuż szeregu nieruchomych ciał, jakby po raz ostatni lustrując swych żołnierzy, i przez okute drzwi, które przytrzymał ktoś z cesarskiej świty, wszedł do klasztornej refektarza. Gdyby nie sienniki ciasno ułożone na kamiennej podłodze, sala przypominałaby pobojuwisko: stłoczone ciała, zakrwawione resztki mundurów, jęki, odór potu, ropiejących ran, krwi i śmierci.

Tuż przy drzwiach leżał barczysty żołnierz z szarą jak popiół twarzą. Kiedyś musiał być wysoki, teraz końska derka płasko przylegająca do posłania zdradzała, że jego wzrost zmniejszył się o długość nóg.

– Kompania wyborcza? Karabinier?

Nietrudno było zgadnąć, widząc potężną posturę oraz niedźwiedzią czapę, którą oficer wsadził sobie pod głowę.

– Tak jest, *Sire*.

– Spotkaliśmy się już. Był pan ranny pod Austerlitz.

– Tak jest. Opatrzono mi wtedy ramię w lazarecie urządzonym w zamku hrabiego Brumegena.

– Tam właśnie pana widziałem, kapitanie Picard.

Twarz żołnierza pojaśniała. Cesarz go pamiętał!

Napoleon się schylił, sięgnął po leżący na sienniku chleb, ułamał kawałek i włożył do ust.

– Niezły – powiedział, żując. – Pamiętasz, Picard, jak po pokonaniu Macka szliśmy na Wiedeń? Łało, nie było kwater ani nic do jedzenia. *Sacrébleu!* Żeby dostać kawałek chleba, musieliśmy straszyć Austriaków karabinem, ale czasem nawet z bronią w ręku trudno było coś zdobyć.

Ranni i chorzy chłonęli jego słowa, śledzili każdy ruch. Ci, którzy mogli, wstawali albo choć podnosili się na łokciu. Oczy im błyszczały.

– Pamiętacie, żołnierze? *Bordel de merde!* Musiały nam wystarczyć ziemniaki i kawałek wieprzowiny, choć często i tego nie było.

Austriacy są rozsądnym narodem, wiedzą, że żołnierze muszą jeść. Wtedy jednak w awangardzie szła kawaleria marszałka Murata i niewiele zostawiała dla pułków liniowych. Tylko gwardia, która miała osobną intendenturę, nie rozchodziła się na boki, by rabować okoliczne wsie. Gwardziści zawsze zachowywali wspaniałą postawę, bo mieli dość jedzenia, najlepsze kwatery i najmniej do roboty.

– *Vive l'Empereur!* Niech żyje cesarz!

Nawet ciężko ranni dobywali ostatka sił, by wydać ten okrzyk.

Niektórzy żołnierze poczerwienieli z emocji albo uśmiechali się szeroko, inni złożyli ręce w niemal modlitewnym geście, jakby w tym grubiańskim człowieku objawiła im się nagle Istota Najwyższa, w którą kiedyś kazał im wierzyć Robespierre.

Bóg wojny. Za jakiś czas może po prostu Bóg. Już teraz żołnierzy, z którymi cesarz rozmawiał, uważano w armii za wybrańców losu, a nagrody otrzymane z jego ręki uznawano za wyróżnienia niemające ceny. Gaston nieraz widział na polu bitwy, jak umierający żołnierze, czarni od prochu, usmoleni od przegryzanych ładunków, gasnącym głosem wydawali ostatni okrzyk na cześć cesarza.

– Słyszę, że są tu moi dzielni Polacy. – Napoleon się uśmiechnął. – Legia Nadwiślańska?

– Tak jest, *Sire!* – rozległy się głosy.

– Co tam się stało pod Saragossą, chłopcy?

– Ach, cesarzu! – zawołał młodziutki żołnierz, którego miejsce było w szkole, nie na wojnie. – Nigdy byśmy nie odstępili od oblężenia, gdyby pan nas prowadził!

– *Sacrébleu!* Wróćmy tam! Przetrzepiemy skórę tym skurwysynom, Palafoxowi, Castañosowi i Blake'owi. Zmieciemy armie Kastylii i Galicji niczym wiatr suche liście! Zwyciężyli pod Bailén i myślą, że ich los się odwrócił? Głupcy! Fortuna to kurwa, która dziś tego, jutro tamtego obdarza swymi pieściami.

– *Vive l'Empereur!*

Wysokie sklepienie refektarza odpowiadało echem.

Gaston nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Napoleon był tak grubiański, czemu używał wyrazów wylęgłych w najbrudniejszej kordegardzie. Czy się bał, że jeśli nie będzie rubaszny, to żołnierze go nie zrozumieją?

Cesarz szybkim krokiem przemierzał kolejne sale. Dawno już stracił młodzieńczą sprężystość, przytył, zachował jednak nerwową ruchliwość. Czasem zatrzymał się przy jakimś posłaniu, rzucił „*sacrébleu!*”, pozdrowił po nazwisku żołnierza, innego zaś poklepał po ramieniu, ówdzie upił wody

z kubka albo kazał coś zapisać jednemu z towarzyszących mu adiutantów. „Ile odniosłeś ran?”, „Z jakich stron Polski pochodzisz?”, „Jak dawno służysz?”. Swoim zwyczajem zadawał pytania jedno za drugim i zdarzało się, że onieśmielony żołnierz odpowiadał dopiero wtedy, gdy cesarz już się oddalił. Ci, których dotknął, zdawali się zdrowieć, jakby nałożył na nich ręce prawdziwy król, nie zaś korsykański awanturnik, który sam sobie włożył na głowę cesarską koronę.

Tego dnia, szczególnie na tle szpitalnej nędzy, nie wyglądał dobrze. Wracał z jakiegoś spotkania ze swym niewydarzonym bratem Józefem, którego posadził na hiszpańskim tronie, dlatego na nogach miał lekkie trzewiki i jedwabne pończochy, a zamiast munduru i szarego surduta – paradny dworski strój, w którym jego ręce wydawały się jeszcze krótsze niż zwykle.

– A ci? Żyją? – spytał, gdy ostatnia sala przywitała go martwą ciszą.

– To Hiszpanie, *Sire* – objaśnił Gaston.

Ranni oraz chorzy na gorączkę bagiennej jeńcy leżeli na słomie rozrzuconej w obranym z ksiąg i sprzętów klasztorным lektorium. Słońce przeszło już na drugą stronę nieba i przez zachodnie okno wlewało się różowawe światło nadające wynędzniałym twarzom pozór zdrowia. Drugie okno, południowe, miało rozbitą witrażową kwaterę, pewnie z wyobrażeniem Chrystusa na krzyżu, bo ocalała część przedstawiała mdlejącą Maryję w błękitnej szacie, podtrzymywaną przez świętego Jana. Dla ochrony przed listopadowym wiatrem ktoś ułożył na oknie stos klasztornych ksiąg. Oprawy wypaczyły się od wilgoci, pergaminowe karty nasiąkły deszczem.

– Larrey ciągle powtarza, że na pobojuwisku nie ma rang ani szarż, zwycięzców ani pokonanych, są tylko ranni ludzie.

– *Sire*, jestem tego samego zdania co doktor Larrey – powiedział Gaston, kłaniając się. W myśli przeznaczył ukłon dla kolegi po fachu.

Poznali się podczas służby w Armii Renu, zaprzyjaźnili zaś, gdy się okazało, że mają podobne podejście do rannych: obaj opatrywali żołnierzy już w czasie bitwy, pod ogniem, i często wynosili ich z pola walki na własnych plecach. Nie patrzyli przy tym, czy to swój, czy wróg. Kiedy Larrey usłyszał, że Gaston jako dziesięciolatek uciekł z domu, zaciągnął się na fregatę *La Boudeuse* i odbył na niej rejs dookoła świata, zwierzył mu się, że sam kiedyś planował ucieczkę do Ameryki, aby wziąć udział w toczącej się tam wojnie. Młodzieńczy plan spełził na niczym, Larrey zobaczył jednak Amerykę, gdy służył na korwecie *Vigilantia*, która eskortowała statki przewożące więźniów do kolonii. Opowiadał Gastonowi o wielorybnikach, o spotkaniu z niedźwiedziem polarnym, o wspaniałych łososiach żyjących w kanadyjskich rzekach.

– Widać wśród Hiszpanów nie ma lekarzy, bo nie słyszałem, żeby *guerrilleros* opatrywali naszych. Chyba że za leczenie uznać oślepienie albo palenie żywcem – powiedział jeden z generałów z cesarskiej świty, niechętnie patrząc na Gastona.

Nikt by się nie ośmielił wygłaszać własnego zdania przy cesarzu, generał, którego Gaston nie znał, powtarzał więc pewnie to, co kiedyś usłyszał z ust Bonapartego.

– My jednak, w odróżnieniu od nich, jesteśmy cywilizowanym narodem, choć tutaj musimy walczyć z oderwanymi od pługa chłopami odzianymi w kozie skóry – rzucił Napoleon.

– Kiedy pierwszy raz takiego zobaczyłem, myślałem, że mam przed sobą Robinsona Crusoe – powiedział ten sam generał, który wątpił w istnienie lekarzy w hiszpańskiej armii.

Bonaparte, namiętny czytelnik powieści, roześmiał się głośno. Świta mu zawtórowała.

– Doktorze Laval – cesarz zwrócił się do Gastona. – Nie traci honoru ten, kogo my zwyciężyliśmy. Tym ludziom należy się staranie.

Popatrzył na kobiety, które przycupnęły przy niektórych rannych. Siedziały nieruchomo, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, w czarnych sukniach i spiczastych ciemnobrunatnych kapturach wyglądających, jakby były zrobione z rozciętych worków. Sukno, nazywane pod Pirenejami *bure*, z którego były uszyte, równie dobrze chroniło przed słońcem, jak przed deszczem. Żadna szanująca się mężatka ani wdowa nie wychodziła z domu bez sięgającego pasa kaptura, po francuskiej stronie gór zwanego *capulet*, w Katalonii – *caputxa*, tu zaś – *kanpaia*.

– Niewiasty dobrze się nadają do posługi przy chorych. Nie ma tu jakichś zakonnice albo znających się na leczeniu wiwandierek? – zapytał cesarz Gastona, tak jakby nie pamiętał, że jest w klasztorze, z którego jego wojsko wypędziło mniszki, i że sam rozkazał usunąć z armii „zbędne kobiety”, tylko nielicznym pozwalając zostać w pułkach.

– Żadna Hiszpanka nie przyjdzie na służbę do francuskiego szpitala, *Sire*. Wzywamy miejscowych tylko do grzebania zmarłych i tę robotę wykonują chętnie, nawet z zadowoleniem.

„Jesteśmy najeźdźcami, ludzie nas nienawidzą. Czyżby tego nie widział? A może widzi już tylko to, co chce zobaczyć?” – pomyślał Gaston.

– Jestem tu od roku, *Sire* – ciągnął – i przekonałem się, że Hiszpanie wcale się nie cieszą z naszej obecności na ich ziemi i że należy do nas tylko to miejsce, na którym stoimy, a i tam nasza władza jest ograniczona, częstokroć nawet pozorna...

– Teraz gdy cesarz przybył we własnej osobie, sprawy przybiorą inny obrót – surowym tonem przerwał mu ktoś ze świty.

„Nie wolno sądzić zwierzchnika, a pouczanie go to grzech śmiertelny” – pomyślał Gaston.

Szaroniebieskie oczy Napoleona przenikały na wskroś. Popatrzył na Gastona tak, jakby wiedział o nim wszystko.

– Pochodzi pan z Marsylii, prawda?

– Tak jest, *Sire*.

– Gdy spytasz marsylczyka, czy jest Francuzem, odpowiada: „Nie, jestem Prowansalczykiem”. Czy i pan tak by odpowiedział?

Ludzie nie bez powodu bali się oczu cesarza. Trafił w najczulszy punkt. Lecz Gaston nie miał zwyczaju się poddawać.

Powinien rzec: „Prowansja, jak Korsyka, jest częścią Francji, *Sire*. Wszyscy, którzy tam przyszli na świat, są Francuzami, czy tego chcą, czy nie”.

Stał jednak przed cesarzem, który urodził się na Korsyce rok po tym, jak wyspa przemocą została podporządkowana Francji, i który mówił po francusku z korsykańskim akcentem. Drażnienie władcy to zły pomysł.

Nagle przypomniał sobie, że na Korsyce o kimś, kto opuszcza wyspę i zapomina o swoich korzeniach, mówi się: „*S'e' scurdatu di a filetta*”, „zapomniał o paproci”.

– *Sire*, ziemia, na której się urodziłeś, naznacza nas na zawsze. Jesteśmy w niej zakorzenieni jak paprocie.

Cesarz nie rzekł już ani słowa. Zamaszystym krokiem ruszył na dziedziniec, skinął dłonią stojącym w szeregu urzędnikom zdrowia, którzy w naprędce włożonych galowych mundurach ustawili się u stóp schodów, i wsiadł do powozu.

Końskie kopyta uderzyły o bruk, zaturkotały koła. Powóz okrążył kolisty klomb, na którym w cieniu dawno niestrzyżonych bukszpanów brązowiały główki uschłych róż, i wjechał w sklepioną bramę.

Dopiero gdy ostatni żołnierz z cesarskiej świty zniknął za kamiennym murem, Gaston odwrócił się do nadal stojących na baczność urzędników zdrowia. Urzędnicy zdrowia! Ale nazwa „oficerowie zdrowia” była jeszcze gorsza – choćby nie wiadomo jak biegły, żaden oficer zdrowia nie był tak naprawdę uważany za część korpusu oficerskiego.

– Poprosił pan o coś cesarza? – spytał Jean Bricard. – Podobno był w dobrym humorze...

– O cóż miałem go prosić? O krzyż? Awans? A może sienniki albo trumny?

Bricard pokręcił głową, jakby wysoki kołnierz munduru nagle zaczął go uwierać. Nosił uniform w kolorze wieczornego nieba, wprowadzony dekretem sprzed pięciu lat. Od tamtej pory barwa galowego munduru zmieniła się przynajmniej dwa razy, ten jednak lśnił niepokalanym granatem, szkarłatne wyłogi niemal płonęły, a złote liście akantu wyhaftowane na kołnierzu i rękawach błyszczały jak nowe. Chirurdzy rzadko mieli okazję nosić wielki mundur. Nie nadawał się ani do pracy, ani do siedzenia przy obozowym ognisku, ani do spania pod gołym niebem. Szkoda było czasu na krawieckie zabiegi i pieniędzy na niepotrzebne ozdoby.

– Nic go nie obchodzimy – dodał Gaston łagodniejszym tonem. – Ani my, ani ci, którzy już nie mogą walczyć. Odkąd dyrektoriat oddał nas pod władzę tych nieuków, komisarzy wojennych, oszczędzanie kosztem rannych stało się niepisany prawem. Cesarz nic tu nie zmienił.

Bricard spojrzał mu prosto w oczy. Otworzył usta, unosząc górną wargę, i przez chwilę wyglądał jak pies szczerzący kły.

„Do diabła! – zaklął w myśli Gaston. – Przecież on w roku drugim był w Komitecie Czujności, a za dyrektoriatu odwoływał medyków »niespełniających oczekiwań«”.

– Wiem, że pan skończył uniwersytet, a ja mam tylko kurs felczerski... – zaczął Bricard, kręcąc w palcach guzik z wężem Eskulapa.

– Czternaście lat wojennej praktyki zrobiło z pana doskonałego chirurga – przerwał mu Gaston. – I to jedyna korzyść. Żaden medyk nie idzie na wojnę, żeby się wzbogacić. Lepiej niech się pan z tym pogodzi.

Bricard puścił guzik i odruchowo dotknął munduru na piersi.

„Ma tam sakiewkę ze złotem albo z drogimi kamieniami” – pomyślał Gaston.

– Jedyna korzyść, za to wielka – wtrącił się Paul Gobel. – Pomyśl, Jean, gdy wrócisz do Nangis, żaden miejscowy chirurg nie dorówna ci w biegłości. Chorzy będą do ciebie zjeżdżać z całej

okolicy.

– Racja – dorzucił Adam Vernet. – Będziesz wystawiał słone rachunki, potem ożenisz się z najbogatszą panną w mieście i dożyjesz w zdrowiu stu lat. A ja otworzę największą aptekę w Rouen, kupię sobie piękny dom, wyślę syna na uniwersytet...

– Dość tych fantazji, panowie. – Gaston uśmiechnął się lekko. – Wracamy do pracy.

Chirurdzy, podchirurdzy, farmaceuci i sanitariusze zrobili w tył zwrot, jak na paradzie.

Gaston zatrzymał się na chwilę w sali Hiszpanów i patrzył, jak jedna z kobiet cierpliwie wlewa wodę do ust chorego, a inna bandażuje żołnierzowi ramię płócienną chustą. Przydałoby mu się więcej takich niewiast. Rekrutujący się spośród ozdrowieńców sanitariusze nadawali się do przenoszenia rannych na polu bitwy, ale już nie do ich pielęgnowania.

– Tu jesteś, Gastonie!

W drzwiach stał Paul Gobel. Zdążył zdjąć mundur i miał na sobie zwykły surdut, w jakim pracowali chirurdzy.

– Spójrz na tę chustę. – Gaston ruchem ręki przywołał Paula. – Sam bym lepiej nie opatrzył tego ramienia. Wiesz, co powiedział Bonaparte? Żeby znaleźć kilka niewiast do posługi.

Paul się uśmiechnął.

– Koniec świata! Nawet ty zauważyłeś, że generał Bounaparte może mieć w czymś rację!

Gaston rozejrzał się odruchowo. Wprawdzie ojciec cesarza nazywał się Buonaparte, a sam Napoleon używał tego nazwiska do dwudziestego szóstego roku życia, dziś jednak tylko Anglicy mówili „generał Bounaparte”, tymi dwoma słowami podważając i jego francuski rodowód, i prawo do tytułu cesarza.

– Bricard nie usłyszy – uspokoił go Paul. – Gra w faraona z sanitariuszami. Znów ich oskubie do czysta.

Gaston przypomniał sobie słowa Bricarda.

– Myślisz, że powinienem być o coś poprosić? – spytał. – Zawołać: „Krzyż, cesarzu!”, jak żołnierze na przeglądzie?

– Bricard tak by zrobił. Choć bardziej niż z Legii Honorowej ucieszyłby się z przywiązanej do niej renty – odrzekł Paul drwiącym tonem. – Pod Marengo widziałem, jak oficer z pułku liniowego przyniósł zdobyty sztandar i dostał za to czterdzieści sztuk złota. Byłem wtedy goły jak bizun, ale wcale mi się nie podobały pieniądze jako nagroda za świetny czyn.

– Byłeś młody i głupi – zaśmiał się Gaston.

– Wiesz, co powiedział Bricard? „Laval, choć uczony, nie jest mądry. Nie umie poznać tej rzadkiej chwili, gdy człowiek jest panem swego losu”.

– Który żołnierz jest panem swego losu?

– Najpierw jesteśmy lekarzami, potem żołnierzami, Gastonie.

– Więc się z nim zgadzasz?

– Skądże! Pomyśl jednak, ile razy byłeś ranny? Ile razy musiałeś chwycić z poboju karabin, pałasz albo lancę i walczyć o życie? Masz pięćdziesiąt dwa lata, Gastonie. Jeszcze rok, dwa i i

przestaniesz się nadawać do służby. Co wtedy? Wrócisz do Marsylii z głodową rentą i do końca swoich dni będziesz chodził do rodzających niewiast?

Gaston milczał. Nikomu nie powiedział, co mu się przydarzyło pewnej wrześniowej nocy w roku śmierci króla. Nikt nie wiedział o domu, który czekał na niego w Wenecji. Paul pewnie myślał, że skoro są przyjaciółmi, to wiedzą o sobie wszystko...

– Chodźmy do oberży – rzekł w końcu. – Jesteś tu prawie tydzień, a jeszcze nie znasz señora Martineza. Poza tym zgłodniałem, a to, co gotuje nasz kucharz, nadaje się tylko dla złożonych gorączką, pobawionych apetytu i smaku. „Co to za zupa?”, spytałem go wczoraj. „Zielona, panie doktorze”.

– Rzeczywiście, była zielona jak trawa. I tak smakowała.

Rozdział 2

Polak nikogo się nie boi



Ledwie wyszli za klasztorny mur, zerwał się wiatr. Rozwiewał płaszcze, sypał pyłem w twarz, naganiał na niebo ciemne chmury. Gdy dochodzili do oberży, lunął deszcz.

Gaston z ulgą pchnął ciężkie drzwi. Przez chwilę stali w progu, przyzwyczajając oczy do panującego w izbie półmroku.

Cztery stoły gęsto obsiedli żołnierze. Wznosili gliniane kubki z winem, dzielili między siebie grubą jak okrętowa reja hiszpańską kiełbasę, sięgali po kawałki chleba, zanurzali je w oliwie i wkładali do ust. Przy jednym stole siedzieli Hiszpanie jedzący w milczeniu, wpatrzeni w swoje talerze.

– Gospodarzu, wina! – zawołał Gaston po hiszpańsku, przekrzykując gwar.

Oberżysta skinął na służącą, która przewróciła na bok wór ze skóry bawołu, uklękła na nim, wyjęła czop i zaczęła toczyć wino.

– Och, to pan doktor! Witam! – Gospodarz podszedł, kłaniając się. – Zapraszam panów do bocznej izby. Tam będzie ciszej.

– *Gracias, señor* Martinez – powiedział Gaston. – Zostaniemy tutaj. Wigor tych żołnierzy cieszy moje stare oczy.

– Polacy! – Oberżysta wznosił ręce do nieba. – Dobrzy ludzie, ale nienawykli do naszego wina. Myślą, że można je pić jak wodę.

Gaston zdjął płaszcz i rzucił go na ławę.

– To mój przyjaciel, doktor Paul Gobel. Gdyby potrzebował pan kiedyś chirurga, nie znajdzie pan

lepszego.

Gospodarz uklonił się nisko.

– Co możemy zjeść? – zapytał Gaston.

– Guiso de cordero. – Oberżysta głośno ucałował czubki palców. – I wina każę podać najlepszego.

– Mówisz po hiszpańsku jak Hiszpan – powiedział Paul, gdy gospodarz się oddalił. – Od razu lepiej nas traktują. Przynajmniej się nie boję, że da nam zatrutego wina. Dawno znasz tego Martineza?

– Rok temu służyłem tu, w Vitorii, i pomogłem odebrać jego czwarte dziecko. Pchało się na świat pośladkami i akuszerka poradziła, żeby mnie wezwać. Tymczasem ten smyk odwrócił się w ostatniej chwili, wszystko poszło gładko, po trzech dziewczynkach urodził się chłopiec, a uszczęśliwiony *señor* Martinez mnie przypisał zasługę odczarowania łona jego żony. Ma już piąte dziecko, też syna.

Służąca starła stół fartuchem, przyniosła dzbanek wina, szklanki, talerze, potem misę z parującym gulaszem.

Kończyli jeść, gdy usłyszeli kilka gitarowych akordów. Melodia nie była hiszpańska.

– „I nie najdzie likworu między likworami nad gorzałkę, co wiecie, przyznacie to sami” – zaśpiewał po polsku młody żołnierz.

– Dalej, Henrysiu! – wołali inni.

Ta starości na twarzy mnożyć się nie daje,
Ta ciało z brudów czyści i piękną pleć daje.
A co większa, frasunek i melankoliją
Tak wypędza jak balwierz wrzody dyaltiją.
Wierzysz temu? Jakożby wierzyć trzeba pewnie,
Jak woda zmywa grzechy święcona powszednie,
Tak gorzałka wypędza to, co człeka suszy,
A nie tylko pomaga ciału, ale duszy.

Młodziutki porucznik odłożył gitarę, wstał i uklonił się lekko. Jego towarzysze zaczęli klaskać, potem zaś uderzać kubkami o stół i wołać:

– Go-rzał-ki! Go-rzał-ki! Karczmarzu, dawaj gorzałki!

– Rozumiesz, o co im chodzi? – spytał Paul.

Zanim Gaston zdążył odpowiedzieć, jeden z polskich oficerów wrzasnął na całe gardło:

– *Donnez-nous de la vodka!*

Oberżysta giął się w ukłonach i łamaną francuszczyzną tłumaczył, że zostało tylko wino, a całą wódkę wypili Polacy poprzedniego dnia.

– Miałeś zapowiedziane, żeby przygotować dobrą kolację dla polskich oficerów. Policz sobie, ile chcesz, ale daj, co najlepsze. – Jasnowłosy kapitan upił łyk wina, skrzywił się i chlusnął nim w twarz oberżysty. – To schowaj sobie do sałaty, a nam daj innego!

Po odebraniu takiego napomnienia gospodarz jeszcze niżej się uklonił, na stole zaś w mig stanęły

dzbany wina i misy z gulaszem jagnięcym, tym samym, który jedli Gaston i Paul.

Oficer spróbował i pokiwał głową.

– Dobry. Tylko na przyszłość czosnku mniej dawaj, tak samo jak tego czerwonego pieprzu. – Skinieniem odprawił oberżystę, nalał kompanom wina i zawołał po polsku: – Zaśpiewaj nam jeszcze, Henrysiu!

Porucznik wziął kilka akordów.

Toż nam najwięcej wadzi,
Że się bijamy radzi.
Jak zakrzywi kto palec,
Wnet go uciąć kawalec,
Niech się kto chce sprzeciwi,
Wnet go Polak nie żywi.
Dopadnie konia, zbroi,
Nikogo się nie boi.

Gdy piosenka się skończyła, Gaston i Paul zaczęli bić brawo.

Od stołu Polaków wstał jasnowłosy oficer i podszedł do nich.

– Jeśli wola, zapraszamy panów do kompanii! – powiedział po francusku. – Kapitan Jan Kochański – przedstawił się.

– Lekarz pierwszej klasy pułkownik Gaston Laval. A to mój przyjaciel, *chirurgien-major* Paul Gobel.

– Panie pułkowniku, panie majorze, pokornie przepraszam, że się ośmieliłem...

Gaston uniósł rękę.

– Jeśli ktoś chodzi w surducie i nie nosi u kapelusza znaków oficerskich, nie może mieć pretensji, że nie rozpoznano w nim pułkownika. – Uśmiechnął się. – Chętnie się z panami napijemy.

– Kapitan Stanisław Augustyński, porucznicy Henryk Jurgaszko, Józef Korsak, Kazimierz Brandt i Ksawery Danielewicz – przedstawił swych towarzyszy kapitan Kochański.

– Sławna Legia Nadwiślańska – uśmiechnął się Gaston, widząc ich czapki z blachą naczelną w kształcie półsłońca i inicjałem „N” pośrodku. – Panowie długo w Hiszpanii?

– Koledzy właśnie przekroczyli Pireneje, my ze Stasiem jesteśmy tu od czerwca – odrzekł Kochański.

– Zatem musieliśmy się spotkać latem pod Saragossą. Kierowałem jednym z tamtejszych lazaretów – powiedział Gaston.

– Bóg strzegł! – Kochański się uśmiechnął. – Staś wyszedł bez szwanku, mnie drasnęła kula. – Odruchowo dotknął ramienia. – Alem wydobrzał bez pomocy medyków.

Gaston pokiwał głową. Żołnierze unikali szpitala jak ognia. Czego zresztą mogli się tam spodziewać? Położenia na wiązce starej słomy obok konających, okradzenia przez sanitariuszy, zarażenia się gorączką bagienną od innych chorych. Lazaret był dla większości przedsionkiem

cmentarza.

– Zdrowie panów! – Uniósł szklankę z winem. – Obyśmy się spotykali tylko przy takich okazjach jak ta.

– Jak panowie znajdują Hiszpanię? – spytał Paul. – Zimno tu, prawda? Choć nie ma porównania z polskimi mrozami.

– Byli panowie w Polsce? – zapytał Kochański.

– Pod Iławą i Frydlandem – odrzekł Paul.

– Ja w wojnie polskiej nie brałem udziału – powiedział Gaston. – Pod Jeną jakiś Prusak nadał mi na bagnety, a gdy się wykurowałem, przydzielono mnie do Korpusu Obserwacyjnego Żyrondy i od roku jestem tu, w Hiszpanii. Ale mówmy o panach. Jak przeprawa przez góry? Szli panowie z Bajonny?

– Tak. – Porucznik Danielewicz pokiwał głową. – W Bajonnie strzeżliśmy cesarza, biwakując w jego ogrodzie. Kazał nam robić przed sobą zwroty, sam sprawował nasz przegląd, słowem, traktował jak własne dzieci... Kiedy cesarz ruszył, ruszyliśmy i my, przez Saint-Jean-Pied-de-Port do Baskonii. Droga była zła, ale jeszcze bez śniegu. Bielał tylko na wierzchołkach gór.

– Im dalej, tym bardziej kamienista – dorzucił porucznik Brandt. – Miejscami była taka wąska, że muły musiały iść pojedynczo. Z jednej strony wysokie skały, z drugiej szumiący w dole Aragon. Kilka zwierząt runęło w dół, a francuskiego oficera, który okręcił sobie cugle wokół ręki, muł pociągnął za sobą w przepaść. W końcu wszyscy jadący wierzchem musieli pozysadać. Francuzi, patrząc na ośnieżone szczyty, byli bardziej zgnębieni niż Polacy, bo my co najmniej przez cztery miesiące widzimy śniegiem okryte pola.

– Nas posłano do Biarritz, tam gdzie latem cesarz brał kąpiele morskie – powiedział porucznik Korsak. – Słyszałem, że za każdym razem oddział konnej gwardii wjeżdżał w morze, tworząc łańcuch dla bezpieczeństwa cesarza. W Biarritz kilka dni odpoczywaliśmy, a potem szliśmy przez skaliste góry. Były całkiem nagie, tylko z rzadka widziało się nędzne kępki bukszpanu.

– Ale za to jakie mają niebo! Zaraz po polskim najpiękniejsze na świecie – westchnął porucznik Jurgaszko. – Pierwszy raz byłem w górach, nowy to dla mnie świat. Przypomniały mi się opowieści o rozbójnikach albo śpiących rycerzach. Po drodze mijaliśmy przełęcz Roncevaux, gdzie sławny Roland starł się z zastępami Saracenów. Wypytywałem miejscowych o tego rycerza, ale wiedzieli mniej, niż ja usłyszałem w szkołach.

– A jak znajdują panowie Hiszpanię i ludzi tutejszych? – spytał Paul.

– Dopiero od czterech dni tu jesteśmy i małośmy jeszcze widzieli – odrzekł porucznik Korsak.

– Hiszpanie przypominają mi polskich Żydów. Takie same smagłe twarze i dogadać się trudno, bo polskiego ani francuskiego nie znają – uśmiechnął się porucznik Jurgaszko.

– Wczoraj poszliśmy na targ – powiedział porucznik Brandt. – Była tam taka wrzawa, takie kłótnie i krzyki, jakby zaraz miało przyjść do bójki. Ale kiedy odezwał się dzwon na Anioł Pański, wszyscy zaraz umilkli, zaczęli się żegnać i odmawiać modlitwę. Ledwie skończyli, znów wszczęli ten hałas piekielny.

– Wszyscy mężczyźni chodzą tu w brunatnych płaszczach, kobiety w czarnych mantylach. Brakuje mi naszych czerwonych i kolorowych kobiecych chustek – westchnął porucznik Jurgaszko.

– Gorzałki nie mają, piwo słabe i od upałów kwaśne – skrzywił się porucznik Danielewicz. – Wino za to bywa przednie, mocne jak stary węgryzn.

Kochański uniósł kubek.

– Zdrowie cesarza! Oby szybko skończył tę wojnę i żebyśmy wrócili do ojczyzny!

– Wojna hiszpańska bagatela! – zawołał Jurgaszko.

Chwycił przechodzącą obok młodą służącą, posadził ją sobie przemocą na kolanach i wycisnął na jej ustach gorącego całusa.

– Dajże spokój – mitygował go Kochański.

– Pierwsza Hiszpanka, która ma mniej niż sto lat – zaśmiał się Jurgaszko.

– Racja! – przytaknął porucznik Brandt. – Zamiast pięknych *señoritas* widzimy tylko stare kobiety. Mieszkańcy trzymają się z daleka i mają dla nas jedynie spojrzenia pełne złości. „Nie rozumiem”, „nie wiem” to wszystko, co słyszymy w odpowiedzi na nasze pytania.

– Od chwili przejścia przez rzekę Bidasoę posuwaliśmy się z największą ostrożnością, z przednią strażą i z tylną, z patrolami. Jak w nieprzyjacielskim kraju – dorzucił porucznik Korsak.

– Bo to jest dla nas nieprzyjacielski kraj – powiedział Gaston. – A wojna hiszpańska nie jest bagatelą i po naszej klęsce pod Bailén przyjmuje niestety taki obrót, jakby miała trwać długo. Cesarz chce ją skończyć w kilka miesięcy, lecz taką wojnę skończyć niełatwo.

Paul chrząknął.

– Dzień teraz krótki – rzekł. – Pora się zbierać. Po zmroku w mieście jest niebezpiecznie.

Gaston chciał zapłacić za obiad, lecz Polacy nie pozwolili.

Wyszli z oberży całą gromadą. Na ulicy nie było żywego ducha. Zapadał zmierzch, przez ażurowe okiennice domów sączyło się słabe światło lamp olejnych.

– Powiedział pan, że tę wojnę trudno będzie skończyć – zagadnął Gastona porucznik Brandt. – Ma pan na myśli gerylasów?

– Cały ten kraj, pełen gór i bezdroży. Ale tak, przede wszystkim partyzantów.

– Miał pan z nimi do czynienia?

– Jak my wszyscy tutaj. Są nie tylko w górach. Nigdy nie wiadomo, czy oberżysta, handlarz owoców na targu, mulnik, ksiądz to nie *guerrillero*. Cały czas musimy pamiętać, że jesteśmy intruzami, a oni są u siebie i wcale nas tu nie chcą.

– To mówi Francuz? Teraz gdy cesarz zgromadził tyle wojska, że bez trudu zdobędzie Madryt?

– Hiszpania to nie Niemcy ani Austria, gdzie wejście do stolicy oznaczało podbicie całego kraju. Ta wojna przypomina pożar na torfowisku: już się wydaje, że ugaszony, gdy wybucha na nowo w najmniej spodziewanym miejscu – powiedział Gaston.

– Kiedy przepędzimy Anglików, opuści ich fantazja – rzekł milczący do tej pory kapitan Augustyński. – Zresztą co to za wojsko Hiszpanie? Broń trzymają w brudzie i rdzy, idą nie kolumną marszową, ale jak stado owiec rozciągnięte wzdłuż drogi, a słuchają swoich oficerów tylko wtedy,

gdy im się tak podoba. Anglicy nie wiedzą, jakich mają sojuszników ani na co się porwali. To naród żeglarzy, groźny na morzu, lecz nienawykły walczyć na lądzie.

– Wojna nie potrwa dłużej niż trzy miesiące – buńczucznie oświadczył Kochański. – Gdzie geniusz cesarza rządzi i kieruje, tam nic złego stać się nie może.

„Na wielu cudzoziemskich królach srodze się zawiedli, mimo to wierzą w Napoleona. Myślą, że służąc mu, służą swemu krajowi” – przemknęło Gastonowi przez głowę.

Byli już prawie na skraju miasta, gdy w bocznej uliczce dostrzegł jakieś cienie. Nie on jeden, bo Jurgaszko rzekł ze śmiechem:

– Czujący trubadur skrada się pod oknem swojej kochanki.

Zrobił taki ruch, jakby uderzał w struny gitary, i zanucił:

Dobra noc, Jacenta:

i wam, usta czyste,

i słodkie oczęta,

i piersi parzyste!

Ja nie spać statecznie

całą noc gotowym.

Bo któż śpi bezpiecznie

przy skarbie takowym?

Dochodzili do rogu, gdy jak spod ziemi wyrosło przed nimi czterech mężczyzn. Każdy miał wokół lewej ręki okręcony płaszcz, a w prawej trzymał długi nóż.

Gaston obejrzał się za siebie. Z tyłu nadciągało jeszcze pięciu.

– Wezwijmy strażę – szepnął. – W mieście są nasze patrole.

– Damy im radę sami. Panowie! Do broni! – zakomenderował kapitan Kochański, wydobywając szablę.

Napastnicy jednocześnie ugięli lewe kolano, tak że prawie klękli, prawą nogę wysadzili w tył i skokami dopadli Polaków. Szczęknęły szable uderzające o noże.

Gaston wyszarpnął pistolet z kieszeni surduta, ale nie zdążył jeszcze wyjąć z lufy kawałka drewna, które zabezpieczało kulę przed wysuwaniem się, gdy usłyszał ciężkie kroki patrolu, a nożownicy znikli w bocznej uliczce jak duchy.

Kochański świsnął przez zęby, gestem rozdzielił swych towarzyszy i Polacy ruszyli w pogoń.

Nagle rozległo się wołanie:

– *Halte-là! Qui vive?*

Po latach wojskowego życia Gaston po tym zawołaniu pikiet umiał poznać, z kim ma do czynienia. „Stój! Kto idzie?” takie jak to, głośne, przeciągłe, zwiastowało dobrego żołnierza i znaczyło: „Stój, bo ci w łeb strzelę!”. Wrzaskliwe, prędko z siebie wyrzucone zdradzało rekruta, który mówił: „Uciekaj stąd! Bo jak nie, to ja ucieknę!”.

– Francuzi! – odkrzyknął Gaston.

– Który regiment?

– Medycy! *Chirurgien-major* Gobel i pułkownik Laval.

– Zbliź się pan do rozpoznania!

Patrolem dowodził podporucznik Barnier, którego Gaston znał i lubił.

– Co tu się stało, panie pułkowniku?

Gaston pokrótce zrelacjonował zajście.

– Trzeba pomóc Polakom – powiedział. – Napastników było dziewięciu, a ich tylko pięciu, w dodatku trzech dopiero co przybyli z Francji do Vitorii.

– Zaraz powiadomię inne patrole...

Podporucznik Barnier nie zdążył skończyć zdania, gdy zza rogu wyszedł Kochański z towarzyszami, prowadząc trzech nożowników skrzepowanych ich własnymi płaszczami.

– Reszta uciekła – rzekł kapitan. – A tych oddajemy w wasze ręce.

– Puścili się panowie w pogoń za dziewięcioma uzbrojonymi Hiszpanami! Niestychane! – Barnier nie mógł wyjść z podziwu.

– Polak nikogo się nie boi – powiedział Gaston z uśmiechem.

– Zrozumiał pan, o czym śpiewałem w oberży? Zna pan polski? – spytał porucznik Jurgaszko.

– Kiedyś znałem. Gdy miałem dziesięć lat, uciekłem z domu i zaciągnąłem się na statek. Był tam chłopiec, Polak, niewiele ode mnie starszy, a już objechał pół świata. Podziwiałem go, chciałem być taki jak on...

– Piękna historia!

– I długa. Opowiem panu, gdy znów się spotkamy. Vitoria to małe miasto.

– Odprowadzimy panów do szpitala – zaproponował kapitan Kochański.

– Bardzo to uprzejme z pana strony. Dziękujemy! – odrzekł Gaston.

Żołnierze z patrolu wzięli między siebie skrzepowanych Hiszpanów i ruszyli w stronę koszar, gdzie urządzono wojskowe więzienie.

– Widzę, że trzeba nosić przy sobie broń! – westchnął Paul.

– Jesteśmy na wojnie – poważnie odrzekł kapitan Kochański.

Wszyscy zamilkli.

– Do rychłego zobaczenia! – powiedzieli jednocześnie Gaston i Paul, gdy stanęli przed bramą klasztoru.

Polacy popatrzyli po sobie.

– Mamy na myśli oberżę, nie szpital – wyjaśnił Gaston.

– Dobranoc! Do zobaczenia! – ze śmiechem zawołali Polacy.

Gaston i Paul weszli w sklepioną bramę. Z daleka usłyszeli jeszcze śpiew porucznika Jurgaszki: „Dobra noc, Jacenta: i wam, usta czyste...”.

– Mili ludzie i dobrzy żołnierze – powiedział Gaston.

– Kiedy kapitan Kochański wydał komendę i bez żadnych narad rozdzielili się, ruszając w pogoń,

przypominali mi paryskich uliczników.

– Masz rację, to jeszcze chłopcy. Szkoda, że to wojna, a nie zabawa.

– Myślisz, że nieprędko się skończy? Cesarz ogłosił, że za trzy miesiące. Wiesz, jak waży publicznie wypowiedane słowa. Łamie tylko te obietnice, o których mało kto wie.

– Za trzy miesiące? Raczej za trzy lata! – westchnął Gaston. – I myślę, że ją przegramy, bo nigdy nie oddadzą nam tej ziemi.

– To nie jest naród wojowników. Spójrz na ich żołnierzy: półnaczy, bośi, z zardzewiałymi karabinami.

– Masz rację, tylko że dla nich najważniejszy jest honor, a żeby go nie stracić, muszą nas wypędzić za Pireneje – powiedział Gaston. – Wtargnęliśmy siłą do ich domu, teraz mają do wyboru zabić nas lub przepędzić gdzie pieprz rośnie.

Rozdział 3

Pościg za Anglikami



– *There, there, you'll be fine* – szeptał Gaston uspokajająco do leżącej na śniegu niewiasty.

Jej brwi i wysuwające się spod czepka jasne włosy posrebrzył mróz. Ze ściągniętą z głodu twarzą i zapadniętymi oczami wyglądała niemal jak staruszka, choć pewnie nie miała więcej niż dwadzieścia parę lat.

Wiele Angielek, których trupy minął po drodze, owinęło sobie bose stopy gałganami. Nogi tej były przysypane śniegiem, lecz wystarczyło mu spojrzenie na zapadnięty sinobiały policzek, popękane wargi i niemal fioletową dłoń, by zrozumieć, że kobieta umiera z wyczerpania, mrozu i głodu. Zwinięta w kłębek, nie miała siły się poruszyć, tylko oczami wskazywała zawiniątko, które przyciskała do piersi.

– *Your child?* – spytał.

Opuściła powieki, zaraz jednak je uniosła i wbiła w Gastona błagalny wzrok. W jakiej strasznej musiała być desperacji, by prosić o litość wroga, przed którym uciekła w te góry!

Zdjął futrzane rękawice i sięgnął po dziecko. Ramię kobiety było twarde jak kawałek drewna. Gdyby próbował je odgiąć, pewnie by pękło. W tym stanie nie poczułaby bólu, jednak nie zniósłby suchego trzasku łamanych kości.

Z trudem rozpiął guziki czerwonego żołnierskiego płaszcza, w który była odziana, i wysunął zawiniątko z jej ramion. Miał nadzieję, że dziecko już nie żyje. Kiedy jednak podniósł do góry wołokowy koc, usłyszał cichutkie kaszlnięcie. Nie chciał patrzeć na niemowlę, wiedział bowiem,

jak przerażające bywają rany od odmrożeń, przytulił je więc do siebie i znów zwrócił się do kobiety:

– Idę do Bembibre. Jestem lekarzem. Znajdę tam kogoś, kto zaopiekuje się twoim dzieckiem.

Obiecuję, że nie stanie mu się krzywda.

Oczy kobiety się rozjaśniły, wargi zadrżały.

– Niech pana... Bóg...

Gaston usłyszał za plecami skrzyp śniegu i głos Paula:

– Anglicy gonią resztkami sił. Wszystko już porzucają. Na jednym z wozów dragoni znaleźli beczułkę pełną srebrnych monet, a Bricard... – Paul urwał. – Nie żyje? – spytał.

Schylił się i dotknął szyi kobiety w zagłębieniu pod zuchwą. Potem przesunął dłonią po jej twarzy, zamykając powieki. Dopiero gdy się wyprostował, zobaczył koc, który trzymał Gaston.

– Co tam masz? Chyba nie...

Gaston delikatnie rozchylił wołok, obracając dziecko twarzą ku światłu. Zawiązana pod bródką flanelowa czapeczka sięgała jasnych brwi. Miało zamknięte oczy, blade policzki, usta poruszające się przez sen, jakby ssało.

– Myślałem, że to noworodek, ale chyba ma więcej niż pół roku. – Zawinął dziecko z powrotem.

Długą chwilę stali, patrząc na martwą kobietę.

– Zostaw je przy niej – powiedział w końcu Paul. – Umrze tak czy inaczej. Tu przynajmniej tego nie poczuje. Po prostu już się nie obudzi.

Gaston milczał. Patrzył na strome wzniesienie, na którym poprzedzające ich oddziały wydeptały ścieżkę w głębokim śniegu. Mieli za sobą trzy godziny marszu, przed sobą chyba drugie tyle.

Nie trzeba było umiejętności indiańskiego tropiciela śladów, by wskazać drogę ucieczki Anglików. Znaczyły ją porzucone działa, wozy, narzędzia, żelazo do podkuwania koni, trupy ludzi, koni, mułów i osłów oraz czerwone kurtki tych, którzy wyczerpani marszem, zimnem i dyzenterią pozostali w tyle i dogorywali, leżąc na śniegu.

– Chodźmy. Może uda nam się dojść do jakiejś wsi, zanim znowu rozpęta się zamieć – powiedział Paul i nie oglądając się, ruszył przed siebie.

Piechota skończyła obszukiwać trupy, przetrząsać porzucone przez Anglików wozy. Długi wąż postaci w niebieskich mundurach pełznął w górę zbocza. Kawalerzyści też szli pieszo, prowadząc konie za wodze.

Późnym popołudniem, gdy wiatr się wzmógł, a z ciemnych chmur zaczął padać śnieg, Gaston stanął na szczycie jakiegoś wzgórza i zobaczył w dolinie kilka kamiennych domków. Kręcili się wokół nich pojedynczy żołnierze, kolumna jednak szła dalej. Wioska widać była marna albo opuszczona.

Przy pierwszym budyneczku, bardziej przypominającym kopiec kamieni niż ludzką siedzibę – z płaskim, porośniętym trawą dachem, bez komina, bez okien – na wiązce chrustu siedział Paul. Spojrzał na wyrzucenie pod płaszczem Gastona.

– Więc jednak... – mruknął. Potem wskazał głową na ułożone z płaskich kamieni ściany. – Nędzne schronienie, ale jest tu starucha, ogień, a przede wszystkim koza, której nie zdążyła ukryć.

W środku na klepisku płonęło małe ognisko. Siedziała przy nim w kucki stara kobieta, mieszając

łyżką w osmolonym kociołku. Gdy oczy Gastona przyzwyczyły się do panującego wewnątrz półmroku, zobaczył kozę za rzadkim przepierzeniem uplecionym z chrustu, drewniany podest wyścielony sianem, sita, miski, pęki suszonych ziół, jakieś szmaty, a może odzienie, powieszzone na kołkach wbitych w ścianę.

Gaston skinął głową kobiecie, podszedł do podestu, który wyraźnie służył za łóżko, uniósł garść siana, by sprawdzić, czy nie roi się pod nim robactwo, i dopiero potem wyjął spod płaszcza zawinięte w koc dziecko.

Nie poruszyło się, nie zakwiliło.

Ostrożnie odwinął koc i nagle zobaczył wpatrzone w siebie niebieskie oczy.

– *Antigua alma* – usłyszał za plecami.

– Stara dusza? Co to znaczy?

Kobieta podeszła bliżej.

– Już żyła. Wiele razy.

Nachyliła się nad dzieckiem, ono zaś wyciągnęło rączkę z fałdów koca i chwyciło ją za włosy. Starucha sękatymi dłońmi nadspodziewanie delikatnie rozwarła drobną piąstkę, uwalniając kosmyk.

– Gabriela – powiedziała cicho.

Dziecko się uśmiechnęło.

– Dziewczynka? Skąd wiesz? – spytał Gaston.

Drzwi chaty otwarły się ze skrzypieniem, do izby wpadł zimny podmuch.

– Zostajemy na noc? – zapytał Paul, wchodząc do środka. – Śmierdzi tu capem. – Położył na podłodze płócienny worek. – Chleb, wino, kasza, szynka, smalec. Może stara coś nam ugotuje. Ma świerzb?

Świerzbowe wykwity to pierwsza rzecz, której wypatrywali na dłoniach Hiszpanów. Zadziwiające, jak wielu było zarażonych.

– Jest brudna, ale zdrowa. Gdzie Bricard i Vernet?

– Poszli dalej, do Bembibre. Tu nie ma piwnic z winem ani nic do ukradzenia. Zostali tylko najbardziej wyczerpani żołnierze. Nie ma rannych, rozdałem jedynie maść na odmrożenia i bandaże. Nogi niektórych wyglądają paskudnie. – Westchnął. – Zapytaj staruchy, czy nam coś ugotuje.

– Masz mleko, kobieto? – spytał Gaston po katalońsku. – Dla dziecka. Zapłacę. – Wyjął z sakiewki złotego napoleona.

Kobieta wzięła monetę, obejrzała ją, potarła w palcach.

– Jeśli ugotujesz nam zupę albo co tam umiesz, to damy ci szynkę, wino, chleb. – Gaston wskazał leżący na klepisku worek. Potem spojrzął na dziecko. – Pieluchy – powiedział sam do siebie. – Masz, kobieto, jakieś płótna, chusty?

Znów sięgnął do sakiewki.

– Oszalałeś? – zaprotestował Paul. – Dwa napoleony za ugotowanie kolacji? W Paryżu jest taniej! Ona przecież wie, że możemy sobie wziąć, co chcemy, za darmo.

– Pewnie aż nazbyt dobrze. Ale wolę zapłacić, niż się bać, że nas otruje albo zarżnie w nocy jak

barany.

Kobieta wzięła skopek, poszła za chruściane przepierzenie i za chwilę Gaston usłyszał dźwięk strużek mleka wpadających do drewnianego naczynia.

Paul przysunął worek z prowiantem bliżej ognia.

– Może zostawisz jej to dziecko? – spytał, podchodząc do posłania. – Bo co z nim zrobisz w tych górach?

Gaston nie odpowiedział. Przez chwilę rozcierał dłonie, potem rozwinął koc. Dziecko wyciągnęło do niego rączki – szczupłe, ale nie wychudzone.

– Musiała je karmić do ostatniej chwili – powiedział cicho.

Wprawnymi ruchami oswobodził dziecko ze szmat, w które było okutane.

– To dziewczynka – zauważył Paul.

– Masz zapasową koszulę?

Paul kiwnął głową.

– Daj! – rozkazał Gaston.

– Oszalałeś?!

– Oddam ci swoją na następnym popasie.

– Nie musisz – mruknął Paul.

Gaston obejrzał brzusek i pępek, odwiódł nóżki, potem sprawdził, czy są równej długości.

– Biodra ma zdrowe – powiedział.

Paul podał mu kawał płótna oderwany z koszuli.

Gdy dziecko było już zawinięte w suchą pieluchę, Gaston odwrócił je na brzusek. Wysoko uniosło głowę, podciągnęło kolana i ruszyło przed siebie jak krab.

– Co ono ma na szyi? – spytał Paul. Odchylił palcem chustkę. – To chyba złoto – szepnął.

Gaston odwrócił dziecko na plecy. Gdy rozwinął wełnianą chustkę i rozwiązał wstążki kaftanika, zobaczyli, że dziewczynka ma na szyi sznurek połyskujących różowych pereł wielkości orzechów laskowych, z misternym złotym zapięciem.

Gaston bez słowa z powrotem ubrał dziecko.

Starucha skończyła doić kozę, potem odlała trochę mleka do miski.

– Macie, panie, łyżkę? – spytała.

Gaston odpiął od pasa ładownicę z podręcznym zestawem narzędzi. Gdy rozwinął płat ciemnoczerwonej skóry, kobieta westchnęła z zachwytem. Podał jej srebrną łyżeczkę.

Paul zdjął z kołków na ścianie trzy gliniane garnuszki, dmuchnął w każdy, by wypłoszyć pająki, które mogły się tam zagnieździć, i nalał wina. Usiadł na legowisku obok Gastona. Popijając wino, patrzyli, jak kobieta karmi dziewczynkę kozim mlekiem.

Gaston dopiero teraz poczuł, jaki jest zmęczony. Część drogi przejechał konno, ale pięciogodzinny marsz przez zaśnieżone góry mocno dał mu się we znaki.

– Dobrze, że cesarz nie może nas zobaczyć – powiedział Paul. – Wiesz, jak niechętnie pozwala na odpoczynki. Noc jeszcze nie zapadła, a my już znaleźliśmy nocleg.

– Słyszałeś, że w Sierra de Guadarrama szedł pieszo wśród gwardii całą noc w zadymce? Jak kiedyś przez przełęcz Świętego Bernarda.

– Znów dzielił z żołnierzami trudy, potem ogień i kolację. Pewnie poczuł się młody.

– Ja za to czuję się stary. Nawet nie myślę o kolacji, tylko o śnie.

– Zjedz choć kawałek chleba. – Paul wstał.

– Gallego – odezwała się nagle starucha.

Ułożyła dziecko na pośłaniu i podeszła do ogniska.

– Co ona mówi? – spytał Paul.

– Nie wiem.

Kobieta tymczasem otworzyła worek z prowiantem, ukroiła kilka plasterów szynki, później w ten sam sposób, przyciskając bochenek do piersi, pokroiła chleb. Popijając wino ze swego garnuszka, mieszała w kociołku.

Gaston spojrział na dziewczynkę. Spała z lekko rozchylonymi ustami. Serce mu się ścisnęło. Lucas tak samo posapywał przez sen.

Zupa z kapusty i fasoli z szynką i chlebem smakowała wybornie. Gaston czuł ciepło rozchodzące się po całym ciele. Miał jeszcze tylko tyle siły, żeby zdjąć buty. Zasnął, zanim głowa opadła mu na pośłanie.

Gdy się obudził, pierwsze spojrzenie skierował na dziecko. Leżało z otwartymi oczami. W rączce miało skórkę od chleba.

Usiadł na pośłaniu i rozejrzał się. Ognisko przygasło, izba była pusta. Starucha, jej koza, worek z prowiantem – wszystko znikło. Zaklął w myśli.

Wyciągnął rękę i dotknął szyi dziewczynki. Perły były na swoim miejscu, tak samo jak jego sakiewka. Na brzegu pośłania leżał stosik płócien.

Gaston podszedł do ogniska. W kociołku była zupa, w skopku mleko. Tknięty nagłym przeczuciem rozwinął narzędzia. Brakowało ostrego jak brzytwa składanego noża z hebanową rękojeścią, igieł i jedwabnych nici.

– Okradła nas? – spytał Paul, podnosząc się z pośłania.

– Raczej wzięła sobie zapłatę za to, co nam zostawiła. Chodź, zupa jest gorąca.

Zjedli, a resztę Paul zaniósł żołnierzom.

Gaston zdjął ze ściany skórzany bukłak na długim rzemieniu i napełnił go mlekiem.

– No i co, Gabrielo? Idziemy dalej – powiedział, biorąc dziecko na ręce.

Wyszedł z chaty i oślepiiony, zamknął oczy. W nocy padał śnieg, wiatr rozgonił chmury i teraz otaczała go błyszcząca biel.

„Do odmrożeń dojdzie zapalenie oczu” – pomyślał.

Konie ślizgały się na oblodzonych ścieżkach, ludzie się przewracali, ze strachem patrząc w głębokie przepaście, w których leżały działa, muły z przetrąconymi karkami i trupy Anglików.

Minęli spaloną wieś i z daleka zobaczyli Bembibre.

Poprzedniego dnia żołnierze spadli na miasto jak wygłodniałe sępy. Był tam lokalny skład wina.

Teraz na każdej ulicy walały się rozbite beczki, wino płynęło nawet rynsztokami. Dragonom to nie przeszkadzało – czerpali wprost z nich hełmami. Wszystkie drzwi i okna były wyłamane, każdy zamek i zasuwę wyważone. Angielscy maruderzy, francuscy żołnierze, kobiety obu nacji, hiszpańscy mulnicy leżeli zgodnie na ulicach, kompletnie pijani. Z daleka wyglądało to jak pobojowisko pełne trupów.

„Dyscyplina nie rozprzęga się powoli, pęka nagle jak bańka mydlana” – pomyślał Gaston.

W ciągu kilku dni karne angielskie wojsko zmieniło się w bandę plądrujących całą okolicę maruderów. Chłopi już się nauczyli, że gdy z daleka zobaczy się mundury, obojętne czy niebieskie, czy czerwone, trzeba brać dobytek na plecy i uciekać, a bydło wypędzać wysoko w góry lub chować w lesie. Mieszkańcy leońskich miast właśnie odbierali podobną lekcję.

Bricard już poprzedniej nocy zajął dobrą kwaterę. Gaston zostawił w niej dziewczynkę i poszedł do miasta szukać mamki. W końcu jakiś kirasjer wskazał mu markietankę, która kilka miesięcy wcześniej urodziła dziecko. Pani Pernet za miejsce na wozie dla siebie, swego dziecka i swoich towarów oraz kilka sztuk złota zgodziła się karmić Gabriełę.

Do końca krótkiego grudniowego dnia, ostatniego w roku, wszyscy lekarze opatrywali odmrożone ręce, zwichnięte nogi, poranione stopy, oczy oślepione odbitym od śniegu słońcem. Angielscy jeńcy, brudni, zarośnięci, często bosi, w podartych czerwonych kurtkach, okutani szmatami, byli w jeszcze gorszym stanie niż Francuzi.

W pierwszy dzień nowego 1809 roku pogoda była okropna. Za Ponferradą śnieg zmienił się w taką ulewę, że woda tryskała z luf karabinów. Rozmiękłymi drogami płynęły rzeki błota sięgające kolan. Ludzie i konie poruszali się z największym trudem, lodowaty deszcz przenikał ubrania. Po obu stronach drogi leżały zagwożdżone działa, połamane wozy, zastrzelone konie, które okulały lub zgubiły podkowy.

– Przeklęci Albiończycy! – powtarzali kawalerzyści. – Wołają zabijać swoich wojennych towarzyszy, niż zostawić ich nam.

Anglicy, żeby opóźnić pościg, niszczyli przeprawy, piechurzy byli więc zmuszeni rozbierać się kilka razy dziennie i trzymając na głowie broń i ekwipunek, wchodzić do lodowatych górskich strumieni. Niektórzy żołnierze płakali z bólu podczas marszu, wszyscy zaś byli tak ochlapani błotem, że nie dało się odróżnić koloru ich mundurów.

Za miastem Villafranca droga weszła w głęboki, wąski wąwóz. W niektórych miejscach wozy ledwie się przeciskały między skałami. Z początku padał deszcz, potem śnieg. Ludzie i zwierzęta powoli pięli się w górę. Gdy stanęli na szczycie, zobaczyli przed sobą góry sięgające po horyzont. Mróz był coraz większy, wiatr się wzmagał. Wszyscy marzyli o jednym: usiąść przy ogniu i wreszcie się ogrzać.

Wsie były spalone albo wyludnione. Mieszkańcy zabrali wszystko, co mogli unieść, i uciekli wyżej w góry przed żołnierzami, którzy niewiele różnili się od zwierząt.

Któregoś dnia tej morderczej przeprawy, gdy wiatr tak się wzmógł, że obalał ludzi i konie, jeden z żołnierzy nagle zawołał, że nie jest tchórzem, nie zdezerteruje, ale nie pójdzie dalej, i na oczach

towarzyszy palnął sobie w łeb.

Minęło pięć dni, odkąd opuścili Bembibre, i Gaston zaczął tracić nadzieję, że wyjdą z tego żywi. Góry jednak wypuściły ich ze swych objęć. Śnieg najpierw sięgał kolan, potem kostek, zobaczyli dębowy las, później zaś dolinę rzeki. A kiedy trafili na ośnieżone kikuty winnych krzewów, zaczęli krzyczeć z radości.

Na wyżynie, na którą zeszli, były mosty tak niebezpieczne, że niektórzy piechurzy woleli przeprować się brodem, czasem po pas w lodowatej wodzie, niż ryzykować przejście po oblodzonych, pozbawionych poręczy kłodach, były pola namokłe od deszczy, nic jednak nie mogło się równać z grozą gór.

Coraz częściej mijały ich wozy uciekających przed wojną Hiszpanów. Siedzące na nich kobiety i dzieci pokazywały im zaciśnięte pięści. Znow zaczął padać deszcz. Kiedy z daleka zobaczyli Lugo, Gaston poczuł się tak, jakby dotarł do ziemi obiecanej.

Pierwsza wiadomość, którą usłyszeli żołnierze, wprawiła ich w euforię: dopadli Anglików! Zwierzyna przyczaiła się na skalistych wzgórzach pod miastem. „Moore nie może uciec, nie oddawszy ani jednego strzału. Jak by się z tego wytłumaczył w Londynie? Bitwa jest pewna. Wreszcie skończy się ta pogoń” – powtarzali wszyscy.

Lecz marszałek Soult się wahał. Anglicy mieli więcej dział, zajęli lepszą pozycję. Z lewej strony chroniły ich niedostępne wzgórza, z prawej niemożliwa do przejścia w bród rzeka Miño. Gdyby udało się wziąć ich w kleszcze, gdyby korpus Ney'a odciął Moore'owi drogę odwrotu, zwycięstwo byłoby pewne. Marszałek Ney jednak nie nadciągał i obie armie stały naprzeciwko siebie.

Gaston dostał rozkaz zorganizowania lazaretu w pałacyku pod Lugo, niedaleko pozycji Anglików. Kwaterujący tu wcześniej żołnierze palili w pokojach ogniska z porąbanych mebli, zerwali ze ścian gobeliny, by zrobić z nich posłania, a wszystko, czego nie mogli ukraść, zniszczyli.

Przez cały dzień razem z Paulem, Bricardem i Vernetem kompletował narzędzia i leki, nadzorował sanitariuszy oraz przydzielonych im do pomocy Hiszpanów, którzy naprawiali stoły, znosili słomę, siano, płótno, szarpie, sienniki. Gaston w pobliskim klasztorze zarekwirował cały zapas świec i gromnic – liczył się z tym, że operacje mogą się przeciągnąć długo w noc. Gdy w końcu postawił w sieni pięć koszyków ze wstążkami: żółtymi na oznaczenie ran głowy i szyi, zielonymi – ran klatki piersiowej, niebieskimi – kręgosłupa, czerwonymi – miednicy i białymi – kończyn, poczuł, że lazaret jest gotowy na przyjęcie rannych.

Włożył płaszcz, wyszedł na kamienny taras i w zapadającym zmroku starał się dojrzeć pozycje Anglików.

Odwrócił się, słysząc kroki.

– Odesłałem wszystkich na kwatery – powiedział Paul, podchodząc do balustrady i opierając się o nią. – Jutro może być ciężki dzień.

– Myślisz, że Soult przyjmie bitwę? Ney'a ciągle nie ma.

– I pewnie nieprędko nadciągnie. Nienawidzi Soulta i jest wściekły, że Bonaparte jemu powierzył dowództwo.

Z pozycji Anglików dochodziły pojedyncze wystrzały.

– Co oni tam robią? Przecież nie ćwiczą po ciemku.

– Na miejscu Moore’a bym się wycofał – powiedział Paul. – Gołym okiem widać, że czekamy na posiłki. Wie, że gdy nadejdą, zetrzemy go na proch.

Gaston patrzył na coraz liczniejsze ogniska rozpalane przez Anglików.

– Zanoszą się na burzę – zauważył Paul. – Nie zazdroszczę im noclegu pod gołym niebem.

Gaston, zanim się położył, zajrzał do pokoju, w którym nocowała pani Pernet z dziećmi. Akurat, nucąc, karmiła Gabrielę. Szybko zamknął drzwi.

Choć posłanie było wygodne, długo przewracał się z boku na bok. Ciągłe miał przed oczami ocienioną umbrelę świecę, białą pierś, ssące dziecko, kobietę z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, śpiewającą kołysankę. A kiedy zasnął, śniła mu się Blanche karmiąca ich synka.

Obudziło go pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał i uniósł się na łokciu.

– Anglicy uciekli! – powiedział zdyszany Paul. – Wymknęli się pod osłoną nocy, zostawiając dla niepoznaki ognie biwakowe. Wcześniej zabili kilkaset niezdolnych do dalszej drogi koni. To były te strzały, które wczoraj słyszeliśmy.

– Jakie mamy rozkazy? – spytał Gaston.

– Idziemy za nimi na północ.

Tego samego dnia ruszyli do Betanzos. Droga była przykra, choć już nie prowadziła przez góry. Mosty i przeprawy były zniszczone, wsie splądrowane, pola usiane trupami koni i bagażami, które porzucili Anglicy. Lecz kiedy owiał ich łagodny wiatr, poczuli zapach kwitnących drzewek pomarańczowych i zobaczyli słońce na bezchmurnym niebie, poczuli się jak w raju.

Gaston zaprosił Paula Gobela, Jeana Bricarda i Adama Verneta na obiad. Jedli ostrygi, ośmiornice z ognia, mule w marynacie, pieczone sardynki, gulasz rybny, pili doskonałe miejscowe wino. Gaston przez chwilę czuł się tak, jakby wrócił do domu. Tu można było zapomnieć o brudnych oberżach i słabym, młodym winie podawanym w Vitorii.

– Słyszeliście, że Hiszpanie wnieśli petycję o powrót na tron króla Józefa? – odezwał się Bricard.

– A czymże motywują tę prośbę? – spytał Paul.

Bricard przymknął oczy jak uczeń, który przypomina sobie wyuczoną na pamięć lekcję, i wyrecytował:

– Tym, że król Józef łączy w sobie dobroć serca z zainteresowaniem dobrem swych poddanych i jego obecność będzie dla nich radością.

Hiszpanie czuli do wszystkich Francuzów nienawiść podszytą pogardą, a niechcianego króla nazywali Pepe Botella, Józio Flaszka. Napoleon jednak uświadomił im, że jest panem Hiszpanii nie tylko dlatego, że wyłudził koronę w Bajonnie, lecz także z racji dokonanego podboju, i dał do wyboru ugięcie kolan przed Józefem albo rząd wojskowy, który będzie ich traktował jak ludność podbitej prowincji. Józio Flaszka mógł od niego dostać inny tron, a wtedy koronę Hiszpanii włożyłby na głowę sam Napoleon albo któryś z jego marszałków.

– W każdym kraju znajdują się ludzie gotowi poprosić o danie im za króla sultana tureckiego, cara Rosji czy maharadży Kalkuty, jeśli tylko zachowają swoje urzędy i przywileje – trzeźwo zauważył Vernet.

– Więc te wszystkie zmiany, które wyprowadzą Hiszpanię ze średniowiecza, uważasz za nic? – obruszył się Bricard.

– Skądże! Klasztorów naprawdę jest tu za dużo, inkwizycja powinna być zniesiona, tak samo jak cło między prowincjami. Tylko że te wszystkie dekrety wydał cesarz Napoleon, a nie król Józef. Jak poddani mają go szanować? – odrzekł Vernet.

– Myślicie, że ludzie powinni się szczepić przeciwko ospie? – spytał Paul.

– Głupie pytanie! Co to ma do rzeczy? – rzucił Bricard ze złością.

– Minister Godoy, ten faworyt króla Karola i kochanek królowej, którego Hiszpanie nienawidzą, bezskutecznie starał się wprowadzić dwie zmiany na lepsze: obowiązkowe szczepienie przeciwko ospie i zakaz walki byków. Gdyby ogłosił, że Hiszpanie mogą nie płacić podatków, zaraz by się rzucili do ich płacenia.

W ciszy, która zapadła, Gaston uniósł kieliszek z winem.

– Panowie, cieszymy się, że dotarliśmy tutaj cali i zdrowi – powiedział. – To była ciężka przeprawa...

– Jeszcze nie dopadliśmy Moore’a – przerwał mu Bricard. – Ale będziemy go ścigać aż do oceanu...

– Chwalebna zawziętość – powiedział Gaston, nie czekając, aż Bricard skończy zdanie. – Ja już jej w sobie nie czuję, a droga przez góry uświadomiła mi, jaki jestem stary. Wypijmy za koniec mojej wojskowej kariery.

Stuknęli się kieliszkami.

– Chce pan prosić o uwolnienie ze służby? – zapytał Vernet po długiej chwili milczenia.

– Już to zrobiłem. Generał Delaborde przystał na moją prośbę. Ale nie uśmiecha mi się znowu iść zimą przez góry, dlatego zostanę z wami, panowie, do wiosny.

– A co potem? – cicho spytał Paul.

– Potem? Zamierzam żyć długo i szczęśliwie.

– To wielkie marzenia. – Paul się uśmiechnął.

– A są inne?

Rozdział 4

Kobieta o zielonych oczach



Przed stodołą, w której urządzono lazaret, stał długi wóz kryty szarym płótnem, z namalowanym wzdłuż wieka napisem: „Furgon III Korpusu”. Furgon w obozie zawsze staje się obiektem zazdrości, bo jest jak pałac. Ten podczas pochodów służył do przewozu rannych, podczas oblężenia zaś stawał się domem dla medyków. Mieścił dwa pokoje, w których mieszkali lekarze i farmaceuci, oraz przedsionek, gdzie na zmianę spali sanitariusze.

Lecz na tym nie koniec. Pod furgonem żołnierze urządzili sobie obszerną sypialnię, bezpieczną od styczniowej słoty, przy jego boku pod wspartą na kijach derką krzątali się ordynansi szykujący posiłek. Nawet pod dyszlem, na którym rozwieszono płaszcze i koce, powstały komnaty, gdzie siodła i sakwy służyły za stoły, sofy i wezglowia. Jakże zazdrościli tym szczęśliwcom żołnierze mieszkający w wykopanych w ziemi jamach przykrytych gałęziami, którzy podczas deszczu grzęźli w nich jak w bagnie! Szczególnie ci, którzy przybyli pod Saragossę z zielonej La Coruñi, gdzie zaledwie dziesięć dni wcześniej wygrzewali się na słońcu, patrząc na palmy i ocean, teraz zaś mieli wokół siebie tylko szare aragońskie góry.

Gaston wszedł do furgonu, minął przedsionek, pokoik, w którym chrapał Adam Vernet, i w końcu zamknął za sobą drzwi. Po pięciu godzinach opatrywania rannych wreszcie był sam. Usiadł na łóżku, by zdjąć buty. W tej samej chwili ktoś zapukał.

– Wejść!

W uchylonych drzwiach stał sanitariusz.

– Jakaś kobieta pyta o pana doktora.

„Chryste! Tylko rodzącej mi tu potrzeba” – pomyślał Gaston.

– Czego chce?

– Nie wiem, ale przywiozła rannego.

Gaston narzucił płaszcz. Jeszcze nie padało, lecz wiatr gnał od gór bure chmury o ciężkich brzuchach wypełnionych deszczem.

Na mule uwiązany do haka w białego w ścianę stodoły siedział ubrany po cywilnemu mężczyzna z głową owiniętą płótnem. Obok, przy cisawym koniu, stała niewiasta w brunatnej opończy z pospolitego sukna i w kapturze na głowie.

– *Qué pasa, mujer?* – niechętnie spytał Gaston.

Nie był ciekaw odpowiedzi. Miał dość swoich rannych. Ledwie mieścili się w stodole.

Kobieta ruszyła w jego stronę lekkim dziewczęcym krokiem. Kiedy jednak przed nim stanęła i uniosła głowę, zobaczył, że nie jest już młoda. Bruzdy nosowo-wargowe, których nie ma na

dziewczęcej twarzy, na tej już się zarysowały. Nie widział oczu, ale mógł osądzić, że kobieta przekroczyła próg wieku średniego.

– Znalazłam tego żołnierza tydzień temu przy drodze, nieprzytomnego – powiedziała po francusku.
– Miał ranę na głowie od uderzenia karabinem, złamaną lewą rękę i różę w lewej nodze przy palcach. Rana już się prawie zagoiła, różę wyleczyłam. Łupki z ręki będzie można zdjąć za trzy tygodnie, a szwy z głowy wyjąć choćby jutro.

Mówiła po francusku jak dobrze urodzona paryżanka, do tego tak pewnie, jakby skończyła szkołę medyczną. Gaston nie lubił zadzierających nosa paryżan, a jeszcze bardziej niewiast, które nie znały swego miejsca i wyobrażały sobie, że we wszystkim mogą dorównać mężczyznom.

– Wyleczyłaś różę w tydzień, kobieto? – spytał drwiąco. – A jakaż to róża? Pęcherzowa, zgorzelinowa? Ja bym potrzebował kilku miesięcy.

Zsunęła kaptur na plecy i podniosła głowę. Miała włosy koloru lawendowego miodu, białe gładkie czoło, śmiało zarysowane brwi, a oczy niebieskozielone jak ocean.

– Tak w moich stronach nazywa się opuchliznę na otartej stopie, zaczerwienioną i wywołującą gorączkę. Być może po francusku mówi się inaczej – odrzekła spokojnie.

Choć była od niego o głowę niższa, wydawało mu się, że patrzy na niego z góry.

„W jej stronach? Skąd ona jest?” – zastanawiał się. Nie widział dotąd jasnowłosej Hiszpanki, do tego tak dobrze mówiącej po francusku. Lecz o nic nie zapytał.

Podszedł do siedzącego na mule mężczyzny.

– Maruder? – spytał.

Mężczyzna zsunął się z siodła i stanął na baczność.

– Podporucznik drugiego batalionu drugiego pułku piechoty Piotr Mierzejewski, panie pułkowniku.

– Polak?

Ranny pokiwał głową.

– Gdzie twój mundur i twoja broń, żołnierzu?

– Okradziono mnie do koszuli, panie pułkowniku. Nie nawykłem do tak przykrych marszów...

Gaston przerwał mu, unosząc dłoń.

– Będzie się pan tłumaczył swojemu dowódcy. Chodźmy, obejrzę pana rękę i głowę.

W stodole było ciemnawo, posadził więc rannego na ławce u jej wrót. Pod nieskazitelnie białą chustą znalazł płaski opatrunek z luźno tkanego płócienka, w które zawinięto garść wysuszonego mchu torfowca.

– Rana już nie krwawi, ale podczas drogi mogła się otworzyć – powiedziała kobieta.

Zraniony fragment głowy był starannie ogolony, skóra zszyta.

– Szew węzełkowy... Dobre odstępy, prawidłowe dociągnięcie... Gdzie się pani tego nauczyła?

– Od mojej babci. Leczyła ludzi.

Gaston obejrzał ujęte w łubki przedramię.

– *Lege artis* – mruknął pod nosem i zobaczył, że kobieta leciutko się uśmiecha. Czyżby znała łacinę?

Skinieniem dłoni przywołał sanitariusza.

– Znajdź miejsce dla jeszcze jednego – rzekł. A zwracając się do rannego, dodał: – Zostanie pan u mnie, dopóki ręka się nie zrośnie. Potem dołączy pan do swego batalionu. Kto jest pana dowódcą?

– Kapitan Jan Kochański.

– Znam go. Powiem mu, że pan się znalazł.

Kiedy podporucznik Mierzejewski zniknął w stodole, Gaston zwrócił się do kobiety:

– Ma mnie pani pewnie za grubianina, bo tak obcesowo wyraziłem się o pani umiejętnościach.

Nawet się nie przedstawiłem. Pułkownik Gaston Laval, lekarz wojskowy pierwszej klasy.

– Wiem, kim pan jest. Uratował pan życie kilku położnicom.

Kobieta się uśmiechnęła i jej oczy zrobiły się bardziej zielone, jak ocean, gdy z granatowej głębin wypływa się na płyciznę.

Odwiązała muła, potem swego konia i spojrzała na niebo.

– Za godzinę będzie padać. Zdążę do domu przed deszczem.

– Nie powinna pani jechać sama... – zaczął, bo okolica była spustoszona przez francuskie i hiszpańskie wojska, nie brakowało też maruderów obu nacji.

– Dziękuję za troskę – przerwała mu łagodnie i nim zdążył jej pomóc, włożyła stopę w strzemień i usadowiła się w siodle.

Poczuł dziwny żal na myśl, że ona odjedzie i pewnie już nigdy jej nie zobaczy.

– Niewiele mogę zaproponować, nocleg w furgonie, bezpieczniejszy jednak niż podróż u schyłku dnia.

– Dziękuję. – Znow się uśmiechnęła. – Dojadę tak, jak leczył Asklepiades z Bitynii: *tuto, celeriter et iucunde*. Do widzenia.

„Pewnie, szybko i przyjemnie” – powtórzył w myśli, patrząc za nią.

Gdy ujechała jakieś sto kroków, z dachu stodoły sfrunął kruk, zniżył lot i z gracją usiadł na jej ramieniu.

„To czarownica” – pomyślał Gaston.

Odszukał pielęgniarza, który umieścił w stodole rannego Polaka, i kazał się do niego zaprowadzić.

Podporucznik Mierzejewski siedział na wiązce świeżej słomy.

– Jutro rano wyciągnę szwy – powiedział Gaston. – Teraz niech pan odpoczywa.

Polak dotknął głowy.

– Skóra ciągnie i swędzi – rzekł.

– Goi się, to dlatego. Jak to się stało?

– Pan pułkownik pyta, jak do tego doszło, że się tu znalazł, że mnie napadnięto i zraniono?

Gaston pokiwał głową.

– Rodem jestem spod Krosna. Sławne fabryki sukna są w tym starodawnym mieście, pan pewnie o nich nie słyszał... – Podporucznik zamyślił się na chwilę. – Ludzie tutejsi nic o Polsce nie wiedzą. Tak samo jest w Niemczech i we Francji. Gdyśmy do Sedanu szli, kwaterując zwykle po wsiach, słyszeliśmy: „Chińczycy”, „dzikusy”, a jeden francuski gospodarz dziwił się, że ogonów nie mamy,

bo na Bałkanach ludzie mają ogony. Gdzie Polska, gdzie Bałkany!

Opowieść snuta nieco dziwną francuszczyzną zapowiadała się na długą. Gaston słuchał jednym uchem, zastanawiając się, jak skierować rozmowę na nieznaną kobietę. Sam nie wiedział, dlaczego nie zapytał o nią wprost.

– Choć ciężary wojny straszliwie przygniatały Polaków, a dawny dobrobyt znikł z przybyciem Francuzów, wszyscy się pchali do hufców zbierających się pod cesarskim orłem, do którego każdy ma tyle miłości, ile wstrętu do austriackiej, pruskiej czy moskiewskiej opieki. Trudno mi wysłowić, com czuł, gdy w Sandomierzu zamiast dwugłowego orła ujrzałem nad odwachem naprędce wymalowanego orła białego. Do gęsi wprowadzie trochę był podobny, ale nikt na to nie zważał, bo każdy sercem, nie oczyma patrzył.

Francuzi i ci z Polaków, którzy francuskim władali, przerywali rozmowy, by posłuchać opowieści.

– Wyruszyliśmy z z Sedanu na początku października. Szliśmy przez Charleville, Reims, Soissons do Paryża. Tam na placu Vendôme odbyliśmy przegląd przed najjaśniejszym cesarzem, potem dla całego pułku wydano obiad prawdziwie cesarski, a żandarmeria nam usługiwała. Podano dwanaście potraw, kawę z arakiem, najwyborniejszego gatunku wino, łakocie.

Gaston przypomniał sobie, że nie jadł obiadu. Jeśli opowieść dalej będzie tak rozwlekła, to i kolacja go ominie.

Rozejrzał się po stodole. Nie tylko Polacy słuchali z zaciekawieniem. Ustały jęki, ranni układali się wygodniej na słomie.

– Cesarz jeździ jak cesarz, to jest, jak mu się podoba, konno lub karetą, ale zawsze prędko. Gorsza sprawa z marszałkiem Lefèbvre'em. Jeżeli gdzieś na wąskim mostku zatamuje się przejście, a on nadjedzie, kropi bez litości długą trzcina z ogromnego hiszpańskiego ogiera, nie szczędząc przy tym wyzwisk.

Żołnierze głośno się roześmiali.

– Lefèbvre odmalowany jak żywy! – zawołał któryś.

– Nam też wesoło było – ciągnął podporucznik Mierzejewski. – Przy radosnych okrzykach przeszliśmy rzeczkę Bidasoę. Po hiszpańskiej stronie przywitał nas napis „El Regne d’Espanya” na komorze celnej i smutnie opuszczona ku ziemi żółto-czerwona chorągiew z lwem. Zanosilo się na słotę. Z gór czarnych kurzyło się wkoło. W moich stronach zwykło się wtedy mawiać, że niedźwiedzie piwo warzą. Pierwszy nocleg wypadł nam w mieście Irún. Okolica jest tam dzika i pusta, Biskajczycy mówią językiem, którego nikt nie rozumie, domy okopcone i bez gustu, okna bez szyb, tylko w okiennicach powyrzynane otwory, przez które światło dochodzi. Dzicz, złe drogi, manowce i góry. Marsz utrudniał jeszcze ulewny deszcz. Nasi żołnierze bardzo wiele wycierpieli. Ale to było nic przy widoku, jaki zastaliśmy za miastem Tolosa. Niedaleko od gościńca leżał francuski kawalerzysta zamordowany przez gerylasów. Przywiązali go za ręce i nogi do czterech słupów i spalili. Zostały po nim tylko resztki dłoni i stóp. Widok ten okropne wrażenie sprawił na naszym wojsku. Mówiliśmy między sobą, że takie okrucieństwo jest możliwe tylko w kraju barbarzyńskim.

Mierzejewski milczał chwilę, potem opowiedział o bitwie pod Tudelą i pościgu za armią andaluzyjską na drodze do Saragossy.

– Nasi nikomu nie dawali pardonu i wszędzie na gościńcu leżały trupy. Okropny widok! Okolica była bezludna, mieszkańcy uciekli i ciał nie uprzętało z drogi. Armaty, wozy z prochem i furgony gniotły je na miazgę, tak że niektóre bardziej były podobne do zeschniętej skóry bydłowej niż do zwłok ludzkich.

W stodole zrobiło się tak cicho, że byłoby słyszeć przelatującą muchę.

Gaston machnięciem ręki przywołał kręcącego się między posłaniami sanitariusza, kazał mu przynieść dzbanek wina i nalać do żołnierskich kubków. Myślał o drodze między Tudelą a Alagónem zasłaną trupami nieumundurowanych hiszpańskich ochotników. Kapitan Kochański mówił mu, że wyziewy przez kilka tygodni zatruwały powietrze, bo nikt nie pomyślał o ich pogrzebaniu.

Z zamyślenia wyrwało go słowo „róża”.

– ...róża przy palcach mi się wdała i choć byłem dobrym i lekkim piechurem, dalej maszerować nie mogłem. Noga tak mi spuchła, że but na szwach rozerżnięty ledwie ściągnąć zdołał.

Podporucznik użył słowa „róża” tak jak nieznajoma. Nauczył się go od niej czy może byli z tych samych stron?

– O podwodach nawet pomyśleć nie było można w tym kraju. Pozostawiony sam sobie, podpierając się karabinem, szedłem przed siebie. Spotykałem wielu polskich, francuskich i niemieckich maruderów, żaden jednak nie mógł mi pomóc.

Podporucznik upił łyk wina.

– Trzeciego dnia napotkałem pasterza, który litując się nade mną, rzucił mi kawał sera. Gdy zjadłem, odzyskałem trochę sił i przed wieczorem dowlokłem się w pobliże jakiejś wsi. Palili ją i rabowali maruderzy. Z daleka widziałem pożar i słyszałem krzyki nieszczęsnych mieszkańców. Nagle przystąpiło do mnie dwóch młodych chłopów. Pytali o coś, ale nie rozumiał i tylko pokazywałem im zboląłą nogę. Jeden wziął moją broń, lecz nie wystrzelił, tylko zdzielił mnie kolbą w rękę, potem w łeb. – Dotknął opatrunku na głowie. – Ocknąłem się w ciemności, czując ręce, które mnie obmacywały. Wyciągnęły sakiewkę schowaną na piersi, udawałem więc nieprzytomnego, żeby choć życie ocalić. „Sprawdź jeszcze lejebik”, usłyszałem i ręce zaczęły sylabizować po szwach, czy nie doczytają się gdzie zaszytego dukata. W końcu rozdiali mnie do koszuli i porzucili przy drodze, a jam szczęśliwy był, że na pożegnanie nie poczęstowali mnie nożem.

– Tam znalazła pana ta kobieta? – spytał Gaston, którego cierpliwość się wyczerpała.

– Stało się to dopiero drugiego dnia rano...

– To Hiszpanka? Jak się nazywa?

– Nie wiem. Nikt nas sobie nie przedstawił. Ja powiedziałem swoje nazwisko, ale nie usłyszałem w zamian jej imienia. To dziwna kobieta. Prawie się nie odzywa, tylko z krukiem po kruczemu gada.

– Mieszka sama? Gdzie?

– W górach, godzinę drogi stąd, w chacie bardziej szałas przypominającej. Schodzą się tam do niej różni chorzy, ona ich leczy, tak jak ich zwierzęta. Mówią, że nawet pokąsanego przez wściekłego psa

uzdrowiła.

„Pewnie wskrzesza też umarłych. Ludzka fantazja ma skrzydła, brak jej za to rozumu” – pomyślał Gaston.

– Więc to miejscowa kobieta? – spytał.

– Z miejscowymi w ich języka gada, to pewne. Ale ze mną po polsku, z panem po francusku, z Hiszpanami po hiszpańsku.

„A z Chińczykami po chińsku – gniewnie dokończył w myśli Gaston. – Co za kiep! Żeby mieszkać z nią przez tydzień i nawet jej imienia nie poznać”.

– Jedna kobieta powiedziała do niej kiedyś „pani Muriel” – przypomniał sobie nagle podporucznik.

„Anielka? Czy może raczej Francuzka? Skąd tutaj, sama, w czasie wojny?”

– Potrafiłby pan trafić do jej domu? – spytał Gaston.

– Chyba tak.

– Dobrze. – Gaston zdał sobie sprawę, że nie tylko podporucznik patrzy na niego ze zdziwieniem. – Pogadamy o tym, gdy wróci pan do zdrowia.

Wyszedł przed stodołę i głęboko odetchnął. Kiedy jednak spojrzął na widnokrąg zamknięty pozbawionymi roślinności górami, na usianą kamieniami brunatną ziemię, pociętą koleinami wyżłobionymi przez armatnie koła, poczuł się tak, jakby ktoś go przykrył szklanym kloszem. Dusząca pustka. Żadnego lasu, żadnych drzew. Już latem poprzedniego roku, podczas pierwszego oblężenia, wojsko wycięło gaje oliwne, zniszczyło ogrody, a tysiące nóg rozdeptały ziemię.

„Jestem głupi – pomyślał. – Wojna to wojna, a życie to życie. Nie da się tego połączyć”.

Rozdział 5



Żołnierz krzyczał jak opętany.

– Spokojnie, człowieku, nie rób takiego hałasu. Te rzeczy musimy znosić po męsku – powiedział Gaston, sięgając po laudanum de Rousseau. – Wypij, przyniesie ci ulgę.

Zdjął z ramienia piechura białą wstążkę, obejrzał ranę. Sterczała z niej kość złamana uderzeniem kuli karabinowej.

– Utnie mi pan rękę? – zajączał ranny. – Jak ja będę buty szył?

Gaston westchnął w duchu. Żołnierz miał nie więcej niż dwadzieścia lat.

Jeszcze raz przyjrzał się ranie. Jeśli wyłuszczy główkę kości w stawie barkowym, operacja będzie szybka, a szwec prawie na pewno przeżyje. Może amputować rękę poniżej stawu barkowego, podwiązać naczynia, zszyć mięśnie i skórę. Operacja dłuższa i bardziej bolesna, ale po wygojeniu rany młodzieniec zamiast pustego rękawa może nosić protezę. Szyć butów jednak na pewno nią się nie da. Czy pocieszy go, że bez prawego ramienia będzie wyglądał jak admirał Nelson?

Gaston dotknął dłoni żołnierza.

– Poruszaj palcami – nakazał.

Palce dobrze działały, obie dłonie okazały się ciepłe, można więc było mieć nadzieję, że ani nerwy, ani naczynia nie są uszkodzone. Lecz jeśli wda się zakażenie? Łatwo o nie w lazarecie. Amputacja byłaby bezpieczniejsza.

– Wyjmę kulę, a ty ani drgniesz – powiedział do żołnierza. – Potem nastawię kość. Jesteś młody, silny, ręka się zrośnie i zapomnisz, że kiedyś byłeś ranny.

Szwec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Bez słowa pokiwał głową.

Gaston włożył mu między zęby deszczułkę owiniętą skórą i zaczął sondować ranę. Wyjął kulę, potem kilka drobnych ołowianych odłamków. Kość nie była rozkawałkowana.

Żołnierz pobladł, ale leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami, mocno zagryzając deszczułkę. Gaston dał mu jeszcze trochę laudanum.

– Maret! – zawołał na pielęgniarszą. – Nastawiamy ramię.

Pielęgniarsza chwycił żołnierza za bark, Gaston pociągnął w przeciwnym kierunku.

Żołnierz coraz mocniej zaciskał zęby i powieki.

– Skończone! – powiedział Gaston. – Teraz cię opatrzę. Ani drgnij!

Sprawdził jeszcze raz, czy krew krąży prawidłowo, potem zszył ranę, w końcu usztywnił rękę, przybandażowując ją do tułowia.

– No, żołnierzu, chwacko się sprawiłeś. Pamiętaj, że nie wolno ci ruszać tym ramieniem –

powiedział. – Odprowadź go i daj mu wygodne miejsce – zwrócił się do Marena.

Następny był kirasjer z roztrzaskanym kolanem, potem dragon, któremu kula uszkodziła szczękę, piechur ze złamaną kością stopy, artylerzysta trafiony kartaczem w dłoń. Gaston tamował krwawienie, składał kości, ciął, sondował, szył. Potok pokrytych krwią i brudem rannych napływał, póki nie zamilkły działa.

Wtedy Gaston kazał sobie podać miednicę z wodą. Zdjął zakrwawiony surdut, umył twarz i ręce.

– Odpocznij i zjedz coś – powiedział pracujący obok Paul. – Ja pójdę z Bricardem obejrzeć pole.

Gaston zjadł miskę zupy, poszedł do furgonu i położył się na łóżku. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Zawsze sam sprawdzał, czy wszyscy ranni zostali zniesieni z pola bitwy i czy wśród wrzucanych do wspólnego grobu ciał nie zaplątał się ktoś żywy. Tylko raz tego zaniedbał, pod Jeną, gdy sam został ranny i musiał się zdać na sanitariuszy. Na drugi dzień zobaczył stada psów, które zwabione zapachem krwi i poruszającą się ziemią rozgrzebywały świeże mogiły.

Z westchnieniem wstał, wyszedł z furgonu i skierował się w stronę murów Saragossy. Miasto broniło się już czterdzieści trzy dni, duża jego część leżała w gruzach, obrońcy jednak ani myśleli się poddać.

Idąc, schylał się nad każdym napotkanym ciałem i szukał oznak życia.

„Paul i Bricard pewnie już tędy przeszli” – pomyślał, nie znajdując nikogo żywego.

Nagle zobaczył na ziemi żołnierza z lewą ręką ujętą w łubki. Podszedł bliżej. Podporucznik Piotr Mierzejewski leżał na plecach, z szeroko rozrzuconymi nogami. Kula armatnia trafiła go w prawą pierś, rozerwała żebra i oderwała bark razem z obojczykiem. Trzymające się tylko na ścięgnach prawe ramię leżało w kałuży ciemnej krwi.

„Rodem spod Krosna – przypomniał sobie Gaston. – Niedźwiedzie tam piwo warzą. Gdzie też leży to Krosno? Czy dotrze do niego wiadomość o śmierci podporucznika? Czy może ojciec, matka, żona do końca swych dni z nadzieją będą czekali na jego powrót?”

Nagle sobie uświadomił, że Mierzejewski był jedyną nitką łączącą go z kobietą o zielonych oczach.

„Lepiej by zrobił, nie ruszając się z lazaretu” – pomyślał z nagłą złością.

Jego złość zmieniła się w furję, gdy doszedł do świeżo wykopanego dołu, do połowy już wypełnionego ciałami koni oraz poległych żołnierzy. Hiszpańscy wieśniacy znosili tu trupy i układali w rzędzie. Klęczący obok dołu Bricard, z narzędziami w dłoniach, sprawnie odejmował zmarłym żuchwy i wrzucał do beczułki.

– Wyrwanie poległym szczęk to robota raka, nie chirurga – warknął Gaston.

Bricard zerwał się na równe nogi, zaraz jednak przypomniał sobie, że to ostatni dzień służby Gastona, i przyjął znacznie swobodniejszą pozę.

– Wie pan, ile dentyści płacą za beczułkę zębów? – spytał.

– Nie, i nie chcę wiedzieć.

– Tym tutaj zęby już niepotrzebne. Zresztą im jest wszystko jedno.

– Ale mnie nie! – krzyknął Gaston.

Bricard spojrział na niego spod oka.

– Byłem biedny, teraz jestem bogaty i widzę, że bogactwo jest lepsze – powiedział. – Tylko że jego zdobywanie wymaga mocnych nerwów. Pan nie ma o tym pojęcia, bo nigdy nie musiał wydobywać się z nizin. – Rzucił Gastonowi wyzywające spojrzenie, ukląkł i znów wziął się do roboty.

Gaston już ochłonął. Kim był, żeby oceniać Bricarda? Dobrze przecież pamiętał, w jaki sposób sam zdobył majątek.

Odwrócił się i ruszył w stronę rzeki. Kręcili się tu Francuzi, Polacy, Niemcy, Włosi. Podchodzili do wykopanych o trzysta kroków od murów paraleli, choć czasem kule gwizdały im nad głowami, odciągali trupy poza zasięg karabinowego strzału, obszukiwali starannie. Każdy żołnierz najcenniejsze łupy nosił przy sobie i zdarzało się, że jeszcze w czasie bitwy koledzy wyciągali sakiewki tym, którzy padli.

Grupka francuskich piechurów pokazywała sobie coś na polu, żywo gestykulując.

– Czarownica! Potrzebuje ludzkich serc do swoich diabelskich eliksirów. Wrzućmy ją do rzeki. Wyplynie, to będziemy mieć dowód.

Gaston podszedł bliżej.

– Co tu się dzieje? – spytał ostro.

– Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że tam jest czarownica – rzekł jeden z piechurów, stając na baczność.

– Gdyby powiedział mi to Hiszpan, tobym się nie dziwił. Ale Francuz? Wstyd!

Żołnierze się zmieszali.

Gaston ruchem ręki kazał im odejść, sam zaś ruszył w stronę wieśniaczki w sukiennym kapturze. Rozmiękła ziemia tłumiła odgłos jego kroków.

Kobieta klęczała przy rozplatanym cieie i Gaston w pierwszej chwili pomyślał, że się modli. Ona jednak rysowała coś kanciastym angielskim ołówkiem. Była tak zajęta swoją pracą, że zauważyła go, dopiero gdy przed nią stanął. Krzyknęła przestraszona, upuszczając papier i ołówek. Uniosła głowę i wtedy ją poznał. Kobieta o zielonych oczach.

– Co pani tu robi? – spytał, schylając się po rysunek. Był na nim doskonale oddany obraz wnętrza jamy brzusznej.

Podniosła ołówek, wstała i wyciągnęła rękę po papier.

– Uczę się anatomii – powiedziała. – W jedyny dostępny dla kobiety sposób.

Gaston przypomniał sobie na wpół zgniłe trupy w paryskim prosektorium. Śmierdziały tak, że trudno było ustać przy stole sekcyjnym. Wielu studentów odsuwało się w najdalsze kąty sali, a niektórzy po prostu wychodzili.

– Niech pani nie zazdrości studentom. Żadne pobojuwisko nie jest tak straszne jak prosektorium paryskiej szkoły medycznej.

– Jednak zazdroszczę – szepnęła. Spojrzała na niebo. – Niedługo muszę wracać, a mam jeszcze sporo pracy.

Potraktowała go jak intruza, skłonił się więc i odszedł.

Ledwie zrobił parę kroków, już tego żałował.

„Głupiec! Czemu nie spytałem jej o imię?” – pomyślał.

Piechurzy, którzy zobaczyli w niej czarownicę, ciągle stali tam, gdzie ich zostawił.

– Rozejść się! – zarządził. – Znam tę niewiastę. Odmawia litanie za konających.

Rzeczywiście, klęcząca przy zwłokach kobieta z daleka wyglądała tak, jakby się modliła.

Żołnierze ruszyli w stronę swego obozu. Gaston szedł za nimi, w końcu uznał, że wystarczająco się oddalił: z tej odległości nie mogła go rozpoznać.

Klęczała tyłem do niego, nie widział więc, co robi. Czasem się nachylała, unosiła rękę albo miarowo kołysała tułowiem. Postanowił poczekać, aż skończy swoje studia. Nigdzie nie widział jej konia, na pewno jednak nie przysłała pieszo, będzie więc mógł niby przypadkiem zejść jej drogę, gdy skieruje się w stronę obozu.

Zobaczył, że kobieta wstaje. Otrzepała spódnicę i rozejrzała się dokoła. Odruchowo spuścił głowę i skulił ramiona jak złoczyńca. Gorączkowo myślał, co jej powie. Odwykł od rozmów z kobietami.

Usłyszał melodyjny gwizd, potem tętent kopyt. Nie wiadomo skąd pojawił się cisawy koń, kobieta podciągnęła popręg, lewą ręką zebrała wodze, włożyła nogę w strzemień i usadowiła się w siodle. Patrzył, jak zgrabnie siedzi na koniu, jak pochyla się lekko, jak rusza, a potem płynnie przechodzi w galop.

– Jest świetną amazonką. Znasz ją? – usłyszał nagle.

Tak się zapatrzył, że nie zauważył zbliżającego się Paula.

– Parę dni temu przywiozła mi rannego Polaka. Znalazła go na drodze i opatrzyła.

– Hiszpanka?

– Nie wiem.

– Szkoda.

Gaston spojrział na niego zdumiony. Spodziewał się jakiejś ironicznej uwagi.

– Pierwszy raz, odkąd cię znam, zwróciłeś uwagę na kobietę. Szkoda, że tak szybko znikła. Skąd w ogóle się tu wzięła?

– Przyjechała studiować anatomie.

Paul się roześmiał.

– Nie poznaję cię, Gastonie. Mówisz od rzeczy.

– No to chodź.

Zaprowadził Paula do rozplątanych zwłok. W pierwszej chwili myślał, że pomylił miejsce, jednak nie – ten kawałek oczyszczono już z trupów i były to jedyne zwłoki w promieniu kilkuset kroków. Martwy żołnierz leżał wyprostowany, ze splecionymi dłońmi, jak w trumnie. Pozapinany na wszystkie guziki mundur był zszyty. Gaston rozpiął guziki. Ciało też było zszyte.

Paul się nachylił.

– Piękny szew. Ty go założyłeś? Po co?

– Ona.

Opowiedział o rozmowie z nieznajomą.

– Przydałaby się nam w szpitalu, nie sądzisz? – spytał Paul.

Gastonowi nie przyszło to do głowy.

– Racja! – powiedział, myśląc, że mógłby ją codziennie widywać.

– Pozostaje nam tylko dowiedzieć się, kim jest. Nie zapomnij języka w gębie, gdy znów się z nią spotkasz. Chyba że...

– Co?

– Że już jutro chcesz wyjechać.

– Powiedziałem, że zostanę z wami do wiosny. Przejście zimą przez Pireneje to nie dla mnie.

– Jestem szczęśliwy, że nas nie opuszczasz. Z radością nadal będę twoim podwładnym.

– Wykluczone. Jutro przejmujesz dowodzenie.

– Będę mógł ci rozkazywać. To świetnie. Nie wymigasz się od jutrzejszej biesiady u Polaków.

Polacy przygotowali dla Gastona niespodziankę i obarczyli Paula zadaniem: miał go przyprowadzić do nich na kolację. Gaston szczerze polubił kapitana Kochańskiego i jego towarzyszy z Legii Nadwiślańskiej, zwykle jednak wcześniej się kładł, wymawiał się więc od przeciągających się długo w noc suto zakrapianych kolacyjek.

Wieczorem 1 lutego zostawili lazaret na głowie Bricarda i poszli do kwatery Polaków.

Kolacja była dobra, wyśmienita nawet jak na wojenne warunki, wina jednak podano mało, a wódki wcale. Polacy opowiadali o szturmie na klasztor Augustianów. Udało im się wysadzić mur między nim a zdobytym wcześniej klasztorem Świętej Moniki. Hiszpanie nie spodziewali się ataku od tej strony, bronili się jednak zawzięcie. Szalę zwycięstwa przeważył podporucznik Rutkowski, który po znalezionej przypadkiem drabinie wszedł z kilkoma swoimi ludźmi na chór i zasypał obrońców gradem kul.

– Kilka godzin później usiłowali odbić klasztor – mówił kapitan Kochański. – Ale tak się w nim obwarowaliśmy, że musieli odstąpić.

– Wasi atakowali dziś cztery domy na ulicy Quemada – rzekł kapitan Augustyński. – Zakłuli kilku pilnujących ich wartowników, a za resztą puścili się w pogoń. Hiszpanie mają w całym mieście porobione wewnętrzne przejścia w ścianach. Wasi ścigali ich tymi chodnikami aż do ulicy Coso, żeby dać czas saperom, którzy w zdobytych domach zaczęli robić warowne zapory. Lecz Hiszpanie szybko zebrali siły i uderzyli. Zapory nie były ukończone i Francuzi, choć stawali dzielnie, musieli odstąpić zdobyczy. Odwrót był krwawy: stracili kilkudziesięciu ludzi zabitych i rannych. Jutro my spróbujemy te domy odwojować.

Kapitan Kochański wstał i uniósł kieliszek.

– Dość już o tym – powiedział. – Wypijmy teraz zdrowie pana pułkownika Gastona Lavalá, który po piętnastu latach chwalebnej służby został oto z niej uwolniony. Zdrowie!

– Zdrowie! – zawołali wszyscy, zrywając się z miejsc.

Gaston podziękował po polsku, co wzbudziło wielki entuzjizm.

– Zanim przed dziesięcioma dniami nadciągnął marszałek Lannes, a pan, panie pułkowniku, w jego szeregach, głód nam już w oczy zaglądać zaczął. Dostawaliśmy po pół racji chleba, mięsa zaś wcale. Okolice była spustoszona, mieszkańcy, co tylko mogli, unieśli z sobą za mury, a wyprawiane z

Pampeluny konwoje z żywnością częstokroć zabierał nieprzyjaciel. Przybycie posiłków wyrwało nas z tego smutnego położenia. – Kochański znowu uniósł kieliszek. – Zdrowie Francuzów i wielkiego cesarza Napoleona!

– Zdrowie! Zdrowie! Zdrowie!

Gdy wszyscy znów usiedli, Kochański zwrócił się do Gastona:

– Skromnie dziś pana częstujemy, bo chcemy zaprosić na nabożeństwo. Jutro jest nasze wielkie święto, Matki Bożej Gromniczej. Znaleźliśmy księdza...

– Nie bez trudu! – dorzucił porucznik Jurgaszko.

– ...który w nieodległej kaplicy odprawi mszę w intencji pańskiego szczęśliwego powrotu do domu. Czy pan nie odmówi swego udziału?

Gaston poczuł ucisk w gardle.

– Byłoby czarną niewdzięcznością odmówić takiej prośbie – powiedział, z trudem wydobywając głos. Odchrząknął i dokończył po polsku: – Bóg zapłać!

– Zdrowie doktora Lavala! – wołali wszyscy. – Niech nam żyje!

Była pierwsza noc pełni i w świetle księżyca Gaston widział schodzących się na mszę żołnierzy. Jeden stał przed kaplicą, trzymając przed sobą kosz gromnic. Każdy wchodzący do środka dostawał świecę.

– Zapalimy je o północy – powiedział Kochański. – Zanim wybije, możemy jeszcze śpiewać kolędy. Zna pan polskie kolędy?

Gaston się zamyślił. Przypomniał sobie Jaśka ze spadającą na oczy konopną czupryną, śmiejącymi się oczami i zadartym nosem. O dwa lata starszy od Gastona, był dla niego wzorem, ideałem. Bratem. Niemal usłyszał jego głos:

Gdy śliczna Panna Syna kołysała,
Z wielkim weselem tak jemu śpiewała:
Lili, lili, laj, moje Dzieciąteczko,
Lili, lili, laj, śliczne Paniąteczko.

Kochański objął go ramieniem.

– Panie doktorze, pan po prostu jest Polakiem.

Kościelne ławki, które żołnierze już dawno porąbali na opał, zastępowały deski oparte na równo przyciętych pniach. Lichtarze na ołtarzu nie tworzyły kompletu. Pewnie te skradzione uzupełniono łupami zdobytymi w kościołach Saragossy. Światło świec w bocznych lichtarzach wydobywało jaśniejsze plamy na ścianach – miejsca, gdzie kiedyś wisały obrazy. Kaplica była jednak świeżo wysprzątana, przesycona zapachem kadzidła.

Porucznik Jurgaszko nie usiadł na ławce, lecz stał przy drzwiach, jakby na kogoś czekając. Kochański odwrócił się i skinął mu głową, wtedy porucznik przyłożył do ust długi instrument.

Gaston westchnął głośno, gdy usłyszał pierwsze dźwięki czarodziejskiego adagio z koncertu obojowego Wenecjanina Alessandra Marcella. Zamknął oczy. Znowu był w Wenecji niezeszpeconej

drzewem wolności – potężnym słupem zwieńczonym czerwoną czapką frygijską, wbitym na rozkaz Bonapartego na placu Świętego Marka. Na niezniszczonej płaskorzeźbie nad bramą Pałacu Dożów Francesco Foscari nadal klęczał przed skrzydlatym lwem, a cztery konie z brązu patrzyły na plac z wysokości fasady katedry, tak jakby Bonaparte ich nie ukradł i nie wywiózł do Paryża.

Tryumfy Króla niebieskiego
Zstąpiły z nieba wysokiego,
Pobudziły pasterzów,
Dobytku swego stróżów,
śpiewając, śpiewając: „Chwała bądź Bogu w wysokości,
A ludziom pokój na niskości;
Narodził się Zbawiciel,
Dusz Odkupiciel,
Na ziemi, na ziemi”.

Melodia się zmieniła, do oboju dołączył kobiecy głos. Gaston, jeszcze zanim się odwrócił, wiedział, że to ona: kobieta o zielonych oczach. Miała na sobie ciemnoniebieski płaszcz, włosy przykryła lazurowym szalem. Światło świecy palącej się w zacheuszcze odbijało się w jej oczach. Gaston przypomniał sobie fosforyzującą smugę pojawiającą się nocą za statkiem. Naokoło ciemna noc, a tu nagle taka jasność.

Potem wszyscy zaśpiewali dwa polonezy: *W żłobie leży i Bóg się rodzi*, melancholijnego kujawiaka *Jezus malusieńki*, a tuż przed wybiciem północy kołysankę *Lulajże, Jezuniu*. Gaston słuchał, myśląc o Lucasie, którego stracił, i o Gabrieli, którą zostawił w klasztorze w La Coruñi.

Ksiądz wziął świecę z ołtarza i zapalał od niej gromnice podchodzących do niego żołnierzy. Gaston nie znał tego zwyczaju, ale podobała mu się kaplica oświetlona dziesiątkami płomyków. Czasem podczas tych wszystkich wojen, w których uczestniczył, wydawało mu się, że już nie żyje. Pracuje, je i śpi, lecz jest tylko zjawą. Teraz gorący wosk kapnął mu na rękę. Ucieszył się z tej sekundy bólu. Żył, był człowiekiem, nie duchem.

– Gdy dużo wosku kapie z gromnicy, to znaczy, że zima będzie jeszcze długa i mroźna – szepnął Kochański. – Nieprędko się rozstaniemy.

Witaj, Jutrzenko rano powstająca,
Śliczna jak miesiąc, jak słońce świecąca!
Ty świecisz w miłej światu Częstochowie,
Gdzie czołem biją świata monarchowie.

Tobie z dwunastu gwiazd koronę dano,
Świata wszystkiego panią cię podano,
Na Jasnej Górze jaśniejszaś nad słońce,
Tuć lud upada do nóg swej patronce.

Pocieszycielko ludzi utrapionych,
Do ciebie, Panno, w nędzach niezliczonych
Lud się ucieka i prosi serdecznie,
By za przyczyną twoją żył bezpiecznie.

Pamiętaj, Panno, na Polską Koronę,
Którąś raz wzięła pod swoją obronę,
Wszakżeś jest Polską, Maryja, Królową,
Której Bóg oddał za tron Częstochową.

Kobięcy głos był śpiewny jak skrzypce, które zwykle towarzyszą obojowi. Gaston nie wszystko rozumiał i nagle zapragnął, by ona zaśpiewała coś po francusku albo po włosku, żeby mógł cieszyć się każdym słowem, które wychodziło z jej ust.

*Ave, maris stella, Dei Mater alma,
Atque semper Virgo Felix coeli porta.*

*Sumens illud Ave
Gabriélis ore,
Funda nos in pace, Mutans Hevae nomen.*

Solve vincla reis, Profer lumen caecis, Mala nostra pelle, Bona cuncta posce.

Zdrowaś, gwiazdo morska,
Boża Matko święta
I dziewico czysta,
Uliczko niebieska.

Bierząc pozdrowienie
I anielskie pienie,

Daj mirne bydlenie
I win odpuszczenie.

Rozwiązy związane,
Oświeć zaślepione,
Odpędź nasze złości,
Uproś nam dobroci.

Czy mogła usłyszeć jego myśli? Czy w ogóle go zapamiętała? Jedno wiedział na pewno: tym razem nie pozwoli jej odejść, póki się nie dowie, kim jest.

Msza się skończyła, lecz Gaston mógłby tak stać do rana, słuchając śpiewu nieznajomej i wtórującego jej oboju. Żołnierze gasili świece i kładli je na ołtarzu, ale nie wychodzili z kaplicy. W ciemnym kościele nagle gruchnęła pieśń.

Na ordynansach w potrzebie ojczyzny
Stajem rycersko bez pozwy niczyjej,
Miłość jest znosić i odbierać blizny
W sprawie narodu i Panny Maryjej.

Słudzyśmy Panny, co zrodziła Boga,
Pod jej znakami święcim nasze szable,
Pod jej opieką nam do zwycięstw droga,
Ona swym słowem kruszy moce diable.

Chwała ci, Pani, co królujesz w niebie,
My alians z tobą zawarli wieczyście,
Więc stawaj zawdy puklerzem w potrzebie
Tym, co ci wierność rzekli wiekuiście.

Chwała ci, Panno, patronko tej ziemi,
Tej naszej nędznej dziś Rzeczpospolitej,
A miejże baczość nad sługami swemi,
Co ci krew leją w ilości obfitej.

Gaston poczuł ściśnięcie serca. W tej chwili ci ludzie przypominali mu Hiszpanów, którzy myśleli, że obronią ich Anglicy do spółki z Bogiem, oni zaś nie muszą brać w tym udziału. Polacy też na swój sposób byli ślepi: wierzyli, że w zamian za ich krew i z pomocą Maryi, którą nazywali swoją królową, Bonaparte wskrzesi ich ojczyznę. Nie widzieli, że Napoleon w głębi duszy jest jakobinem, że jeśli w coś wierzy, to tylko w siebie. Że jest cesarzem Francuzów, a Polska nic go nie obchodzi.

– Gromnica broni przed żywiołami, burzą, piorunami i ogniem. My na prośbę księdza zostawiamy tu swoje, lecz tę niech pan weźmie na drogę, panie doktorze – powiedział kapitan Kochański.

– Może się panu przydać także w szpitalu. Jeśli się połknie dym ze zgaszonej gromnicy, o tak – zademonstrował porucznik Jurgaszko – to gardło zaraz przestanie boleć.

– Powinien pan dbać o swoje – powiedział Gaston. – Ta msza była ucztą dla uszu.

– Mam dla panów coś na pamiątkę dzisiejszej mszy. – Zza pleców Jurgaszki wyłoniła się ona.

Tym razem nie znikła, stała przed Gastonem, podając mu akwarelowy obrazek. U góry był napis: „Saragossa 2 lutego 1809”, pod nim Matka Boska szła przez zaśnieżone pola z gromnicą w ręce, oświetlając drogę zabłąkanym podróżnym. Spod rąbka błękitnego płaszcza, tuż przy ziemi, wynurzała się wilcza morda.

– Dziękuję – bąknął.

– Matka Boska pilnuje ozimin, żeby nie wymarły, wyprowadza podróżnych z zawiei, odpędza wilki od domostw, ale nie pozwala robić im krzywdy. – Uśmiechnęła się. – W pewną mroźną lutową noc chłopci szukali wilka, by go zabić. On tymczasem siedł za Matką Boską. Gdy chłopci spotkali ją na

swojej drodze, spytali, czy nie widziała tego mordercy owiec. Odpowiedziała, że nawet gdyby widziała, nigdy by go nie wydała, że powinni poszukać wilka w swoich sercach i z nim się rozprawić.

Stojący obok Gastona Paul skłonił się, dziękując za obrazek.

– Śpiewała pani jak anioł. *Chirurgien-major* Paul Gobel – przedstawił się. – A to mój przełożony i przyjaciel doktor Gaston Laval.

– Muriel de Voss – powiedziała, uśmiechając się lekko.

„*Maris stella*” – pomyślał Gaston.

Rozdział 6

Muriel



– Opatrzność, która zawsze czuwa nad naszą armią, oślepiła Anglików, tak że zrezygnowali z ochrony morza i wysadzili swe oddziały na ląd. Nie spodziewali się, że cesarz wyruszy w zimie, zapomnieli, że jesteśmy niezwyciężeni – tokował Bricard. – Anglicy obiecali pomoc Hiszpanom, tymczasem wszystko zrobili źle: za późno wymaszerowali z Portugalii, nie mieli map ani żadnego rozeznania i brnęli przez hiszpańskie bezdroża jak ślepe szczenięta, a gdy cesarz zdobył Madryt, rozpoczęli odwrót bez oddania choćby jednego strzału.

Było wczesne zimowe popołudnie. Od rana lał deszcz, odbierając energię i atakującym, i obrońcom. Francuzi sarkali: „Czy widziano kiedy, aby dwadzieścia tysięcy oblegało armię pięćdziesięciotysięczną? Walczymy już prawie dwa miesiące, a zdobyliśmy ledwie czwartą część miasta. Trzeba czekać na posiłki, inaczej wszyscy zginiemy, a te gruzy staną się naszym grobem”. Tylko Polacy nie ostygli w swej wytrwałości: ich saperzy robili nowy podkop, choć Hiszpanie w ostatnim tygodniu zniszczyli trzy kopane przez Francuzów.

Gaston w rewanżu za biesiadę u Polaków zaprosił na obiad kapitana Kochońskiego z kompanią z Legii Nadwiślańskiej, kilku Francuzów, lekarzy z lazaretu, przede wszystkim zaś Muriel de Voss. Przyjechała na swym cisawym koniu, obejrzała szpital, a gdy odważył się zapytać, czy chciałaby w nim pracować, ku jego nieopisanej radości zgodziła się bez namysłu. Postawiła jeden warunek: miał ją uczyć.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio siedział przy stole z kobietą. Jadł, nie zwracając uwagi na to, co ma na talerzu, skupiony tylko na niej. Ona zaś prawie się nie odzywała. Jadła niewiele, ledwie umoczyła usta w kieliszku. Sama jej obecność odmieniła jednak wszystkich: Polacy byli jeszcze bardziej szarmanccy niż zwykle, francuscy dragoni pilnowali języka, Bricard zaś roztoczył pawie ogon – zapytany przez Jurgaszkę o pościg za Anglikami i bitwę pod La Coruñą dał krasomówczy popis. Ku irytacji Gastona nie odrywał oczu od Muriel.

– Cesarz powiedział, że Moore jest jedynym na półwyspie generałem wartym, by się z nim zmierzyć, dlatego wyruszy przeciw niemu osobiście – ciągnął Bricard.

„Czerwone mundury podziały na Bonapartego jak płachta na byka” – pomyślał Gaston. Cesarz bez namysłu porzucił plan najazdu na Portugalię i pogonił za Anglikami, którzy wydawali mu się łatwą zdobyczą. Gdyby okrążył i wziął do niewoli korpus Moore’a, upiekłby dwie pieczenie na jednym ogniu: pomściłby klęskę pod Bailén, którą uważał za osobistą zniewagę, i pokonałby jedyną lądową angielską armię.

– Wiecie, czym się różni bęben od Anglika? – zapytał Jurgaszko. – Niczym. Jeden i drugi jest pusty

w środku.

Wszyscy się roześmiali.

Bricard jednak nie dał sobie przerwać. Barwnie odmalował trudy przeprawy przez Sierra de Guadarrama.

– Szliśmy w zamieci, na dwa kroki nic nie było widać. Cesarz osobiście kierował saperami oczyszczającymi drogę, a gdy wiatr tak się wzmógł, że kilku kawalerzystów zrzucił w przepaść razem z końmi, kazał żołnierzom trzymać się pod ręce. Maszerował wśród gwardii pieszo przez całą noc. Na własne uszy słyszałem, jak weterani powtarzali, że łatwiej było wśród błota Pułtuska i lodów Ławy.

Bricard uśmiechnął się do Muriel, a ona odpowiedziała uśmiechem.

„Ćwiczył chyba wcześniej wymowę tych nazw. Bufon!” – pomyślał Gaston.

– Generał Moore uciekał przed nami jak zając. Ani razu nie stanął do walki, nie zrobił ani jednej zasadzki.

– Anglicy to dobrzy żołnierze, zdyscyplinowani jak Prusacy – zauważył kapitan Kochański.

– Ma pan rację – odrzekł Bricard. – Ale biją się tylko wtedy, gdy są najedzeni i wyspani. Przyzwyczajili się w Indiach wyruszać do walki z zastępem służby, kucharzy, kuchcików, a nie żywić się własnym przemysłem w spustoszonej kraj.

– Na pewno woleliby jechać na słońiach, niż uciekać na piechotę – zakpił Jurgaszko.

Gaston pomyślał, w jak okropnym położeniu znaleźli się Anglicy, gdy zeszli ze swych okrętów. Hiszpanie szczerze wierzyli, że kastylijskie, aragońskie i galicyjskie armie są niezwyciężone, i prosząc o pomoc, na pewno nie szczędzili obietnic. Moore mógł się spodziewać, że w każdym mieście będzie witany z otwartymi ramionami, wszędzie zobaczy ćwiczących rekrutów i zastanie magazyny pełne broni, butów, mięsa, chleba, wina. Tymczasem Hiszpanie kazali sobie płacić złotem za żywność, wieśniacy ukrywali konie i muły, a co gorsza, nie chcieli widzieć, że wojna stoi u ich progu. Myśleli, że ich ominie, że klęska pod Bailén wystraszy Francuzów i uciekną gdzie pieprz rośnie.

– Najgorsze, że Moore nie pomyślał o odesłaniu do Anglii ani markietanek, ani żon swoich żołnierzy. Kobiety ciągnęły za jego oddziałami, niosąc dzieci na rękach. Wiele zginęło podczas przejścia przez góry. Widzieliśmy straszne rzeczy: zamrożone niemowlęta...

Gaston już otwierał usta, by przerwać Bricardowi, lecz uprzedził go major Flandin, który, spóźniony, właśnie dołączył do kompanii.

– Jean, do diaska! Miejże wzgląd na damę! Poza tym może im proponował powrót, lecz odmówiły. W Anglii jest inaczej niż u nas: tam ojcowie niechętnie patrzą na związki córek z żołnierzami. Jeśli wbrew woli rodziny tak marnie wybrały, to wojsko stało się ich jedynym domem. Szły za mężami, bo nie miały dokąd wrócić.

Gaston ucieszony, że Bricard dostał po nosie, zerknął na Muriel i zmartwiał. Napięta jak struna, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się we Flandina. Wyglądała jak rażona gromem. Niewinne przekleństwo nie mogło sprawić takiego wrażenia, raczej jego wspaniała postura, błyszczące oczy

pod ciemnymi brwiami, piękny nos, pełne usta i nowiuteńki mundur.

– Podobno gdy Hiszpanie nie mogli się nadziwić szkockim spódnicom, któryś Anglik zażartował, że Szkoci noszą kilty za karę, bo to niesubordynowane wojsko. Hiszpanie odmówili wtedy szkockim oddziałom furazu – powiedział Adam Vernet.

– Anglicy to dowcipnisie – przytaknął Paul. – Spłaszczali guziki od mundurów i wręczali Hiszpanom jako brytyjską walutę.

– Najważniejsze, że ich stąd wykurzyliśmy – do głosu znów doszedł Bricard. – W ostatniej chwili chcieli pokazać, że nie są zwierzyną łowną, i zaatakowali nas pod La Coruña. Myśleli może, że ustąpimy pola. Tymczasem nasi żołnierze rwali się do walki, bo nie po to przez miesiąc ich ścigali, żeby w ostatniej chwili Moore umknął im sprzed nosa. Bitwa była ciężka, żołnierze rzucali się na wroga jak wściekli. Anglicy w końcu zrozumieli, że trzeba brać nogi za pas, i uciekli na okręty. Dobrze, że nie musimy już ich oglądać, bo to barbarzyńcy. – Zerknął na Muriel i ściszył głos. – Zostawili brzeg morza pokryty końskimi trupami. Zaciągali kwiczące ze strachu zwierzęta na klif, strzelali im w głowę i strącali na plażę.

– Widziałem, jak pewien żołnierz, który nie miał serca zabić swego towarzysza, puścił go wolno, a sam wsiadł do łodzi – cicho powiedział porucznik dragonów Duret. – Koń, rżąc, biegał po brzegu tam i z powrotem, w końcu wskoczył do wody i popłynął za swoim panem.

Muriel odsunęła się nieco od stołu i Gaston nie mógł zobaczyć jej twarzy. Uniósł kieliszek.

– Wypijmy za zwycięstwo nad brytyjską armią – powiedział, by przerwać ciszę, która zapadła po słowach Dureta.

„Nie powinienem tego nazywać zwycięstwem” – pomyślał. Bonaparte wyruszył, żeby okrążyć i zmiażdżyć Anglików, tymczasem większości udało się odpłynąć. Szybko zrozumiał, że ich nie dopadnie, dlatego oddał dowództwo Soultowi i wrócił do Paryża, nic nie osiągnąwszy. „Jakieś zwycięstwo jednak odniósł. Uświadomił Anglikom, jak słabym i niepewnym sojusznikiem jest Hiszpania”.

– Wygramy tę wojnę, bo Hiszpanie potrafią wystawić albo armię, albo zdolnego nią dowodzić generała, nigdy obu tych rzeczy naraz – rzekł Jurgaszko.

Gdy ucichł śmiech, Gaston zwrócił się do Muriel:

– A co pani o tym sądzi?

– Jakie to ma znaczenie? – odrzekła.

– Dla mnie wielkie – wymknęło się Gastonowi.

Milczała chwilę.

– Nie najeżdża się kraju, o którym nic się nie wie.

– Tak, to największy błąd Anglików – Bricard wyrwał się jak filip z konopi. – Pani ma umysł stratega.

Muriel wstała, mówiąc coś. Mężczyźni zerwali się ze swoich miejsc, szuranie krzeseł zagłuszyło jej słowa. Skierowała się do drzwi. Gaston jako gospodarz poszedł za nią.

– Dziękuję, że zechciała pani przyjąć zaproszenie.

– Do widzenia. – Podała mu rękę na pożegnanie.

– Może przenocuje pani w obozie...

Nie pozwoliła mu skończyć.

– Muszę wracać do swoich domowników – powiedziała. – Do jutra.

Tego wieczoru Gaston długo nie mógł zasnąć. Myślał o Bricardzie, o Flandinie, o tym, jakich domowników miała na myśli Muriel, potem zaczął się zastanawiać, czy ona naprawdę zjawi się rano w szpitalu. A jeśli nie? Jak ją odnajdzie? Wiedział tylko, jak się nazywa. Powiedziała mu także, że jest Polką.

Kiedy jednak następnego ranka przekroczył próg szpitala, poczuł, że ona tam jest. Ranni jęczeli ciszej, smród jakby się zmniejszył.

– To igła do podkłuwania tętniaków, ta do szycia ran na szyi i twarzy...

Gaston wszedł do pokoju, w którym były dwa stoły do operacji. Nikt jeszcze na nich nie leżał. Paul i Vernet stali z jednej strony stołu, z drugiej Muriel. Pomiędzy nimi leżał otwarty wiklinowy koszyk. Muriel pokazywała swoje instrumenty i leki.

– Pani de Voss wie o leczniczych ziołach więcej niż ja – powiedział Vernet na widok Gastona.

– A jej narzędzia są tak dobre jak nasze – dorzucił Paul. – Nie wiem, czy będziemy mogli czegoś panią nauczyć – rzekł, zwracając się do Muriel. – Gdyby była pani mężczyzną, natychmiast bym pani zaproponował wstąpienie do wojska i służbę w moim szpitalu.

„Teraz to jego szpital – pomyślał Gaston. Wydało mu się, że Muriel popatrzyła na Paula z większym zainteresowaniem. – Kobiety lubią mężczyzn mających władzę. Do tego on jest dużo młodszy ode mnie”.

Drzwi się otworzyły, dwaj sanitariusze wnieśli żołnierza. Nawet bez białej wstążki zawiązanej na nodze łatwo było stwierdzić, że został postrzelony w udo.

– Umie pani używać turnikietu? – spytał Paul, pokazując jednocześnie sanitariuszom, by położyli rannego na stole.

– Tak.

– Ten różni się nieco od turnikietu Petita. Zamiast metalowych płytek ma poduszeczki wypełnione końskim włosiem. – Paul obnażył udo żołnierza, aby lepiej zobaczyła założony na nodze przyrząd. – Dzięki temu nie ogranicza krążenia obocznego, hamuje tylko krwawienie z dużych pni...

– Panie doktorze – jęknął ranny. – Niechże mnie pan nie rozdziewa przy niewieście!

– Działanie tego nowego turnikietu pokażę pani później, na jakiejś zranionej ręce – rzekł Paul. – Doktor Laval odpowie na wszystkie pani pytania. Jest najbieglejszy z nas.

Razem z awansem na pierwszego chirurga Paul dostał kamienny dom, w którym wcześniej kwatrowali inżynierowie. Lżej ranni zostali w stodole, tych w cięższym stanie przeniesiono do nowego szpitala, tu także urządzono kwatery lekarzy. Tylko Gaston wolał zostać w furgonie razem z sanitariuszami.

– Po co ta biała wstążka na nodze? – spytała Muriel, gdy weszli do izby, w której jadali lekarze.

– Jadła pani śniadanie?

Kiwnęła głową bez słowa, patrząc wyczekująco.

– Kiedy chory przybywa do cywilnego szpitala, lekarz go bada, wypytuje o objawy, dolegliwości, w razie potrzeby może zarządzić obserwację albo wezwać kolegę specjalistę. W lazarecie jest inaczej. Po bitwie miewamy kilkuset, czasem kilka tysięcy rannych. Musimy ich posortować, tak by najpierw opatrzyć najciężej zranionych. Trzeba pracować szybko, żeby jak najmniej umarło. I tak zawsze umiera za dużo. – Gaston zamyślił się na moment. – Sanitariusze zbierają z pola tych, których da się wyleczyć: z ranami ciętymi, powierzchownymi postrzałami, ze strzaskanymi kończynami. Ciężko ranni w brzuch i konający dogorywają na poboju.

Jej oddech przyspieszył, źrenice się rozszerzyły, przełknęła ślinę.

Chciała być lekarzem! Czy wytrzymałaby widok miasteczka, w którym wszystkie domy, szopy, nawet place i ulice wypełniają jęczący ranni żołnierze? Albo widok leżących na poboju, w deszczu, skwarze lub na śniegu nieszczęśników, którzy są nie do wykurowania i umierają bez pomocy? Albo widok stosów odjętych rąk, nóg i innych kawałków ciała leżących tam, gdzie pracują chirurdzy?

Nagle przypomniał sobie opowieść Paula o bitwie pod Frydlandem nad rzeką Alle. Rannych Francuzów, Polaków i Rosjan zwożono do miasteczka promem. Dozór nad ich przeprawą miała polska kompania. Gdy podpływał prom z rannymi, dowódca kompanii decydował, kto ma być przeniesiony do lazaretu, a kto uznany za śmiertelnie rannego i utopiony. Żołnierze ze łzami w oczach chwyтали się burt, lecz ich odrywano i wrzucano do rzeki.

– Nawet ciężko ranni powinni dostać pomoc – cicho powiedziała Muriel. – Dlaczego nie ma więcej lekarzy?

„Bo taniej jest wcielić do armii nowego rekruta, niż naprawiać zepsutego” – pomyślał.

– Bonaparte zmniejszył liczbę szpitali wojskowych najpierw do trzydziestu, potem do szesnastu, i tylko cztery z nich szkoliły lekarzy do pracy wojennej. Oficerowie zdrowia to niezbyt szanowana profesja.

– Raczej niebezpieczna – sprostowała. – Medycy są przecież tuż obok żołnierzy na polu bitwy.

– Tak, bo pierwszą czynnością jest opatrzenie ran, żeby żołnierze nie umierali z upływu krwi, dopiero drugą ewakuacja. Doktor Dominique Larrey jako pierwszy napisał o „złotej dobie”: żołnierz ma szansę przeżycia, jeśli trafi do lazaretu nie później niż dobę po zranieniu. Często jednak bitwa trwa cały dzień, w nocy zaś łatwo przeoczyć nieprzytomnego leżącego wśród trupów.

– Dlaczego żołnierze od razu nie wynoszą swych rannych towarzyszy z pola walki?

– Bo im tego nie wolno. Kiedyś koledzy sadzali rannego na karabinie i we dwóch transportowali do lazaretu, a jeśli był nieprzytomny, to nieśli na pelerynie. Bonaparte jeszcze podczas kampanii włoskiej tego zakazał.

Zamyśliła się.

– No tak. Jeśli jest tysiąc rannych i każdego niesie dwóch kolegów... Pułki topnieją w oczach – powiedziała.

– Dlatego jesteśmy tak blisko walczących, jak tylko się da. Ci, którzy mogą chodzić, łatwo nas

znajdują, a my na polu, pod gołym niebem, tamujemy krew, opatrujemy, amputujemy.

– A te wstążki?

– Przydają się po bitwie albo podczas oblężenia. Jeden z lekarzy ocenia rannych i zawiązuje wstążkę w odpowiednim kolorze: żółtą na oznaczenie ran głowy i szyi, zieloną ran klatki piersiowej, i tak dalej, ci zaś, którzy ich potem opatrują, od razu wiedzą, czym się zająć i w jakiej kolejności.

Do izby zajrzał sanitariusz.

– Podać kawę, panie doktorze?

– Napije się pani? – spytał Gaston.

– Nie, dziękuję. Nie lubię kawy.

– Co w takim razie pani pije? Czekoladę?

– Wodę, mleko, czasem wino. Ale nie chce mi się pić.

Gaston machnięciem ręki odesłał sanitariusza.

– Jeśli można, chciałabym zobaczyć pana narzędzia.

Odpiął od pasa ładownicę i rozwinął pokrowiec z ciemnoczerwonej skóry.

Z nabożeństwem oglądała składane noże, nożyczki, pincety, podważkę, sondy, turnikiet.

– To zmodyfikowany turnikiet. Ten, o którym mówił doktor Gobel – powiedział Gaston, wskazując półokrągłe poduszeczki obciążone skórą. – Na żołnierzach chyba jednak nie uda się go pani wypróbować. Kobieta opatrująca udo obcego mężczyzny to nie do pomyslenia.

– Pan przecież leczy także kobiety, pomaga rodzącym.

– To co innego.

– Dlaczego?

– „Dlaczego” to pani ulubione słowo?

Uśmiechnęła się.

– Moja babcia tak twierdziła.

– Skąd pani pochodzi?

– Z Jegli... – zająknęła się. – A właściwie to z Koborowa.

– Barbarzyńskie nazwy – wyrwało mu się. – Przepraszam, nie chciałem pani urazić.

Potrząsnęła głową. Już się nie uśmiechała.

– To w Księstwie Warszawskim? – spytał, przeklinając w duchu własną głupotę.

– W Polsce. Niedaleko Krakowa, dawnej stolicy.

Przypomniał sobie mapę Europy. Kraków leżał chyba w Austrii. Postanowił, że przy najbliższej okazji wypyta o to miasto kapitana Kochańskiego.

– Jak się pani znalazła tu, w Hiszpanii? – pytał dalej, by zapomnieć o jego niewczesnej uwadze.

Długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

– W listopadzie dziewięćdziesiątego drugiego roku przyjechałam z ojcem do Paryża. Poznałam tam hrabiego de Vossa, wyszłam za niego za mąż i w marcu następnego roku zamieszkałam w jego domu nad oceanem. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam morze.

Usłyszał w jej głosie tęsknotę, ale coś jeszcze.

– Nad oceanem? W Bretanii? – spytał.

– W Les Conches koło Longeville – rzekła cicho.

„W Wandei – pomyślał ze zgrozą. – Jak jej się udało wydostać z tego piekła?”

Przerażenie chyba odmalowało się na jego twarzy, bo powiedziała:

– Mój mąż zginął, gdy armia rewolucyjna równała Wandę z ziemią. Mnie udało się uciec. Trafiłam tutaj, do Hiszpanii.

Jej zielone oczy pociemniały. Od wojny w Wandei minęło ponad piętnaście lat, ale czas nie stępił jej bólu.

– Pamięta pani podporucznika Piotra Mierzejewskiego? – szybko zmienił temat.

Pokiwała głową. Mówiła bardzo niewiele jak na kobietę.

– Zginął tego samego dnia, gdy zobaczyłem panią studiującą anatomię na pobojuwisku. Bałem się wtedy, że już nigdy pani nie spotkam... – Urwał. – Rodem był spod Krosna.

– Wiem.

– Myślałem, żeby zawiadomić jego bliskich.

Jej oczy się rozjaśniły. Gdy wymówiła słowo „Longeville”, miały kolor indygo, jak Ocean Indyjski. Teraz były niebieskozielone jak Atlantyk.

– Napiszę list do jego rodziców. Mówił mi o nich.

Gaston przypomniał sobie rozwlekłą opowieść porucznika. Przez tydzień opowiedział jej pewnie całe swoje życie.

– Wyślę ten list naszą pocztą wojskową. Wypytywałem go... – Urwał, zanim mu się wymknęło „o panią”. – Wypytywałem go o pani sposoby leczenia. Powiedział mi, że uzdrowiła pani pokąsanego przez wściekłego psa. Ale to przecież niemożliwe. Zmyślił to? Nie wyglądał na łgarza.

– Chyba nigdy w życiu nie skłamał. A co do tego pokąsanego... Widziałam kiedyś, dawno temu, człowieka chorego na wściekliznę. To był straszny widok. I kiedy przyszła do mnie kobieta i błagała, żebym uratowała jej synka, którego pogryzł wściekły pies, nie chciałam iść do wsi. Ale tak płakała... Z daleka widziałam, który to dom, bo z całej okolicy zbiegli się ludzie. – Na moment zapatrzyła się w dal, jakby znów widziała tłum zwabiony przerażającym widowiskiem. – Chłopiec miał dziesięć lat. Leżał w izbie na sienniku. Nie jadł od dwóch dni, a gdy matka próbowała wlać mu do ust trochę wody, dostawał drgawek. Czasem któryś z gapiów zbliżał do jego twarzy chustkę, a on chwycił ją zębami, warcząc jak zły pies. Wszyscy pokazywali sobie pianę w kącikach jego ust.

– Typowe objawy – powiedział słuchający uważnie Gaston. – Widziała pani psa, który go pokąsał?

– Nie. Od razu go zatłukli. Zobaczyłam jednak, że znaki zębów na ramieniu były tylko siniakami, a skóra nie została przecięta. W tym dziecku było coś dziwnego. Przypomniałam sobie, jak babcia mi opowiadała o leczeniu hysterii, i postanowiłam spróbować, czy nie zadziała sugestia. Nie miałam w końcu nic do stracenia. Kazałam wszystkim wyjść, zasłoniłam okno i wprowadziłam Luismiego w trans. Gdy zasnął, opowiedziałam mu, w jakie zdumienie i zachwyty wprawi wszystkich, gdy nagle ozdrowieje, i poleciłam mu, żeby obudził się zdrowy za godzinę. To była chyba najdłuższa godzina w moim życiu. – Uśmiechnęła się.

– I co? – niecierpliwie zapytał Gaston.

– Po godzinie Luismi podniósł się na łóżku, oświadczył, że jest zdrowy i że okropnie chce mu się jeść.

– Co za niezwykła historia! Żeby podjąć się leczenia wścieklizny i zastosować do tego hipnozę!

– Cóż... Nie jestem lekarzem i nie wiedziałam, że w takim wypadku wyleczenie jest niemożliwe.

Rozdział 7

Sztylet mistrzów z Murano



– Co robisz, człowieku?! – zawołała Muriel, wychylając się przez szpitalne okno.

Uniosła spódnicę i pędem wybiegła z pokoju.

Gaston podszedł do okna. Nic specjalnego się nie działo. Żołnierze jak co dzień maszerowali pod mury Saragossy, inni, pokryci brudem i krwią, stamtąd wracali. Jakiś francuski porucznik dragonów szarpał i okładał trzcina opornego konia, w końcu zeskoczył na ziemię i rzucił wodze ordynansowi.

– Oćwicz ją porządnie! – rozkazał, zdejmując mantelzak z łęku siodła. – Co za głupia kobyła!

Muriel natarła na niego jak furia. Pierś jej falowała, oczy ciskały gromy.

– Nie ma głupich koni! – krzyknęła.

Dragon zmierzył ją ironicznym spojrzeniem.

– Naprawdę? Znasz się na koniach, kobieto? To zrób coś, żeby ta kobyła mnie słuchała.

Muriel na moment zamarła, potem się wyprostowała, dumnie uniosła głowę i wykonała dłonią taki gest, jak władczyni, która łaskawie pozwala przemówić swemu słudze. Bił od niej lodowaty chłód, który Gaston poczuł mimo oddalenia. Była królową, złą królową, bez mrugnięcia okiem skazującą poddanych na śmierć.

Gaston widział w Londynie Fanny Abington, pannę Dumesnil w Théâtre-Français, Louise Desgarcins, panią Bellecour, Rose Vestris, Julie Candeille w Comédie-Française, żadna jednak nie mogła się równać z tą kobietą. Narzucił płaszcz, by młody porucznik wiedział, że ma do czynienia z pułkownikiem, i wyszedł przed szpital, żeby z bliska obejrzyć spektakl.

– Koń to delikatne zwierzę. Nie wolno go bić aniszarpać – powiedziała dobitnie Muriel.

I znów Gaston był świadkiem czarodziejskiej przemiany. Twarz Muriel złagodniała, linie ciała nabrały miękkości.

– Na wojnie więcej koni ginie z powodu złego traktowania i braku opieki niż od kuli.

Muriel mówiła spokojnym, niskim głosem, a porucznik i jego ordynans stali na baczność i wyglądali jak zahipnotyzowani.

Wyciągnęła rękę, a ordynans natychmiast podał jej wodze.

Pogłaskała konia po szyi, po czole, potem zbliżyła twarz do końskiego pyska, mówiąc coś cicho.

Klacz, która dotąd kręciła się niespokojnie, pochrapywała i rozglądała się rozbieganymi oczyma, powoli się uspokajała. Gaston widział, jak odpręża się jej ogon, do tej pory wciśnięty w zad, jak coraz wolniej poruszają się uszy. Nagle cicho zarżała, jakby od dawna znała Muriel i mówiła: „Witaj”.

„Ona naprawdę jest czarownicą – pomyślał. – Zaczarowała tego konia i jego właściciela”.

Dotknęła końskiej nogi, a klacz zaraz ją uniosła.

Gaston patrzył, jak Muriel ogląda kopyto, nachyla się nad nim i wacha je.

– Podejdz – zwróciła się do ordynansa. – Kopyta tego konia gniją. Czujesz?

Żołnierz pokiwał głową, a Muriel puściła nogę klaczy i pogłaskała ją po szyi.

– Rozsiodłaj ją! – poleciła.

Ordynans zdjął siodło i brudny, pomarszczony czaprak, odsłaniając jątrzące się rany.

Porucznik spojrział na nie i się zmieszał.

– Nasz pułkowy weterynarz zginął pod Tudelą. Na razie nie przysłano nowego – zaczął się tłumaczyć.

– Wyleczę pańskiego konia – powiedziała Muriel.

Gaston już otwierał usta, by potwierdzić kwalifikacje Muriel, gdy porucznik rzekł:

– Jeśli pani tak łaskawa... Oczywiście zapłacę.

– Nie chcę pieniędzy. – Głos Muriel znowu przypominał syreni śpiew. – Ale za to pan już zawsze będzie dbał o swego konia. Nie będzie pan mógł znieść smrodu z jątrzących się ran, który zawsze się ciągnie za kolumną jazdy.

Porucznik stał nieruchomo, potem nagle zasalutował, jakby się przebudził.

– Jak ona ma na imię? – spytała Muriel, głaszcząc czoło klaczy.

– Mirra.

– Ładnie. Proszę przyjść za kilka dni tu, do szpitala. Powiem, kiedy będzie pan mógł ją odebrać.

Porucznik i jego ordynans zrobili w tył zwrot i odmaszerowali.

Gaston podszedł do Muriel.

– Zahipnotyzowała ich pani. Zrobiliby wszystko, co by im pani nakazała – powiedział. – I co pani pocnie z tym koniem? – dodał. – Nie mamy stajni.

– Stajnia nie jest koniom potrzebna. – Zamilkła.

– Zna się pani na koniach i na ich leczeniu – stwierdził raczej, niż zapytał.

– Wszystkiego nauczyłam się od brata.

„Ma więc brata. Pewnie starszego. Jest dla niej wzorem” – pomyślał.

– Widać, że kocha pani konie i one odwzajemniają się pani tym samym.

– Najbardziej lubię araby. Do niczego się nie nadają, ani do wyścigów, ani do pracy, są tylko piękne. I wspaniale się na nich jeździ. Ale myli się pan co do miłości koni. Owszem, mają wyborną pamięć. Nawet po latach rozpoznają swego opiekuna, tak samo jak kogoś, kto zrobił im krzywdę. Ale żaden koń nie będzie bronił człowieka, gdy napadną go wilki. Ucieknie, by ratować życie.

– No cóż, jeśli ktoś ma pecha i natknie się na wilki...

– Mój brat zawsze mówił, że wilki nie zabijają pechowych jeleni, tylko słabe.

Gaston się roześmiał. I nagle uprzytomnił sobie, jak dawno już nie śmiał się głośno.

– Słyszałem różne historie o koniach. Może nie o rzucaniu się na stado wilków, ale o innych dowodach przywiązania. A już polscy lansjerzy są jak centaury: całkiem zjednoczeni z koniem.

– Ludzie opowiadają niestworzone rzeczy. Większość jest wyssana z palca. Nie warto w nie wierzyć, chyba że... chyba że dotyczą kruków. Wie pan, że one umieją latać na grzbiecie?

Przypomniał sobie kruka, którego kiedyś widział na jej ramieniu, i już miał o niego zapytać, gdy zmieniła temat.

– A lansjerzy... Słyszałam, jak jeden francuski generał powiedział, że Polacy są dobrymi lansjerami, bo od dziecka z lancą w ręku pasają bydło. To jedna z tych niestworzonych historii. Ale zaprzeczać nie ma sensu, bo Francuzi wszystko wiedzą najlepiej, podobno nawet w Algierii Arabów uczą mówić po arabsku.

– Jestem Francuzem, ale niech mi pani nie ma tego za złe – zażartował.

Uśmiechnęła się.

– Muszę dziś wcześniej wracać, bo droga z Mirrą zajmie mi więcej czasu.

– Nic pani nie jadła – zaprotestował. Nie chciał, żeby już odjeżdżała.

– Nie jestem głodna.

„Zostań jeszcze chwilę”. Gorączkowo myślał, jak ją zatrzymać.

– Czy pani wie, że Muriel to po arabsku „mirra”?

Pokręciła głową, ruszając w stronę furgonu, gdzie rano przywiązała swego konia. Wsiadła na niego, Gaston podał jej wodze Mirry, a potem patrzył, jak odjeżdża.

Westchnął ciężko. W tej samej chwili w drzwiach stodoły, gdzie leżeli lżej ranni, pokazał się porucznik Jurgaszko. Gaston szybko odwrócił głowę i mógł tylko mieć nadzieję, że Polak nie zauważył malującego się na jego twarzy cielecego zachwyty.

Nadzieja prysła, gdy Jurgaszko, oddalając się w stronę swej kwatery, zaczął śpiewać, i to tak głośno, że Muriel musiała słyszeć słowa piosenki:

Oto godzina, cnotliwa Palmiro,
godzina, w której rozłączasz się ze mną.
Czas ci myśl moję opowiedzieć szczerą

i odkryć miłość dotychczas tajemną.
Ręka, co-ć daję na to pożegnanie,
zaręczać będzie to moje wyznanie.
Gdy w oczach moich nie umiałaś czytać,
co łzy dla ciebie wylane znaczyły,
ni o mój smutek nie chciałaś się pytać,
ni cię wyrazy wierne oświeciły –
co smutek i co łzy nie mogły szczere,
usty wyrażam, że kocham Palmirę.



Następny dzień zaczął się źle. Muriel nie zjawiała się o zwykłej porze i Gaston co chwila biegł do okna, by zobaczyć, czy przypadkiem nie nadjeżdża. Potem żołnierze przynieśli zalanego krwią Fabrice'a Flandina. Gerylasi postrzelili go, gdy wracał ze swym oddziałem z Mirandy, dokąd odprowadził kolumnę hiszpańskich jeńców.

Gaston obmył głowę Flandina z krwi i obejrzał ranę.

– Rykoszet. – Odetchnął z ulgą. – Czaszkę masz całą. Zszyję to i będziesz jak nowy.

Kończył zakładać szwy, gdy do sali weszła Muriel. Zajęty rannym kolegą, na chwilę zapomniał o swym niepokoju i dojmującej tęsknocie.

– Już zaczynałem się o panią martwić – powiedział z udawaną obojętnością.

Skinęła mu głową z uśmiechem. Tak zwykle się witała. Nigdy nie podawała mu ręki, nigdy też nie słyszał, by używała polskiego powitania: „Jak się masz?”, na które się odpowiada: „Jak się masz?”. Dziwne powitanie, złożone z dwóch pytań, a żadnej odpowiedzi.

Podeszła bliżej i nagle zbladła jak ściana. Bricard, który przy drugim stole sondował ranę, rzucił narzędzia i podbiegł do niej.

– Słabo pani? Zaraz przyniosę wody. Albo może lepiej wina? – pytał z niepokojem w głosie, podsuwając jej taboret.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Siedziała z zamkniętymi oczami. Na jej czole perlił się pot.

Bricard wrócił po minucie z kieliszkiem wina.

– Proszę wypić – polecił.

Dreptał wokół Muriel jak zaniepokojona kura wokół pisklęcia.

– Jadła pani coś dzisiaj? – spytał Gaston.

Kiwnęła głową.

Zastanawiał się, co mogło spowodować tak nagłe załabnięcie. Na pewno nie widok rannych czy krwi, bo była na nie odporna. Chirurgia to nie jest zajęcie dla kobiet, ona jednak pewnie trzymała nóż, cięła bez wahania, bez najmniejszego drżenia ręki. Nie wierzył własnym oczom, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak zagłębia nóż w ciele i jak prowadzi cięcie. Wydawało się, że nie słyszy

jęków rannego, a jednocześnie reagowała na każdą w nich zmianę.

„Może tej klaczy pogorszyło się w nocy i czuwała przy niej?” – zastanawiał się.

Nagle go olśniło. Tak samo gwałtownie zareagowała na widok Flandina podczas niedawnego obiadu. Coś ich łączyło? Może ją porzucił?

„Nie, to niemożliwe. Takich kobiet się nie zostawia”.

Spojrzał na Flandina, ten jednak leżał z zamkniętymi oczami, oszołomiony jeszcze laudanum.

Gaston przywołał sanitariuszy.

– Zanieście go do furgonu, na wolne łóżko u mnie – polecił. A zwracając się do Flandina, dodał: – Zabieram cię do siebie. To lekka rana, zagoi się prawie bez śladu. Nie mogę jednak pozwolić, by się zapaskudziła. Twoja narzeczona by mi nie wybaczyła, gdybyś szedł do ołtarza z czerwoną blizną na pół twarzy.

Kiedy sanitariusze wynieśli Flandina, podszedł do Muriel. Nie była już taka blada, oczy miała przytomne.

– Bricard, niech pan wraca do sondowania tej rany, bo żołnierz się wykrwawi – rzucił.

Udając obojętność, ujął rękę Muriel i zbadał puls.

– Co się stało? – spytał.

Otworzyła usta, jakby chciała odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła.

Puls był miarowy. Gaston niechętnie puścił jej rękę.

– Dziś zje pani z nami obiad – zarządził. – Za dużo pani pracuje, a za mało je.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do sali wpadł Vernet.

– Słyszeliście?! – zawołał. – Palafox przysłał adiutanta z listem do marszałka Lannes’a, żeby ustalić warunki kapitulacji! Koniec oblężenia!

W całym obozie zapanowało poruszenie. Nie był to jeszcze koniec oblężenia – ataki na Saragosę nie ustały, na każdy wystrzał francuskiej artylerii Hiszpanie odpowiadali ogniem, ale nadzieja wstąpiła we wszystkie serca.

Plotki szerzyły się po obozie jak ogień: „Palafox umarł!”, „Nie, żyje, ale oddał władzę cywilną i wojskową”, „Poprosił o trzydniowy rozejm”, „O tygodniowy. Chce się spotkać z królem Józefem”, „Saragosyjczycy mają wyjść z miasta i dołączyć do armii hiszpańskiej”, „Lannes powiedział, że się zgadza”, „No, na to Lannes na pewno się nie zgodzi”.

Muriel szybko doszła do siebie i pracowała jak co dzień. Gaston obserwował ją spod oka.

– Jak Mirra? – spytał, gdy napływ rannych na chwilę ustał.

– Mirra? – powtórzyła. – Ach, Mirra! Strzałka zaczęła jej gnić od stania w błocie. Ale umyłam chore kopyta, wysuszyłam, posmarowałam dziegciem. Stoi sobie teraz na suchej słomie i odpoczywa.

– Zamilkła, spuściła oczy. – Pański przyjaciel... major Flandin... się żeni?

– Tak, jesienią, z córką generała Sauniera. Ale nie nazwałbym Flandina przyjacielem, raczej kolegą.

– Od dawna go pan zna?

– Od Austerlitz. Wyróżnił się tam. Dostał krzyż Legii Honorowej.

– Pójdę się czegoś napić – powiedziała nagle i wyszła.

Gaston musiał wrócić do opatrywania chorych. Dopiero po jakiejś godzinie, gdy zmienił go Paul, poszedł szukać Muriel. Nigdzie jej nie było, nikt jej nie widział.

„Pojechała do domu?” – zastanawiał się, idąc w stronę furgonu, gdzie zawsze przywiązywała swego konia.

Koń spokojnie wyciągał siano z zawieszanej na haku siatki. Gaston go pogłaskał.

– Szkoda, że nie umiesz mówić. Na pewno wiesz, gdzie jest twoja pani.

Koń spojrzał na niego bystro, potem przeniósł wzrok na siedzącego u wrót stodoły sanitariusza. Gaston mógłby przysiąc, że wskazał go oczami.

– Widziałeś panią de Voss? – zapytał.

– Zmienia opatrunek majorowi Flandinowi. Kazała sobie nie przeszkadzać – odrzekł sanitariusz.

„Jaki opatrunek? – pomyślał Gaston. – Ten, który założyłem godzinę temu?”

Nagle zrozumiał. Chciała być z nim sam na sam.

Poczuł, jak krew napływa mu do twarzy, pięści i zęby same się zaciskają, a serce zaczyna gwałtownie bić. Dysząc, ruszył w stronę schodów furgonu. Potknął się, bo wściekłość zmała mu wzrok, i o mało nie upadł. Nigdy wcześniej nie doświadczył mąk mężczyzny, który właśnie się dowiedział, że żona go zdradza.

Tylko że ona nie była jego żoną. Nie miał prawa jej śledzić.

Tak myśląc, cicho jak kot wszedł do furgonu. Lekarze często musieli wstawać do chorych w środku nocy, dbali więc, by zawiasy były dobrze naoliwione i nie budziły wszystkich skrzypieniem. Przeszedł przez dawny pokój Bricarda i Verneta, podszedł do ostatnich drzwi i przyłożył do nich ucho.

Cisza.

Drzwi nie miały zamka i nie mógł zajrzeć przez dziurkę od klucza. Położył się na podłodze i starał się złowić jakiś odgłos. Nic. W pokoju paliła się świeca, widział jej poblask w szparze pod drzwiami.

Musiał zobaczyć, co się tam dzieje. Furgon nie miał okien, trzeba więc było otworzyć te drzwi.

„Nie mam prawa” – pomyślał, naciskając klamkę.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Światło świecy zafalowało pod wpływem prądu powietrza.

Muriel siedziała na łóżku przy śpiącym Flandinie. Odwróciła głowę i spojrzała Gastonowi prosto w oczy. W ręce miała coś błyszczącego. Dopiero po chwili rozpoznał ten przedmiot: szklany sztylet mistrzów z Murano. Jego cienkie jak igła ostrze jest zatrute. Białe w ciało ułame się i nikt nie zgadnie, że ktoś został ukłuty i dlatego nie żyje.

Gaston odwrócił się na pięcie i wyszedł z furgonu. Czuł, jak ze zdenerwowania drga mu powieka.

„Ona nie może zrobić nic złego – powtarzał sobie. – Wszystko, co robi, ma głębszą przyczynę”.

Muriel wyszła po jakimś kwadransie. Znowu spojrzała mu prosto w oczy. Bez słowa podprowadziła konia pod schody furgonu, wskoczyła na siodło, skinęła Gastonowi głową i odjechała.

Rozdział 8

Miasto bohaterskie



Miasto walczyło sześćdziesiąt trzy dni.

Przez ponad dwa miesiące jego mieszkańcy wiedli nierówną, heroiczną i osamotnioną walkę, której celem było wyzwolenie Hiszpanii spod francuskiej okupacji, uwolnienie od francuskich i polskich wojsk. Ta walka, podczas której każdy dom zmieniał się w twierdzę, a na barykadach stanęła cała ludność: chłopcy, młodzi mężczyźni i starcy, zakonnicy i księża, nawet kobiety, przyniosła miastu zagładę. W ciągu dziewięciu tygodni bombardowań i walk ulicznych większa część budynków legła w guzach, a więcej niż połowa z jego stu tysięcy mieszkańców zginęła lub umarła z chorób i głodu.

„Naród, który potrafi wykrzesać z siebie tak powszechne bohaterstwo, jest narodem nieśmiertelnym – pomyślał Gaston. – Ci, którzy zginęli, już zwyciężyli, a ci, którzy żyją, dalej będą walczyć, dopóki ostatni francuski i polski żołnierz nie ucieknie za Pireneje”.

Gdy latem zeszłego roku po raz pierwszy zobaczył Saragosę, zachwyciły go niezliczone wieże rysujące się na tle błękitnego nieba, zwaliste sylwety klasztorów, masywne bramy, wysadzone wiązami aleje prowadzące z willowych przedmieść pod same miejskie mury, sady, winnice na wzgórzach, gaje oliwne, w końcu dwie rzeki, Ebro i Huerva, oblewające miasto jak Symois i Skamander Troję. Teraz domy były zburzone, drzewa powycinane. Tej zimy woda w rzece nieraz robiła się czerwona, tak jak to w *Iliadzie* opisywał Homer. Tylko że to działo się naprawdę.

„Już pagórek, już wiatrem kołysane figi, już wreszcie omijają wdzięczne okolice, gdzie tryskają Skamandru dwoiste krynice”.

– O czym pan myśli, doktorze?

Gaston się odwrócił.

– Przypominam sobie *Iliadę*.

– *Nec locus, ubi Troia fuit* – powiedział kapitan Kochański z melancholijnym uśmiechem.

– Nie, to miasto nie zniknie bez śladu, jak Troja. Podało się, gdy obrońcy stracili nadzieję na zwycięstwo i zrozumieli, że nie doczekają się odsieczy. Na pewno jednak się odrodzi.

– Jest pan dziś w podniosłym nastroju. A my w pułku właśnie mówiliśmy, że tak naprawdę nie zdobyliśmy Saragossy, bo ona już nie istnieje.

Milczeli, patrząc na dymiące za murami gruzy. Powiał wiatr i razem z dymem przyniósł fetor palących się ciał.

– Podobno w mieście panuje tyfus. To nie będzie triumfalny wjazd – powiedział Gaston, myśląc, że na cmentarz wchodzi się cicho, z odkrytą głową.

– Pan nie był za murami, prawda?

– Nie.

– Saragossa ma tylko jedną szerszą ulicę, Coso. Pozostałe są tak wąskie, że w parę minut można zbudować barykadę. Barykada co kilkadziesiąt kroków... Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Miasto albo nie ma murów i się do niego wchodzi, choćby gwałtem, albo jest obronne i trzeba je oblegać. Ale gdy zdobędzie się mury i rozbije bramy, to się poddaje. Kto to widział, by walczyć na ulicach, zdobywać dom po domu, piętro po piętrze! W dodatku przeciwko dzieciom, starcom, niewiastom, zakonnicom nawet!

– Może teraz tak już będą wyglądały wojny? Armaty zamiast ułańskich szarż, wysadzanie miast dom po domu zamiast zwycięstw na polu bitwy? Rycie tuneli, służba w paralelach, po kostki w błocie, brud, zimno. – Gaston westchnął.

– Niech pan jeszcze doda: służba w dzień i w nocy – rzekł Kochański. – Pamiętam, jak po dwóch dniach i nocach nieprzerwanej walki zdobyliśmy pierwszy dom na ulicy Pabostria. Pułkownik Chłopicki napisał wtedy w raporcie: „Terminu zdobycia domu numer dwa nie da się przewidzieć”.

Kiedy pod koniec stycznia naczelne dowództwo nad wojskami oblegającymi Saragossę objął marszałek Lannes, zarządził generalny szturm. Udało się jednak opanować tylko niewielką część miasta. Wtedy marszałek nakazał je zdobywać „krok po kroku i dom po domu”. Najpierw do akcji przystąpili saperzy, którzy robili podkopy, zakładali miny, wysadzali mury. Przez wyrwy wdzierali się Polacy i Francuzi, wybijali obrońców do nogi, obwarowywali się w ruinach, koszami i workami z ziemią albo wełną barykadowali wyłomy, okna i drzwi. Potem saperzy znów zakładali miny, które niszczyły kolejne domy, i tak bez końca. Niektóre budynki, a potem ich ruiny kilkanaście razy przechodziły z rąk do rąk.

Saragoskie kobiety z dziećmi gnieździły się w piwnicach, przenosząc się coraz bliżej środka miasta, w miarę jak zaciskał się polsko-francuski pierścień. Niektóre pomagały walczącym: pracowały przy młynach prochowych, robiły i roznosiły ładunki, jedzenie i picie, zagrzewały do boju albo nawet chwyciły karabin lub pałasz zabitego męża i walczyły na równi z mężczyznami.

– Jednego razu zdobywaliśmy dom przerobiony na szpital – Kochański podjął opowieść po długim milczeniu. – Hiszpanie bronili wejścia do każdego drzwi, na każde schody. Nawet chorzy, którzy mogli się podnieść, siedzieli na ławach i bagnetami bronili nam przejścia. W końcu go zdobyliśmy, pod ogniem kartaczy z naszych dział ustawionych po drugiej stronie ulicy. Hiszpanie uciekli wtedy na dach i spuszczały granaty przez komin. Musieliśmy zapalić słomę złożoną na piętrze. Nie mieli gdzie odstąpić, dusili się dymem i spadali z dachu albo ginęli w ogniu. Po walce podszedł do mnie francuski grenadier i spytał: „Jak to możliwe, że mając takich żołnierzy, wasze królestwo przestało istnieć?”.

– Giniecie na darmo – rzekł Gaston, zanim zdążył pomyśleć.

– Nie. Walczymy o wolną Polskę.

– Tutaj? W dodatku odbierając wolność innym? – zapytał Gaston. Skoro już powiedział szczerze, co myśli, nie zamierzał się wycofywać.

Kochański spojrział na niego z niemym wyrzutem. Gastonowi wydawało się, że w jego oczach czyta: „A co pan tu robi?”.

– Jeden z moich żołnierzy zapytał mnie wczoraj: „Czy Matka Boska dostrzeże nas tak daleko od domu?”. Sam nie wiem, czy chodziło mu o opiekę, czy o to, by nie widziała, co tutaj robimy na francuski rozkaz.

Na wdeptanym w ziemię krzaku winorośli przysiadł cytrynowożółty motyl. Kochański schylił się i złapał go w złożone dłonie.

– Mam go zgnieść? – spytał.

– Nie! – zawołał Gaston. – Co też panu przyszło go głowy! Niech go pan wypuści!

Kochański rozłożył dłonie. Motyl przez chwilę kołysał się na jego palcu, potem odleciał.

– Widzi pan, Polska też nie miała szans. Zgnietli nas, tak jak ja mogłem zgnieść tego motyla, gdyby pan się za nim nie ujął. – Spojrział na miasto. – Wolałbym bić Niemca albo Moskala niż Hiszpanów. Ale kiedy trzech uzbrojonych po zęby zbójów napada na bezbronnego, to on się nie targuje, gdy ktoś oferuje mu pomoc. Walczymy w obcej sprawie, abyśmy kiedyś, my albo nasi synowie, odwojowali ojczystą ziemię.

Gaston bez słowa wyciągnął rękę, a Kochański ją uściśnął.

– W południe garnizon Saragossy wyjdzie z miasta i złoży broń o sto kroków od bramy Portillo. Moi żołnierze szykują się na paradę. Wzięli sobie za punkt honoru, by prezentować się jak najlepiej. – Kapitan uśmiechnął się lekko. – Dziwna ta cisza – dodał.

Skinął Gastonowi i poszedł w stronę obozu.

Świeciło słońce, wiał ciepły wiatr. Armaty zamilkły i z daleka dobiegał śpiew jakiegoś ptaka. Zima minęła. Tego roku w Aragonii była łagodna. Rzadko padał deszcz, śniegu nie było wcale.

Na murach i przy bramach Saragossy stały jeszcze hiszpańskie straże. Gdy któryś z Francuzów albo Polaków za bardzo się przybliżył, wartownicy mierzyli z karabinów, groźnie wołając: „*Atrás!*”, „Cofnąć się!”.

Od strony Monte Torrero, przez mosty na Huervie, potykając się czasem o pieńki pozostałe po wyciętych drzewach oliwnych, żołnierze maszerowali do bramy Portillo przy mauryjskim zamku Aljaferia. Nie było po nich widać trudów ostatnich tygodni: wyczyścili karabiny do blasku, podziurawione przez kule płaszcze pozwijali na tornistrach. W samo południe pojawił się marszałek Lannes ze sztabem. Przejechał z wolna przed frontem, wołając: „Wyrównać szeregi!”.

Gaston spodziewał się, że marszałek wygłosi jakąś mowę, ten jednak nic więcej nie powiedział.

Przy bramie wszczął się ruch: to z miasta wychodzili Hiszpanie. Najpierw ukazała się przednia straż – gromada idących bezładnie młodych mężczyzn, z których żaden nie przekroczył dwudziestki, w cywilnych szarych płaszczach, z czerwonymi kokardami u kapeluszy, z papierosami w ustach. Składali broń, a potem ustawiali się naprzeciwko francusko-polskich wojsk. Przez bramę ciągnęli już następni: niektórzy w mundurach, większość jednak w zwykłym chłopskim odzieniu. Oddziały prowadzili jadący na mułach lub osłach oficerowie w trójrożnych kapeluszach, spod których spadał im na plecy gruby harcap.

Gaston próbował ocenić, ilu ich było. Dziesięć tysięcy? Dwanaście?

Żołnierze ze 116. i 117. pułku piechoty obiegali Hiszpanów jak owczarki stado owiec, próbując sformować kolumnę marszową. Jeńcy nie zwracali na nich uwagi: palili papierosy, rozmawiali. Wydawało się, że czekające ich wygnanie jest im zupełnie obojętne.

Generał Morlot, który miał odprowadzić do Francji jako jeńców wojennych tych, co odmówili złożenia przysięgi na wierność królowi Józefowi, ciągle nie dawał znaku do wymarszu. Po chwili Gaston zrozumiał, na co jeszcze czekano – w bramie znów pojawili się hiszpańscy żołnierze poganiani i bici kolbami przez Francuzów i Polaków. Gdy i ci, wyciągnięci z domów i piwnic, gdzie próbowali się ukryć, dołączyli do kolumny, pochód ruszył.

Marszałek Lannes odjechał ze swym sztabem, żołnierze odmaszerowali do obozu.

Gaston podszedł do bramy Portillo. Zza muru wyłoniła się straż.

– *Halte-là!* Panie pułkowniku, pojedynczym wojskowym wstęp do miasta wzbroniony.

– Wiem, sierzancie – niedbale odrzekł Gaston. – Ale ten zakaz nie obejmuje urzędników zdrowia – zmyślił naprędce. – Jestem Gaston Laval, lekarz wojskowy pierwszej klasy.

Sierzant stanął na baczność, pozwalając mu przejść.

Gaston nieraz się przekonał, że lekarze budzili w niektórych żołnierzach niemal zabobonny lęk. Często w takich sytuacjach jak ta pomagało mu także nazwisko: sądzono, że jest spokrewniony z generałem Anne-Gilbertem de Lavalem. Wysokiego, śniadego Gastona łączyło z niskim, bladym, mizernym generałem tylko jedno podobieństwo – obaj zwykle chodzili w surducie. Żołnierze lubili pozbawionego wyniosłości de Lavalą, a z powodu tego szarego surduta nazywali go Młynarzem.

Rozciągający się za bramą plac zawałały gruzy, resztki mebli, wiklinowe kosze, worki z piaskiem. Wszystkie budynki stanowiące część murów lub położone w ich pobliżu były zrujnowane. Gaston chciał zobaczyć ulicę Coso, o której tyle słyszał, lecz nie było kogo zapytać o drogę. Nieliczni mieszkańcy na widok jego niebieskiego płaszcza rozptywali się wśród ruin jak duchy.

Ruszył przed siebie. Szybko wpadł w labirynt uliczek tak wąskich, że rozłożywszy ręce, mógł dotknąć murów po obu ich stronach. Co chwila natykał się na barykady. Czasem dało się przez nie przejść, najczęściej jednak musiał je obchodzić przez wnętrza zrujnowanych domów. Uciekały przed nim wychudzone koty, raz i drugi minął ludzi w milczeniu siedzących przy wątłym ognisku. Na ścianach były wypisane węglem numery pułków, batalionów i kompanii, czasem jakieś imiona albo sentencje.

„Miłość i gówno to dwie kanalie. Jedno szkodzi sercom, drugie murom” – przeczytał. Rzeczywiście, niektóre domy były tak zanieczyszczone, że trudno było przejść.

Smród odchodów, swąd spalenizny, wydobywający się z piwnic trupi odór w końcu zaczęły go dusić i zapragnął wydostać się na wolną przestrzeń. Ulicy Coso i tak sam nie znajdzie, zresztą widział już za dużo.

Spojrzał na słońce i zaczął się kierować na północ, w stronę bramy Carmen. Trafił na jakąś szerszą, prostą ulicę, która otwierała się na plac. Jedną jego pierzeję tworzył kościół. Gaston doszedł do końca ulicy i stanął jak wryty. Cały plac był zasłany trumnami ustawionymi jedna na drugiej oraz

zawiniętymi w prześcieradła zwłokami tych, dla których nie starczyło trumien. Klęczały przy nich modlące się kobiety i dzieci, wychudzone, z płonącymi gorączką oczami.

Drzwi kościoła były rozbite. W świetle padającym przez podziurawiony pociskami dach Gaston zobaczył zawalony trumnami przedsionek oraz nawę wypełnioną ubranymi na czarno modlącymi się ludźmi.

Odwrócił się i pobiegł przed siebie labiryntem ulic. Byłby może wpadł do jakiejś piwnicy i zginął tam marnie albo oberwał nożem od jakiegoś żądnego zemsty mieszkańca, gdyby nie natknął się na francuski patrol. Żołnierze odprowadzili go do bramy Portillo. Gdy ją zobaczył, był tak szczęśliwy, że dał im po złotym napoleonie.

Koło furgonu czekał na niego porucznik Jurgaszko.

– Przyszedłem zaprosić pana do nas na kolację – powiedział. – Był pan w mieście? – dodał, patrząc na uwalany pyłem płaszcz Gastona.

Gaston pokiwał głową.

– Mamy dużo wina. Niech pan przyjdzie koło szóstej. Pańscy koledzy też będą mile widziani.

W pierwszej chwili Gaston chciał odmówić. Potem jednak pomyślał, że lepiej napić się z Polakami, niż siedzieć w furgonie i rozpamiętywać obrazy, które widział w mieście, albo się zastanawiać, czy kiedyś jeszcze zobaczy Muriel.

Dał jednemu z sanitariuszy płaszcz, aby go wyczyścił, obmył się, włożył świeży surdut i poszedł do szpitala, mając w sercu isierkę nadziei, że Muriel tam będzie.

– Pani de Voss nie ma już trzeci dzień – oznajmił mu na przywitanie Bricard. – Niepokoję się o nią. Czy pan wie, gdzie ona mieszka?

– Nie – odrzekł Gaston, myśląc, że nawet gdyby wiedział, zakochany w Muriel Bricard byłby ostatnią osobą, której by to zdradził.

– Jesteś – ucieszył się Paul. – W piątek będzie uroczysty wjazd do miasta i msza, na której saragosyjczycy złożą przysięgę na wierność królowi Józefowi. Nasz szpital na razie tu zostaje. Jutro zrobimy przegląd lżej rannych. Niektórzy na pewno będą chcieli dołączyć do pułków.

– Polacy zapraszają nas na kolację – powiedział Gaston. – O szóstej.

– Ja zostanę w szpitalu – od razu zaofiarował się Bricard. – Na wypadek gdyby przyjechała pani de Voss.

– Na wypadek gdyby coś się działo – poprawił go Paul. – A ty, Adamie? – zwrócił się do Verneta.

– Zostanę z Bricardem. Wódka mi nie służy.

Kiedy szli w stronę kwatery Polaków, Paul zapytał:

– Co się dzieje, Gastonie? Jesteś jakiś nieswój. Może zmieniłeś zdanie i chcesz zostać w szpitalu? Wiesz, że w każdej chwili odstąpię ci twoje dawne stanowisko...

– Nie, przyjacielu – przerwał mu Gaston. – Żałuję, że nie będziemy już razem pracowali, ale mam dość tej rzeźni. Zresztą nie tylko tego.

Paul spojrział pytająco.

– Wiesz, kiedy pierwszy raz pomyślałem o odejściu? Gdy kilka lat temu w Operze zobaczyłem żonę

i siostrę Bonapartego w klejnotach Burbonów.

– Rozumiem – powiedział Paul.

Za chwilę pociągnął nosem.

– Czujesz? Cała Legia Nadwiślańska szykuje świąteczną kolację.

Rzeczywiście, nad wszystkimi ogniskami wisiały kociołki, z których rozchodził się zapach duszonej wieprzowiny, gotowanego bobu, grzanego wina.

W swej kwaterze Polacy już siedzieli przy zastawionym stole. Śmiali się głośno, uderzając dłońmi po udach.

– Witamy! – zawołał kapitan Kochański na widok Gastona i Paula. – Henryczku, nalej panom wina!

Gaston spojrział na stół.

– Powinszować intendentury – powiedział.

– To prywatne zaopatrzenie – odrzekł porucznik Jurgaszko, nalewając wina. – Wstęp do Saragossy jest wprawdzie urzędowo wzbroniony i u bram postawiono strażę, ale nasi żołnierze znają tam wszystkie przejścia i żaden nie wraca z pustymi rękami. Nasz obóz jest pełen beczek wina, worków ryżu, wielkich pości słoniny.

Gaston, który nie był w nastroju do świętowania zwycięstwa, bo ciągle miał przed oczami to, co zobaczył w Saragossie, pomyślał zgryźliwie: „Tak, Polacy zawsze rabują największe rzeczy, w odróżnieniu od Francuzów, którzy kradną to, co najcenniejsze”.

– Opowiadaj dalej, Kaziu! – zawołał Kochański do porucznika Brandta. A zwracając się do Gastona i Paula, wyjaśnił: – Kazio przez krótki czas służył pod generałem Kwaśniewskim. Generał to waleczny żołnierz, nie skończył jednak szkół, nie zna żadnego języka poza ojczystym i stąd krąży o nim wiele anegdot.

– Razu jednego – zaczął Brandt – przyprowadzono do generała człowieka, którego wzięto za szpiega. Kwaśniewski kazał go obszukać. Znaleziono tylko kartkę, na której było napisane: „Rumburg”. Generał postanowił sam go wybadać i pyta: „*Sind die Waren da?*”.

Wszyscy, prócz Gastona i Paula, którzy nie znali niemieckiego, wybuchnęli śmiechem.

– „Jakie towary?”, dziwi się domniemany szpieg. Na to Kwaśniewski woła: „Nawet po niemiecku nie umie! To szpieg! Rozstrzelać go!”.

Nad Gastonem i Pauliem nachylił się Jurgaszko i dolewając im wina, szepnął:

– Generał chciał zapytać: „*Waren Sie da?*”, „Byłeś tam?”, a zamiast tego powiedział: „Czy tam są towary?”.

– Okazało się, że temu człowiekowi ktoś na kartce napisał nazwę miasta, żeby jej nie zapomniał. Ostatecznie uznano go za niewinnego i wypuszczono.

– Opowiedz jeszcze coś, Kaziu! – wołano.

Brandt nie dał się prosić.

– Generał Kwaśniewski każdą historię o swych wypadkach życiowych kończył tak: „Żebyście wiedzieli, gdzie ja byłem, oto byłem i na końcu świata”. Razu jednego któryś z oficerów zagadnął go: „Panie generale, jak też tam jest na końcu świata?”. Kwaśniewski wskazał brzeg stołu: „To jest tak,

jakby pan ten brzeg widział. Stajesz na końcu, a tam jak uciał, już dalej nie ma nic”.

Gaston udawał, że anegdoty go bawią, pił wino, jadł, ale cały czas myślał najpierw o Saragossie, która skonała na jego oczach, a potem o Muriel, której nie widział od trzech dni.

Tymczasem porucznik Jurgaszko chwycił gitarę, wziął kilka akordów i zaśpiewał, patrząc na Gastona:

Lata moje ustąpiły!
Nie wiodą tak o mnie spory,
jak się dziewczęta kłóciły
za czasów pięknej Lindory.
Dzisiaj, podstarzały,
próżno dla kochanki
i śpiewam dzień cały,
i przynoszę wianki.
Schylam się już do wieczora!
Już ja nie ten, com był wczora.

Przedtem, gdy mi młodość służy,
każda mię ujmować chciała
i do boku bukiet z róży
sama Kloe przypinała.
Dziś ledwie wyproszę,
by mi kwiatek dały,
i łudząc się, noszę
ten znak dawnej chwały.
Schylam się już do wieczora!
Już ja nie ten, com był wczora.

Rzeka w górę nie popłynie
i nie wróca się me lata,
wiek mu cały marnie zginie,
kto z młodu nie użył świata.

W pierwszej chwili Gaston poczuł gniew, zaraz jednak pomyślał, że Jurgaszko jest bystrym obserwatorem, w dodatku ma rację, i zaczął bić mu brawo.

„Muriel przecież wzięła Mirrę. Musi ją przyprowadzić do obozu i oddać temu młodemu porucznikowi dragonów. Wtedy ją zobaczę” – pomyślał. A jeśli znajdzie posłańca i ktoś inny odprowadzi konia? „Wtedy go wypytam i dobrze zapłacę, żeby mnie do niej zaprowadził”.

Humor mu się poprawił. Poczuł, jak dobre jest wino, które pili, jak smacznie przyrządzone potrawy.

– Tak samo jak po niemiecku Kwaśniewski mówi po francusku – opowiadał dalej porucznik Brandt. – Pewnego razu przysłano mu rozkaz dzienny. Generał przeczytał tytuł: „*L'Ordre du jour*” i nie chcąc dać po sobie poznać, że francuskiego nie zna, schował papier do kieszeni. Wtedy jeden z

adiutantów spytał, co jest w tym liście. „Widzisz, waćpan, jakiś nowy order mi przysłano, ale odznaczenia nie są teraz najważniejsze”. Wieczorem, gdy generał spać się położył, adiutanci, ciekawi tego nowego orderu, kazali ordynansowi wyjąć pismo z kieszeni generała. Wtedy się okazało, że zamiast orderu był rozkaz, aby brygada natychmiast udała się na nowe pozycje. Adiutanci zerwali brygadę na nogi, kazali na koń siadać, potem obudzili generała. „A cóż mi tu panowie mówicie? Czy ja czytać nie umiem? Jak byk było napisane, że to order dla mnie”.

Gaston słuchał gwaru polsko-francuskich rozmów i pił, dotrzymując kroku kompanom, choć miał słabszą niż oni głowę. Gdzieś na skraju świadomości, takim jak koniec świata generała Kwaśniewskiego, usłyszał śpiew Jurgaszki:

Potok płynie doliną,
nad potokiem jawory –
tam ja z tobą, Justyno,
słodkie pędził wieczory.

Noc się krótka zdawała,
żegnamy się z świtaniem,
miłość sen nam zabrała:
miłość żyje niespaniem.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się Nieba nie wstydził:
miłość była bez winy.

Raz się chmura zebrała,
piorun skruszył dębinę.
Tyś mię drżąca ścisłała,
mówiąc: „Sama nie zginę”.

Oto przy tym strumieniu,
oto przy tej jabłoni
wieleż razy w pragnieniu
wodę piłem z jej dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie
los rozdzielił opaczny,

znaki nasze po drzewie
popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmazały!
Las zarasta krzewiną!
Potok, drzewa zostały,
ciebie nie masz, Justyno!...

Rozdział 9

Syn rewolucji



– Panie pułkowniku! Panie pułkowniku!

Gaston z trudem otworzył oczy.

– Czego? – warknął.

Sanitariusz przestał walić w drzwi i stanął w nich na baczność.

– Melduję posłusznie, że przyjechała pani de Voss.

Gaston wytrzeźwiał w jednej chwili.

– Jest tutaj? – spytał.

– Poszła do szpitala. Powiedziała, że wróci za pół godziny.

– Przynieś mi miednicę z wodą. Szybko!

Na przekrwione oczy nic nie mógł poradzić, ale umyty i ogolony wyglądał trochę lepiej niż zaraz po przebudzeniu.

Wyszedł przed furgon i odetchnął głęboko.

„Przyjechała! Przyjechała!” – z euforią powtarzał w myślach.

Nagle zauważył, że jej konia nie ma tam gdzie zwykle. Serce na moment stanęło mu w piersi.

Odjechała?

Puścił się biegiem do lazaretu.

– Widziałeś panią de Voss? – wydyszał, widząc posługacza.

– Rozmawia z doktorem Bricardem.

„Przeklęty Bricard! Zadurzył się jak student!”

Gaston otworzył drzwi do sali, w której opatrywali rannych, i zobaczył Bricarda stojącego przy stole, wpatzonego w siedzącą naprzeciwko Muriel.

– Pliniusz Starszy wymienia dwadzieścia cztery choroby, które leczy kopiczka... – Muriel urwała i odwróciła się w stronę drzwi.

– Bałem się, że pani odjechała – powiedział Gaston.

– Nie zostanę długo – rzekła, patrząc na niego poważnie. – Przyprowadziłam Mirrę.

– Wyleczyła ją pani?

Klacz go nie interesowała, lecz przy Bricardzie nie mógł zapytać o to, co naprawdę go obchodziło.

– Tylko podleczyłam. Ale oblężenie się skończyło, wojsko stąd odejdzie i Mirra powinna wrócić do właściciela.

– Rozmawiałem właśnie z panią de Voss o Pliniuszu... – zaczął Bricard.

Gaston spojrzał na niego drwiąco. „Tak, o Pliniuszu, o którym słyszałeś pierwszy raz w życiu”.

Muriel wstała. Wyciągnęła rękę do Bricarda, a ten chwycił ją skwapliwie.

– Bardzo panu dziękuję za naukę. Jest pan świetnym lekarzem – powiedziała. – Najlepszym w swoim mieście, prawda?

„Tak – pomyślał Gaston. – Ale to nie jest duże miasto”.

Bricard skłonił się nisko.

– Czy jeszcze kiedyś będę miał zaszczyt panią zobaczyć?

„Zaraz mu krzyż pęknie – myślał Gaston. – Co za błazen!”

– Kto to może wiedzieć? Ścieżki ludzi schodzą się i rozchodzą... Do widzenia!

Wyszła przed szpital, a Gaston za nią.

– Muszę z panią porozmawiać. Może w furgonie? Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał – zaczął w gorączkowym pośpiechu. Bał się, że ona pożegna się jak z Bricardem i zniknie na zawsze. – Wyrzuciłem Flandina. W obozie też już go nie ma. Wczoraj pociągnął do Francji z generałem Morlotem.

Spojrzała na niego. Jej oczy były tak ciemne, że prawie czarne.

– Wyrzucił go pan?

– Tak.

– Rozmawiał pan z nim?

– Był oszołomiony laudanum. Ale skoro pani chciała go... – Urwał. Gdyby Muriel chciała zabić Flandina, zrobiłaby to bez trudu. Tylko że ona nie była zdolna do morderstwa. – Jeśli pani uznała, że on nie ma prawa żyć, to znaczy, że jest skończonym łajdakiem.

Oczy jej się rozjaśniły, tak jakby ból zelżał, ale nic nie odrzekła. Ruszyła wyłożoną kamieniami ścieżką, lecz zamiast iść prosto, w stronę furgonu, skręciła za róg szpitala. Stał tam jej koń.

„Nie, ona nie może tak po prostu odjechać”. Gaston gorączkowo myślał, jak ją zatrzymać.

Podeszła do konia, pogłaskała go, potem odwróciła się do Gastona.

– Mam do pana prośbę – powiedziała cicho.

– Jestem na pani rozkazy.

Sięgnęła do kieszeni.

– Czy może pan wysłać ten list do generała Sauniera?

– Naturalnie. Zaraz go dołączę do szpitalnej poczty.

– Nie jest zapieczętowany – powiedziała. – Chciałabym, żeby pan go przeczytał.

Poczuł, że za chwilę ją straci – jedyną kobietę, którą pokochał po śmierci Blanche. Gorączkowo się zastanawiał, jak ją zatrzymać.

„Nie odjeżdżaj! Nie zostawiaj mnie!” – błagał w myślach.

– Mówił pan kiedyś, że chce zobaczyć mój dom. Jeśli do jutra nie zmieni pan zdania, proszę w południe przyjechać na tamto wzgórze. – Wyciągnęła rękę, wskazując pagórek, na którym rosło samotne drzewo.

– Mogę jechać choćby teraz...

– Nie – przerwała mu. – Najpierw proszę przeczytać list. I... zrozumieć, jeśli pana tam jutro nie

będzie. Czasem mężczyźni nie potrafią wybaczyć kobiecie tego, co zrobił jej inny mężczyzna.

Otworzył usta, by zapytać, co ma na myśli, lecz ona mówiła dalej: – Jutro w tej okolicy będzie bezpiecznie, nie natknie się pan na partyzantów. Gdyby jednak... Jest taka prowansalska piosenka, którą znają wszyscy po obu stronach Pirenejów. Niech ją pan wtedy zanuci.

Aquerès mountines Qui ta haütes soun, Doundines, Qui ta haütes soun, Doundoun.

Patrzył na nią zaskoczony. Znała plany gerylasów! I teraz zdradziła mu, jak w sekretny sposób powiedzieć im: „Jestem przyjacielem”.

„O moje góry, jakie jesteście wysokie” – powtórzył w myśli. Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał użyć tego hasła. Gerylasi byli dla Francuza śmiertelnym zagrożeniem.

Muriel włożyła nogę w strzemień i po chwili siedziała w siodle. Nigdy nie mógł się nadziwić, jak kobiety, w swoich długich spódnicach, mogą robić to tak zręcznie.

Czekał w nadziei, że jeszcze coś mu powie, tymczasem po prostu odjechała. Patrzył za nią, dopóki nie znikła mu z oczu. Z każdą chwilą czuł większą tęsknotę, ból tak dojmujący, jakby odjeżdżając, zabrała kawałek jego serca i ono teraz krwawiło. Ale kiedy spojrzał na samotne drzewo na wzgórzu, cierpienie nieco zelżało. Wyprostował się i odetchnął głęboko.

„Jutro ją zobaczę!” – pomyślał.

Szybkim krokiem ruszył do furgonu. Zapalił świecę i rozłożył list.

Jaśnie Wielmożny Panie Generale!

W Polsce, mojej ojczyźnie, zabija się gwoździami drzwi pokoju, w którym ktoś umarł gwałtowną śmiercią. W mojej drugiej ojczyźnie – Francji – nikt nie słyszał o tym zwyczaju, lecz nawet gdyby istniał, ja nie mogłabym go zachować.

Mój mąż, hrabia Jean-Louis de Voss, umarł gwałtownie: żołnierze z armii rewolucyjnej zamordowali go na moich oczach. Zabili też moją teściową. Wywlekli ją do ogrodu, podeptali jej ukochane lilie, wołając szyderczo, że rozsiewają woń monarchii, potem rozbili jej głowę kolbami karabinów. Widziałam to z okna sypialni, gdzie mnie zostawili na pewną śmierć.

Oddziałem dowodził Fabrice Flandin, wtedy niespełna dwudziestoletni, prawdziwy, waleczny syn rewolucji, który nigdy nie zmieniał bielizny i zawsze maszerował na czele swych żołnierzy. On pierwszy uderzył moją teściową, on pierwszy wbił bagnet w pierś mego męża. Tak, Panie Generale, mówię o narzeczonym Pańskiej córki.

Przybył do naszego domu, by nas zabić, wcześniej jednak chciał nas obrabować. Obiecał, że jeśli oddamy mu wszystko, co mamy, puści nas wolno. Nie mieliśmy wiele, bo świetność rodziny de Voss już dawno przeminęła. Lecz złoto mu nie wystarczyło. Popatrzył na skromną kupkę biżuterii, potem wskazał na mnie. „Zdejmij suknię!” – rozkazał. Miałam 18 lat, dopiero od roku byłam mężatką. Nie wyobrażałam sobie większego upokorzenia niż rozpięcie sukni przy obcych mężczyznach.

Widząc, że stoję osłupiała, wziął bagnet i jednym ruchem rozciął zapięcie. Nie poczułam bólu i zdziwiłam się, gdy zobaczyłam na gorsecie plamę krwi. Mój mąż rzucił mi się na ratunek, wtedy Flandin wbił mu bagnet w piersi. Konał, patrząc, jak Flandin odziera mnie z sukien, zrywa z szyi łańcuszek z moją najcenniejszą pamiątką – zaręczynowym pierścieniem mej babci, jak bierze mnie siłą.

Proszę zapytać swego przyszłego zięcia, czy pamięta, co wtedy powiedział do swoich żołnierzy: „Do diaska! Wcześniej nawet za pieniądze nie dotykałem takich piękności jak tu, w Wandei”.

Myśleli, że umieram. Rana była powierzchowna, lecz krwawiła obficie. Leżałam bez życia na podłodze, podczas gdy plądrowali i podpalali dom. Gdy się ocknęłam, dowleklam się do okna. Zobaczyłam, jak zabijają moją teściową.

Może powinnam była chcieć umrzeć, ale chciałam żyć.

Opatrzyłam ranę, potem zeszłam na dół. W sieni płonęły draperie, widziałam płomienie w salonie. Ostatkiem sił wydostałam się przez kuchenne okno. Żołnierze byli zajęci podpalaniem stodół, zboża w spichlerzach, obór, stajni. Spalili folwark i wieś. Zabijali wszystkich – mężczyzn, kobiety i dzieci, nawet niemowlęta. Bez litości, bez poczucia winy.

Panie Generale, czy widział Pan kiedyś „różaniec” ułożony z obciętych głów albo dwunastoletnie dziecko na szafocie pytające kata: „Nie robi mi pan krzywdy, prawda?”, albo ludzi zakopanych żywcem po szyję, obrzucanych kamieniami, dopóki ich głowy nie zmieniły się w krwawą miazgę? Tak było w Wandei. Trudno w to uwierzyć, bo to przekracza ludzką wyobraźnię.

Powie Pan może, że to była wojna, a wtedy dzieją się straszne rzeczy, bo wojna skłania do występku. Odpowiem: nie, nie było wojny, nikt jej nie wypowiedział, po jednej i po drugiej stronie byli Francuzi.

Gdyby rewolucja trwała dłużej, gdyby przyszły nowe pokolenia, którym nie miałby kto opowiedzieć o jej zbrodniach, to kto wie, może udałoby się całkowicie zniszczyć przeszłość. Lecz wymazanie krwawych plam z obrazu rewolucji jest niemożliwe, dopóki żyją świadkowie.

Fabrice Flandin, Pański przyszły zięć, nie zostawiał świadków. Nic nie zapisywał, bo wtedy jeszcze nie umiał pisać. Mógł się wyróżnić tylko nadzwyczajną brawurą i bezwzględnością. Właśnie takich ludzi potrzebowała rewolucyjna armia. Czy jednak potrzebuje ich nadal? I czy dopuści Pan do tego, by Pańska córka wyszła za gwałciciela, by w żyłach Pana wnuków płynęła krew mordercy i złodzieja?

Od tamtych dni minęło piętnaście długich lat. Ale czy morderstwo z biegiem czasu przestaje być morderstwem?

Straciłam męża, teściową, dom. Nasza wieś Les Conches została zrównana z ziemią, a Wandea obrócona w bezludne pustkowie. Być może nie znajdzie Pan nikogo, kto by potwierdził moje słowa. Jest jednak ktoś, kto może poręczyć za moją prawdomówność, bo od dawna mnie zna: to honorowy obywatel Republiki Francuskiej, generał Tadeusz Kościuszko.

Z wyrazami głębokiego uszanowania

Rozdział 10

Kruk



Rycerz potrzebuje trzech rzeczy: Boga, by mu służyć, króla, by go słuchać, i damy swego serca, by jej bronić. Rewolucja zburzyła kościoły, króla posłała na szafot. Nie było już smoków do zabicia ani księżniczek do ocalenia.

„Przynajmniej do chwili, gdy poznałem Jegle. Jegle. Ona ma na imię Jegle” – myślał Gaston.

Od kwadransa stał pod samotnym drzewem. Przyjechał za wcześnie, choć i tak musiał z sobą walczyć, by nie wyruszyć jeszcze wczoraj, gdy tylko przeczytał list. Nie mógł się skupić na pracy, w nocy nie zmrużył oka. Gdyby Flandin był w obozie, udusiłby go gołymi rękami.

Zostawił konia pod drzewem i poszedł na szczyt wzgórza, by się rozejrzeć po okolicy. Pustkowie. Żadnych domów, tylko ruiny Saragossy na zachodzie, góry na wschodzie i to samotne drzewo. Nagle poczuł się opuszczony jak ono.

„Nawet drzewo powinno mieć przyjaciela” – pomyślał.

Zwrócił wzrok ku południowi. Tam gdzieś było morze, które oblewało jego Prowansję. Prowansja... Aleje starych platanów, kamienne domy pokryte dachówkami o barwie wysuszonych na słońcu pomidorów, rzymskie akwedukty, pola lawendy, która jest lekarstwem na wszystko, karawany mułów objuczonych ochrą, słodko-słone jeziora i moczary Camargue...

– Czego pan tak wypatruje? Teruel? – usłyszał nagle.

Miała na sobie ten sam ciemnoniebieski płaszcz, w którym ją widział w kaplicy. Jej włosy w kolorze lawendowego miodu błyszczały w słońcu.

– Teruel? – zdziwił się.

– Gdyby nie wojna, wszędzie widziałby pan wracających stamtąd ludzi, może nawet w pstrokatych średniowiecznych strojach, w które tu się przebierają na święto kochanków z Teruel.

– Święto kochanków?

Zsiadła z konia i wskazała ręką na południe.

– W Teruel najpierw panowali Rzymianie, potem Maurowie... Przeminieli, tak jak przemiń Francuzi. Wieczne są tylko góry Albarracín, rzeka Guadalaviar... I pamięć o kochankach, Diegu i Isabel. – Uśmiechnęła się. – Diego de Marcilla pokochał z wzajemnością piękną Isabel, lecz jej rodzina nie zgodziła się na ślub, bo był biedny. Wyruszył więc z kupiecką karawaną do Lewantu i przepadł w szerokim świecie. Wszyscy myśleli, że już nie żyje. Ale on wrócił po latach, i to jako bardzo bogaty człowiek. Wrócił jednak o dzień za późno, gdyż jego ukochana właśnie wyszła za mąż. Zrozpaczony postanowił jechać na kraj świata, a przedtem poprosił Isabel o pożegnalny pocałunek. Lecz ona była już żoną innego i odmówiła. Wtedy Diego padł jak rażony gromem. Isabel przyszła na

jego pogrzeb ubrana w swą ślubną suknię. Gdy nachyliła się nad trumną i pocałowała ukochanego, z rozpaczy pękło jej serce. Pochowano ich obok siebie w kościele San Pedro w Teruel. To było przed wiekami, lecz do dziś aragońscy kochankowie wierzą, że jeśli los ich rozłączy, mogą się spotkać właśnie w Teruel.

– A pani... Czy pani poczekałaby na mnie, nawet gdybym przez lata nie wracał?

Gaston sam nie wiedział, jak się odważył zadać to pytanie. Czy w ogóle można tak się oświadczać? Czy Jegle nie poczuje się obrażona?

Lecz ona się uśmiechnęła. Jej oczy były szmaragdowe jak rzeki w Prowansji.

– Tak – odrzekła.

– Czy zostanie pani moją żoną? – spytał z drżącym sercem.

Nagle usłyszał krakanie kruka, jeden z najstraszniejszych głosów, jakie znał.

„Zły omen” – pomyślał.

Kruk zatoczył koło nad ich głowami i opadł spiralą w dół. Gaston usłyszał świst powietrza w kruczych skrzydłach, gdy ptak wylądował na ramieniu Jegle.

„Szatany, czarownice, czarnoksiężniki, charakterniki i planetniki przybierają postać kruka” – przypomniał sobie słowa Jaśka, a zaraz potem zaklęcie, którym Jasiek odczyniał krucze uroki: „Żebyś przepadł, kruku stary! Mnie niestraszne twoje czary. W ręku Boga życie moje, twoich wróżeń się nie boję”.

Spojrzał na Jegle i zobaczył, że przygląda mu się z lekkim uśmiechem, jakby czytała w jego myślach.

– Nie wyobrażam sobie życia bez pani. Czy zostanie pani moją żoną? – spytał jeszcze raz.

– Tak – odrzekła poważnie.

– Obiecuję, że uczynię wszystko...

– Wiem – powiedziała.

Gaston dawno zdążył zapomnieć, jak wygląda szczęście. Teraz sobie przypomniał: to uczucie lekkości, jasny wzrok, bezgraniczna radość.

Wyprostował się, odetchnął głęboko, ogarnął wzrokiem okolice. To wcale nie było pustkowie. Klucz żurawi leciał na wschód z krzykiem przypominającym dźwięk zachrypniętej trąbki. Na pobliskim wzgórzu krzewy winorośli okryły się już wełnistymi szaro-białymi pąkami. Bruzdą majestatycznie kroczyły wielkie złotordzawe dropie z ogonami przypominającymi wachlarz. W jasnozielonej trawie kwitły białe i żółte kwiatki. Pachniało wiosną.

Kruk cicho pokrakiwał, przechylał głowę na boki, stroszył pióra. Jegle czochrała go po głowie.

– Tresuje go pani? Jak sokoły do polowania? – zapytał Gaston.

Czuł, że jakby na mocy milczącej umowy mieli już nie rozmawiać ani o swym świeżym narzeczeństwie, ani o liście.

– Kruka nie da się wytresować. Robi tylko to, co chce, i zawsze postawi na swoim.

– Jak go pani nazwała?

– Nawet nie wiem, czy to samica czy samiec. Płec kruka trudno rozpoznać. A imię, cóż... Mój brat

zawsze nazywał swoje kruki, ja też chciałam... Ale to nie jest zwierzę domowe. Wcześniej czy później odleci. Nie należy do mnie, po prostu zaszczyca mnie swym towarzystwem.

Po raz drugi wspomniała o bracie.

– Jedźmy – powiedziała. – Przed nami długa droga.

Kruk jakby zrozumiał – wzbił się wysoko w powietrze, mocno bijąc skrzydłami.

– Byłem kiedyś na Falklandach – odezwał się Gaston, gdy dosiedli koni. – Tam zwierzęta nie znają człowieka i zbliżają się do niego bez obawy. Ptaki można było brać w ręce.

– Pana przyjaciel, Paul Gobel, mówił mi, że opłynął pan świat. Naprawdę miał pan wtedy dziesięć lat?

– Tak. Uciekłem z domu.

Jegle otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła, ciągnął więc dalej:

– Marzyłem o morskich wyprawach, jak to chłopak. Żałowałem, że Kolumb już odkrył Amerykę. – Gaston zaśmiał się cicho. Przepęniało go szczęście. – Z wypiekami na twarzy przysłuchiwałem się rozmowom starszych, gdy mówili o wyprawie Louisa de Bougainville’a na Wielki Ocean Południowy, o okręcie budowanym dla niego w Nantes. Boże Narodzenie spędzaliśmy na przemian w Marsylii i u stryja w Breście, a wtedy, w sześćdziesiątym szóstym roku, kolej wypadła akurat na Brest. Błagałem ojca, byśmy pojechali wcześniej i koniecznie przez Mindin, bo Bougainville wypływał stamtąd w połowie listopada. Marzyłem, żeby choć z daleka zobaczyć La Boudeuse. Ojciec w końcu uległ, podróż jednak się przedłużyła i gdy dotarliśmy do Nantes, usłyszeliśmy, że fregata już wypłynęła. Nie byłem rozpieszczonym dzieckiem, ale wtedy z żalu i rozczarowania dostałem gorączki.

Gaston przypomniał sobie, jak co noc śnił o dalekich wyspach, o odkryciu Wielkiego Kontynentu Południowego albo Przejścia Północno-Zachodniego, których od lat szukali żeglarze. Godzinami ślęczał nad mapą, wyobrażał sobie, jak zapełnia na niej białe plamy, i smakował na języku takie nazwy, jak Barbados, Zanzibar, Lakkadiwy, Bombaj.

– Osowiały włóczyłem się po Breście. Nic mnie nie cieszyło. I nagle stał się cud: pod koniec listopada La Boudeuse zakotwiczyła na redzie, a potem wpłynęła do portu. Okazało się, że sztorm uszkodził takielunek i musiała zawrócić. Najbliższym portem był właśnie Brest, ale ja myślałem, że to moje modlitwy ją sprowadziły.

– Modlitwy niewinnych mają wielką moc – powiedziała Jegle.

– Nie byłem wcale taki niewinny. – Gaston się zająknął. – Postanowiłem, że wezmę udział w wyprawie jako pasażer na gapę. Całe dni spędzałem w porcie, układając plan prześlizgnięcia się na fregatę. I wtedy zdarzył się drugi cud: poznałem Jacoba, chłopca okrętowego, który chciał zrezygnować z rejsu. Nie za darmo jednak. Za swoje miejsce na La Boudeuse żądał zawrotnej sumy dwustu ludwików. Za tę kwotę rodzina mogła wtedy dostatnio żyć przez pół roku. Zaczęliśmy się targować i stanęło na siedemdziesięciu. W nocy piątego grudnia napisałem długi list do rodziców, spakowałem trochę rzeczy do żeglarskiego worka, przemknąłem do kantoru stryja i wzięłem z kasy siedemdziesiąt ludwików i pięć liwrów, zostawiając w niej rewers, w którym zobowiązałem się

zwrócić je z procentem.

Nikt nie wiedział o tej kradzieży. Stryj zachował dyskrecję, Gaston zaś nigdy nikomu się do niej nie przyznał, choć wiele razy opowiadał o ucieczce z domu.

Jegle popatrzyła na niego, podjechała bliżej, tak że niemal otarli się strzemionami, wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Nie osądzała go.

– Za pięć liwrów kupiłem noże, gwoździe, guziki, lusterka, czerwone chustki, koraliki i inne drobiazgi, którymi się handluje z dzikimi ludami. Wymieniłem je potem na topazy w Brazylii, czarne perły na Tahiti, na rzadkie muszle w Nowej Irlandii. Oddałem stryjowi pieniądze co do grosza, choć o procencie nie chciał słyszeć. – Gaston uśmiechnął się do Jegle. – Jacob wziął sakiewkę, obiecał oddać list moim rodzicom i wsadził mnie na ostatnią łódź wiozącą zaopatrzenie na fregatę, która stała już wtedy na redzie. La Boudeuse wypłynęła tego samego dnia w południe. Rejs miał trwać dwadzieścia miesięcy, lecz wróciliśmy do Francji dopiero po dwudziestu ośmiu.

Stanęli na szczycie wysokiego wzgórza. U jego stóp rozciągał się dziki gaj oliwny. Gaston rozejrzał się po okolicy.

– Widzi pan? Tam dalej, na wschodzie. – Jegle wyciągnęła rękę. – Opuszczona wieś.

Musiał wyteńczyć wzrok, żeby w oddali, na tle szarych drzew i szarych skał, zobaczyć szare kamienne domki.

– Ludzie uciekli stąd w zeszłym roku, podczas pierwszego oblężenia Saragossy. Francuzi zapuszczali się aż tutaj. – Spojrzała na Gastona. – Lepiej nie zbliżać się do tej wsi.

– Straszy tam? – zażartował.

– Gorzej – powiedziała poważnie. – Często obozują tam partyzanci.

Zjechali ze wzgórza w głęboką dolinę. Droga prowadziła na północ. Konie ruszyły różnym kłusem, potem zwolniły do stępa, gdy droga pięła się na następne wzgórze.

– Tam mieszkam. – Jegle wyciągnęła rękę.

Gaston w pierwszej chwili nie zauważył domu, tak zlewał się ze skałą, do której był dobudowany. Postawiony z płaskich kamieni, z dachem porośniętym trawą, niskim kominem, jednym małym oknem, przypominał szałas pasterski.

– Pojadę przodem – powiedziała Jegle. – Czasem ktoś przychodzi i wystraszyłby go widok Francuza.

„Trzeba było wziąć cywilny płaszcz” – pomyślał Gaston, patrząc w ślad za nią.

Ciekawe, kto ją odwiedza. Przypomniawszy sobie historię o chłopcu pokąsanym przez wściekłego psa. „Pewnie ludzie z górskich wiosek, może nawet ranni albo chorzy gerylasi”.

Jegle znikła w domu. Zaraz jednak wyszła i pomachała ręką. Droga była wolna.

Zostawili konie w małej stajni przylegającej do domu. Gastona uderzyła panująca w niej czystość. Świeża sucha słoma była lepsza niż ta, na której leżeli ranni w lazarecie, pachniały wiszące pod dachem pęki suszonych ziół.

Gdy wyszli przed stajnię, nadleciał kruk. Zanurkował, trzymając nieruchomo na wpół złożone skrzydła, minął wystającą spod okapu żerdź, zawrócił z rozpostartymi skrzydłami, wytracił pęd i

miętko na niej wylądował.

Gaston od dziecka nie lubił kruków. Często widywał ich polowania. Nurkowały jak jastrzębie, spadały z góry na lecącą mewę, aż sypały się białe pióra, a gdy mewa w końcu przysiadła na ziemi, kruki ją zabijały. Umiały też wywabiać z gniazda ptaki wysiadujące jaja. Doskakiwały, ciągnęły je dziobem za ogon albo za skrzydło, a gdy ptak rzucał się, żeby odpędzić intruza, inne kruki porywały jaja.

– Znalazłam go wiosną zeszłego roku koło rozbitego gniazda, które spadło ze skał. Pisklęta były już opierzone, ale nie przeżyły, tylko on otworzył oczy i wyciągnął chudą szyję, prosząc o jedzenie – powiedziała Jegle. – Teraz radzi sobie sam, choć często przylatuje i dopomina się o smakołyki, jakby ciągle był kruczącem. Zawsze się z nim dzielę, jeśli mam coś, co lubi.

„Ludzkie oczy i języki?” – pomyślał Gaston, bo tym na pewno żywiły się kruki w tej okolicy. Nieraz je widział uczujące na pobojuwisku.

– Młode są ciekawskie jak dzieci. Wszystko chwytają do dzioba i jeśli uznają, że coś jest jadalne, połykają. Apetyt mają ogromny. Żeby go wykarmić, ogołociłam okolicę z myszy, pędraków, resztek padłych zwierząt. Zjadał wszystkie jajka od moich kur, ser i masło, które dostawałam za leczenie. Dobrze, że kruki szybko rosną, inaczej groziłaby mi śmierć głodowa – opowiadała Jegle z uśmiechem.

Kruk jakby wiedział, że o nim mowa – ześlizgnął się z żerdzi i usiadł jej na ramieniu.

Gaston, przewyciężając niechęć, wyciągnął rękę, by go poczochnąć po głowie, tak jak to robiła Jegle, lecz gdy tylko ją zbliżył, kruk go dziobnął. Spróbował jeszcze raz, kruk dziobnął mocniej, wydając z siebie wysokie, niemal wronie kraknięcie.

– Jest zdenerwowany – powiedziała Jegle. – Zawsze wtedy krzyczy po wroniemu.

Otworzyła drzwiczki w bocznej ścianie stajni i Gaston zobaczył kilka brązowych kur na grzędzie. Zeskakiwały z niej i z gdakaniem wychodziły z kurnika na słońce, nie zwracając uwagi na czarne ptaszysko.

Jegle schyliła się, podniosła z gniazda białe jajko i podała krukowi. Wziął je delikatnie do grubego dzioba. Jeszcze przez chwilę siedział na ramieniu Jegle, potem machnął aksamitnymi skrzydłami i odleciał.

Ulga, którą poczuł Gaston, odmalowała się chyba na jego twarzy, bo Jegle powiedziała:

– Ludzie nie lubią kruków. Widzą w nich złe duchy, a nie zauważają, jakie są odważne, śmiałe, mądre, dowcipne. Mój brat kochał kruki. Mówił o nich „wilcze ptaki”, bo towarzyszą wilkom w łowach, a potem razem z nimi uczują. Są bardzo czujne. Wilki można podejść przy żerze, kruków się nie da.

– Widziałem nieraz, jak na pobojuwisku wydziobują oczy trupom, czasem nawet rannym...

– Bo nie potrafią rozerwać ciała. Jedzą to, co jest na wierzchu. Ale czy to kruki są winne, że istnieją pobojuwiska albo szubienice?

Miała rację. Poza tym nie chciał z nią rozmawiać o okropnościach wojny.

– A pani brat? – spytał. – Mieszka we Francji?

Jej oczy się zaszklily.

– Nie żyje – powiedziała i jakby chcąc uprzędzić pytania, wróciła do opowieści: – Franek wchodził na najwyższe drzewa i podbierał pisklęta. Mieszkały w drewnutni, w koszu wypełnionym sianem i suchymi liśćmi. Były ufne jak dzieci. Piękne. Miały różowe języczki i jasnoniebieskie oczy. – Zamyśliła się na chwilę. – Nawet kiedy dorosły, przylatywały, gdy Franek je zawołał. Przysiadają przed nim jak kury, kręciły głową, przymrużały oczy, ocierały się dziobem o jego but, pokrakiwały. Wie pan, że kruki umieją naśladować ludzką mowę, szczekanie psa, miauczenie kota, szmer strumienia?

„Moje biedactwo – myślał Gaston. – Straciła tylu bliskich”. Z każdą chwilą bardziej ją kochał.

– Zna pan bajkę La Fontaine’a o kruku i lisie?

Gaston pokiwał głową.

– Jest nieprawdziwa. To raczej kruk odebrałby ser lisowi. Widziałam raz, jak kruk zaszedł od tyłu naszego kota, przeraźliwie zakrakał, a gdy kot się obejrzał, śmignął ku niemu, wyrwał mu mysz z pyska i odleciał.

– Dużo pani o nich wie.

– Kiedyś zwierzyłam się Frankowi, że gdy dorosnę, zostanę przyrodnikiem i będę badać kruki. Powiedział mi wtedy: „Lepiej się nie porywać na badania istot mądrzejszych od siebie”.

Dom nie był zamykany na klucz, tylko na drewnianą zasuwkę. Sień dzieliła go na dwie części – po prawej była kuchnia, po lewej izba.

„Czysto i pusto jak w klasztornej celi” – pomyślał Gaston, patrząc na kilka skromnych sprzętów, nagie ściany i wyszorowaną drewnianą podłogę.

Izba nie była ogrzewana, tylko w kuchni stał gliniany piec z metalową blachą.

– Nie używa pani *braseiro*? – spytał. – Ja też nie.

Nie znosił tych zastępujących piece miedzianych mis z kopącymi węglami, które dawały mało ciepła, a dużo przyprawiającego o ból głowy swędu.

– Nie jest mi potrzebne. Tu nie ma prawdziwych zim. Pozbyłam się go, gdy umarła pani Gabriela.

Gastonowi dreszcz przebiegł po krzyżu. Przypomniawszy sobie, jak starucha w podobnej chacie powiedziała o jego Gabrieli „stara dusza”. Czy w ogóle istnieje coś takiego jak wędrowka dusz?

– Pani Gabriela? – spytał.

– To był jej dom. Przygarnęła mnie.

Jegle nakryła stół obrusem, postawiła na nim dzbanek z winem, chleb, oliwę, ser. Potem roznieciła ogień pod blachą, przesunęła garnki na jej środek.

Przez piętnaście lat służby w wojsku Gaston zdążył zapomnieć, jak wygląda dom, w którym krząta się kobieta. Nie czuł się tak dobrze od chwili, gdy pewnego styczniowego dnia w roku śmierci króla Ludwika wyszedł na zebranie Rady Generalnej Komuny Marsylii, nie wiedząc, że żegna się z domem i bliskimi na zawsze.

– Gabriela... Gdy pani wymieniła to imię, pomyślałem o dziewczynce, którą znalazłem w górach, kiedy ścigaliśmy Anglików.

Opowiedział jej o przeprawie przez Góry Kantabryjskie, konającej Angielce i swej obietnicy, że nie pozwoli, by dziecku stała się krzywda.

– Zostawiłem Gabrielę pod opieką zakonnicy, które w La Coruñi prowadzą ochronkę. Chciałbym...
– Urwał.

„Czy wolno mi narzucić tej kobiecie, która może urodzić własne dzieci, angielską znajdě?”

– Chciałby pan się nią zaopiekować? Uznać ją za córkę? – spytała Jegle.

– Ale tylko jeśli pani się zgodzi.

– Tak.

Uśmiechnął się.

– Jest pani cudownie lakoniczna. Dziękuję.

Spojrzała na niego w zamyśleniu.

– Mój ojciec powtarzał, że mówi się tylko wtedy, gdy słowa są potrzebne, i że słowo kobiety jest jak piórko na wietrze. Nic nie waży.

– Czasem trudno mi zrozumieć Polaków – powiedział Gaston. – Szanują płęć piękną, lecz mają o niej złe wyobrażenie, chcą być bogaci, a są rozrzutni, nie są bogobojni, ale bezbożnych nie lubią.

– Proszę jeszcze dodać: mają się za doskonałych, tylko nie umieją zachować miary. Uważają, że obowiązkiem męża jest zapewnić żonie dach nad głową i raz w roku trochę pieniędzy na nową suknię, a kobieta musi udowadniać swą wartość każdego dnia.

– To dlatego wyszła pani za Francuza?

Pokręciła głową.

Zamilkła, przygasła. Był zły na siebie, że zadał jej to pytanie.

– Czy pani wie, że na L'Étoile, statku transportowym, który od Falklandów towarzyszył La Boudeuse, była kobieta przebrana za mężczyznę?

– Naprawdę?

Gaston pokiwał głową.

– Z początku nikt się nie zorientował, ale potem marynarze mówili między sobą, że Baré, służący pana de Commerçona, botanika, jest kobietą. Pamiętam, jak z Jaśkiem bacznie ją obserwowaliśmy. Nie miała zarostu, lecz mówiła i chodziła jak mężczyzna, była silna i niczego się nie bała. Nosila za swym panem żywność, broń, zielniki, zbierała z nim rośliny. Dopiero gdy zesła na ląd na Tahiti, obstarpi ją krajowcy i zaczęli wołać, że to kobieta i że chcą ją uroczyście powitać na swej ziemi. Wtedy przyznała się panu Bougainville'owi, że musiała pracować, by nie umrzeć z głodu, a że łatwiej było o pracę mężczyźnie, przebrała się w męski strój i znalazła posadę lokaja w Paryżu. Gdy się dowiedziała o wyprawie dookoła świata, zgłosiła się do pana de Commerçona i on przyjął ją na służbę, nie podejrzewając, że zatrudnia kobietę.

W wyprawie oprócz oficerów i kilkuset członków załogi – marynarzy, żołnierzy, chłopców okrętowych i służących – brali też udział botanicy, rysownicy, kartografowie, astronomowie. Oficjalnym celem Bougainville'a było przekazanie Hiszpanii Wysp Falklandzkich, miał jednak także nanieść na mapę przejścia przez Cieśninę Magellana, w imieniu Francji objąć w posiadanie każdą

odkrytą ziemię, dyskretnie zbadać sytuację na Molukach, na które mogły zawijać tylko statki Kompanii Holenderskiej, i w ogóle wykraść jak najwięcej tajemnic Portugalczykom, Hiszpanom i Holendrom, zazdrośnie strzegącym Wysp Korzennych. Trzymali w sekrecie mapy tego obszaru, a jeśli opowiadali o tamtejszych morzach, to stukrotnie wyolbrzymiając niebezpieczeństwa czyhające na żeglarzy.

Ojciec Gastona handlował korzeniami i Gaston od dziecka wiedział, że cynamon pochodzi z Cejlonu i że to kora cynamonowca, a goździki są z wyspy Ambon i że to ususzone pączki kwiatów drzewa goździkowego. Ale nie miał pojęcia, że wanilia jest orchideą, a pieprz niepozornym pnączem, że kwiaty muszkatolowca przypominają konwalie, że goździkowiec kwitnie na różowo i pachną nie tylko jego kwiaty, lecz także kora i liście. Że heban może być biały.

Nie wiedział też, że Holendrzy, aby nikt im nie wykradł sadzonek drzew korzennych i nie próbował ich uprawiać gdzie indziej, niszczą wszystkie, pozostawiając je tylko na kilku małych wyspach łatwych do pilnowania. A jeśli krajowcy gdzieś je uprawiali, to co roku kupowali od nich zielone liście, dopóki drzewa nie uschły.

– A ten Jasiak? – spytała Jegle. – To Polak?

– Jan Hotkiewicz z Warszawy.

Udało mu się poprawnie to powiedzieć i z zadowoleniem zobaczył, że zrobił wrażenie na Jegle.

– Myślałam, że Francuz nie potrafi wymówić „h”.

Uśmiechnęła się do niego, a on poczuł, że skoczyłby za nią w ogień.

– Jasiak mnie wyćwiczył. Uczył mnie polskiego. Dużo zapomniałem, ale teraz z każdym dniem więcej sobie przypominam. – Wziął głęboki oddech i powiedział, wyraźnie artykułując: – Jegle Haniszewska. Jegle. Dlaczego zmieniła pani imię?

Odwróciła się twarzą do pieca i zaczęła nalewać zupę.

– Mąż mnie o to poprosił. Jego matka nie dbała o materialną stronę życia i nie robiła mu wyrzutów, że wziął pannę bez posagu, ale chciała mieć synową Francuzkę. Gdy mówiła do mnie „Muriel”, mogła zapomnieć, że jestem Polką.

Nie widział jej twarzy. Głos miała spokojny, lecz przecież taka prośba musiała ją zranić. Wyobraził sobie, że ktoś nagle żąda, by z Gastona zmienił się w Miguela, bo mu się nie podoba, że jest Francuzem.

„Głupi był ten jej mąż i jego matka” – pomyślał.

Nagle sobie przypomniał, jak mu kiedyś powiedziała, że pochodzi z Jegli, a on wtedy rzucił: „Barbarzyńska nazwa”. Zaczerwienił się ze wstydu.

Jegle postawiła talerze na stole. Spojrzał jej w oczy. Tak, pamiętała tamte nieszczęsne słowa. Już otwierał usta, żeby ją przeprosić, gdy uspokajająco dotknęła jego dłoni i się uśmiechnęła.

– Niech mi pan opowie o Jaśku – poprosiła.

Ich nieme porozumienie napełniało go wdzięcznością i zachwytem. Czytała w nim jak w otwartej książce.

– Jasiak był dla mnie jak brat.

Gaston nie należał do żeglarskich nowicjuszy. Od małego pchał się na pokład statków, które przywoziły sukno z Anglii czy herbatę z Indii, tylko że nigdy wcześniej nie szorował pokładu, nie sprzątał kubryku, nie czyścił rondli. Nigdy też nie głodował.

– Żeglowanie to ciężka praca. Jasiek opatrywał moje poranione ręce, uczył, jak podnieść worek z mąką, jak popiołem wyczyścić garnek, żeby błyszczał. Na morzu koło Nowej Holandii, gdy mięso już tak cuchnęło, że nie dało się go jeść, polowaliśmy razem na szczury. Wspominaliśmy wtedy Argentynę, gdzie zabijało się krowę, zjadało najlepsze części, a resztę zostawiało dla jaguarów.

Oficerom obcięto racje tak samo jak reszcie załogi, a marynarze, choć głodni, nie dopominali się o wyższy żołd i wieczorami codziennie tańczyli. Oficerowie pilnowali, by załoga nie zjadała skóry z rei, bo szkodziła na żołądek. Kapitan zgodził się w końcu na zabicie kozy towarzyszącej im od Falklandów, potem psa, który się przybłąkał na Ziemi Ognistej. Gaston przypomniał sobie robaki kłębiące się w wilgotnych sucharach, trupi zapach peklowizny, krwawienie z dziąseł i słabość, gdy zachorował na skorbut, tęsknotę za domem. Bez bratniej duszy chyba nie przetrwałby tego rejsu.

Nagle się zorientował, że skrobie łyżką po dnie talerza. Zjadł zupę szybko, nieuważnie, nawet nie poczuł smaku.

– Co się czuje na środku oceanu? – spytała Jegle, jakby nigdy nic biorąc jego talerz i dolewając mu zupy.

– Na przemian euforię, smutek i strach – odrzekł. – Wokół jest tylko woda i niebo. Po pewnym czasie trudno je od siebie odróżnić. Żadnych przeszkód, żadnych granic, można objąć wzrokiem cały świat. W nocy gwiazdy wiszą tak nisko, że prawie da się ich dotknąć i zerwać je z nieba. Kiedy wiatr wypełnia żagle i dziób tnie ocean, człowiek leci ze statkiem jak mewa. A znowu koło Hornu są fale, których wysokości nie mierzy się w stopach, tylko w narastaniu strachu.

Zjadł kilka łyżek zupy. Nie potrafił powiedzieć, z czego jest zrobiona, ale bardzo mu smakowała.

– Czuję dumę, gdy pan Bougainville w imieniu króla obejmował w posiadanie jakiś ląd, do którego przyплыliśmy jako pierwsi. Francja stawała się coraz większa dzięki zakopaniu na nowej ziemi dębowej deski z wyrytym aktem własności i zalakowanej butelki z nazwiskami oficerów z obu naszych statków. Postanowiłem wtedy, że wstąpię do marynarki i że kiedyś moje nazwisko też będzie wypisane na takim dokumencie.

– Ale został pan lekarzem.

– Bo często pomagałem panu de la Porte, naszemu okrętowemu lekarzowi. Wcześniej, gdy widziałem, jak pan Verron ustawia swe przyrządy astronomiczne, i gdy na oceanie oglądaliśmy zaćmienie Słońca, chciałem zostać astronomem. A kiedy Jasiek opowiadał mi o podróżach swego pana, księcia Karla von Nassau-Siegena, którego król mianował swoim przedstawicielem w naszej wyprawie, to chciałem być takim jak on poszukiwaczem przygód.

– Czy to ten książę Nassau-Siegen, który miał romans z władczynią Tahiti?

Gaston kiwnął głową.

– Dowiedziałem się o tym romansie dużo później. Gdy wylądowaliśmy na Tahiti, miałem jedenaście lat i bardziej mnie interesowały stada papug albo rafa koralowa.

– Rajaska wyspa – powiedziała Jegle w zamyśleniu. – Jest pan szczęśliwcem, że ją pan widział.

– Raj jest tylko tam, gdzie nie ma ludzi. Na przykład na Falklandach zwierzęta się nas nie bały.

Podchodziły ufnie, ptaki siadały nam na rękach. Ale gdy się okazało, że białe ptaki podobne do nurów mają bardzo smaczne mięso, marynarze zaczęli urządzać na nie polowania. Zabijali po dwieście albo trzysta na raz. Wystarczyły kije, bo nie uciekały przed człowiekiem.

Gaston widział też misje jezuickie, założone, by uszczęśliwić Indian. Pierwszy raz w życiu zobaczył świat, w którym wszyscy pracowali, nie było klas ani stanów, bogatych ani biednych. Wszyscy wyznawali tę samą religię, mieszkali w jednakowych domach, nosili jednakowe stroje. W parafiach, na które kraj był podzielony, wyróżniał się tylko kościół – wspaniały, zbytkowny nawet. Indianie nie mieli żadnej osobistej własności, wszystko, czego potrzebowali, dostawali z magazynów: od bawełnianych koszul, które stanowiły ich odzienie, po trawę portugalską, zwaną tam mate, którą w Urugwaju wszyscy piją zamiast herbaty. Ich życie było ściśle uregulowane, wszystkie dni do siebie podobne. Może ta okrutnie nudna jednostajność sprawiała, że wydawali się smutni, ospali. Chłopcy, a nawet dorośli patrzyli na Gastona wytrzeszczonymi oczami. Myślał wtedy, że wyglądają głupio, jak schwywane w sidła zwierzęta.

– Jezuici mówili, że Indianie mają rozum dziecka. Nie wiem, czy to prawda, ale przypomniało mi się to, gdy dopłynęliśmy do Tahiti. Wyspa była zachwycająca: lasy i gaje, wodospad z hukiem spadający z wysokiej góry do morza, zielona murawa, strumienie, palmy kokosowe i inne drzewa obsypane owocami, stada pstrych papug. Żadnych drapieżników, żadnych insektów tak uprzykrzających życie w tropikach. Byłem chory na szkorbut, a tam wyzdrowiałem w ciągu paru dni. Można było spać pod gołym niebem na ziemi ledwie przykrytej liśćmi, a gdy się zarzuciło sieć, wyciągało się ją pełną ryb.

Gaston, gdy jako dorosły człowiek wspominał Tahiti, zastanawiał się, czy Adam i Ewa przypominali Tahitańczyków – czy też byli tak dobroduszni, naiwni, czy unikali jakiegokolwiek trudu, i umysłowego, i fizycznego. Aby przeżyć, wystarczyło wyciągnąć rękę i zerwać owoc. Kiedy marynarze w jakiejś kłótni zabili kilku tubylców, reszta po prostu uciekła.

Jegle, żywo reagująca na jego opowieść, nagle znieruchomiała.

– Proszę tu zostać – szepnęła i wyszła z kuchni.

Gaston usłyszał tętent, potem męski głos. Sięgnął po płaszcz, namacał w kieszeni pistolet, wyjął z lufy drewnienko, które nie pozwalało wysunąć się kuli, i stanął przy drzwiach, nasłuchując.

Mężczyzna o coś pytał, Jegle odpowiadała, ale nie dało się rozróżnić słów.

Znów rozległ się tętent. Mężczyzna odjechał.

Zanim Gaston zdążył schować pistolet, Jegle wróciła do kuchni. Spojrzała surowo.

– Do tego domu nikt nie wchodzi z bronią.

– Jest wojna – tłumaczył się, wsuwając pistolet do kieszeni płaszcza. – To gerylas? Gdyby tu wszedł, od razu by mnie zabił.

– Najpierw musiałby zabić mnie.

„Zasłoniłaby mnie własnym ciałem”. Ze wzruszenia brakło mu tchu.

Podszedł do Jegle, ujął jej rękę i pocałował.

– Czy wyjedzie pani stąd ze mną? Choćby dziś? – spytał, nie puszczać jej dłoni.

– Potrzebuję kilku dni...

– Mogę pani pomóc w pakowaniu – przerwał jej i jeszcze raz ucałował jej rękę.

Lekko uścisnęła mu dłoń i wyswobodziła swoją. Pokazała na wiszące na kołku sfatygowane pudło na kapelusze.

– W nim mieści się cały mój majątek – rzekła.

– Ten dom nie należy do pani?

– Raczej do tych gór. Gdy tu trafiłam, obiecałam pani Gabrieli, że go nie opuszczę, dopóki nie znajdę kogoś, kto w nim zamieszka.

„Zakłète miejsce, którego nie można porzucić, dopóki ktoś inny nie zostanie do niego przykuty. Jak w okrutnej bajce” – pomyślał Gaston.

– Wojny omijają ten dom, bo mieszka w nim *bruja*.

Jegle użyła hiszpańskiego słowa, które oznaczało i znachorkę, i czarownicę. Gaston żałował, że nie powiedziała tego po francusku. Chciałby wiedzieć, za kogo sama się uważa.

– Po polsku powiedziałabym „mądra” – rzekła Jegle, jakby usłyszała jego myśli. – Ona nie pyta, swój czy wróg. Po prostu pomaga.

Nie tylko rozumieli się bez słów – myśleli tak samo. Gaston traktował ją jak kobietę: najpierw z pobłażliwością, potem z rosnącym zachwytem i szacunkiem należnym niewieście, i dopiero w tej chwili zobaczył, że są sobie równi, że Jegle jest nie tylko piękną kobietą, ale i pięknym człowiekiem.

Odwrócił twarz, by ukryć łzy, które napłynęły mu do oczu. Za oknem nie było już słońca, cienie się wydłużyły. Gaston powinien wracać do obozu. Nie chciał opuszczać tego domu, rozłączać się z Jegle, lecz jeśli nie wyjadą zaraz, ona nie zdąży tu wrócić przed zmrokiem.

– Zrobiło się późno – powiedział zmienionym ze wzruszenia głosem. – Muszę iść.

– Nie powiedziałam panu najważniejszego. Partyzanci rozbili obóz koło gaju oliwnego, który mijaliśmy. Dziś pan tamtędy nie przejedzie. Jest wprawdzie inna droga, ale dłuższa i trudniejsza. Nie zdążylibyśmy dojechać do obozu przed nocą. A ja mogę panu zaofiarować tylko siennik w tej kuchni.

To naprawdę był zaczarowany dom. Spełniały się w nim marzenia.

Gaston roziskrzonym wzrokiem spojrzał na Jegle.

– Uszczęśliwiła mnie pani. Nie zamieniłbym tego siennika na królewskie piernaty.

– W zamian chciałabym usłyszeć pana historię.

– Opowiedziałem już pani o wyprawie na La Boudeuse.

– To zaledwie dwa lata z pana życia.

– A pani? Jak wyglądało pani życie? – spytał. Tak bardzo był go ciekaw!

Zamyśliła się.

– Dobrze, opowiem panu – odezwała się w końcu. – Choćby po to, by pan zrozumiał, czemu tak niemądrze odpowiedziałam, gdy pan zapytał, skąd jestem. Z Jegli czy z Koborowa? Jak można nie wiedzieć, skąd się pochodzi? Ja nie jestem pewna.

Usiadła przy stole, Gaston siadł naprzeciwko. Nalała im wina i wypła trochę.

– Pan Bricard mówił mi, że walczył w Polsce, ale pan nie był na tej wojnie, bo wcześniej został pan ranny.

Gaston kiwnął głową.

„Ciekawe, co Bricard jej powiedział. Pewnie nie wspomniał o chłopce, od której dostał wszy”.

W opowieściach Bricarda o wojnie polskiej królowały dwa słowa: głód i błoto. Mówił, że lało tam bez przerwy. Drogi pokrywała gliniasta maź czasami sięgająca do połowy łydek, tak że piechota przywiązywała sznurkami buty do nóg, żeby nie pogubić ich w błocie. Po polsku umiał powiedzieć „chleb” i „nie ma”.

– Polski nie można sobie wyobrazić. Jest zupełnie inna niż Francja czy Hiszpania... – Jegle spojrzała przez okno, tak jakby mogła dojrzeć swą ojczyznę. – Urodziłam się w Jeglach, małej wsi pod Krakowem. Ojciec zbudował tam dom, gdy zenił się z moją mamą, i na jej cześć nazwał ten dom i wieś Jegle. Imię odziedziczyłam po mamie.

– Nigdy takiego nie słyszałem. Jest pani i pod tym względem wyjątkowa – rzekł Gaston.

– Jest dość pospolite, tylko że nie w Polsce, lecz na Litwie. Moja babcia była Litwinką. To ona mnie wychowała. – Głos jej się załamał.

Gaston chciał ją objąć, przytulić, lecz brakło mu odwagi. Zaczął sobie wyrzucać, że skłonił ją do opowieści, która wiele ją kosztowała.

– Mówiłam panu o Franku, moim starszym bracie. Po babci był dla mnie najbliższą osobą na świecie, choć nie wychowywaliśmy się razem. Gdy miał dwanaście lat, a ja dwa, wyjechał do szkoły w Krakowie...

Opowiadała, a Gaston wyobrażał sobie skromny dworek w Jeglach, duże gospodarstwo, ogród i sad, pana Wincentego Haniszewskiego, świetnego gospodarza i zawołanego myśliwego, do szaleństwa kochającego żonę. Obdarzyła go synem, a po latach, gdy już stracił nadzieję na więcej potomstwa, znowu była brzemienna. Tym razem poród nie przebiegał gładko – wydawało się, że matka i dziecko umrą. Wtedy pan Haniszewski ślubował Bogu, że odda mu swe dziecko, jeśli uratuje jego żonę. Bóg wysłuchał jego błagań, radość z ocalenia żony i narodzin córki nie trwała jednak długo. Gdy Jegle miała dwa lata, jej matka umarła na tyfus, którym się zaraziła, pielęgnując chorych chłopów. Dziewczynkę wzięła wtedy na wychowanie babcia mieszkająca w pobliskim Koborowie. Wincenty Haniszewski oddał syna do szkół, zabił na głucho drzwi domu w Jeglach i popłynął do Ameryki.

– Ojciec wrócił niedługo po moich czternastych urodzinach, przywoząc prócz majątku niewiele ode mnie starszą żonę. – Jegle westchnęła. – Rozczarowałam go, bo nie tylko go nie poznałam, ale nie byłam wierną kopią matki.

– Jak mogła go pani poznać po tylu latach?

– Sercem. Tak powiedział.

Tym razem Gaston dolał wina.

– A pani macocha? – spytał.

– Ach, jest bardzo miła. Tylko mój ojciec... Wie pan, czasem myślałam, że w jakimś sensie umarł razem z moją mamą. Coś zgasło w nim na zawsze i nawet Laurette nie mogła tego rozniecić na nowo. Pytałam babci, czy zawsze był taki surowy, oschły... – Urwała. – Nie powinnam tak mówić o ojcu.

Gaston przypomniał sobie, jak się czuł po śmierci Blanche. Czy gdyby miał córkę, potrafiłby się nią zaopiekować mimo bólu i rozpacz?

– Laurette urodziła się na Martynice i choć z początku bawiło ją szykowanie płaszczy podbitych futrem, mufek i grubych butów, mroźna, śnieżna zima ją przygnębiała. Gdy przyjeżdżała do Koborowa, zwierzała mi się, że tęskni za słońcem, kwiatami, palmami w ogrodzie.

– Pani nie mieszkała w domu ojca?

– Gdyby mieszkał w Jeglach i gdyby mnie zaprosił razem z babcią, bez namysłu bym się do niego przeniosła. Ale on zbudował nowy dom, w Pustych Łąkach... No i Laurette spodziewała się dziecka... Kochałam babcię i Koborów, tam był mój dom. Ach, gdyby pan zobaczył Koborów w Boże Narodzenie w dziewięćdziesiątym pierwszym roku! To były chyba najszczęśliwsze święta w moim życiu.

Gaston wyobrażał sobie zaśnieżone pola, Franka idącego o świcie do lasu, by jeszcze przed wigilijnym polowaniem ściąć czubek jodły, który miał się zmienić w wiszącą u sufitu podłazniczkę, ozdobioną piernikami, orzechami i rajskimi jabłuszkami. Widział Jegle doglądającą przygotowywania dwunastu dań, lśniący biały obrus, opłatek, ogień płonący w kominku, potem nocną jazdę saniami do kościoła.

– W kwietniu urodziła się Cecylka i to było ostatnie radosne wydarzenie w naszym życiu. W maju wybuchła wojna z Rosją i Franek zaciągnął się do korpusu generała Zajączka. Osiemnastego czerwca ten korpus walczył pod Zieleńcami. Polacy wygrali bitwę, ale Franek w niej poległ.

Jegle zamilkła. Po chwili wstała od stołu.

– Chodźmy zajrzeć do koni – powiedziała.

Gaston też wstał, podszedł i objął ją czule.

Przytuliła głowę do jego piersi i słyszała, jak szybko bije mu serce. Straciła poczucie czasu – nie wiedziała, jak długo tak stali, lecz w końcu delikatnie wyswobodziła się z jego ramion.

Spojrzał jej w oczy.

– Dawno nie byłem taki szczęśliwy – szepnął.

Wyszli przed dom. Ściemniało się już.

– Zapomniałam o kurach – powiedziała Jegle, zaglądając do kurnika. – Jesteście wszystkie, moje złotopiórki?

W stajni konie spokojnie chrupały owies. Jegle nałożyła im świeżego siana.

– Mówiła mi pani kiedyś, że przyjechała pani do Francji w listopadzie dziewięćdziesiątego drugiego roku.

– Tak. To miała być moja ostatnia podróż przed pójściem do klasztoru.

– Ale przecież pani mama umarła, więc śluby pani ojca nie były ważne.

– Umarła, lecz nie przy porodzie. Choć on podkopał jej siły... Ojciec zdecydował, że gdy skończę

siedemnaście lat, pójdę do klarysek. Prosiłam, żeby wybrał inny zakon, nie klauzurowy, najlepiej szarytki, bo mogłabym się opiekować chorymi, jak moja mama i babcia, ale był nieugięty.

– Nie myślała pani, by mu się sprzeciwić? Poprosić o pomoc babcie?

– Postąpić wbrew woli ojca? To nie mieściło mi się w głowie. A babcia... Babcia umarła we wrześniu. Miała osiemdziesiąt lat. Do ostatniej chwili o mnie myślała. Wymogła na ojcu obietnicę, że weźmie mnie z sobą do Paryża.

To nie była zwykła podróż, lecz przygotowanie gruntu pod tajną misję generała Tadeusza Kościuszki. Cały łańcuch ludzi wspierał go i chronił przed carskimi agentami. Jednym z ogniw tego łańcucha był ojciec Jegle.

– Czy słyszał pan o Kościuszcze?

Gaston potrząsnął głową. Znał to nazwisko tylko z listu Jegle do generała Sauniera.

– Tak jak ojciec, walczył pod generałem Gatesem. To dzięki zbudowanym przez niego fortyfikacjom Amerykanie zwyciężyli pod Saratogą. Potem generał Waszyngton powierzył mu budowę najważniejszego amerykańskiego fortu, West Point nad Hudsonem. Mój ojciec powtarzał, że generał Kościuszko jest ostatnim rycerzem, a jednocześnie nowoczesnym Polakiem, który jak nikt rozumie ideę braterstwa i równości... Generał miał nadzieję, że Republika Francuska pomoże wzniecić w Polsce powstanie, żebyśmy mogli odzyskać ziemie zagarnięte przez zaborców. Ale się okazało, że dla Konwentu ważniejsze było dławienie powstań, na przykład w Wandei, niż ich wywoływanie...

Jegle zamilkła. Podniosła głowę i spojrzała w niebo. Jarzyła się na nim wstęga Drogi Mlecznej.

– W takie ciche noce mój brat mawiał, że słyhać muzykę sfer niebieskich – powiedziała.

Gaston znał dalszy ciąg historii. Spotkała hrabiego de Vossa, który na pewno pokochał ją od pierwszego wejrzenia, wyszła za niego, a zaledwie rok później straciła męża i dom.

– Jak pani tu trafiła? – spytał, gdy wrócili do kuchni.

– Miałam dużo szczęścia. Kryjąc się po lasach, przez trzy dni szłam z Les Conches do La Rochelle. Już pierwszego dnia musiałam uciekać na bagna, bo lasy przeczesywała armia rewolucyjna, która zabijała każdego napotkanego człowieka. Pierwszą noc spędziłam na drzewie, drugą w ruinach spalonego domu... W La Rochelle trafiłam na rybaków, którzy płynęli do Port des Pêcheurs i wzięli mnie z sobą, choć nie mogłam im zapłacić. Stamtąd do Irún po hiszpańskiej stronie jest tylko dzień drogi. Całe lato błąkałam się po hiszpańskich górach, aż doszłam tutaj. Pani Gabriela spojrzała na mnie i powiedziała: „Możesz u mnie zostać, jeśli chcesz”. Pomagałam jej leczyć ludzi i zwierzęta, zbierać zioła. Gdy uznała, że jestem gotowa, żeby zostać tu sama, położyła się na łóżku i umarła. Nie wiem, ile miała lat, ale była bardzo stara.

– Nie myślała pani, żeby wrócić do Polski, do ojca?

– Ojciec się mnie wyrzekł, gdy zesłam z drogi, którą dla mnie wybrał. Drzwi jego domu zawsze będą dla mnie zamknięte. A Koborów jest teraz własnością klarysek.

Milczeli długą chwilę.

– Piętnaście lat – powiedział Gaston w zamyśleniu. – Jak pani tu przetrwała? Gdy pomyślę, ile

umiejętności musi zdobyć kobieta, by przeżyć w takiej głuszy...

– Wystarczy jedna. – Jegle się uśmiechnęła.

Gaston myślał intensywnie. „Ścinanie drzew? Obchodzenie się z bronią palną?”

– Wystarczy umieć poprosić o pomoc – rzekła.

Gaston się roześmiał.

– Jest pani najcudowniejszą istotą na świecie. Jeśli pani chce, odkupię Koborów od klarysek i zamieszkamy tam. Ale mam dom w Wenecji... Czy była pani kiedyś we Włoszech?

Pokręciła głową.

– Przygotuję kolację, a pan mi opowie o tym domu i o Wenecji, dobrze?

Aby mówić o domu w Wenecji, Gaston musiał się cofnąć w czasie, opowiedzieć najtrudniejszą część historii swego życia.

„Jak często ją opowiadałem? Jak często koloryzowałem, opuszczałem to, co najważniejsze? Od czego zacząć, żeby to była prawdziwa historia, a nie bajka?”

Na chwilę przymknął oczy i nagle zobaczył samego siebie, jak w mokry styczniowy dzień pierwszego roku Republiki idzie marsylską ulicą, a mistral szarpie świeżo posadzonymi piniami, jakby chciał zerwać zatknięte na ich czubkach czapki frygijskie.

„Od Marsylii, Ville-sans-Nom”.

Rozdział 11

Jaskinia czterdziestu rozbójników



Był mokry styczniowy dzień 1793 roku. Mistral szarpał świeżo posadzonymi piniami, jakby chciał zerwać zatknięte na ich czubkach czapki frygijskie. Dawno już zrezygnowano z sadzenia na tym skalistym gruncie topoli. Topola, *peuplier*, była odpowiedniejsza na drzewo wolności, bardziej bowiem pasowała do rządów ludu, *peuple*, nikt jednak nie chciał się narażać na zarzut kontrrewolucyjnego spisku, gdy obwiezione w uroczystym pochodzie topole, włożone do kamienistej ziemi wypalonymi na południowym słońcu korzeniami, usychały.

„Spisek i podstęp zastąpiły stare grzechy. Dziś złym człowiekiem jest wyłącznie zdrajca” – pomyślał Gaston, ciaśniej owijając się płaszczem.

Zegar na wieży kościoła Świętego Jakuba wskazywał kwadrans po trzeciej. Miał czas – Rada Generalna Komuny Marsylii zbierała się o czwartej. Rozejrzał się po placu. Nieliczni przechodnie jedną ręką naciągali na oczy kaptur albo kapelusz, drugą przytrzymywali poły płaszcza lub opończy.

Ukradkiem przemknął w wąską uliczkę i bocznymi drzwiami wszedł do kościoła.

Jeszcze w zeszłym roku wychodziła stąd procesja Bożego Ciała i wydawało się, że święty Jakub obroni kościół przed furią jakobinów. Ale już jesienią młoty kamieniarzy zgruchotały figury świętych, skuto królewskie lilie, konfesjonały porąbano na opał, motłoch podeptał krzyże, podarł chorągwie i zrabował wszystko, co dało się ruszyć z miejsca.

Kościół nie przerobiono jak świątyni w Paryżu na stajnię czy magazyn. Stał opustoszały, a wiernych zastąpiły w nim bezpańskie koty, którym obce były sprawy ludzi.

„W takich czasach jak te lepiej być kotem niż człowiekiem” – pomyślał Gaston, idąc przez zrujnowaną nawę do bocznej kaplicy.

Cztery lata wcześniej, gdy król zwołał Stany Generalne, Gaston przeżył moment euforii. W powietrzu czuło się nadchodzące zmiany. Gdyby nie to, że Blanche spodziewała się dziecka, postaraliby się, żeby wybrano go na posła, i pojechaliby do Wersalu, by razem z innymi wlać nowe życie w starą, skostniałą Francję. W podnieceniu śledził doniesienia z Paryża. 26 sierpnia Konstytuanta uchwaliła Deklarację praw człowieka i obywatela, a dzień później urodził mu się syn. Czyż mogło być większe szczęście? Kiedy szedł do pacjentów, wydawało mu się, że nie stąpa po bruku, lecz unosi się kilka centymetrów nad ziemią.

Wczesną jesienią następnego roku, gdy mały Lucas stawiał już pierwsze kroki, do drzwi Gastona zapukała kobieta w podartym, wyblakłym od słońca habicie. W pierwszej chwili jej nie poznał. Nic dziwnego – nie widział swej siostry od ponad dwudziestu lat. Nie przyjechała nawet na pogrzeb ojca, bo śmierć bliskich nie jest wystarczającym powodem, by opuścić klauzurę.

„Joanna? Skąd się tu wzięłaś?” – wyjąkał w końcu.

„Przyszłam z Bordeaux. Nasz klasztor zmieniono w koszary, a nas wypędzono. Przyjmiesz mnie, bracie? Ale są ze mną jeszcze dwie siostry”.

Gaston dopiero wtedy zauważył kulące się pod murem kobiety.

Szły do Marsylii prawie dwa miesiące. Matka Gastona płakała, patrząc na ich poranione stopy i ogorzałe od słońca twarze.

Kiedy Joanna składała śluby u anuncjatek, Gaston miał piętnaście lat. Nigdy, a zwłaszcza w tym wieku, nie był szczególnie religijny, ale słysząc wtedy, że anuncjatka ma żyć tak, by ci, którzy ją widzą, widzieli Maryję dotąd żyjącą na tym świecie, pomyślał, że Joanna jest właśnie taka: roztropna, pobożna, cierpliwa, pełna miłości. Teraz do tych cnót doszło maryjne ubóstwo i boleść.

Oddał siostrze i jej towarzyszkom kilka pokoi na piętrze, by dalej mogły prowadzić swe klauzurowe życie. Nie opuszczały domu. Tylko nocą widział czasem ich ciemne sylwetki w ogrodzie.

Anuncjatki żyją z pracy własnych rąk. Gaston był wziętym lekarzem i zarabiał dość, by utrzymać trzy dodatkowe domownicy, lecz one poprosiły o kilka kuponów jedwabiu i o nici do haftu. Wkrótce połowa marsyjskich elegantek przychodziła do Blanche, prosząc, by zechciała zanieść na piętro suknię, którą trzeba było ozdobić haftem, albo kosz bielizny, na której miał być wyhaftowany monogram.

Rewolucyjny zapał Gastona stopniowo wygasał. Buchnął ostatnim płomieniem cztery miesiące wcześniej, 22 września, gdy ogłoszono Francję republiką, zgasł zaś ostatecznie przed kilkoma dniami, gdy na szyję króla Ludwika spadł nóż gilotyny. Gaston nie żywił w stosunku do władcy żadnych uczuć – ani go nie kochał, ani nie nienawidził. Wstrętem napawały go przemoc i barbarzyństwo, które owładnęły Francją. Nie rozumiał, jak doszło do tego, że narzędziem sprawowania rządów stała się gilotyna.

Klasztorów może i było za dużo, ale jak można wypędzać z nich stare kobiety, mówiąc, by wracały do swych domów, a jeszcze lepiej wyszły za mąż i urodziły dzieci? Pić wino z kielicha mszalnego,

siedząc na ołtarzu i wołając do przerażonych ludzi: „Jeśli jest jakiś Bóg, niech mnie porazi gromem na waszych oczach!”? Zmiażdżyć obcasem świętą ampułę z olejami koronacyjnymi królów Francji? Gaston daleki był od wiary, że sam Duch Święty w postaci gołębiczy przyniósł ją ongiś z nieba, ale jako mieszczanin do szpiku kości cenił sobie tradycję.

Brak rewolucyjnego ognia stał się tak widoczny dla władz, że Gastonowi odmówiono certyfikatu lojalności obywatelskiej. Bez niego nie mógł praktykować, przyjmował więc pokątnie swych stałych pacjentów, a w domach odwiedzał chorych tylko nocą. Gdyby nie to i gdyby nie zarobki jego siostry, wcześniej czy później umarłby z głodu. O to właśnie chodziło, bo każdy, kto nie przyjmował rewolucyjnych przemian z radością i nie stawał się nowym człowiekiem, był istotą ohydną, niezasługującą na życie.

Lekarzy namnożyło się, odkąd rewolucyjne władze zniosły obowiązek odbycia przez nich studiów. Każdy, kto chciał leczyć, mógł to czynić, jeśli tylko był dobrym obywatelem. Gaston patrzył na to najpierw ze zdumieniem, potem z przerażeniem. Coraz częściej był wzywany do ofiar szarlatanów i wiedział, że w końcu ktoś doniesie władzom, że praktykuje, choć nie ma certyfikatu lojalności. Udał się więc do kierownictwa swojej sekcji, jak teraz nazywano dzielnicę, i jeszcze raz poprosił o stosowny dokument. Kazano mu wrócić za trzy dni. Potem za cztery, za tydzień. Zawsze przychodził na próżno. A to urzędnik zapodział gdzieś jego papiery, a to przeniesiono wydział certyfikatów z piętra na parter i w bałaganie, jaki przy okazji powstał, nikt niczego nie mógł znaleźć. Minął listopad, przeszedł grudzień. W końcu po któregoś wizycie w sekcji dostał upragniony papier zaświadczający, że jest lojalnym obywatelem. Teraz pozostało mu tylko uzyskać jego zatwierdzenie przez Radę Generalną Komuny Marsylii.

Czasy były dziwne i nikt niczego nie mógł być pewien, Gaston jednak szedł na posiedzenie Komuny z lekkim sercem. Jego rodzina od zawsze mieszkała w Marsylii, Lavalów wszyscy tu znali, wielu marsylczyków zawdzięczało mu zdrowie, a nawet życie.

Na ścianie kościoła, tuż koło ambony, był wymalowany święty Łukasz w lekarskiej czapce, z księgą w jednej ręce i nożem chirurgicznym w drugiej, jakby się szykował do zoperowania leżącego u jego stóp byka. Gaston stanął na palcach, wyciągnął rękę, jak mógł najwyżej, i dotknął racicy, prosząc w myślach, by wielkie zwierzę natchnęło go swoją siłą.

Zwierzęta w kościele Świętego Jakuba były nie tylko wymalowane na ścianach. W grudniu do kościelnego muru od strony ogrodu dobudowywano drewnianą stajenkę, w której sprowadzone z pastwiska owce, osioł i wół stały przy żłobie, a w dzień Bożego Narodzenia chłopka w błękitnej szacie kołysała w ramionach swe nowo narodzone dziecko, przychodzili złożyć pokłon Trzej Królowie, za których przebierali się urzędnicy miejscy... Kiedyś nawet mer poczercił sobie twarz, włożył złoty turban i ku uciechu dzieci przyprowadził do szopki wielbłąda.

Teraz szopka była zakazana. Gaston opowiadał o niej Lucasowi, ale czy niespełna czteroletni brzdąc może sobie coś takiego wyobrazić? Jakież było jego zdumienie, gdy w bożonarodzeniowy poranek zobaczył ustawioną w holu stajenkę z lalkami z wosku i drewna. Święta Rodzina była jak żywa, były zwierzęta, pasterze, Trzej Królowie. Gastonowi łzy stanęły w oczach na widok trzech

laleczek-zakonnicy oraz figurek przedstawiających Blanche, matkę, ojca, Lucasa i jego samego.

Uśmiechając się na to wspomnienie, Gaston wszedł do swej ulubionej bocznej kaplicy. Zawsze pobudzała jego wyobraźnię, na sklepieniu bowiem wymalowano wielki żaglowiec, w ołtarzu umieszczono obraz Matki Bożej od Wykupu Niewolników, pod której płaszczem kulili się czarni, żółci i czerwoni ludzie, a kute schody prowadziły do krypty, gdzie umieszczano serca kapitanów, którzy umarli z dala od rodzinnej Marsylii.

Schody już dawno przetopiono w ludwisarni, pozłacane srebrne puszkę w kształcie serca trafiły do paryskiej mennicy, serca zaś sprzedano na ziemię mumiową, z której robiono wyborną brązową farbę cenioną przez artystów. Na sklepieniu ciągle jednak płynął statek pod pełnymi żaglami, a gdyby do świecznika zrobionego z wielkiej muszli, której dziwnym trafem nie zgruchotał młot, włożyć świecę, nadal mógłby oświetlać pocięty nożami obraz Matki Bożej.

Człowiek jest dziwną istotą. Kiedyś ludzie odwracali się od Kościoła, mówiąc, że bardziej zajmuje go strzyżenie owieczek niż troska o ich zbawienie. Teraz, gdy rewolucja odebrała mu ziemskie dobra i postanowiła wyrwać wiarę z korzeniami, wszystko się zmieniło. Ludzie zażarcie bronili świątyń, które bezczeszczono, ujmowali się za prześladowanymi księżmi, choć groziło to więzieniem, nawet śmiercią.

Kiedy *père* Jean-Baptiste, proboszcz z kościoła Świętego Jakuba, ogłosił z ambony, że nie złoży przysięgi na wierność konstytucji i nie stanie się opłacanym przez państwo urzędnikiem, ludzie zaczęli krzyczeć i klaskać jak w teatrze. A gdy tydzień później proboszcza oskarżono o brak patriotyzmu, nazwano żmiją, aresztowano, zawieziono do Paryża i ścięto, poczciwy *père* Jean-Baptiste, lubiący wino i pieczoną gęś, stał się dla marsylczyków świętym męczennikiem.

Gaston nie szanował ludzi, którzy przez lata stawali przy ołtarzu, z ambony pouczali wiernych, teraz zaś, gdy wiatr powiał z innej strony, podpisywali deklarację głoszącą, że ich praktyki były błędem i na zawsze rezygnują z urzędu kapłana. Nie chodził na uroczystości na cześć Istoty Najwyższej, które zastąpiły nabożeństwa, cieszył się w duchu, widząc wyrwane z korzeniami drzewa wolności, sadzone na miejscu obalonych krzyży.

„Jesteśmy trochę jak pierwsi chrześcijanie” – myślał, klękając na pokrytej wapiennym pyłem posadzce. Im więcej chrześcijan rzucono lwom na pożarcie, tym więcej ludzi chrzcili się w Rzymie. Teraz, gdy wolno było wierzyć tylko w Rozum, a zamiast Królestwa Bożego na ziemi wypatrywano nadejścia nowego świata i nowego człowieka, uwolniony z pęt doczesności Kościół znów był wielki, a wiara zajaśniała jak słońce.

– Najświętsza Panienko, przyjmij ubogie Tve dziatki garnące się pod skrzydła opieki Twojej – modlił się słowami, których w tej kaplicy nauczyła go matka. – O Panno litościwa, zmiłuj się nad nami. O Matko Wolności, którą nazwano Matką Niewolników, boś zawsze przywracała wolność uwięzionym, spraw, byśmy zostali uwolnieni z szatańskiej niewoli. Niechaj wszyscy zanoszący swe prośby przed Twym wizerunkiem zostaną wysłuchani, pocieszeni i umocnieni w wierze. Święta Maryjo, matko i wybawicielko niewolników, opiekunko jęczących w więzieniach, módl się za nami. Amen.

Dochodziła czwarta, gdy Gaston wszedł do siedziby Rady Generalnej Komuny Marsylii. Na drzwiach przytwierdzono *bouche de fer* – żelazną skrzynkę z wyobrażeniem ludzkiej twarzy z otwartymi ustami, do których każdy mógł wsunąć donos. Na ścianach wisały sankiulockie piki oraz portret Lepeletiera, męczennika rewolucji. Nieżywi byli bezpieczniejsi niż żyjący – kult współczesnych to ryzykowna sprawa, bo nie wiadomo, kto jutro zostanie uznany za zdrajcę. Dekorację sali uzupełniały patriotyczne hasła: „Wolność, równość, braterstwo”, „Precz ze spekulantami!”, „Gilotyna na każdym rogu ulicy!” i w końcu „Wojna pałacom, pokój chatą” – niektórzy sankiuloci słabo sobie radzili z ortografią.

Trybuna była jeszcze pusta. Na krzesłach po prawej stronie sali zasiadły wyglądające na handlarki niewiasty zajęte szyciem lub robieniem na drutach i głośno z sobą rozmawiające. Ława ustawiona po lewej stronie trybuny była przeznaczona dla petentów.

– *Bonjour, Messieurs* – przywitał Gaston dwóch takich samych jak on nieszczęśników.

– *Bonjour...* – zaczął jeden z nich.

– *Salut, citoyen!* – zagłuszył go drugi.

Obaj mieli na sobie swobodny sankiulocki strój – karmaniole i długie spodnie. W rękach trzymali czapki frygijskie.

Gaston nie mógł usiedzieć spokojnie. Co chwila dotykał kieszeni, do której włożył bezcenny papier – zaświadczenie o lojalności wydane przez jego sekcję.

Czwarta minęła, lecz żaden z petentów nie okazywał zniecierpliwienia. Kobiety migały drutami, nie przestając rozmawiać.

Sala powoli się zapełniała. Stulecie z górą ludzi siedziało na krzesłach i ławkach oraz stało pod ścianami. Gaston zobaczył w tłumie kilku urzędników ze swojej sekcji i odetchnął z ulgą – będzie miał kto za niego poręczyć.

Kwadrans po czwartej do sali wkroczył przewodniczący, za nim pojawili się członkowie Rady i zajęli miejsca na trybunie. Dwaj żandarmi stanęli pod ścianą, za ich plecami.

Sekretarz wziął do ręki jakiś papier i monotonnym głosem odczytał protokół poprzedniego posiedzenia, a potem propozycje, które marsyjska Komuna wysłała do Paryża w sprawie nowych zasad pochówków.

– W każdej municypalności każdy obywatel dwadzieścia cztery godziny po zgonie zwykłym i nie więcej niż czterdzieści osiem godzin po zgonie nagłym zostanie odprowadzony do miejsca wspólnego pochówku. Towarzyszyć mu będzie urzędnik publiczny i przyjaciele w strojach żałobnych z wizerunkiem słońca. Jeśli zmarły był wojskowym, odprowadzą go towarzysze broni. – Sekretarz sięgnął po dzbanek, nalał wody do kubka i upił łyk. – Ci, których komuny uznają za zasłużonych dla ojczyzny, będą mieli prawo do kamienia nagrobnego z symbolem słońca lub snu. Wszystkie inne symbole będą zakazane. Człowiek przychodzi na świat wolny od przesądów i w takim samym stanie ma go opuścić.

Niewiasty przerwały rozmowy, nadal jednak szyły zawzięcie. Ożywiły się, gdy sekretarz przeczytał wiadomość, że były mer Paryża, obywatel Jean Bailly, został oskarżony o zdradę i będzie postawiony

przed sądem, gdy tylko policji uda się go ująć.

Jedna z kobiet zerwała się z miejsca i krzyknęła:

– Lud jest zmęczony czekaniem na pomstę!

Wtedy Gaston ją poznał – handlowała rybami w halach przy porcie. Kiedyś nawet wyjął jej z palca kolec, który sobie wbiła, oprawiając ostrosza.

– Lud jest zmęczony! – wołały kobiety. Potem zaś: – Pomsta! Pomsta!

Do okrzyków dołączyło głośnie bicie w bęben. W drzwiach pojawił się mały oddział pospolitego ruszenia. Dowódca uroczyście zameldował się przewodniczącemu, ten zaś wręczył mu asygnatę na broń. Publiczność klaskała i tupała, ktoś zaintonował pieśń *Ça ira*. Wszyscy zerwali się z miejsc, by ją odśpiewać.

Sekretarz znów sięgnął do swoich papierów i odczytał list kupca ze skargą na jednego z członków Rady, który podjudził ludzi do ataku na sklep. Przewodniczący rozejrzał się po sali i widząc delikwenta, kiwnął ręką, nakazując mu podejść do trybuny.

– Czy obywatel brał udział w rabowaniu sklepu? – zapytał.

– W jakim rabowaniu, obywatelu przewodniczący! Ten kupiec to spekulant, śrubuje ceny i chowa mąkę, bo czeka, aż jeszcze bardziej zdrożeje. Do tego sprzedaje luksusowe pieczywo zamiast chleba Równości.

– Spekulant! Zdrajca! Co za łotrostwo! – rozległy się okrzyki.

Przewodniczący nachylił się do jednego, potem do drugiego członka Rady, szepecząc im coś na ucho.

– Atak na sklep jest usprawiedliwiony, bo kupiec oddał w ten sposób ludowi część tego, co zagarnął, tuczając się jego kosztem. Skarga oddalona! – zawyrokował.

– Na gilotynę! – krzyknął ktoś. – Przez takich jak on ginie zwykły lud! A lud to Francja!

Przez tłum przedarł się młodzieniec w czapce frygijskiej na głowie. Zdjął ją, gdy stanął przed przewodniczącym.

– Upraszam o zaszczyt ścięcia głów mordercom mojej ojczyzny!

– Dzielny młodzian! A to zuch! – wołali ludzie, klaszcząc i tupiąc.

Tumult zrobił się niesłychany.

Gaston w myślach pogratulował kupcowi rozsądku. Gdyby tu przyszedł, żeby osobiście złożyć skargę, tłum rozdarłby go na sztuki.

– Obywatele! – zawołał przewodniczący. – Zmieciemy z powierzchni świata tyranów! Ich krwią wzmocnimy budowlę wolności!

Drzwi znów się otwały, rozległy się werble i na salę wmaszerował oddziałek żołnierzy. Kroczący na jego czele dwaj inwalidzi – jeden o kulach, drugi bez lewej ręki – stanęli przed przewodniczącym, by złożyć przysięgę, że mimo ran nadal będą walczyć z tyranami. Potem z szeregu wystąpiło trzech austriackich dezertów i ofiarowało swe usługi Republice.

Kobiety łkały ze wzruszenia, a okrzyki żołnierzy wprawiały w drgania całą salę.

Przewodniczący wstał i zaintonował *Marsyliankę*. Podniecenie było tak wielkie, że odśpiewano ją

dwa razy.

Nikt nie zwracał uwagi na czekających cierpliwie petentów. W końcu jednak przyszła ich kolej. Przewodniczący wskazał na Gastona, który wstał i uklonił się Radzie.

Rozległy się gwizdy i tupanie.

– Elegant! – zawołał ktoś.

A inny głos dodał:

– Spójrzcie na jego halsztuk!

„Powinienem był wdziać najgorsze ubranie, jakie mam” – pomyślał Gaston.

– Nazwisko i imię obywatela? – spytał przewodniczący.

– Gaston Laval.

– Wiek?

– Trzydzieści sześć... Prawie trzydzieści siedem lat.

– Nie wie nawet, ile ma lat! – zawołał ktoś szyderczo.

Sala zaczęła wyc i tupać.

– Czym obywatel się trudni? – pytał dalej przewodniczący, gdy publiczność trochę się uspokoiła.

– Jestem lekarzem.

W sali zapadła cisza. Ta profesja nadal budziła szacunek.

Sekretarz pogrzebał w papierach, wyciągnął jakąś kartkę i podał ją przewodniczącemu. Ten postukał w nią palcem, przesunął w stronę jednego członka Rady, potem drugiego.

Gaston się zaniepokoił. Żelazne skrzynki wisiały w całym mieście, a uchylone usta aż się prosiły, by wsunąć w nie donos.

Niecierpliwie czekał na sakramentalne pytanie: „Czy ktoś zna tego obywatela i ręczy za jego lojalność obywatelską?”. Na sali byli urzędnicy z jego sekcji – na pewno za niego poręczą i od ręki dostanie certyfikat.

– Czy obywatel ukrywa w domu trzy byłe zakonnice? – spytał przewodniczący.

Gaston zmartwiał.

– Nie, panie... obywatelu przewodniczący. Mieszka u mnie siostra i jej dwie przyjaciółki. A właściwie nie u mnie, tylko u siebie. To dom naszego świętej pamięci ojca i należy tak samo do mnie, jak do niej.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Przewodniczący znów spojrzał na kartkę.

– Czy obywatel brał ślub w kościele?

– Tak.

Przez salę przeszedł pomruk.

– Czy obywatel wie, że to zabronione?

– Tak, obywatelu przewodniczący. Ale ja ożeniłem się pięć lat temu, za panowania króla Ludwika...

– Tyrana! Krwiopijcy! Kapeta! Zdrajcy, nie króla! – wrzeszczała sala.

– Czemuś przywdział żałobę?! – krzyknęła jedna z przekupek, pokazując palcem na czarną wstążkę zawiązaną na ramieniu Gastona.

– Umarł ci ktoś?! – spytała druga.

Gaston spojrział w ich stronę. Nicowały ubrania mężów, robiły na drutach. Nudne zajęcia, przychodziły więc tu dla rozrywki.

Tak jak połowa marsylczyków nosił żałobę po królu, który przed tygodniem zginął na szafocie, lecz przede wszystkim po dawnej Francji. Jakkolwiek się potoczą losy jego ojczyzny, nikt nie cofnie czasu i nie sprawi, że zburzone kościoły powstaną z ruin, a odcięte głowy przyrosną do ciał.

– Czy ktoś zna tego obywatela i ręczy za jego lojalność obywatelską? – spytał przewodniczący.

W sali zapadło wrogie milczenie.

Gaston się odwrócił i spojrział tam, gdzie wcześniej widział członków swej sekcji. Nie było ich.

„Wszystko przepadło – pomyślał. – Przewodniczący przeniesie sprawę na następne posiedzenie, potem zaświadczenie straci ważność...”

– Ja go znam – rozległ się kobiecy głos.

Gaston odwrócił się w tamtą stronę. Handlarka rybami przestała na chwilę szyć, wstała i trzema słowami uratowała mu życie.

Sekretarz nachylił się do ucha jednego z członków Rady i coś szeptał. Pewnie mówił, że świadectwo kobiety nie ma żadnej wagi, że nikt z sekcji Gastona nie przyszedł, żeby za niego poręczyć.

Gaston wyciągnął z kieszeni zaświadczenie o lojalności wydane przez jego sekcję i położył na trybunie.

Przewodniczący nawet na niego nie spojrział.

– Czy obywatelka dobrze zna obywatela Lavalą? – spytał, zwracając się do handlarki.

– Przychodzi czasem do hal. Raz wyjął mi z palca kolec ostrosza. Zawsze uważam na pierwszą jadowitą płetwę...

– Czyli jest zręcznym lekarzem, ale czy dobrym obywatelem? – przerwał jej przewodniczący.

Kobieta milczała.

Gaston uśmiechnął się do niej, chcąc dodać jej otuchy.

– Obywatelu przewodniczący – powiedział. – Każdy patriota powinien pracować dla ojczyzny. Ta kobieta potwierdziła, że dobrze pracuję. Republika potrzebuje lekarzy.

Przewodniczący spojrział na niego surowo.

– Republika potrzebuje republikanów – odrzekł.

– Obywatel Laval sprzeciwiał się paleniu książek – powiedział sekretarz. – Mimo że zawierały haniebne symbole: książęce i królewskie herby.

„Ty ośle!” – pomyślał Gaston.

– To były książki lekarskie, naukowe...

– Niezbędna jest tylko jedna księga, księga natury – przerwał mu przewodniczący.

Publiczność na chwilę zamarła. Gastonowi wydało się, że wszyscy naraz przymknęli oczy i

wciągnęli powietrze, jakby z lubością wietrzyli zapach krwi.

– To wróg! Potraktować go jak wroga! Zniszczyć! – podniosły się krzyki.

Przewodniczący uniósł rękę. Zapadła cisza.

– Laval, czy nosisz żalobę po tym zdrajcy Kapecie, który tak długo uciskał lud Francji? – spytał.

„Mam wyć z wilkami, aby się ocalić?” – pomyślał Gaston.

Nie było łatwo żyć bez certyfikatu lojalności, ale przecież żyć się dało. Mógł zabrać rodzinę i pojechać do stryja do Brestu, do Paryża, do Wenecji, nawet do Ameryki. Na Francji świat się nie kończył.

Bez słowa sięgnął na trybunę, wziął zaświadczenie, które zdobył z takim trudem, rozdarł je na dwoje i rzucił na podłogę.

Sala na chwilę zamarła, potem rozległy się ogłuszające gwizdy i tupanie.

– Na gilotynę z nim! Niech wysunie łeb przez okienko!

Gaston z pogardą spojrział na wyjąca tłuszcę, skłonił się handlarce, która jako jedyna stanęła po jego stronie, i ruszył do drzwi.

Nagle doskoczyło do niego dwóch żandarmów, chwyciło go pod ręce i zawlekło przed trybunę.

Przewodniczący i członkowie Rady wstali.

– Bunt przeciwko rewolucyjnemu prawu jest największą zbrodnią, jakiej może się dopuścić obywatel. Zbrodnią tą przyczynia się do rozpadu społeczeństwa, a to jest działanie na szkodę narodu – powiedział przewodniczący. – Obywatelu Laval, aresztuję cię w imieniu Republiki.

Gaston nie wierzył własnym uszom. Był na zebraniu Rady Generalnej Komuny, a nie przed sądem. Jak można go było aresztować?!

Szarpnął się i żandarmi, ledwie sięgający mu do ramienia, upadli na podłogę.

– „Nikt nie może być oskarżony, zatrzymany ani więziony bez podstaw prawnych określonych w ustawie” – zacytował Deklarację praw człowieka i obywatela. – To zgromadzenie – obrzucił wzrokiem siedzących na trybunie – nie ma prawa...

Poczuł uderzenie w głowę, zrobiło mu się ciemno przed oczami i upadł jak długi.



Ocknął się z wrażeniem, że ktoś go szarpie, i czując dotkliwy ból we wszystkich członkach. Leżał na dnie wozu telepiącego się na wyboistej drodze. Ręce miał związane z tyłu, nogi skrępowane. Z trudem otworzył oczy i napotkał wzrok żandarma.

– Nasz ptaszek się obudził. – Siedzący na bocznej ławce żandarm trącił łokciem swego kolegę. – Już nie taki chwacki jak na zebraniu.

– Dokąd jedziemy? Do więzienia? – spytał Gaston. Dobrze znał jego komendanta, który wzywał go czasem do chorych więźniów. Gaston nie brał honorarium za te wizyty, czym zaskarbił sobie jego wdzięczność. – Która godzina?

Pod płócienną płachtą było ciemno, tylko czasem, gdy mijali oświetlony budynek, widział migające światła.

– On się pyta, która godzina – zaśmiał się żandarm i znów szturchnął kolegę. – A skąd niby mam wiedzieć?

– Niech pan spojrzy na mój zegarek. Tu, w kieszonce. – Gaston pokazał głowę.

– Nie ruszaj go, Jacques. Potem powie, żeś go okradł. Wiesz, jak sędzia w Cabriès jest na to cięty.

– Cabriès? – spytał Gaston. – Jedziemy do Cabriès?

– Ano, tak jakby.

Wóz podskoczył na wyboju i Gaston uderzył głową o deski. Jęknął z bólu.

– Nie martw się, niedługo ci przejdzie. Jak ci obetną głowę.

Żandarmi zarechotali.

Gaston zaczął się zastanawiać, czy zna kogoś z Cabriès, na kogo mógłby się powołać. Wiele razy przejeżdżał powozem przez to oddalone o godzinę drogi od Marsylii miasteczko, ale nigdy się w nim nie zatrzymał.

„Sędzia w Cabriès” – powtórzył w myślach słowa żandarma. Czy jadą do sądu? Czy w takiej miejscinie w ogóle jest sąd?

Skoro tamtejszy sędzia nie toleruje złodziejstwa, to znaczy, że jest uczciwy i że go uwolni. Nie popełnił przecież żadnego przestępstwa!

W obolałej głowie kłębiły mu się myśli o ucieczce, o tym, co się dzieje w domu. Blanche pewnie szaleje z niepokoju. Dobrze, że w domu jest Joanna, uspokoi ją, pocieszy. Oby tylko jego rodzina była bezpieczna.

Wóz się zatrzymał. Żandarmi, stękając, zleźli na ziemię.

Gaston z trudem usiadł na deskach. Miał nadzieję, że ktoś go rozwiąże i będzie mógł rozruszać ścierpięte nogi, obmacać bolącą głowę.

Usłyszał męskie głosy. Ktoś wskoczył na wóz, rozciął mu więzy, chwycił go pod pachy, ktoś inny złapał za nogi. Wynieśli go z wozu jak worek mąki, posadzili na trzcinowym krześle koło jakiegoś domu i odeszli.

Gaston od razu pomyślał o ucieczce. Nie mógł jednak zrobić kroku, bo nie czuł nóg. Masował je, modląc się w duchu, by wróciło krążenie krwi. Nogi nieprzyjemnie mrowiły, ale nie ustawał w wysiłkach.

Podniósł się z trudem i aż krzyknął z bólu. Z powrotem opadł na krzesło.

Drzwi domu się otwały. Stał w nich jakiś mężczyzna. Za nim ukazali się żandarmi, którzy przywieźli Gastona.

– Zdążyliście w ostatniej chwili – powiedział mężczyzna. – Pchnąłem chłopaka z rozkazem, żeby furgon tu zajechał.

W smudze światła z otwartych drzwi Gaston widział jego siwe włosy, a gdy mężczyzna podszedł bliżej, zobaczył ciemny płaszcz narzucony na szlafrok w kwiaty.

Podniósł się na krzesło, lecz znowu na nie opadł.

– Proszę wybaczyć, że nie wstaję – powiedział. – Jestem Gaston Laval, lekarz z Marsylii.

Mężczyzna uniósł świecę, którą trzymał w ręku, i przyglądał mu się w milczeniu.

– Mniemam, że jest pan tutejszym sędzią. Otóż aresztowano mnie bezprawnie...

– Spokojnie, panie Laval – przerwał mu mężczyzna. – Wszystko się wyjaśni. We francuskich więzieniach siedzą tylko winni.

Był to oczywisty fałsz.

Gaston usłyszał daleki turkot kół. Po chwili przed domem zatrzymał się kryty furgon. Zeskoczyło z niego dwóch żandarmów z karabinami w rękach.

– Na rozkaz, obywatelu sędzio! – zameldowali się.

– Jeszcze jeden pasażer do Orange – rzekł sędzia. – Powiedzcie komendantowi, że jego papiery przysłę z następnym transportem.

Gdy żandarmi wlekli Gastona do furgonu, usłyszał, jak sędzia zwraca się do tych, którzy go tu przywieźli.

– Przekażcie mojemu bratu, że wszystko załatwiłem, tak jak chciałem.

Gaston z trudem wszedł po schodkach. Popchnięty, opadł na ławkę i siedział jak ogłuszony.

„Brat! – myślał z przerażeniem. – Sędzia jest bratem przewodniczącego Rady Generalnej Komuny! Już po mnie!”

Co zrobi Blanche, gdy władze ją zawiadomią, że jej męża zgilotynowano? Jak sobie poradzi?

Uświadomił sobie, że wychodząc, nie pożegnał się z Blanche ani z Lucasem. Gdy pomyślał, że już nigdy ich nie zobaczy, jego ciałem wstrząsnął szloch.

– Niech pan nie płacze – usłyszał tuż przy uchu. – Nie wolno im dawać tej satysfakcji.

Gaston odwrócił głowę. W ciemności zobaczył tylko błyszczące oczy i biały czepek.

– Jestem siostra Matyllda.

– Gaston Laval, lekarz.

– Nie gadać tam! – krzyknął żandarm.

Dopiero gdy furgon wjechał na bruk i turkot kół zagłuszał szepty, siostra Matyllda zbliżyła usta do ucha Gastona.

– Dlaczego wsadzono pana przy domu sędziego? Naraził mu się pan? To zły człowiek.

– Jego brat kazał mnie aresztować. Jest przewodniczącym Rady Generalnej Komuny Marsylii.

– To nie sąd pana skazał?

– W ogóle nie stałem przed sądem. O nic mnie nie oskarżono. I trudno by było, bo jestem niewinny.

Nie powinienem tu być – szepnął Gaston.

Od razu pojął, jakim jest głupcem. Bo czy powinna tu być ta zakonnica? Czym mogła zawinić?

– Przepraszam... – zaczął.

– Szkoda czasu na próżne gadanie. Niech pan myśli, jak się ratować.

– A siostra?

Wóz wjechał na miękki grunt, turkot ustał, więc nie odpowiedziała.

Gaston rozejrzał się po furgonie. Teraz, gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, dostrzegł, że na

dwóch bocznych ławkach i na podłodze siedzi dwudziestu paru więźniów.

„Ratować się? – myślał. – Jak?”

Po co w ogóle poszedł na tamto posiedzenie? Już dawno powinien był zabrać rodzinę i wsiąść na statek do Ameryki. Mogli teraz mieszkać w Montevideo albo Buenos Aires... Pamiętał podróż szkunerem w górę rzeki Santa Lucia, niezmierzone równiny, ryki jaguarów przerywające nocną ciszę. Nie, to nie było miejsce dla Blanche.

– Najważniejsze to nie rzucać się w oczy – usłyszał szept.

– A siostra? Ma siostra jakiś plan?

– Niech pan myśli o sobie.

„Nie rzucać się w oczy” – to była mądra rada. Dwaj petenci, którzy tak jak on starali się o certyfikat lojalności, byli od niego mądrzejsi. Nie witali się staromodnym dzień dobry, mówili: „Czołem, obywatelu!”. Przyszli w siermiężnych strojach sankiulotów, choć może na co dzień chodzili w jedwabiach. Jego halsztuk, sztywny kołnierzyk, haftowana kamizelka z czarnego jedwabiu, guziki z masy perłowej u płaszcza, skórzane trzewiki z błyszczącymi klamrami, *culottes*, czarne jedwabne pończochy – wszystko zdradzało zamożnego mieszczanina. Rozwiązał halsztuk i włożył go do kieszeni płaszcza. Odpięty kołnierzyk koszuli upuścił na podłogę.

W furgonie było coraz jaśniej. Zbliżał się świt.

– Zamieńmy się – szepnęła siostra Matylda, wysuwając spod zrudziałego habitu stopy, na których miała wielkie drewniane chodaki przytrzymywane na nodze tylko paskiem uplecionym z łyka.

– Chciałbym, ale moje trzewiki będą na siostrę za duże.

– Nie, jeśli da mi pan i pończochy.

Podziwiał jej spokój i pomysłowość. W porannej szarówce widział jej zwiędłą twarz i siwe kosmyki wysuwające się spod białego czepka, który zakonnice zwykle noszą pod welonem. W nocy, słysząc jej głos, myślał, że jest młodsza.

Kiedy furgon wjechał na dziedziniec więzienia w Orange, Gaston miał już ułożony plan. Prócz siostry Matyldy tylko dwóch ludzi – przewodniczący Rady Generalnej Komuny Marsylii i jego brat – wiedzieli, kim jest i gdzie przebywa. To była jego szansa. Postanowił tak się wtopić w masę więźniów, żeby stać się prawie niewidzialny, a pewnego dnia całkiem zniknąć.

Gaston nie poznałby samego siebie, gdyby teraz zobaczył się w lustrze. Szara twarz, przekrwione oczy, pokryte zaschniętą krwią włosy i kołnierz płaszcza, nędzne chodaki na gołych stopach, płaszcz z dziurami po oberwanych guzikach ledwie zakrywający nagie łydki.

– Nazwisko? – spytał urzędnik więzienny.

– Martin – odpowiedział Gaston.

Urzędnik zaczął grzebać w stosie dokumentów.

– Imię? – spytał, gdy nie znalazł akt żadnego Martina.

– Jean. Jean Martin.

Nie było chyba częstszego imienia wśród chłopów niż Jean, a nazwisko Martin było niemal równie pospolite.

– Gdzie twoje papiery? – spytał urzędnik.

– Ja tam nie wiem, wielmożny panie – odrzekł Gaston.

To był krytyczny moment. Gdyby urzędnik więzienny dokładnie mu się przyjrzał, oszustwo wyszłoby na jaw. Ale już po kilku dniach mógł przestać się bać. Zarośnięty, brudny, niczym się nie wyróżniał w tłumie nieszczęśników.

Więzienie w Orange urządzone w starym rzymskim cyrku wzniesionym z czarnego kamienia. Więźniowie mieszkali na otwartym dziedzińcu – tu spali, jedli, załatwiali wszystkie potrzeby.

Codziennie z więzienia wyjeżdżały katowskie wózki, codziennie też napływali nowi aresztowani z całej okolicy. Tłok był coraz większy. Ludzie wydani na pastwę kaprysów pogody, przymusowej bezczynności, lęku i desperacji powoli tracili człowieczeństwo. Nie można było zostawić bez opieki płaszcza, kawałka chleba, nawet garści słomy, która służyła za posłanie, bo wszystko natychmiast znikało. Więźniowie trzymali się w grupach – samotnik nie miał szans na przetrwanie.

Siostra Matylda próbowała łagodzić obyczaje: oddawała część swego chleba najbardziej potrzebującym, opatrywała rany, pocieszała, zapraszała do wspólnej modlitwy. Gaston jej pomagał, choć widział płonność jej wysiłków.

Sytuacja się zmieniła, gdy przywieziono kilkadziesiąt zakonnice i kilkunastu księży. Ustalił się nowy porządek dnia. Około dziewiątej rano przyjeżdżał prokurator i odczytywał listę tych, którzy tego dnia mieli stanąć na szafocie. Kiedy już odjechał, zakonnice intonowały hymn *Veni Creator Spiritus*. Księża odprawiali nabożeństwa, odbywały się medytacje i droga krzyżowa, wieczorem odmawiano modlitwę za konających, śpiewano *Te Deum* i psalm *Laudate omnes gentes*.

Na początku kwietnia prokurator wyczytał nazwisko Gastona. Strażnicy zaczęli gorączkowe poszukiwania, lecz w więzieniu nie było nikogo, kto by się nazywał Gaston Laval.

– Lepiej, żeby pan stąd zniknął – powiedziała siostra Matylda. – Jeśli ta wiadomość dotrze do Komuny Marsylii, mogą chcieć sprawdzić, co się z panem stało.

– Zniknąć? Ale jak? – spytał.

Siostra Matylda przymknęła oczy i przez chwilę poruszała wargami, jakby się modliła.

– Gdyby pana przenieśli do jakiegoś więzienia, potem do innego, ślad po panu by się urwał.

– Dobry plan – ocenił Gaston.

Co kilka dni komendant czytał listę przemieszczanych do innych więzień. Przenoszeni do Montpellier i Tuluzy byli obiektem zazdrości – tamtejsze więzienia uchodziły za pałace w porównaniu z Orange. Grozą za to napawała wszystkich perspektywa przewiezienia do Lyonu. Komendant lyońskiego więzienia miał opinię okrutnika.

– Ale wie pan, że to się może udać tylko przy transporcie do Lyonu?

Gaston pokiwał głową. Przy tych transportach zawsze było wielkie zamieszanie. Więźniowie starali się wymknąć z grupy wyznaczonych do przeniesienia nieszczęśników, a zmęczeni strażnicy poprzestawali zwykle na policzeniu delikwentów i chcieli już tylko jak najszybciej odprawić furgony.

Więzienie w Orange było przerażającym miejscem, lecz w Lyonie podobno było jeszcze gorzej.

Może by stchórzył, gdyby nie to, że następnego dnia prokurator wyczytał nazwisko siostry Matyldy. Gaston poczuł się tak, jakby na szafot miała odjechać jego siostra.

– Tam też będę się za pana modliła. – Siostra Matylda wskazała głową na niebo.

Gaston objął ją z płaczem.

Idący na stracenie śpiewali psalm *Miserere mei, Deus*. Gaston patrzył, jak pokornie poddają się wyrokowi, i bezsilnie zaciskając pięści, postanowił, że przeżyje i opowie swemu synowi o siostrze Matyldzie, żeby pamięć o niej nie zginęła.

Następnego dnia od rana padał deszcz. Ludzie naciągali na głowę kaptury, osłaniali się płaszczami, kawałkami koca, trzciniowymi matami. Złożone w kącie dziedzińca siano, do którego załatwiali się więźniowie, rozmiękło, i dziedziniec stopniowo zmieniał się w cuchnące grzęzawisko.

Na obiad rozdzielono spleśniały chleb. Gdy na dziedzińcu pojawił się komendant, ktoś rzucił w niego kawałkiem tego chleba. Strażnicy skoczyli w tłum, na oślep waląc kolbami. Bunt wisiał w powietrzu.

Komendant zaczął odczytywać nazwiska. Transport do Lyonu.

Tym razem było jeszcze gorzej niż zwykle. Nawet po trzykrotnym wezwaniu nikt się nie zgłaszał. Strażnicy znali niektórych więźniów i siłą wyciągali ich z tłumy.

Lało coraz bardziej. Komendant podał listę jednemu ze strażników i odszedł. Gaston widział, jak strażnicy bezradnie popatrzyli po sobie. Wiedział, że taka okazja się nie powtórzy. Tak, bał się Lyonu, ale bał się też zostać w Orange.

Kiedy strażnicy szarpali się z jakimś więźniem, który rozpaczliwie bronił się przed dołączeniem do transportu, Gaston wmieszał się w tłumek nieszczęśników. Strażnicy wielokrotnie ich przeliczali, w końcu pognali do dwóch od dawna już czekających furgonów.

Gaston patrzył na swych towarzyszy – chudych, o kredowobiałych twarzach. Wiedział, że też tak wygląda. Niektórzy drzemali podczas drogi, lecz on nie zmrużył oka. Cały czas się zastanawiał, co będzie, gdy komendant lyońskiego więzienia odkryje, że Jeana Martina nie ma na liście przeniesionych, że nie powinno go być w tym transporcie. Od razu pośle go na szafot? Odeśle z powrotem do Orange?

A gdyby udawał człowieka niespełna rozumu? Mógł przecież oszaleć w orańskim więzieniu albo nawet tu, w tym furgonie.

Było już jasno, gdy furgony się zatrzymały. Serce Gastona ze strachu zaczęło szybciej bić.

Więźniowie słyszeli podniesione głosy i łoskot, jakby ktoś walił pięścią w metalową bramę. Siedzący wewnątrz furgonu strażnik nie wytrzymał, otworzył drzwi i poszedł zobaczyć, co się dzieje.

Gaston głęboko odetchnął powietrzem, które wpadło do środka. Poczł zapach świeżo upieczonego chleba, dymu z komina. Ogarnęła go taka tęsknota za domem, że łzy napłynęły mu do oczu.

– Jedziemy dalej, do Roanne – oznajmił strażnik, gdy wrócił na swoje miejsce. – Lyon nie przyjmuje. Mają zarazę.

Więzienie w Roanne było przepelnione. Komendant zgodził się ich nakarmić i przenocować, ale rano mieli ruszyć dalej.

Vichy, Mâcon, Digoin, potem Fours, Biches, Orlean, Nemours, Nangis. Krążyli po zakurzonych drogach jak cygański tabor. Żadne więzienie nie chciało ich przyjąć – wszystkie były przepełnione. Strażnicy się zmieniali, więźniowie tkwili na drewnianych ławkach. Gaston stracił poczucie czasu. Chwilami się bał, że zniecierpliwieni strażnicy zastrzelą ich na jakimś pustkowiu albo utopią w Loarze, żeby pozbyć się kłopotu. A może do końca świata będą tak krążyć jak dwa lądowe Latające Holendry?

Docierały do nich strzępy informacji o tym, co się działo w Paryżu i we Francji – o buncie w Wandei, przejęciu władzy przez jakobinów, straceniu żyrondistów, ale wszystko wydawało się nierzeczywiste, jakby się rozgrywało na innej planecie. Realne były tylko mniej lub bardziej wyboiste drogi, strumienie lub rzeki, w których co jakiś czas pozwalano im się umyć, goła podłoga w jednych więzieniach, sienniki w innych, jeśli gdzieś pozwolono im przenocować.

Na początku września, po pięciu miesiącach tułaczki, dotarli do Créteil, godzinę drogi od Paryża. Jeden ze strażników pochodził z tego miasta, dlatego zatrzymali się w nim na noc.

Strażnicy byli w doskonałych humorach. Kończyła się ich ciężka służba. Na drugi dzień mieli zostawić skazańców w „przedpokoju gilotyny”, jak nazywano więzienie Conciergerie.

Zamknięci w kamiennej przybudówce więźniowie słyszeli dobiegające z otwartych okien odgłosy libacji. Z początku biesiadnicy, wznosząc toasty, deklamowali rewolucyjne hasła: „Śmierć spekulantom!”, „Niech żyje Robespierre!”, „Oby wrogowie rewolucji zgnili w lochu!”, „Niech maczuga Herkulesa spadnie na to robactwo, raz, a dobrze!”. Potem zaczęli żartować: „Niech żyje gilotyna, bo sprawiła więcej cudów niż święta Genowefa!”, a nawet pozwalali sobie na jawne kpiny: „Wypijmy za to, żeby kiedyś było nas stać na szampana, tę truciznę dla wolności”.

W końcu ucichli, ale Gaston i tak nie mógł zasnąć. Może to jego ostatnia noc? W Paryżu nikt się nie będzie patyczkował z więźniami, którzy już dawno powinni nie żyć. Komendanci prowincjonalnych więzień żądali papierów, żeby w razie czego mieć się czym zasłonić. W stolicy, choć nie do pomyślenia było więzienie podobne do tego w Orange, bo nawet likwidowano cele szkodzące zdrowiu, by nie mnożyć niepotrzebnych cierpień, na gilotynę wysyłano w tempie, o jakim w Orange nikomu się nie śniło. Paryski prokurator nie będzie dochodził, czy Gaston nazywa się Martin czy Laval, jest prostym chłopem czy lekarzem. Od ręki rozwiąże problem, z którym przez tyle miesięcy nie poradzili sobie prowincjusze. Każę go wsadzić na wózek i zawieźć na miejsce straceń, kat raz-dwa zetnie mu głowę, potem grabarze wrzucą ciało do jakiegoś dołu.

„Blanche nigdy się nie dowie, co się ze mną stało” – myślał Gaston.

Rewolucja była jak rozwścieczone morze: zmiatała wszystko, co stawiało jej opór. Człowiek nie miał szans w starciu z taką potęgą. Ginał w niej bez śladu, jak ziarnko piasku w oceanie.

„Dlaczego Pan Bóg pozwolił, żeby do władzy doszedł ktoś taki jak Robespierre: prowincjusz z dziury zabitej dechami, pełen uprzedzeń ponurak gardzący takimi uczuciami, jak przyjaźń, miłość, radość życia? – myślał Gaston. – Chciał stworzyć raj na ziemi, tymczasem urządził tu piekło”.

Przypomniał sobie siostrę Matyldę śpiewającą psalm *Miserere* w drodze na szafot. Czy on okaże tyle odwagi, kiedy na niego przyjdzie kolej? Wrześniowa noc była ciepła, słyszał cykady, czuł zapach

nagrzanych cyprysów i bardzo chciało mu się żyć.

Coś uderzyło o drzwi. Ktoś zaczął przy nich majstrować, klnąc niewyraźnie. Śpiący tuż za nimi więźniowie obudzili się i na wszelki wypadek przeczołgali w głąb przybudówki.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i Gaston zobaczył w nich czarny cień.

– *Merde!* Zamykają człowiekowi drzwi przed nosem! Do własnego domu nie można się dostać!

Mężczyzna zrobił kilka kroków, jedną ręką trzymając się ściany, potknął się o coś i bełkotliwie zaklął.

Gaston namacał leżący pod ścianą drąg. Wiedział, że jeśli nie wykorzysta okazji i nie ucieknie, jutro może zginąć. Gdyby to był strażnik, szczególnie ten, który w przypływie złego humoru kopał więźniów, uderzyłby bez wahania. Ale to był obcy człowiek. Pewnie miał żonę, dzieci.

Kiedy w dzieciństwie Gaston usłyszał, że komuś odebrano życie, długo się zastanawiał nad tą frazą. Rzecz nie mieściła mu się w głowie. Poszedł do ojca i zapytał: „Odebrali mu życie? Całe życie?”.

– Babo! Ty cholerna babo! – bełkotał pijak. – Gdzieś podziała łóżko?

Osunął się na ziemię i macał wokół siebie.

Wszyscy więźniowie byli już na nogach. Jeden ostrożnie podsunął pijanemu wypchany suchymi grochowinami worek. Ten chwycił go z westchnieniem. Zasnął, ledwie położył na nim głowę.

Gaston się odwrócił i zobaczył zarysy drzew, niebo i blade gwiazdy. Drzwi były otwarte na oścież.

Podszedł do nich i wysunął głowę na zewnątrz. Sierpniowa noc już szarzała. Ogród był pusty.

– Jest jakiś wartownik? – usłyszał szept za plecami.

– Nie ma – powiedział.

– Uciekamy! – zawołał ktoś cicho.

Kilku więźniów wybiegło z szopy. Reszta naradzała się gorączkowo.

Gaston sam nie wiedział, co tu jeszcze robi. Za chwilę wszędzie słońce i uciekinierów będzie widać jak na dłoni.

Serce biło mu mocno, gdy wyszedł z przybudówki. Spojrzał na dom i zobaczył w oknie strażnika, który okrągłymi ze zdumienia oczami patrzył w jego stronę.

Gaston dawno nie biegał i szybko się zadyszał. Bolały go kolana. Zwolnił, żeby odpocząć, gdy usłyszał świst kuli.

Pognał przed siebie jak chart. Nie czuł już żadnego bólu, zadyszka znikła. Przeciął ogród i w oddali ujrzał rzekę. Choć nadrzeczna łąka była podmokła i zapadał się w trzęsawisku po kostki, nie zwolnił, a kiedy dobiegł do brzegu, bez wahania skoczył w nurt. Na szczęście trafił na głębinę i nie połamał nóg.

Rzeka, choć szeroko rozlana, była rwąca. Gaston chciał przepłynąć na drugi brzeg i skryć się w rosnącym tam lesie, ale szybko zrozumiał, że jest na to za słaby. Mógł zrobić tylko jedno: odpłynąć jak najdalej. Wpłynął na główny nurt i poczuł, jak rzeka go porywa. Za jego plecami wstawało słońce.

Szybko stracił poczucie czasu. Nie myślał o niczym, tylko o tym, żeby utrzymać się na wodzie i być

jak najmniej widocznym. Nurt przyspieszył, obok Gastona przepłynął kawałek pnia, potem gałąź pokryta liśćmi. Chwytał ją. Pod jej osłoną czuł się bezpieczniej.

Kiedy zobaczył przed sobą srebrzysty poblask, w pierwszej chwili pomyślał, że to jezioro, lecz gdy się zbliżył, pojął, że to Sekwana. Jeszcze chwila i wody Marny zmieszały się z jej wodami.

Wiedział, że zbliża się do Paryża i że las, który mijał po prawej stronie, to las Vincennes. Mógłby się w nim ukryć. Kierował się ku niemu, gdy dostrzegł kąpiących się w rzece żołnierzy. Wyglądało na to, że mają obóz właśnie w Vincennes. Schował głowę za gałęzią, i zdawszy się na nurt, płynął dalej w kierunku Paryża.

Woda znowu niosła go ku prawemu brzegowi. Szuwary miejscami były wycięte, pojawiały się szopy, pomosty, łodzie. Wypatrywał miejsca, w którym mógłby niepostrzeżenie wyjść na brzeg. Rzeka łagodnie zakręciła i sama go wepchnęła na piaszczystą łachę. Dopiero kiedy dotknął ziemi, poczuł, jaki jest zmęczony. Na czworakach dopełził do wiklinowych zarośli i tam upadł.

Leżał na ziemi, patrząc na niebieskie niebo. Czuł na twarzy ciepło słońca, owiewał go wiaterek, pachniały pokrzywy, wiklina i rzeka.

Sam nie wiedział, kiedy zasnął. Gdy się ocknął, było popołudnie. Ostrożnie wyjrzał z zarośli. Ani żywego ducha. Choć głód skręcał mu kiszkę, postanowił zostać w kryjówce do zmierzchu.

Musiał zdobyć coś do jedzenia, jakieś ubranie. Rzeka obmyła go z więziennego brudu, lecz bosy, w dziurawych *culottes* i wystrzępionej koszuli wyglądał jak żebrak.

„Może udawać żebraka? Na nich nikt nie zwraca uwagi”.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy wyszedł z komyszy. Zgarbił się, utykał na lewą nogę, od czasu do czasu gwałtownie potrząsał głową. Wprawdzie nikogo w pobliżu nie widział, ale ktoś mógł go śledzić z daleka, zza krzaków czy drzew. Od tej chwili był żebrakiem i musiał wyglądać i zachowywać się jak żebrak.

Doszedł do ciernistego żywopłotu okalającego pole. Zastanawiał się, co tam rośnie. Może soczysta rzepa, może tłuste słoneczniki? Zaburczało mu w brzuchu. Jakież było jego rozczarowanie, gdy w prześwicie zobaczył ściernisko.

Dalej rósł dębowy las. Gdybyż to był sad pełen pomarańczy albo jabłek! Gaston podniósł głowę i spojrzał na korony dębów, tak jakby żołędzie mogły się zmienić w słodkie czereśnie.

Zobaczył jakiś ruch między drzewami. Stado wielkich świń węszyło z ryjami przy ziemi, szukając żeru. Spod matowej szczeciniastej skóry aż parowało spęczniałe od krwi mięso. Gdyby świnię były bardziej wrażliwe, uciekłyby z kwikiem, tak łapczywie na nie patrzył.

Za stadem pojawiła się para pastuszków – mała, najwyżej czteroletnia dziewczynka i trochę starszy chłopiec. Gaston obszukał ich wzrokiem. Dzieci nie miały żadnego worka ani kieszeni wypchanych chlebem.

– Jest tu jakaś wieś? – zapytał.

Dzieci milczały.

– Jak macie na imię? – spróbował inaczej.

– Truskawka – pisnęła dziewczynka.

„Aż tak widać, jaki jestem głodny?” – zastanawiał się Gaston.

Chłopiec chwycił dziewczynkę za rękę i pociągnął za sobą.

Dopiero gdy dzieci uciekły, Gaston zdał sobie sprawę, że dziewczynka nie żartowała. Wiele urodzonych teraz dzieci nie nosiło imion świętych, lecz całkiem nowe, rewolucyjne: Wolność, Równość, Nadzieja albo Pomarańcza, Pszenica, Kwietna.

Gaston wyszedł z dąbrowy, spojrzął na słońce i ruszył na północ, w kierunku Paryża. O zmierzchu w oddali ujrzał wieś. Znowu przedzierzgnął się w żebraka: zgarbił się, zaczął utykać.

U studni stała kobieta i nalewała wodę do drewnianych wiader.

– Prze-przez mi-miłość Jeeezusa Chrystusa, Paaana naszego, wspoomóż nie-niewiasto, biednego.

– Gaston, jākając się, wypowiedział formułkę, którą nieraz słyszał z ust żebraków.

Kobieta bez słowa nalała wody do cynowego kubka stojącego na kamieniu koło studni i podała mu.

Gaston wypił, oddał jej kubek i znów zaczął, jākając się:

– Skiiibkę chle-chleba...

– Sama nie mam dla dzieci – odrzekła kobieta, wzięła wiadra i odeszła.

Kawałek dalej mężczyzna rąbał drewno, lecz Gaston nie miał odwagi do niego podejść. Bał się, że się w nim domyśli zbiegłego więźnia.

Przed ostatnim domem we wsi kobieta mieszała coś w parującym cebrze. Gaston podszedł bliżej. Prosząco wyciągnął rękę.

Wieśniaczka spojrziała na jego łachmany i trzęsącą się głowę, a potem, zanim zdążył poprosić o jedzenie, nałożyła mu na rękę porcję brei.

Gaston się skłonił i odszedł, utykając. Zatrzymał się w najbliższej kępie drzew i zbliżył dłoń do ust. Ostrożnie spróbował, potem pochłonął wszystko, z lubością przymykając oczy, gdy wśród młóta i kawałków jakichś liści trafił na rozgotowany owies.

Teraz, gdy zaspokoił pierwszy głód, powinien pomyśleć o noclegu. Cały czas się bał, że za zbiegami ruszyła pogoń, wolałby więc przenocować w jakiejś szopie, a nie w rowie przy gościńcu.

Maszerował rażno. Nagle zdał sobie sprawę, że mającące od jakiegoś czasu w półmroku światła to Paryż.

Pojawiły się małe domki, jakieś składy, przy których ujadały psy. Zabudowa stawała się coraz gęściejsza. Po lewej stronie było widać lasek, a może zapuszczony ogród. Gaston szedł w jego kierunku, gdy usłyszał miarowy żołnierski krok. Jak strzała pomknął w stronę drzew, dopadł skraju lasku, przykucnął, a potem, słysząc z daleka niewyraźne komendy, na czworakach zaczął sunąć przed siebie między drzewami. Nagle wyrósł przed nim mur z zakratowanym okienkiem na wysokości ziemi. Pręty były tak rozstawione, że wychudzony Gaston z łatwością się między nimi przecisnął. Bez namysłu wskoczył do piwnicy. Była nadspodziewanie głęboka.

Poczuł ból i pomyślał, że zwichnął kostkę. Zaczął ją masować. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku. Pod ścianami stały skrzynie i beczki. Gaston już chciał sprawdzić, czy nie ma w nich czegoś do jedzenia, gdy usłyszał nad głową kroki i męskie głosy. Jak szczur smyrnął za beczki.

Otworzyła się kłapa w suficie i ktoś spuścił do piwnicy długą drabinę. Gaston się skulił, wstrzymując

oddech. Trzeszczały szczeble, po ścianach pełzało migotliwe światło świecy.

– Dawaj!

Gaston usłyszał to prawie przy uchu i o mało nie krzyknął ze strachu.

Rozległ się szcęk podnoszonego wieka skrzyni, potem metaliczny brzęk.

Ostrożnie wyjrzał przez szparę między beczkami. W świetle stojącej na beczce w cynowym lichtarzu świecy zobaczył odwróconego tyłem mężczyznę, który wsypywał coś z płóciennego worka do skrzyni. Z otworu w suficie zwieszał się sznur.

Po chwili ktoś wyciągnął sznur, potem znów go opuścił z przywiązanym na końcu workiem wypchanym jakimiś nieforemnymi przedmiotami.

– Ciężkie to cholerstwo! – dobiegło z góry.

– Dla ciebie każda robota ciężka! – odkrzyknął mężczyzna z piwnicy. – Co robisz, kpie?! – zawołał, gdy sznur spadł mu na głowę.

– Jakoś mi się wymyknął. Idę po drugi – powiedział mężczyzna na górze.

Po krótkim czasie wrócił i spuścił trzeci worek.

Mężczyzna w piwnicy przesypał zawartość worków do skrzyni, zamknął ją, włożył jeden opróżniony worek do drugiego, przywiązał do sznura, a gdy jego towarzysz wyciągnął sznur na górę, zdmuchnął świecę i zaczął wchodzić po drabinie.

– Wzięłeś linę? – spytał ten z góry.

– Sam sobie weź. Nie będę się wracał.

Drabina znikła w otworze, trzasnęła zamykana kłapa, w piwnicy zrobiło się ciemno.

Gaston odetchnął głęboko. Myślał, że to pogoń, tymczasem to tylko mieszkańcy chowali coś w piwnicy. Słyszał ich kroki na górze, niewyraźne rozmowy, potem wszystko ucichło.

Wyszedł zza beczek i rozprostował kości. Zastanawiał się, czy zostać tu na noc czy poszukać innego miejsca. Kusiło go, by nigdzie się nie ruszać. W piwnicy było sucho, bezpiecznie. Ale co, jeśli ktoś go tu zaskoczy we śnie? Nie będzie miał dokąd uciec.

Podszedł do okienka, wdrapał się na stojącą pod nim beczkę. Miał ponad sześć stóp wzrostu, lecz nie dał rady go dosięgnąć. Przyjrzał się ścianie. Była ułożona z płaskich kamieni połączonych zaprawą. Kiedyś najzręczniejsi ze wszystkich chłopców wspinał się po wapiennych wzgórzach otaczających Marsylię. Sforsowanie tej ściany nie powinno być trudne.

Splunął w dłonie, szykując się do wspinaczki, gdy spojrzał na beczkę, na której stał. Może znajdzie w niej coś do jedzenia?

Denko beczki siedziało tak mocno, że w żaden sposób nie mógł go podważyć. Rozejrzał się po mrocznej piwnicy w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia. Nic. Macał rękami po podłodze w nadziei, że natrafi na jakiś pręt albo kołek. Niczego nie znalazł.

„Zaraz, zaraz... Przecież jeszcze są skrzynie”.

Otworzył jedną, tę, do której gospodarz przesypywał coś z worków. Metaliczny brzęk, który wtedy słyszał, nie kojarzył się z jedzeniem, ale nigdy nic nie wiadomo. Nikłe światło księżyca wpadło przez okienko. Zawartość skrzyni zaślniła. Gaston nie wierzył własnym oczom – była pełna srebrnych

przedmiotów. Zdumiony patrzył na świeczniki, tace, cukiernice, imbryki, dzbanki. Wziął łyżkę i zważył ją w dłoni. Na pewno była zrobiona ze srebra.

Otworzył drugą skrzynię. W tej było złoto: francuskie luidory, hiszpańskie pistole, duńskie i weneckie dukaty, rosyjskie imperiały.

Zaczął się zastanawiać, jakie skarby kryją beczki.

Potrząsnął najmniejszą. Coś przesypywało się w środku, ale nie był to dźwięk ani ciężar złota. Wczepił palce w denko. Albo beczka była słabiej zamknięta, albo jego determinacja większa, bo denko odskoczyło. Zanurzył w niej dłoń i uniósł ją do okienka. Księżyc zaśnił w przezroczystych kryształach.

„Diamenty! Ulubione kamienie królowej Marii Antoniny!”

Udało mu się otworzyć jeszcze jedną beczkę. Była pełna białych pereł. Niektóre miały wielkość przepiórczego jaja.

Gaston z wrażenia usiadł na podłodze. Poczł się jak Ali Baba w jaskini czterdziestu rozbójników.

Łatwo było się domyślić, skąd się wzięły te skarby. Kiedy król pod przymusem przeniósł się z Wersalu do Tuileries, a potem został zamknięty w wieży Temple, oba pałace splądrowano. Złodzieje sforsowali zamki sekreter, szaf, nawet szaf żelaznych, w poszukiwaniu złota, srebra i klejnotów. To samo działo się w pałacach arystokratów, którzy uciekli za granicę.

To w pojęciu rewolucjonistów były usprawiedliwione kradzieże. Ale zatrzęśli się z oburzenia, gdy przed rokiem został obrabowany hôtel du Garde-Meuble, gdzie rewolucyjny rząd przechowywał klejnoty Korony. Gazety donosiły, że złodzieje wynieśli prawie osiem milionów drogich kamieni i drogocennych przedmiotów, że skarby były tak nieudolnie pilnowane, iż wracali tam przez wiele nocy, przynosili z sobą jedzenie i picie, żeby się posilać, gdy garściami ładowali klejnoty do worków. Policji udało się aresztować kilku złodziei i odzyskać słynny diament Regent, złotą wazę, którą Paryż ofiarował Ludwikowi XV z okazji narodzin delfina, pokrytą diamentami grzechotkę – prezent carycy Katarzyny dla Ludwika XVI, złoty krzyż inkrustowany szmaragdami – dar nababa Majsuru. Reszta jednak przepadła jak kamień w wodę.

„Czy okradzenie złodzieja jest kradzieżą? – zastanowił się Gaston. – Tak” – odpowiedział sam sobie i zaczął szukać worka.

Gdy żadnego nie znalazł, zdjął koszulę, rozdarł na dwie części, na jedną nasypał tyle diamentów, ile się zmieściło, na drugą największe perły, i obwiązał rękawem. Potem zdjął *culottes* i zapakował w nie złoto, w końcu płócienną część ubioru, która nigdy nie powinna widzieć słońca.

„Gdybym miał pończochy! To dopiero byłby trzos!”

Zamknął beczki i skrzynie, powiązał tobołki sznurem, który zostawili właściciele Sezamu, i przewiesił go sobie przez ramię. Wszedł na beczkę, namacał w ścianie kamienie, których mógł się chwycić, wsunął palce nóg w szczelinę, gdy jednak zdjął z beczki drugą nogę, ciężar złota przeważył i oderwał go od ściany.

Gaston runął na ziemię.

Chwilę leżał oszołomiony. Jeszcze raz spróbował sforsować ścianę, ale znowu spadł.

Teraz wiedział, jak się czuł brat Ali Baby, Kasim, który zapomniał słów otwierających Sezam. Najpierw niedowierzenie na widok skarbów, potem euforia, pożądlivość, by wziąć jak najwięcej, strach, gdy się okazało, że do jaskini łatwo było wejść, ale wyjść już się nie da, w końcu rozpacz.

Gaston i tak był w lepszej sytuacji niż Kasim, bo mógł zostawić skarby i uciec. Nie musiał czekać, aż zbójcy wrócą i go poćwiartują.

Gdy jako dziecko słuchał tej baśni, nie miał litości dla Kasima – ten głupiec powinien być ukarany. Teraz widział rzecz inaczej: przekonał się na własnej skórze, jak trudno zrezygnować ze skarbu, który się posiadało.

Rozdział 12

Gerylasi



– I co pan zrobił? – spytała Jegle.

Gaston zamrugał. Zatopił się w przeszłości i zapomniał o bożym świecie.

– Obwiązałem się końcem sznura w pasie, wszedłem po ścianie do okienka i dopiero wtedy wciągnąłem z podłogi na górę zawiniątka ze skarbem. Przełożyłem je przez kraty i jeszcze raz wróciłem tą samą drogą do piwnicy, żeby odłożyć sznur na miejsce. Złota i drogich kamieni było tam tyle, że nikt by nie spostrzegł ubytku. Ale zniknięcie sznura na pewno by zauważyli.

Choć na niebie błyszczał tylko cienki rożek księżycy, Gastonowi wydawało się, że w jego blasku ukradzione skarby świecą przez materiał. Przyszło mu do głowy, żeby je zakopać, ale zaraz porzucił ten pomysł – świeżo poruszona ziemia z pewnością zwróciłaby czyjąś uwagę.

Stał nagi za drzewem i nie wiedział, co dalej. Nagle przypomniał sobie, jak kapitan Kochański mu opowiadał, że podczas upału po mustrze Polacy odpoczywali, leżąc na trawie w szlafrokach. Tak nazywali między sobą strój praojca Adama, bez liścia figowego. Zaśmiał się w duchu i poczuł, jak opuszcza go napięcie.

Podmiejska osada była pogrążona we śnie. Na pewno gdzieś krążyły straże, ale patrole w nocnej ciszy zwykle było słychać z daleka. Szedł ostrożnie, lecz pewnie, niosąc w ramionach swój skarb. Na tyłach jakiegoś domu wisiało pranie na sznurze. Wziął tylko jedną rzecz: spraną i połataną koszulę. Chwilę walczył z sobą, by nie położyć na ziemi sztuki złota. Ale nie wolno mu było zostawiać żadnych śladów.

Dalej przy drodze znalazł stary worek. Kiedy włożył do niego swoją zdobycz, poczuł się całkiem pewnie.

Spojrzał na niebo. Księżyc zaszedł, gwiazdy bladły. Za jakieś dwie godziny wzejdzie słońce. Trzeba było się rozejrzeć za kryjówką. Pomyślał o Paryżu. W dużym mieście łatwiej wtopić się w tłum. Z drugiej strony więcej tam ciekawskich oczu i uszu.

Znowu spojrzał na niebo. Czy siostra Matyllda go teraz widzi? To pewnie jej modlitwom zawdzięczał uwolnienie. Cały czas mu pomaga, jak w Orange.

Nagle go olśniło. Nie znał nikogo w Paryżu, lecz przecież znał Matyldę Colbert, właścicielkę winnicy w Chelles i dobrodziejkę tamtejszego opactwa. Klasztor Notre Dame pewnie podzielił los innych domów benedyktynek, ale może pani Colbert nadal mieszka w Chelles. Z Paryża to tylko godzina drogi powozem, pieszo cztery godziny, może pięć.

– Pani Matyllda Colbert straciła pierwsze dziecko i gdy po raz drugi była brzemienna, wezwała mnie, bo poleciała jej moje usługi hrabina de Polastron. Potem jeszcze dwa razy przyjmowałem na

świat jej dzieci... Nie wiedziałem, co zastanę w jej domu. Zakradłem się do ogrodu i na szczęście pierwszą osobą, którą zobaczyłem, była właśnie ona.

Gaston nigdy nie zapomniał rozkoszy ciepłej kąpieli, pierwszej od siedmiu miesięcy, smaku bouillabaisse, którą pani Colbert kazała dla niego ugotować. Pozwoliła mu odpocząć, wyspać się i dopiero na drugi dzień spytała, czy słyszał o powstaniu w Prowansji.

– Powiedziała mi, że w czerwcu kilka prowansalskich miast, protestując przeciwko dyktaturze jakobinów, ogłosiło się miastami żyrondistowskimi, a potem monarchistycznymi. Że Tulon nadal jest obleżony przez armię rewolucyjną, a Marsylia poddała się bez walki. Mimo to spacyfikowano miasto, jakobini nałożyli na nie kontrybucję, a nawet odebrali mu nazwę. Moja Marsylia stała się Ville-sans-Nom, Miastem bez Imienia. – Gastonowi załamał się głos.

Jegle podeszła i przytuliła jego głowę do piersi. Głaskała go, a on płakał.

Nie uronił łzy, gdy zobaczył spalony dom, gdy stał nad grobem matki, Blanche, Lucasa, Joanny i jej dwóch przyjaciółek z zakonu. Dopiero teraz coś w nim pękło.

Wyjął chustkę z kieszeni i otarł mokre policzki.

Jegle usiadła przy nim. Ujął jej dłoń i trzymając ją w swojej, opowiadał dalej:

– Domyśla się pani, że natychmiast chciałem ruszać w drogę. „Teraz to nie takie proste – powiedziała mi pani Colbert. – Trzeba mieć paszport i wizę. Sankiulockie posterunki na rogatkach sprawdzają dokumenty, szukając podejrzanych. Coś na to poradzimy, lecz potrzebuję dwóch, trzech dni”. Nie przyznałem się jej, że mam pieniądze. Nie chciałem jej narażać. Im mniej wiedziała, tym dla niej było lepiej. Musiałem sobie znaleźć jakieś zajęcie, żeby czekając, nie zwariować. Zająłem się ukrywaniem mojego skarbu.

Jegle spojrzała pytająco.

– W ogrodzie rósł stary orzech. Owoce akurat dojrzewały. Zjadałem środek, wkładałem do skorupki diamenty lub perły i zaklejałem ją.

– Nie bał się pan, co będzie, gdy ktoś poprosi, by go poczęstować orzechami?

– W połowie worka wszyłem drugie dno. Orzechy nadziane kamieniami leżały pod spodem, a z wierzchu te zwykłe.

Po dwóch dniach dokumenty były gotowe. Przedstawiały Gastona jako Matthiasa Duclosa, służącego, który jedzie do Marsylii, by z polecenia swej chlebodawczyni kupić krzewy winnej latorośli. Trzydniowa podróż minęła spokojnie, choć w Clermont-Ferrand sankiulocki patrol kazał mu się zameldować w miejscowym Komitecie Bezpieczeństwa Powszechnego. Gaston, utykając, wszedł do budynku, a odpowiadając na pytania, tak się jąkał, że zniecierpliwiony funkcjonariusz kazał mu iść precz.

W końcu karetka pocztowa, którą jechał, minęła rogatki Marsylii. Miasto było jak wymarłe. Ciężko dysząc, biegł pod górę swoją ulicą. Brama była wyłamana, kwiaty na gazonach podeptane. Wypalone mury domu jeszcze dymiły.

Domy dwóch sąsiadów też zostały spalone. Pobiegł na sąsiednią ulicę, do Vincenta, starego przyjaciela.

„Och, Gastonie, ty żyjesz?! Myśmy cię już dawno oplakali!”

Od Vincenta dowiedział się, jak zginęła jego rodzina. „Żołnierze z armii rewolucyjnej przyszli do twego domu, bo ktoś doniósł, że ukrywają się tam zakonnice. Blanche nie chciała ich wpuścić. Zastrzelili ją, potem waszego synka i twoją mamę, która rzuciła mu się na ratunek. Joanna i jej towarzyszkę odmówiły wyjścia z domu. Też je zastrzelili. Przynajmniej nie cierpiały. Wiesz, że rodzinę Hailletów i kilkanaście innych osób, które oskarżyli o ścięcie drzew wolności, powiązali razem i rozstrzelali ogniem kartaczy, a rannych dobili siekierami?”

Vincent ofiarował złoto w zamian za ciała rodziny Gastona, lecz żołnierze bali się je przyjąć. Kilkuset zabitych mieszkańców pochowano we wspólnych grobach.

– Na tym miejscu jest teraz kościół – powiedział Gaston. – Zbudowałem go, by spali spokojnie w jego podziemiach.

Jegle wysunęła dłoń z jego ręki i delikatnie pogłaskała go po policzku. Nie musiał mówić nic więcej. Ona o okropnościach wojny domowej wiedziała wszystko.

– Pojechałem do Wenecji. Moja mama tam się urodziła. Kupiłem dom. A potem wróciłem do Francji i zaciągnąłem się do wojska. Wiedziałem, że tam nikt nie będzie mnie szukać.

Miał też nadzieję, że zginie.

– Siostra Matylda się mną opiekuje i wierzę, że to ona doprowadziła mnie do pani. Jeśli nie chce pani mieszkać w Wenecji, możemy jechać do Polski, do Ameryki nawet.

„Tylko nie do Marsylii” – pomyślał.

– Jedźmy do Wenecji – rzekła Jegle. – A kiedy Polska odzyska wolność, pojedziemy do Koborowa, dobrze?

– Co tylko pani rozkaże.

– Ja nie rozkazuję, ja proszę. – Uśmiechnęła się.

– Gdyby coś mi się stało... W moim domu w Wenecji jest dozorca. Proszę mu powiedzieć: „Sezanie, otwórz się”, a wszystko, co mam, stanie się pani własnością.

– Czy wyglądam na łowczynię majątków? – zażartowała. – Ja chcę pana, nie pański dom.

Odwrócił głowę do okna, by ukryć wzruszenie.

Świtało. Przegadali całą noc.

– Przeze mnie nie zmrużyła pani oka.

Uśmiechnęła się.

– To była najpiękniejsza noc w moim życiu. Odkrył pan przede mną swą duszę.

Gaston odetchnął głęboko. Było mu lekko na sercu. Myślał, że nic go już w życiu nie czeka, tymczasem los odmierzył mu szczęście hojną miarą.

– Odszedłem z wojska i mogę wyjechać w każdej chwili – powiedział. – Proszę, niech pani nie zwleka. Jestem stary i szkoda mi każdego dnia.

– Nigdy nie będzie pan stary.

Jegle wstała, więc i on wstał. Bardzo chciał ją objąć i pocałować, lecz ciągle nie miał odwagi.

– Odprowadzę pana w pobliże obozu. A za dwa dni przyjadę do pana.

Osiadłali konie. Niewiele mówili podczas drogi.

Pożegnali się pod samotnym drzewem. Pocałował ją w rękę, a potem długo za nią patrzył.

Gdy zjeżdżał ze wzgórza, miał ochotę śpiewać i krzyczeć ze szczęścia. Jeszcze dwa dni i Jegle będzie jego na zawsze. Wyobrażał sobie dobroduszne docinki kolegów i pytania, gdzie spędził noc. Ciekawe, jaką piosenkę zaśpiewa mu tym razem porucznik Jurgaszko.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – zawołał na jego widok Bricard. – Co się z panem działo?!

Baliśmy się, że pana też porwali gerylasi!

– Mówiłem, że jadę do pani de Voss.

Uśmiechnął się triumfalnie, myśląc: „A teraz zachodź w głowę, co robiliśmy przez całą noc!”.

Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. „Też porwali? Kogoś porwali?”

– Co tu się stało? – zapytał.

– Partyzanci napadli na Polaków wracających z patrolu. Dwóch zabili, a trzech uprowadzili – odrzekł Bricard.

– Kogoś znajomego? – spytał Gaston z nagłym lękiem.

– Porwali porucznika Jurgaszkę, a zabili... Daniela? Ksawerego?

– Ksawerego Danielewicza?

– No właśnie.

Gaston rzucił wodze sanitariuszowi i pobiegł do kwatery kapitana Kochańskiego.

– Jurgaszko?! – zawołał od progu. – Porwali Jurgaszkę?

Kochański uniósł głowę znad mapy.

– Wczoraj po południu – odrzekł. – Szykujemy się, żeby go odbić.

Gaston spojrział na stojących wokół stołu Polaków.

– W czwórkę? – spytał zdumiony.

– Ma pan rację, nieparzyste liczby są szczęśliwsze. – Kochański uśmiechnął się, lecz tylko wargami. Jego oczy patrzyły poważnie. – Ale Ksawerego już z nami nie ma. A w takich sytuacjach potrzebna jest albo armia, albo paru doświadczonych ludzi.

– Jak panowie zamierzają to zrobić?

– Gerylasi obozują w tej okolicy, w opuszczonej wsi. – Kochański zakreslił palcem kółko na mapie. – Wysłaliśmy kilku szpiegów. Ich relacje są zgodne.

Gaston nachylił się nad mapą.

– Wiem, gdzie to jest. Jadę z wami.

Zapadła cisza.

– No co? Nieparzyste liczby są szczęśliwsze – powiedział Gaston.

Polacy się roześmiali, lecz zaraz spoważnieli.

– Panie doktorze, bardzo by nam się pan przydał, ale nie możemy pana narażać. Nie wiadomo, czy wrócimy – rzekł Kochański.

– Musimy wrócić. Bo widzą panowie, właśnie oświadczyłem się pani de Voss i zostałem przyjęty. Za dwa dni wydaję w obozie przyjęcie zaręczynowo-pożegnalne. Już dziś panów zapraszam. To jaki

jest plan?

Milczeli chwilę.

– Widział pan tę wieś? Jak wygląda? – spytał Kochański.

Gaston się zastanowił.

– Siedem albo osiem małych domów stojących blisko siebie, w półkolu. Niektóre są dobudowane do skał. Jest tam dziki gaj oliwny dochodzący prawie do wsi.

– Trafi pan tam?

– Tak.

Polacy spojrzeli po sobie.

– Hiszpańscy przewodnicy są niepewni – zauważył Augustyński.

– Masz rację, Stasiu – zgodził się Kochański.

– Pan doktor mówi po polsku – dodał porucznik Korsak.

Gaston popatrzył na niego ze zdziwieniem. Co to ma do rzeczy?

– Będzie pan musiał udawać Polaka – wyjaśnił Kochański. – Hiszpanie nienawidzą Francuzów, lecz dla Polaków żywią pewien respekt. Pańska znajomość hiszpańskiego też się może przydać.

Gaston pokiwał głową.

– Wyruszymy o zmroku. Jeśli będzie ich niewielu, zaatakujemy tuż przed świtem. Jeśli ponad czterdziestu, to znaczy więcej niż dziesięciu na jednego...

– Ponad pięćdziesięciu – poprawił Gaston.

– No tak, ponad pięćdziesięciu. – Kochański się uśmiechnął. – Wtedy możemy spróbować układów.

Mamy pieniądze, wszyscy się złożyli. Spróbujemy wykupić naszych.

– Ja też się dołożę – powiedział Gaston.

– Zgoda. – Kochański kiwnął głową. – Może się jednak okazać, że wezmą pieniądze, nie oddadzą jeńców i nas też zatrzymają. Zanim cokolwiek im zaproponujemy, musimy się zorientować w ich nastawieniu. W najgorszej sytuacji, gdy będzie ich wielu i zobaczymy, że pieniądze ich nie interesują, gramy Polaków, którzy zrozumieli, że Napoleon nie umie być wdzięczny, i dlatego chcą służyć królowi Ferdynandowi. W Alagón jest pewien oberżysta, który namawia żołnierzy do dezercji. Powołamy się na niego.

– Widzę, że przewidzieli panowie każdą sytuację – powiedział Gaston.

– Tak naprawdę to niemożliwe. Rzadko wszystko idzie zgodnie z planem. Ale łatwiej go zmienić, niż od początku improwizować.

Kochański popatrzył po kolegach, potem znów spojrział na Gastona.

– Panie doktorze, czy potrafi pan zabić z zimną krwią, jeśli to będzie konieczne? – spytał.

– Tak.

– Będziemy zdani tylko na siebie – dodał milczący do tej pory porucznik Brandt.

– Aha, i niech się pan dzisiaj nie myje. Zapach mydła szeroko się rozchodzi – powiedział Kochański. – Spotykamy się o trzeciej, żeby omówić szczegóły.

Gaston poszedł do furgonu, kazał sanitariuszowi zrobić sobie kawy. Kiedy ją pił, siedząc przed

stodołą, nadszedł Paul.

– Gratuluję! – zawołał. – Bricard mi powiedział, że twierdza zdobyta. Zżółkł z zazdrości.

– Bricard gada bzdury i nie wie o najważniejszym: zaręczyliśmy się. Za dwa dni ją stąd zabieram.

Chciałbym, żebyś przyjechał na ślub i był moim świadkiem.

– Z radością! Ustaliliście termin?

– Jeszcze nie. Pomyślimy o tym, gdy Jegle tu przyjedzie.

– Jegle? Nie Muriel?

– To długa historia.

Gaston opowiedział mu w skrócie dzieje swojej narzeczonej.

– Wanda? – Paul był wstrząśnięty. – Twoja wybranka dużo przeszła.

– Słyszałeś o poruczniku Jurgaszce? – spytał Gaston.

– Okropna historia.

– Polacy chcą go odbić. Idę z nimi.

– Odbić jeńca gerylasom? Jak? I czy on w ogóle jeszcze żyje?

– Wysłali szpiegów. Nie znaleźli żadnego ciała.

– Gerylasi zwykle zabijają przy drodze. Na postrach.

– No właśnie – powiedział Gaston. – Może zgodzą się na okup?

– Wątpię.

Gaston westchnął.

– Tak czy inaczej idę z nimi. – Zawahał się. – Wiesz, napiszę do Jegle. Gdybym nie wrócił...

– Tfu, na psa urok! Nawet tak nie mów!

Gaston długo myślał, co napisać. W końcu sięgnął po pióro.

Moja ukochana, najdroższa na świecie Jegle!

Wiem, że Pani mnie zrozumie. Musiałem z nimi pójść. Skoro czyta Pani ten list, to znaczy, że jeszcze nie wróciłem. Lecz niech Pani będzie pewna, że zrobię wszystko, by do Pani wrócić.

Pani na zawsze sługa uniżony

Potem napisał jeszcze jeden list. Zajmujący się jego sprawami w Wenecji *signor* Bianchi powinien wiedzieć, że Jegle Haniszewska, *primo voto* de Voss, dziedziczy po nim wszystko.

Wyjął z kieszonki zegarek. Pora iść na zebranie do Polaków.

Kapitan Kochański jeszcze raz omówił rozmaite warianty planu. Gaston pomyślał, że dewiza Polaków powinna brzmieć: „Jak się nie da tak, to zrobimy to inaczej”.

– Pamiętajcie, od wymarszu ani słowa po francusku. Udajemy, że ledwie znamy ten język. Jakies pytania?

Wszyscy milczeli.

– Ja mam uwagę – powiedział Gaston. – A raczej prośbę, żeby panowie już nic nie jedli. Mam nadzieję, że wyjdziemy z tego bez szwanku, ale w razie postrzału w brzuch większe szanse ma ten, kto ma puste kiszkę.

– Od tej chwili tylko woda – rozkazał Kochański.

Gaston poszedł do szpitala, by uzupełnić swój lekarski ekwipunek. Dołożył do ładownicy trochę leków, sprawdził narzędzia. Przez chwilę się zastanawiał, czy zamiast ładownicy nie wziąć mantelzaka. Nie wiadomo, w jakim stanie są jeńcy, a sukienny mantelzak pomieściłby dużo więcej niż ładownica – kawalerzyści, dla których był przeznaczony, wozili w nim nie tylko zwinięty płaszcz, ale i bieliznę, zapasowe buty, rajtuzy, zgrzebła.

„Nie, lepiej mieć wolne ręce. Ładownicę przytroczę do pasa, a mantelzak ma krótkie rzemienie, dobre do siodła, ale niewygodne do noszenia”.

Gaston pożegnał się z kolegami.

Paul mocno go uścisnął.

– Chcę cię tu jutro zobaczyć, słyszysz?

– Wrócę – powiedział Gaston. – Ale na wszelki wypadek weź ten list do Jegle. A ten drugi wyślij razem ze szpitalną pocztą.

W furgonie zaczął się szykować do drogi. Włożył znoszone buty, które miały skrytkę w obcasach i parę razy wyratowały go z opresji. Jeśli gerylasi ich złapią, na pewno ich obszukają. Dobrze jest mieć coś przy sobie, żeby wróg był zadowolony z łupu. To myśląc, Gaston schował do kieszeni płaszcza trochę złotych i srebrnych monet. Włożył świeżą bieliznę, wyczyszczony surdut, ciemny cywilny płaszcz. Żołnierze ubierali się do bitwy jak na święto i przejął od nich ten zwyczaj.

Polacy na miejscu zbiórki stawili się w mundurach, na które włożyli czarne płaszcze z kapturem. Na twarzach i dłoniach mieli smugi zrobione popiołem z ogniska.

Gaston też posmarował twarz i ręce. „Może śmierć mnie nie pozna?” – myślał przy tym.

– Nie ma pan przy sobie niczego, co by wskazywało na Francuza? – upewnił się Kochański.

– Nie.

– Od tej chwili jest pan polskim lekarzem, Janem Adamskim.

„Które to już moje nazwisko?” – pomyślał Gaston.

Po półgodzinnej jeździe zostawili konie w szałasie pasterskim – pięć swoich i trzy dla jeńców. Dalej szli pieszo. Gaston prowadził.

Wąski księżyc w pierwszej kwadrze słabo oświetlał wzgórze. Mimo że droga z końskiego grzbietu zawsze wygląda trochę inaczej niż ta, którą widzi piechur, Gaston dobrze ją pamiętał. Przy Jegle wszystkie jego zmysły się wyostrzały.

Szli powoli, żeby nie potrącać kamieni i nie robić hałasu. Było już po północy, gdy dotarli do pierwszych drzew oliwnych. Ruszyli brzegiem gaju, by pod żadną stopą nie trzasnęła sucha gałąź.

Gaston w duchu podziwiał spryt Polaków, tak jak już od dawna zachwycił się ich umiejętnościami jeździeckimi.

„U nas chłopak wzrasta między końmi. Dosiada szkapy, pędzi po pastwisku, przepływa rzeki już wtedy, gdy między nim a jej grzbietem nawet płótna nie ma” – ze śmiechem powiedział mu kiedyś Jurgaszko.

„Co się z nim teraz dzieje?” – zastanawiał się Gaston.

W nocy szło się trudniej niż w dzień, za to byli prawie niewidzialni. Trochę się bał, że nie trafi do opuszczonej wsi, którą widział raz, i to z daleka. Nawet w dzień można jej było nie zauważyć.

W pewnej chwili zobaczył światło. Wytężył wzrok i dojrzał zarysy domów. W jednym oknie paliła się świeczka. Widać było słaby blask sączący się przez okiennice.

Zatrzymali się i przycupnęli wśród oliwek. Ktoś mógłby stać o parę kroków od nich i ich nie zauważyć. Pomalowane twarze, oczy przymknięte, żeby jak najmniej błyszczały, czarne kaptury – niczego nie zostawili przypadkowi.

Gaston pod osłoną płaszcza otworzył zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazywały kwadrans po drugiej. Wiedział, że dwaj zwiadowcy, Korsak i Brandt, ruszą o trzeciej. Godzina wilka, gdy najtrudniej zachować czujność.

Nie było widać żadnych straży. Czy partyzanci czuli się tu tak pewnie, czy może wartownicy dobrze się maskowali?

Gaston wpatrywał się w mrok. Nagle ciemność między drzewami zgęstniała. Domyślił się, że przemykają się tam zwiadowcy, ale nic nie słyszał, bo poruszali się cicho jak koty.

W napięciu słuchał, czy gerylasi nie podniosą alarmu.

Serce zabiło mu jeszcze szybciej, kiedy zwiadowcy wyszli spod osłony drzew i zgięci wbiegli na otwarty teren między domami a gajem oliwnym.

„Dlaczego nie ma wartowników? A może wiedzą o nas, tylko czekają, aż wszyscy podejdziemy bliżej?” – myślał Gaston.

Zwiadowcy wrócili po kilkunastu minutach.

W piątkę przykucnęli w kręgu. Pod osłoną płaszczy Korsak i Brandt szeptem zdali raport. Jeńcy byli w drugim domu od lewej, tam gdzie paliła się świeczka. Żyli. Nie było widać bandażu, więc chyba żaden nie był ranny. Leżeli związani, z otwartymi oczami. Spał za to wartownik.

– Wiedzą, że po nich przyjdziemy. Czekają. Wystarczy ogłuszyć strażnika – odezwał się porucznik Korsak. – Gerylasi nie wystawili wart, bo wieś jest otoczona cienkim sznurkiem. Wisi na wysokości

kostek. Zawiesili na nim kilka krowich dzwonek.

– Czyli nie mają doświadczenia. Może to jakiś nieduży oddział zostawiony do pilnowania jeńców – rzekł Augustyński.

– Zrobimy tak – powiedział Kochański. – Zwiadowcy ogłuszają i wiążą strażnika, potem rozwiązują naszych. Stasiu – spojrzał na Augustyńskiego – ty stoisz przy drzwiach, żeby obserwować wieś i na wypadek gdyby jednak byli ranni i trzeba było pomóc im iść. Ja z doktorem was ubezpieczam. Jeżeli są ranni, bierzemy ich na płaszcze. Jeśli mogą iść, biegniecie z nimi prosto do koni, a ja z doktorem zostaję tu jako osłona. Ruszymy kwadrans po was. I nie chciałbym być w waszej skórze, jeśli was dogonimy.

Ledwie skończył mówić, trzech Polacy wstali i poszli w stronę wsi. Gaston widział, jak w pewnym miejscu zwolnili.

„Przechodzą przez sznurek” – domyślił się.

Drzwi do domu, w którym gerylasi trzymali jeńców, musiały być otwarte, bo zwiadowcy nawet na chwilę się przy nich nie zatrzymali. Mignęli mu tylko przez sekundę, gdy wchodzili do środka.

Gaston zaciskał pięści i napięty jak struna modlił się w duchu.

Drgnął, gdy w drzwiach ukazali się jeńcy w koszulach, które bieleły w ciemności. Na moment zatrzymali się przy sznurku i już byli w zagajniku.

Gaston podziwiał ich dyscyplinę. Żadnych powitań, rzucania się sobie na szyję. Przemknęli w szóstkę koło Kochańskiego i Gastona jak duchy.

Kochański spojrzał na zegarek.

– Ruszamy za kwadrans – szepnął do Gastona.

Czas włókł się niemiłosiernie. Gaston spojrzał przez ramię, ale choć jego oczy przyzwyczyły się już do mroku, nie zobaczył uciekinierów. Odetchnął z ulgą.

Coś zaszeleściło wśród drzew. Spojrzał na Kochańskiego.

– Gerylasi? – spytał bezgłośnie.

– Niemożliwe. To pewnie tylko wilkołaki – szepnął mu do ucha Kochański.

Gaston usłyszał ciężkie stąpanie, potem zobaczył rozłożyste rogi. Odetchnął z ulgą.

„Jeleń! To tylko jeleń!” – pomyślał.

Noc dobiegała kresu, niebo szarzało.

Naraz zabrzączał krowi dzwonek, potem drugi i trzeci. To jeleń potknął się o sznurek.

– Uciekamy! – szeptem rozkazał Kochański. – Na wschód, żeby odciągnąć pogoń.

– Lepiej na północ, do domu pani de Voss. Pokażę drogę.

Gaston już wcześniej pomyślał o Jegle. Znała partyzantów, znała Jurgaszkę, byłaby doskonałym pośrednikiem. Ale co innego leczyć gerylasów, a co innego wdawać się z nimi w targi. Gdyby tak zrobili jej krzywdę?

Teraz jednak, gdy śmierć zajrzała im w oczy, przestał się wahać.

Zerwali się z ziemi i schyleni pobiegli skrajem drzew.

– *Parar!* – rozległo się za nimi, a zaraz potem usłyszeli strzał.

Gaston ani myślał się zatrzymywać. Włożył rękę do kieszeni i szerokim gestem, tak żeby w rzednących ciemnościach pogoń to zobaczyła, rozrzucił złote i srebrne monety. Może gerylasi się skuszą i przystaną, żeby je pozbierać.

„Jak daleko jeszcze do Jegle? Godzina?” Nie da rady biec tak długo.

– Rozdzielmy się! – zawołał do Kochańskiego. – Ja odciągnę pogoń!

– Nie! Polacy walczą i umierają razem!

Nagle drzewa się poruszyły. Gaston pomyślał, że ze zmęczenia dwoi mu się w oczach. Jak spod ziemi wyrósł przed nim jakiś cień. Zobaczył spiczastą czapkę przybraną kokardą i w ostatnim przebłysku świadomości zrozumiał, że ma przed sobą gerylasa, który wcześniej stał ukryty za pnem.

– *Aquerès mountines qui ta haütes...* – zdążył jeszcze powiedzieć, zanim ogarnęła go ciemność.

Rozdział 13

Na bezludnej wyspie



– Luismi! Luismi! On się budzi!

„Luismi? Skąd ja znam to imię?” – pomyślał Gaston, otwierając oczy.

Zobaczył niebieskie niebo, które zaraz mu przesłoniła głowa w spiczastej czapce z czarnego sukna, z czerwoną kokardą.

„Biegłem wzdłuż drzew, gdy dostałem kolbę karabinu” – przypomniał sobie i naraz całkiem oprzytomniał.

– *Polonais ou Français?* – zapytał gerylas.

– Jestem Polakiem – odrzekł Gaston po polsku i na wszelki wypadek powiedział to samo po hiszpańsku: – *Soy polaco.*

Uniósł się i usiadł. Zakręciło mu się w głowie.

– *Hablas español?*

– *Si.*

– Gdzie się nauczyłeś naszego języka?

Gastona olśniło. Przypomniał sobie, skąd zna to rzadkie imię Luismi. Jeśli to ten sam Luismi, o którym opowiadała mu Jegle, to wie, jak z nim rozmawiać.

– Jestem polskim lekarzem z Krakowa. To miasto na południu Polski. Przeczytałem kiedyś w gazecie dla lekarzy, że w Hiszpanii zdarzył się niezwykle przypadek, niemal cud. Chłopiec pokąsany przez wściekłego psa wyzdrowiał. Pomyślałem, że Hiszpanie to niezwykle naród, i zapragnąłem poznać ich kraj, język. Nauczyłem się hiszpańskiego i przyjechałem tu przed rokiem. Chciałem odnaleźć tego chłopca, porozmawiać z nim, napisać o nim książkę...

Gaston urwał, zastanawiając się, czy nie przesadza. Ale nie, partyzant szeroko się uśmiechał, chłonąc każde jego słowo.

– Niestety, Francuzi napadli na Hiszpanię, wybuchła wojna i nie znalazłem tego chłopca. Trafiłem za to na polskie wojsko. Napoleon, który oszukuje Francuzów lepiej niż król Ludwik, zwiódł też wielu Polaków. Namówiłem mego rodaka kapitana Kochańskiego, żeby przeszedł na służbę króla Ferdynanda, i właśnie kiedy w górach szukaliśmy partyzantów, by się do nich przyłączyć, ktoś zaczął do nas strzelać. Uciekaliśmy na oślep...

– Skąd pan zna *Aquerès mountines*? – przerwał mu partyzant.

Mówił znacznie uprzejmiejszym tonem.

– Widzi pan, kiedyś w pirenejskiej wiosce odebrałem skomplikowany poród. Pośladkowy. Na pewno pan wie, o czym mówię.

Gerylas pokiwał głową.

– Hiszpanie to tacy wykształceni ludzie! Francuz nie miałby pojęcia, co to jest. Otóż ta kobieta nie miała mi czym zapłacić i żeby mi się odwdzięczyć za uratowanie życia, nauczyła mnie tej piosenki. Powiedziała, że wszyscy hiszpańscy patrioci ją znają i nikomu, kto też ją zna, nie zrobią krzywdy.

Gerylas myślał chwilę.

– Naprawdę chce pan napisać książkę o tym pokąsanym? To przecież zwykły chłopak z gór.

– Nie, proszę pana. To ktoś niezwykły. Wprost nadzwyczajny. Żaden chory na wściekliznę nie wyzdrowiał, żaden na całym świecie. Każdy lekarz chciałby się nauczyć leczenia takich chorych. Może ten chłopiec jest kluczem do przełomu w medycynie? Światowego przełomu!

Partyzant zmrużył oczy.

– Naprawdę jest pan lekarzem? – spytał.

Gaston dotknął pasa. Ładownica z podręcznymi narzędziami i lekarstwami znikła.

– Miałem podróży zestaw lekarski przypięty do pasa – powiedział. – Ale musiałem go zgubić, gdy uciekałem.

Partyzant odszedł. Gaston widział, jak rozmawia z innymi. Pewnie pytał o ładownicę.

Rozejrzał się dookoła. Znowu był w opuszczonej wsi. Gerylasi siedzieli przy ognisku, jedli coś, palili papierosy, jeden brzdąkał na gitarze. Nie przypominali wojska, raczej przypadkową zbieraninę. Niektórzy mieli mundury francuskich dragonów lub saperów, nawet polskiej piechoty, większość jednak była ubrana w chłopskie brązowe kaftany i krótkie płócienne szarawary ściągnięte rzemiennym pasem, za którym każdy miał długi nóż. Strzelb nie złożyli w kozły, lecz bezładnie porzucili z boku.

„Gdzie jest Kochański? – zastanawiał się Gaston. – Może udało mu się uciec?”

– *Viva el rey Fernando!* – zawołał jeden z partyzantów.

Wstał od ogniska i podszedł do Gastona. Trącił go nogą.

– Przyjechałeś do Hiszpanii, żeby ją rabować i niszczyć! – powiedział.

– Nie, proszę pana – uprzejmie odrzekł Gaston. – Jestem lekarzem i przyjechałem leczyć.

Partyzant patrzył na niego nieufnie.

– Jesteś katolikiem?

– Tak.

– Przeżegnaj się! – zażądał.

Gaston ukląkł na jedno kolano i przeżegnał się.

– Umiesz *Ojcze nasz*?

– Po hiszpańsku czy po łacinie? – spytał Gaston.

– Po łacinie.

– *Pater noster, qui es in caelis: sanctificetur nomen Tuum...* – Gaston odmówił Modlitwę Pańską, jeszcze raz się przeżegnał, a żeby ostatecznie przekonać gerylasa, wykrzyknął: – *Viva la religión!*

Od ogniska wstało jeszcze kilku partyzantów. Wszyscy byli bardzo młodzi.

„Ciekawe, czego ci sobie zażyczą – pomyślał Gaston. – Tylko tego brakuje, żeby mi kazali skakać

przez ogień”.

– Panowie – powiedział, wstając z kolan. – Jestem lekarzem. Może któryś potrzebuje pomocy? Macie rannych?

Partyzanci popatrzyli po sobie.

– Pedro! – krzyknął jeden z nich. – Pedro! Chodź tu!

Pedro miał nie więcej niż osiemnaście lat. Lewą rękę trzymał w kieszeni, a gdy ją wyjął, Gaston zobaczył, że jest owinięta w chustkę. Chłopak długo się zastanawiał, nim zdecydował się ją pokazać.

Gaston spojrział na pokrywające dłoń brodawki.

– To częsta przypadłość w pana wieku – powiedział. – Zwykle sama przechodzi, byle nie drażnić ani nie brudzić brodawek.

– On chce się żenić, ale jak tu z taką ręką – rzucił któryś partyzant.

– Wiadomo, że na to pomaga tylko balsam peruwiański – dodał inny.

Wielu lekarzy stosowało nasączone tym balsamem pakuły na owrzodzenia i oparzenia oraz żeby przyspieszyć gojenie się ran. Ładnie pachniał i był bardzo drogi.

– Zgubiłem swoje narzędzia i lekarstwa. Może któryś z panów je znalazł? Mógłbym coś poradzić na te brodawki.

Kilku partyzantów odeszło na stronę. Kłócili się przyciszonym głosem, potem weszli do jednego z domów i za chwilę Gaston trzymał w rękach swoją ładownicę. Wyjął z niej buteleczkę z olejem rycynowym i podał partyzantowi.

– Niech pan tym smaruje rękę na noc. Po dwóch tygodniach brodawki powinny zniknąć.

Partyzanci przestępowali z nogi na nogę. Przyjęcie prezentu od jeńca wyraźnie ich krępowało.

Gaston uznał, że grunt został przygotowany i może o coś poprosić.

– Czy mógłbym dostać trochę wody? – zapytał. I dodał jakby nigdy nic: – A może panowie wiedzą, co się dzieje z moim przyjacielem, kapitanem Kochańskim?

Gerylasi rozbiegli się nagle jak stado kuropatw. Gaston się zdumiał, że jego pytania wywarły tak piorunujące wrażenie – jakby wrzucił między nich granat. Naraz usłyszał tętent i zrozumiał, że to ten dźwięk spłoszył partyzantów.

Między domami zaroilo się od hiszpańskiej kawalerii. Zamieszanie było takie, że Gaston pomyślał o ucieczce. Nie mógł jednak uciekać bez Kochańskiego.

„Polacy walczą i umierają razem!” – przypomniał sobie jego słowa.

Do Gastona podszedł kawalerzysta. Trącił go kolbą w plecy.

– No dalej! – krzyknął.

Popychając, zaprowadził go przed oblicze siwego mężczyzny ubranego po cywilnemu, w czarny płaszcz przypominający ornat, oblamowany czerwonym suknem. Towarzyszył mu Luisi.

Starszy mężczyzna obrzucił Gastona nieufnym wzrokiem.

– Jesteś polskim lekarzem? – spytał.

– Tak.

– Wojskowym?

– Nie.

– To czemu nosisz francuską łądownicę?

– Bo jest wygodna w podróży. Mam w niej podręczny zestaw lekarski.

– Pokaż.

Gaston otworzył łądownicę, rozwinął płat skóry, w który były zawinięte narzędzia, i po kolei zaczął je nazywać.

– Nóż, podważka, sonda...

– Dość! – przerwał mu Hiszpan. Wyrwał mu z ręki narzędzia, potem łądownicę i rzucił je na ziemię. – Ty przekłety Polaku, myślisz, że mi oczy zamydłisz? Wszyscy jesteście siebie warcii! Złodzieje i mordercy! Chętnie bym cię powiesił na suchej gałęzi! Tylko na to zasługujesz!

Luismi nachylił się do ucha mężczyzny i coś mu szeptał.

Naraz w domu za plecami Luismiego otworzyły się drzwi i stanął w nich kapitan Kochański. Idący za nim partyzant pchnął go kolbą, tak że omal go nie przewrócił.

Kapitan był zdrów i cały. Gastonowi kamień spadł z serca.

– Zabrać ich! – rozkazał siwowłoso Hiszpan.

Dwaj kawalerzyści skrępowali im ręce długim sznurem, którego koniec każdy przywiązał do łęku swego siodła. Konie ruszyły kłusem, a za nimi biegli dwaj Polacy. Na szczęście kawalerzyści oszczędzali wierzchowce i pod górę wjeżdżali stępa.

Tylko raz się zatrzymali, nad strumieniem, w cieniu cyprysów. Hiszpanie jedli chleb i mięso, popijając winem. Nie dali jeńcom ani kęsa, ale Gaston i tak był wdzięczny za odpoczynek i wodę ze strumyka.

Późnym popołudniem dotarli do małego miasteczka. Gaston ciężko dyszał, otarte nadgarstki paliły żywym ogniem.

Jeźdźcy zatrzymali się koło cmentarnej bramy, przy której stali dwaj wartownicy. Serce Gastona, walące jak młotem, jeszcze przyspieszyło.

„Spokojnie! – powiedział sobie w duchu. – Gdyby chcieli nas zabić, już dawno by to zrobili”.

Kawalerzyści rozwiązywali im ręce, wepchnęli za bramę i odjechali.

Kochański uściskał Gastona.

– Nie wiem, co im powiedziałaś, Gastonie, ale zawdzięczam ci życie. Zapowiedzieli, że mnie powieszą, a później słyszałem, jak rozmawiali o tobie, i nagle zmienili zdanie.

Gastonowi podobało się to przejście na „ty” bez żadnych ceregieli.

– Nie mówiłem nic szczególnego – rzekł. – Trzymałem się roli polskiego lekarza.

– Chodź, zasięgniemy języka. I może uda się zdobyć coś do picia. Gardło wyschło mi na wiór.

Na cmentarzu, za wysokim murem, Hiszpanie zgromadzili jeńców. Było ich ponad stu: Francuzi, Polacy, Włosi, Austriacy, Sasi, Bawarczycy. Niektórych przygnano tu przed dwoma dniami. Hiszpanie nie dali im nawet kawałka chleba, na szczęście wody nie żałowali.

– Jak panowie przeszli przez miasteczko? – spytał jakiś Francuz z głową obwiązaną szmatą.

– Biegliśmy opłotkami, za końmi kawalerzystów – odrzekł Gaston.

– Nas przyprowadziła piechota. Specjalnie szli jak najwolniej, żeby mieszkańcy mogli się na nas napatrzeć, jak na jakichś dzikusów. Ludzie wygrażali nam pięściami, rzucali w nas zdechłymi kotami i kamieniami. – Francuz dotknął głowy. – Jakiś starzec wyszedł z domu ze strzelbą i poprosił dowódcę eskorty, żeby mu pozwolił zastrzelić jednego z nas. Dobrze, że ten się nie zgodził.

– Chcą nas wymienić na swoich? – spytał Kochański.

– Nie wiadomo. Jedni mówią, że tak, drudzy, że nas oddadzą Anglikom, którzy wywiozą nas gdzieś do Afryki.

Okazało się, że ci drudzy byli bliżsi prawdy. Jeszcze tego samego dnia z jeńców sformowano kolumnę, która ruszyła na południe. Dowódca eskorty nie pozwalał ich bić, ale w miasteczkach i wsiach nie potrafił zapanować nad ludźmi. Ci nie tylko przeklinali najeźdźców, lecz nienawiść wyrażali czynem: okładali ich pięściami, obrzucali kamieniami, a nawet z okien oblewali nieczystościami.

Kiedy po czterech dniach kolumna dotarła do morza, jeńcy z ulgą wskakiwali do rybackich czółen wiozących ich na okręty, choć nie wiedzieli, co ich czeka na końcu podróży.

Gaston i Kochański dostali się na San Mateo – korsarski okręt w służbie hiszpańskiej. Ponieważ większą część hiszpańskiego wybrzeża opanowali już Francuzi, kapitan, Katalończyk, wziął kurs na Gibraltar, by tam oddać jeńców Anglikom. Lecz ci powiedzieli: „Skoro wzięliście ich do niewoli, to sami ich teraz żywcie”.

To samo usłyszał w Palmie na Majorce – generał Wysp Balearskich nie zgodził się przyjąć jeńców, bo nie miał dość żywności ani żadnych funduszy na ich utrzymanie.

San Mateo popłynął na Minorkę. Trzy dni stał na kotwicy w porcie Mahón, obok kilkudziesięciu angielskich okrętów. I tu kapitanowi nie udało się przekonać angielskiego gubernatora, żeby przyjął jeńców.

Gdyby nie tęsknota za Jegle, Gaston rozkoszowałby się tą podróżą. Morze było spokojne, świeciło słońce, reje skrzypiały znajomo, jakby przeniósł się w czasy dzieciństwa. Kapitan dobrze traktował jeńców. Dostawali takie same racje jak załoga. Wina mieli pod dostatkiem, do tego ryż ze sztokfiszem, groch i twarde marynarskie suchary.

Cierpliwość kapitana wyczerpała się, gdy po raz drugi zawinął do Palmy i znowu generał Balearów odmówił przyjęcia jeńców. Wtedy Katalończyk kazał ich wsadzić na łódź ratowniczą spuszczoną ze statku i marynarze powiosłowali z nim do punktu kwarantanny.

– Odpłyńcie, bo będziemy strzelać! – wołali Hiszpanie z brzegu.

Marynarze, nie zważając na wycelowane w nich karabiny, podплыnęli najbliżej, jak się dało, siłą wrzucili jeńców do morza i odpłynęli.

Jeńcy stali po ramiona w wodzie, a kiedy próbowali wyjść na brzeg, Hiszpanie odpychali ich bagnietami. W końcu generał Balearów, widząc, że nie ma wyjścia, pozwolił wpuścić ich na ląd, ale kazał otoczyć silną strażą i jeszcze tego samego dnia wyprowadzić na Cabrerę.

Gastonowi nic ta nazwa nie mówiła.

Dziwięciu Francuzów i jednego Polaka wsadzono na hiszpański okręt, który po dwóch godzinach

rejsu rzucił kotwicę w małej zatoce. Wyprowadzeni na pokład jeńcy ujrzeli skalistą wyspę z pustą plażą, za którą ciągnął się pas karłowatych zarośli i widać było jakieś ruiny.

Marynarze przewieźli ich łodzią na plażę, wyrzucili na piasek worki z prowiantem i odpłynęli. Gaston poczuł się jak wtedy, gdy stawiał stopę na lądzie, na którym nigdy jeszcze nie widziano białego człowieka.

Jeńcy rzucili się sobie w ramiona. Krzyczeli z radości i śmiali się głośno, tak jakby odzyskali wolność.

Słońce już zachodziło. Nazbierali drewna, rozpalili na plaży ognisko i spędzili przy nim noc. Pili wino, piekli na patykach kawałki baraniny i opowiadali sobie, jak w dzieciństwie marzyli o dalekich wyprawach i odkrywaniu nowych lądów.

Drugiego dnia obeszlą całą wyspę. Była nieduża, poprzerzynana górami, skałami i przepaściami. I całkiem bezludna.

Poczuł się jak Robinsonowie. Nie przyszło im do głowy, że na wyspie takiej jak ta, niemal pozbawionej roślinności, zasiedlonej tylko przez jaszczurki, Robinson Crusoe, z całą swoją pomysłowością i wytrwałością, umarłby z głodu i rozpacz.

Trzeciego dnia urządzili sobie postania w grocie, a piątego grupa się rozdzieliła: sześciu zostało w grocie, a czterech, w tym Gaston i Kochański, przeniosło się do ruin starego zamku. Po tygodniu Gaston szczerze nienawidził pustych plaż, brunatnych skał i karłowatych zarośli. Więzienia bez krat.

Co dwa dni przyływała barka z prowiantem: chlebem, którego było pod dostatkiem, bobem, ryżem, oliwą. Czasem dostawali parę rzep albo kawałek słoniny, a od święta nawet pomarańcze, cukier, kawę i wino.

Na początku maja na wyspie zaroilo się od ludzi. Hiszpanie przekonali się, że to dobre miejsce na obóz jeniecki, i przywieźli na Cabrere ponad cztery tysiące Francuzów i Szwajcarów. Niedługo dołączyli do nich Polacy, Włosi, Austriacy, Sasi i Bawarczycy.

Życie na wyspie całkiem się zmieniło. Żołnierze nie mieścili się już w grotach i w ruinach zamku, budowali więc szałas z gałęzi, a wieczorem na plażach płonęły setki ognisk. Jeńców było coraz więcej, jedzenia coraz mniej. Barki z prowiantem przyływały co cztery dni, a jeśli na morzu rozpętała się burza, nie było ich nawet przez tydzień. Racje stopniowo zmniejszano i na cmentarzyku zwanym Doliną Śmierci pojawiły się pierwsze groby żołnierzy, którzy umarli z głodu.

Gaston i Kochański trzymali się razem. Zbierali korzonki, dziko rosnącą cebulę, nazywaną przez jeńców cabreryjskimi ziemniakami, polowali na jaszczurki.

Pewnego dnia, gdy dwaj Szwajcarzy zostali złapani przez oficera na pieczeniu w ognisku nogi odrąbanej zmarłemu koledze, Gaston powiedział do Kochańskiego:

– Musimy stąd uciec, zanim wszyscy się pozjadamy albo zostaną z nas tylko kości obleczone skórą spieczoną od słońca.

– Zapomniałeś o trzeciej możliwości – odrzekł Kochański. – Możemy jeszcze umrzeć na tyfus.

Rzeczywiście, jeden z transportów przywłókł na wyspę zarazę. Lekarze, których wśród jeńców było kilkunastu, wyznaczyli strefę kwarantanny, a ochotnicze patrole pilnowały, żeby nowo przybyli

nie przekraczali jej granic. Po dwóch miesiącach ci, którzy przeżyli, dołączyli do reszty, szafasy zaś i dobytek chorych spalono.

Wszyscy więźniowie, jak Cabrera długa i szeroka, myśleli o ucieczce. Na wyspie nie było strażników, lecz jeńców miała na oku załoga hiszpańskiej fregaty Lucia, która rzuciła kotwicę w zatoce będącej naturalnym portem po północnej stronie Cabrery, a wokół wyspy krążyły angielskie i hiszpańskie okręty przyplływające z Palmy i Mahón. Więźniów nikt nie rejestrował, nie liczył, władz kompletnie nie interesował ich los, gdyby więc komuś udało się zbiec, nikt z pilnujących nie byłby tego świadom.

– Możemy spróbować przepłynąć na Majorkę. To odległość mniejsza niż z Calais do Dover i woda tu cieplejsza.

– A inny sposób? – spytał Gaston.

– Wiadomo, łódź albo tratwa. Możemy zbudować tratwę, jeśli jakimś cudem znajdziemy parę grubszych kawałków drewna, spróbować opanować barkę z prowiantem, co we dwóch jest prawie niemożliwe, ukraść łódź rybacką, jeśli kiedyś jakaś przybije do wyspy, uciec stąd w przebraniu. Sposobów jest mnóstwo, trzeba tylko któryś wybrać i wymyślić szczegółowy plan.

– A który tobie wydaje się najlepszy?

– Z natury jestem leniwy, więc chyba wybrałbym przebranie się za kupca.

Kochański mówił o kupcach z Palmy, którzy raz w miesiącu przyplywali na Cabrerę, żeby za bezcen kupować od jeńców wykopane przez nich monety z czasów rzymskich albo antyczne ozdoby. Płacili za nie tytoniem, chlebem, płótnem, igłami, nićmi.

Kupcy przyplywali w ostatnią sobotę miesiąca. Jechali z Palmy do rybackiej wioski na południowym krańcu Majorki, tam w kilku wynajmowali łódź, ładowali na nią najtańsze towary, a potem zażarcie targowali się z jeńcami, którzy musieli sprzedać znalezione monety, bo nie nadawały się do jedzenia. Szczególnie zachłanny był *señor* Juan Grande. Zawsze przyplwiał sam, miał najlichszy tytoń, najluźniej tkane płótno, najgorsze nici. Zostawał najdłużej i kupował od zdesperowanych jeńców to, czego nie udało im się sprzedać innym.

– Przebrać się za kupca, mówisz? – powtórzył Gaston. – Mnie też się podoba ten sposób. Pozostaje wymyślić szczegółowy plan.

Przez kilka następnych dni chodzili głodni, bo nie upolowali ani jednej jaszczurki. Uzupełniali skąpe racje tylko dziką cebulą – ona nie uciekała, tak jak jaszczurki, kiedy zażarcie dyskutowali o szczegółach ucieczki.

W czwartek Kochański zanurkował koło jednej z południowych plaż i znalazł muszlę z perłą wielkości ziarna zielonego groszku. Po godzinie wiedziała o tym cała wyspa. Przybywały całe pielgrzymki, by w nabożnym skupieniu podziwiać błyszczące cudo, a potem wszyscy rzucili się na poszukiwanie perłopławów. Poszczyściło się pewnemu Bawarczykowi, który trzymał się blisko niezamordowanego nurkującego Polaka: w piątek gruchnęła wieść, że Franz Feucht znalazł perłę wielkości orzecha laskowego. Północna część wyspy opustoszała – wszyscy jeńcy nurkowali u jej południowych brzegów. Fregata Lucia podniosła kotwicę i opłynęła wyspę, a część jej załogi

dołączyła do podwodnych poszukiwań.

Gdy w sobotę przyплыnęli kupcy z Palmy, zobaczyli pustą zatokę i bezludną plażę. Kilku jeńców, którzy na chwilę porzucili nurkowanie i wrócili na północ wyspy, by sprzedać znalezione rzymskie starożytności, opowiedziało im o perłach. Kupcy natychmiast wsiedli z powrotem do swych łodzi i pożeglowali na południe.

Señor Grande jak zwykle przyплыnął ostatni. W porcie nie było żywej duszy. Dopiero gdy jego łódź osiadła na piasku, na plaży pojawił się Gaston. Chwycił rzuconą przez kupca cumę i pomógł mu wydostać się na ląd.

– Mój dobry człowieku – powiedział *señor Grande*. – Skocz no do łodzi i przynieś worki z towarem. Dam ci za to dwie igły. – Rozejrzał się po plaży. – A gdzie to twoi koledzy? Nikt dzisiaj nie handluje? A może wszyscy umarli? – Zaśmiał się głośno ze swego dowcipu.

Gaston podszedł bliżej i bez słowa otworzył dłoń. Leżała na niej najpiękniejsza perła, jaką *señor Grande* w życiu widział.

– Wszyscy są po drugiej stronie wyspy – powiedział Gaston, zamykając dłoń. – Jeśli zaraz pan stąd odpłynie i weźmie pasażera do Palmy, perła będzie pańska.

Kupiec na moment przymrużył oczy. Gaston wręcz widział jego myśli. W Palmie roіło się od hiszpańskich żołnierzy. Wystarczyło skinąć, by jeniec został aresztowany.

Señor Grande cofnął się o krok i uważnie przyjrzał się Gastonowi. Gaston, choć się zgarbił, był od niego o głowę wyższy, ale już wcześniej nabrał powietrza w płuca, by żebra jeszcze mocniej zarysowały się pod dziurawą koszulą.

„Zdechłak” – pomyślał kupiec, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem.

Gaston znowu otworzył dłoń. *Señor Grande* nie mógł oderwać oczu od perły. Wydała mu się jeszcze większa i piękniejsza niż wcześniej.

Dopiero gdy za plecami kupca Kochański wspiął się na burtę łodzi i wskoczył do środka, Gaston zamknął dłoń.

– Weźmie mnie wielmożny pan z sobą? – spytał żebrzącym tonem.

Kupiec udał, że się zastanawia.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Znasz się na żeglowaniu?

– Nie, panie.

– Zanieś mnie do łodzi, a potem zepchnij ją na głębinę.

– Za słaby jestem, żeby pana nieść, wielmożny panie.

Kupiec westchnął teatralnie.

– Żadnego z was pożytku – rzucił.

Wspólnymi siłami ściągnęli łódź z plaży. Gaston przycupnął na dnie, a *señor Grande* postawił żagle. Kiedy Cabrera została daleko za nimi, spod worków wypęłzył Kochański. Kupiec był tak przerażony, że nawet nie musieli go wiązać.

Wysadzili go na małej wysepce kilka mil od Cabrery. W zamian za żaglówkę zostawili mu perłę i diament najczystszej wody.

Wiatr im sprzyjał. Po dwóch dniach żeglugi dotarli do Collioure. Byli wolni!

Rozdział 14

Kochankowie z Teruel



Gaston płynął wśród chmur. Wysoko, nieskończenie wysoko krążyły przezroczyste skrzydlate stworzenia, ni to anioły, ni ptaki, zostawiając za sobą świetlisty ślad. Wiedział, że są doskonałe. Ogarnęła go ekstaza.

Potem zobaczył gwiazdy. Były na wyciągnięcie ręki. Poruszone łagodnym wiatrem dzwoniły jak szklane dzwoneczki. Miliony światel wirowały w kolorowych kręgach, zmieniały się w fontanny, spadały jak deszcz, otaczały go jak śnieżna zadymka.

Białe ptaki zaczęły gubić pióra. Wiedział, że są niezrównanej miękkości, i nadstawił twarz, by poczuć na skórze ich dotyk. Kłaczek anielskiego puchu wpadł mu do oka. Gaston uniósł rękę, żeby go usunąć.

– Poruszył się! On żyje!

Światła gasły, skrzydlate stworzenia blakły, roztopiały się w niebie.

Gaston otworzył oczy.

– Bracie! Ty żyjesz! – zawołał Kochański z płaczem.

„Dlaczego płaczesz? Czy ktoś umarł? – chciał spytać Gaston, lecz nie mógł wydobyć głosu. – A, prawda, gerylasi zabili Danielewicza. Trzeba go pochować, zanim ruszymy odbijać Jurgaszkę”.



Przez długi czas Gaston walczył o życie i znowu niemal powstał z martwych. Pierwszy raz wrócił z tamtego świata, gdy z Kochańskim wylądował w Collioure, drugi – gdy pokonał tyfus.

Cabrera, której nie udało się go pochłonać, zatrzymać na zawsze w Dolinie Śmierci, chciała go dosięgnąć w inny sposób, wtedy gdy myślał, że jest wolny.

– Już cię mieli brać do kostnicy, ale nie pozwoliłem – opowiadał Kochański, karmiąc Gastona bulionem. – W gorączce cały czas mówiłeś o Jegle i o Gabrieli. Wiedziałem, że nie umrzesz, bo przecież nie mogłeś ich zostawić samych.

Na Cabrerze każdy z nich opowiedział drugiemu swoje życie. Gaston niczego nie ukrywał – ani miłości do Blanche, Lucasa, Jegle i Gabrieli, ani podłości, gdy się wzbogacił kosztem bezimiennych ofiar rewolucji, kradnąc skarby z piwnicznego sezamu.

– Kazałem zawołać lekarza, by sprawdził, czy naprawdę jesteś trupem. Tak wyglądałeś, a żadnego trupa widziałem. Myślałem, że ci wbije nóż w palec albo przypali piętę, bo to

najpewniejsze sposoby, ale nie. Świecił ci w oczy, potem włożył ci do oka jakiś gałgan. Wtedy poruszyłeś ręką. A już myśleli, że to twój koniec.

„Śmierć to nie koniec, tylko przejście” – pomyślał Gaston. Teraz już wiedział, że czekają tam na niego te jasne anioły, które widział w malignie: Blanche, Joanna, Lucas, siostra Matylda.

– Zjedz jeszcze trochę – poprosił Kochański, gdy Gaston odwrócił głowę. – Wiem, że wolałbyś bouillabaisse i armaniak, ale i na to przyjdzie czas.

Rzeczywiście, przyszedł. Miesiąc później Gaston, ciągle jeszcze słaby, siedział na tarasie wynajętej willi w Collioure. Zawinięty w koc patrzył na morze. Było gładkie jakby to był lipiec. Jakąś milę od brzegu niewielki statek czekał na wiatr.

Uniósł kieliszek, tak by prześwieciło go słońce. W przezroczystym armaniaku przypominającym płynny bursztyn pojawiły się złote przebłyski.

– Kiedy wyruszamy? – spytał.

Kochański spojrzał zaskoczony.

– Dokąd?

– Do Saragossy.

– Mojej dywizji pewnie tam już nie ma. Rozłożyła się gdzieś na zimowe leże. Ruszy dopiero na początku lutego.

– Ale jest Jegle.

Na Cabrerze Gaston starał się o niej zapomnieć. Kochał ją tak, że nawet myśl o niej go bolała. Paliło go pragnienie zobaczenia jej, choćby z daleka, usłyszenia jej głosu, dotknięcia. Ale nad snami nie miał władzy – śniła mu się co noc.

– Wiesz, Gastonie, że Hiszpanie nie znają poczty wozowej, a na podróż wierzchem jesteś za słaby.

– Może dziś. Ale za tydzień będę wystarczająco silny. Najwyżej przywiążesz mnie sznurem do siodła. – Chciał się roześmiać, lecz tylko zakaszłał. – Niedługo minie rok, jak się jej oświadczyłem. Nie zamierzam dłużej czekać ze ślubem.

– Jesteś pijany czy szalony?

Gaston jednym haustem opróżnił kieliszek.

– Nalej mi jeszcze, żeby wykluczyć szaleństwo.

Za diament, który Gaston wyjął ze skrytki w obcasie, Kochański kupił w Perpignan cztery konie oraz zapasy na drogę i na początku lutego 1810 roku ruszyli starą drogą na Gerone. Szybko zostawili za sobą posępne diuny obrzeżone krzakami tamaryszków i w blasku wieczornej zorzy ujrzeli łańcuch pokrytych śniegiem Pirenejów. Od gór powiał mroźny wiatr.

„Druga przeprawa jest trudniejsza, bo człowiek wie, co go czeka” – pomyślał Gaston.

Było tak jak wtedy, gdy szedł przez Góry Kantabryjskie: wyjący wicher i śnieżyce, skały i nagie drzewa.

Mieszkańcy Pirenejów wyczuwali w nich obcych, choć obaj mieli na sobie hiszpańskie bufiaste szarawary, brązowe chłopskie kaftany i wkładane przez głowę sukienne opończe. Gaston płacił złotem, mimo to niechętnie się dzielili swoim chlebem i czosnkiem albo grochem przyprawionym

oliwą. Kozięgo mleka zawsze im odmawiali – było tylko dla dzieci i niewiast.

W niektórych wsiach nie otwierano im drzwi. Domy były pozamykane na cztery spusty, witało ich jedynie kilka psów na głównej ulicy i parę kotów na dachach.

Powoli zjadali zapasy, a nie mieli ich jak uzupełnić. Nie spotkali żadnych zwierząt, na które mogliby zapolować. Tylko wysoko na niebie widywali szybujące orły.

Pewnego popołudnia, gdy była już najwyższa pora na szukanie noclegu, za zakrętem wyłożonej płaskimi kamieniami drogi zobaczyli wieś złożoną z kilkunastu domostw. Pukali do drzwi, w końcu zaczęli zaglądać do środka. Nikogo nie znaleźli. Wieś była opuszczona. Mieszkańcy zostawili sprzęty i naczynia, tak jakby wyszli tylko na chwilę.

Obawiając się jakiejś zarazy, Gaston i Kochański ulokowali się z końmi w stajni, przed którą rozniecili ognisko z drew i suchej ośle mierzwę. Było tak zimno, że nie mogli zasnąć.

Około północy usłyszeli dalekie nawoływanie, potem przyciszony gwar ludzkich głosów. Zerwali się na równe nogi, zasypali ognisko śniegiem, osiodłali konie i najciszej, jak mogli, opuścili wieś.

Droga prowadziła w dół, w dolinie majaczył las.

Gdy doszli do pierwszych drzew, Gaston zapytał swego towarzysza:

– Jak myślisz, kto mieszkał w tej wsi?

– Może gerylasi albo zwykli złoczyńcy czatujący na podróżnych i obdzierający ich do naga? Ale może to byli zwyczajni wieśniacy? Może wracali z jakiejś pielgrzymki albo wesela?

Bali się iść nocą przez bezdroże, zbudowali więc wał ze śniegu i pod jego osłoną rozniecili nędzny ogienek. Wiatr wiał coraz silniej, las szumiał jak wzburzone morze.

Jedli ostatnie rodzynki i rozmawiali o rozgrzewających rzeczach: ciepłej kąpieli, wygodnych łózkach, winie i kobietach.

Kiedy o świcie ruszyli w drogę, czuli, że ich mordęga dobiega kresu: skał było mniej, za to więcej drzew. W oddali zobaczyli sarny. Szły gęsiego przez głęboki śnieg, oszczędzając siły.

Noc spędzili w chacie stojącej samotnie na skraju lasu. Gospodarz z początku nie chciał ich wpuścić, ale gdy Gaston wcisnął mu do ręki sztukę złota, zgodził się ich nakarmić i przenocować.

„Hiszpanie mają rację, mówiąc, że pieniądz otwiera każde drzwi” – pomyślał Gaston.

Szykujący kolację mężczyzna patrzył na nich spode łba.

– Wygląda mi na takiego, co może nas w nocy zarznąć jak barany – powiedział po polsku Kochański. – Lepiej czuwajmy na zmianę.

Byli jednak tak zmęczeni po nieprzespanej nocy, że w końcu wybrali inny sposób: związali gospodarza.

Rano Gaston rzucił na stół jeszcze jedną sztukę złota.

– To za niewygody – powiedział z uśmiechem.

Był w doskonałym nastroju. We śnie przyszła do niego Jegle, szeptała mu o miłości tak wielkiej, jak miłość kochanków z Teruel, i wyraźnie czuł, że właśnie tam wyznaczyła mu spotkanie.

„Czeka na mnie, kocha mnie” – powtarzał w myślach.

– Jedźmy do Teruel, nie do Saragossy – powiedział.

– Czemu? – spytał Kochański.

– Nie wiem. Ale czuję, że Jegle jest właśnie tam.

Kochański nie okazał zdziwienia.

– Nie musimy decydować teraz – powiedział. – Dopiero za Lériądą droga się rozwidła, na północ do Saragossy i na zachód do Teruel.

Jechali rażno leśną drogą. Śniegu było tu niewiele: białął tylko w rowach i u stóp niektórych drzew. Pireneje szczęśliwie zostawili za sobą,

Drgnęli gwałtownie, gdy za plecami usłyszeli strzał. Konie zerwały się do biegu. Pędzili, nie oglądając się za siebie.

Gaston poczuł szarpnięcie i zobaczył, że luzak, którego prowadził, zostaje w tyle. Za słabo zawiązał wodze i zsunęły się z kulbaki. W pierwszej chwili chciał zawrócić, lecz usłyszał drugi strzał, z innej strony, potem trzeci. Napastników było kilku.

– Spróbujmy wyjechać z lasu! – krzyknął Kochański. – W polu nas nie dogonią!

Popędzili wierzchowce.

Nagle na drogę tuż przed Gastonem spadł gruby konar. Koń się spłoszył, stanął dęba, lecz Gaston utrzymał się w siodle. Ktoś wybiegł na drogę. Zatrzymał się, podniósł do oka strzelbę. Gaston ze zdumieniem poznał gospodarza, którego w nocy musieli związać. Może był zwykłym zbójem, może się mścił za doznane upokorzenie, tak czy inaczej celował w Gastona.

Gaston skrzył konia i runął przez las. Napastnik miał stary hiszpański karabin, który był celny właściwie tylko z przyłożenia. Już na sto kroków trudno było trafić w człowieka, a na dwieście nie można było być pewnym trafienia w dom.

Koń Gastona dzielnie przedzierał się przez rowy i zarośla, a po jakichś dwudziestu minutach wyniósł go z lasu.

Gaston puścił się galopem. Zatrzymał się dopiero na wzgórzu, przy kępie drzew. Widział stąd całą okolicę.

Dyszając, rozglądał się po pustkowiu. Żadnych domów, ani żywego ducha. Może to i lepiej, bo trudniej zrobić zasadzkę. Na wszelki wypadek wyjął z kieszeni pistolet.

„Kochański powinien nadjechać lada chwila” – pomyślał.

Na niebie tańczyła para kruków: zataczały kręgi, lecąc tak blisko siebie, że prawie dotykały się końcami skrzydeł, od czasu do czasu nurkowały jeden za drugim, i znowu się wznosiły, kołując. Patrzył na nie, dopóki nie znikły wśród chmur.

Gaston nieraz słyszał, że kruki ostrzegają ludzi przed czającymi się w pobliżu wilkami albo uzbrojonymi złoczyńcami. Teraz pomyślał, że to prawda.

Minął kwadrans, potem drugi. Gaston coraz bardziej niepokoił się o przyjaciela, w końcu zawrócił w stronę lasu.

– Jaaa-nieeee! – wołał. – Hop! Hop!

Co chwila stawał, nasłuchując.

„Jezus Maria! Może go zabili?!”

Ruszył w głąb lasu, wyęzając słuch i wzrok. Nagle usłyszał jakiś dźwięk: „Nok, nok, nok” – jakby ktoś stukał kijem w wydrążoną kłodę.

Jechał drogą, rozglądając się.

Na niskiej gałęzi siedział kruk.

– Nok, nok, nok – zawołał na widok Gastona.

Gaston zatrzymał konia. Kruk uważnie przyglądał się człowiekowi i zwierzęciu.

– Czołem, przyjacielu! – przywitał się Gaston. – Chcesz mi coś powiedzieć?

Kruk wydał cichy, podobny do miauczenia głos.

– Żebym ja jak Jegle rozumiał po kruczemu!

Czy to mógł być kruk Jegle? Tak daleko od Saragossy? Dla Gastona wszystkie kruki wyglądały tak samo.

Ptak wzbił się w powietrze, lecz nie odleciał daleko. Usiadł na najbliższym drzewie, przeskoczył na drugie, znów się poderwał i zawrócił w stronę Gastona.

– Chcesz mi coś pokazać? Prowadź!

Gaston ruszył, a kruk polatywał przed nim, wyraźnie wskazując drogę.

Po jakimś kwadransie Gaston zobaczył coś białego. Na drzewie wisiał człowiek.

Serce w Gastonie zamarło. Jeśli zabili Kochańskiego, wróci do tamtego domu, zastrzeli gospodarza i spali jego chałupę.

Podjechał bliżej.

Na drzewie powieszony za ręce wisiał Kochański, goły jak go Pan Bóg stworzył. Na twarzy miał zawiązaną szmatę. Poruszył nogami, chcąc zsunąć krępujący je powróż.

Gaston odetchnął z ulgą.

– To ja! – zawołał. – Zaraz cię uwolnię.

Uniósł się w strzemionach, przeciął sznur i ostrożnie opuścił przyjaciela na ziemię. Potem zeskoczył z konia.

– Co się stało?! – zawołał, gdy już oswobodził Kochańskiego z więzów i knebla.

– Tooo teen chłooop... – Kochański nie mógł mówić, tak dzwonił zębami.

Napadło na niego trzech zbójów. Ściągnęli go z konia, zabrali mu wszystko, potem związali i powiesili za ręce.

Gaston wyjął zapasowe ubranie i pomógł mu je włożyć.

– Pobiegnijmy kawałek – powiedział. – Rozgrzejesz się.

– Gdybyś mnie nie znalazł, zamarzyłbym na śmierć.

Choć koń Gastona musiał nieść podwójny ciężar, jeszcze tego samego dnia dotarli do Manresy. Tam Gaston spieniężył przedostatnią perłę ukrytą w obcasie, kupił konia i ruszyli dalej, do Teruel. Po drodze wypytywali francuskie patrole o sytuację w okolicy. Wojska szły teraz do Walencji, a w ogołoconej z nich Aragonii partyzanci poczynali sobie coraz śmieiej. W Teruel było spokojnie, bo wciąż stał tam generał Suchet.

Po kilku dniach niczym niezakłóconej podróży dojechali do miasta. Z daleka zobaczyli wspaniały

akwedukt biegnący ponad wąwozami i przepaściami. Gaston ze wzruszeniem patrzył na wysokie wieże, zastanawiając się, która należy do kościoła San Pedro. Przypominał sobie, jak stał z Jegle pod samotnym drzewem i jak mu opowiadała o kochankach z Teruel.

Miasto było małe, pełne brudnych placyków i krętych uliczek, lecz dziewięć klasztorów i siedem kościołów dodawało mu splendoru.

Miejsce w gospodzie znaleźli bez trudu, bo wojsko właśnie opuszczało Teruel. Dywizja Polska już na początku lutego wyszła do Malagi, a przed kilkoma dniami Legia Nadwiślańska pomaszerowała do Walencji.

– Gdybyśmy przyjechali trochę wcześniej, spotkalibyśmy się z naszymi – mówił Kochański. – Może pociągniemy za nimi?

– Chciałbym się najpierw rozejrzeć po mieście – odrzekł Gaston. – Mam przeczucie, że spotkam tu Jegle.

Zjedli wczesny obiad i poszli do kościoła San Pedro. Podczas gdy Kochański podziwiał robotę arabskich rzemieślników, którzy ozdobili sklepienie i ściany, Gaston ukląkł przy alabastrowych sarkofagach Diega i Isabel. Modląc się, patrzył na ich kamienne figury: Diego miał wyciągniętą prawą rękę, a Isabel lewą i ich dłonie stykały się między sarkofagami.

Gaston przypominał sobie, jak w górskiej chacie trzymał w dłoniach ręce Jegle, i z tęsknoty brakło mu tchu.

„Wiem, że na mnie czekasz – myślał. – Gdzie jesteś? Daj mi jakiś znak”.

U stóp sarkofagów leżały zielone wieńce ozdobione kwiatami. Gaston przypominał sobie, że gdy przed rokiem Jegle opowiadała mu historię kochanków, mówiła też o ich święcie. Musiało odbyć się niedawno, bo kwiaty jeszcze nie zwiędły.

Podnosił się z kolan, gdy coś zwróciło jego uwagę: mały wianuszek upleciony z gałązek pokrytych białymi i czerwonymi kwiatkami.

– Spójrz – powiedział do Kochańskiego, który właśnie podszedł do sarkofagów. – Może to jeden z naszych przyniósł ten biało-czerwony wianek.

– Kolory polskie – zgodził się Kochański. – Ale kwiaty już nie. Bugenwillę po raz pierwszy w życiu zobaczyłem tu, w Hiszpanii.

– Jak one się nazywają?

– To bugenwilla. – Zaniepokojony spojrzał na Gastona. – Co się stało?

– Bugenwilla! Marszałek Bougainville! La Boudeuse! Jegle!

Gaston z całych sił uściśnął przyjaciela.

– Dobrze się czujesz? – spytał Kochański i zrobił taki ruch, jakby chciał dotknąć jego czoła.

– Wspaniale! Nie bój się, nie majaczę. Opowiadałem Jegle o wyprawie Bougainville’a dookoła świata na La Boudeuse. A te kwiaty zostały nazwane na jego cześć. To znak od niej.

Kochański przyjrzał się wiankowi.

– Być może. Teruel to nieduże miasto. Jeśli tu jest, na pewno ją znajdziemy.

– Czeka na mnie!

– Tego jestem pewien. – Kochański się uśmiechnął. – Może pójdziemy do szpitala? Nie, nie – dodał na widok miny Gastona. – Wiem, że nie majaczysz. Ale jeśli ona cię szuka, to na pewno tam zajrzała.

– Masz rację! Chodźmy tam od razu!

Kiedy szli pod górę do klasztoru Jezuitów, gdzie urządzono szpital, Gaston przypatrywał się każdej mijanej kobiecie i w każdej miał nadzieję ujrzeć Jegle, tak jakby rzeczywiście umówił się z nią na spotkanie w Teruel.

Klasztor stał na wzgórzu. Jak na dłoni widzieli stąd wymarsz ostatnich oddziałów generała Sucheta do Walencji.

Weszli do środka. Gaston odetchnął znajomym zapachem i odruchowo sięgnął do pasa, lecz nie znalazł przy nim ładownicy. Została w opuszczonej wsi.

Żaden z lekarzy, sanitariuszy ani pacjentów nie pamiętał Jegle i Gaston był coraz bardziej rozczarowany. Takiej kobiety jak ona nie dało się przecież zapomnieć, więc chyba jej tu nie było. Może ten wianuszek wcale nie był znakiem?

„To ona go zostawiła. Jestem tego pewien” – pomyślał.

Zbierali się do odejścia, gdy usłyszeli strzały karabinowe, a potem armatnie. Z miasta do klasztoru, ostrzeliwując się, biegli francuscy żołnierze.

– Villacampa! – wołali. – Villacampa atakuje miasto!

Ledwie ostatni oddział zniknął na drodze do Walencji, generał Villacampa z zebranymi naprędce wojskami otoczył Teruel, odepchnął francuskie posterunki i błyskawicznie zajął miasto.

Gdy Gaston i Kochański naradzali się gorączkowo, czy wracać do miasta, czy zostać w klasztorze, podszedł do nich jakiś francuski pułkownik.

– Panowie są żołnierzami, prawda? – spytał.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Kochański stanął na baczność.

– Proszę, niech panowie zostaną. Będziemy się bronić. Przyda się każdy doświadczony wojskowy.

Oddał ich pod komendę kapitana Levistone’a z wojsk inżynieryjnych, który kierował pospiesznym barykadowaniem wejść, zabijaniem okien i drzwi klasztoru.

Jeszcze nie wszystkie okna były zabite, gdy Hiszpanie ich otoczyli, zajęli okoliczne domy, nawet klasztorny kościół, który przez nieuwagę, a może specjalnie, pozostał otwarty. Potem przysłali parlamentariusza z żądaniem poddania się. Kiedy pułkownik Plicque odmówił, następny parlamentariusz ostrzegł obrońców, że jeśli się nie poddadzą, klasztor zostanie wysadzony w powietrze.

Dwustu obrońców mimo wszystko było dobrej myśli. Mieli pod dostatkiem broni, prochu, żywności i wody. Klasztor miał grube mury, z jednej strony broniło go strome zbocze, z drugiej rzeka Guadalaviar, więc Hiszpanie mogli atakować tylko z dwóch stron.

Wszyscy ranni, którzy byli w stanie utrzymać się na nogach, też brali udział w obronie. Prosimi o przydzielenie najmniejbezpiecznych stanowisk.

Gaston znowu pracował: opatrywał rannych, operował. Do klasztornej celi, którą mu przydzielono,

wchodził tylko po to, żeby się trochę przespać. Znowu, jak na Cabrerze, starał się nie myśleć o Jegle. Kładł się do łóżka dopiero wtedy, gdy ze zmęczenia oczy same mu się zamykały. Zasnął kamiennym snem i nie liczył, jak inni, uderzeń motyk, którymi Hiszpanie kuli podkop, żeby założyć minę. Przez sąsiedni dom dostali się bowiem do klasztornej piwnicy, obrońcy zaś mogli tylko słuchać odgłosów kucia – na podziemne roboty nic nie mogli poradzić.

Kolejny parlamentariusz przywiózł żądanie natychmiastowego poddania się klasztoru. Powiedział, że mina jest gotowa i wystarczy podpalić lont, by wszystko wyleciało w powietrze.

Obrońcy zaczęli się zastanawiać, dlaczego Hiszpanie tak długo zwlekają z wyprawieniem ich na tamten świat, i przypomnieli sobie pogłoski, że Villacampa musi oszczędzać proch, bo ma go bardzo mało. Postanowili się bronić aż do przyjścia posiłków, choćby z ruin.

Po kilkunastu dniach oblężenia w wąskiej uliczce koło klasztoru rozległy się okrzyki:

– Otwórzcie! Tu pierwszy regiment Legii Nadwiślańskiej!

– Nie otwierać! To podstęp Hiszpanów! – zawołał ktoś.

Jakiś żołnierz ostrożnie wyjrzał przez szparę w zabitym oknie.

– Znam go! – wykrzyknął. – To porucznik Żarski z pierwszego pułku grenadierów Legii!

Ostrożny pułkownik Plicque pozwolił się zbliżyć grenadierom, ale pojedynczo. Dopiero gdy inni żołnierze rozpoznawali swych kolegów, kazał otworzyć drzwi.

Oblężenie było zakończone. Villacampa uciekł na wieść, że do Teruel wraca główny korpus armii. Żołnierze ściskali się i padali sobie w objęcia.

Na drugi dzień do klasztoru przyjechał sam generał Suchet. Obejrzał roboty oblężnicze, rozmawiał przyjacielsko z rannymi i obrońcami.

Tymczasem Gaston i Kochański wrócili do gospody. Ledwie zdążyli się obmyć i przebrać, gdy drzwi obu izb otworzyły się bez pukania i wpadli rozradowani Jurgaszko, Augustyński, Brandt i Korsak. Powitaniom nie było końca.

Gaston chciał iść do miasta, rozpytać o Jegle, ale go nie puścili. Rozsiedli się wszyscy w głównej izbie, pili wino i nie mogli się nagadać.

W pewnej chwili Jurgaszko zdjął ze ściany gitarę i uderzył w struny.

Gastonowi wydało się, że czas się cofnął: znowu są w Vitorii, niedługo pozna Jegle i zakocha się w niej.

Trzeba się kochać, słodka Rozyno,
póki rzeświejsze lata nie miną:
na to ci serce i piękność dana,
żebyś kochała, była kochana.

Trzeba się kochać – wszystko ci gada,
co tylko żyje, co sobą włada,
tymi prawami rządzi się wiecznie:
trzeba się kochać, trzeba koniecznie!

Kiedy się trafią oczy przychylne,
wprzód się szukają przez drogi mylne,
potem, zdybane niby niechący,
rozpalają się w płomień gorący.

Zaraz się zwierzą swej tajemnicy,
zrzenica mówi cicho zrzenicy,
co serca słyszą, a nikt na stronie,
co przyjacielskie stwierdzają dłonie.

Prawda, że czasem miłość dokuczy:
nie śpi, nie jada, troszcze się, mruczy,
ale i wtenczas, kiedy ją kląłem,
czułem, że była moim żywiołem.

Miłość sprowadza ludzi w gromady,
matka pokoju, zabrania zwady,
miłość pociechą w życiu jedyną –
trzeba się kochać, słodka Rozyno!

Od drzwi rozległy się oklaski.

Gaston spojrział w tamtą stronę i zobaczył Jegle w ciemnoniebieskim płaszczu i lazurowym szalu na głowie. Była jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał.

Podbiegł i chwycił ją w ramiona.

– Kocham cię – szepnął.

Poczuł bijące od niej ciepło, lawendowy zapach włosów, spojrział w jej zielone oczy, nachylił się i zrobił to, co tysiąc razy czynił we śnie: pocałował ją.

Marzenia się spełniają.

Historia mało znana



Wielka Rewolucja Francuska i wojny napoleońskie to było dla mnie zdobycie Bastylji, „wolność, równość, braterstwo”, Księstwo Warszawskie i bóg wojny Napoleon przynoszący Polakom wolność. W miarę jak czytałam o tamtych czasach, coraz jaśniej widziałam, jak fałszywy jest ten obraz. Bastylja w rzeczywistości się poddała, hasło rewolucji równie dobrze mogłoby brzmieć „terror, strach, morderstwo”, Polacy byli dla Napoleona narodem do kupienia i wykorzystania, a wyzwalenie Polski wyglądało tak, że nawet uwolnieni od poddaństwa chłopci mówili: „Przyszedł Francuz zdjąć nam kajdany razem z butami”. Jedna rzecz się zgadzała – moje przekonanie, że wszystkie rewolucje zaczynają się od walki o prawa i zasady, a kończą walką o władzę.

Francja jest wielkim i ludnym krajem. Ma 25 milionów mieszkańców podzielonych na trzy stany: duchowieństwo, szlachtę oraz stanowiący 98 procent społeczeństwa i dźwigający na swych barkach utrzymanie państwa stan trzeci, który tworzą mieszczaństwo i chłopcy. Najwyższe podatki płać właściciele manufaktur i bankierzy, nieco niższe urzędnicy, kupcy, lekarze, sklepikarze, rzemieślnicy, szynkarze, chłopcy. Chłopcy płać jeszcze dziesięcinę na rzecz Kościoła. Duchowni i szlachta są z podatków zwolnieni.

Od czternastu lat we Francji panuje Ludwik XVI. Trzydziestoczteroletni król jest władcą absolutnym: jego wola jest prawem, jest najwyższym sędzią i wodzem armii, odpowiada zaś tylko przed Bogiem. Ze swą o rok młodszą żoną Marią Antoniną ma dwóch synów i dwie córki. Dużo czasu spędza przy łóżku siedmioletniego delfina Ludwika Józefa, który od urodzenia choruje na gruźlicę kości i ku rozpaczyc rodziców umrze na początku czerwca.

Po latach wojen i utracie wielu kolonii (przede wszystkim Nowej Francji, czyli Kanady, i prawie wszystkich posiadłości w Indiach) Francja stoi na skraju bankructwa. Dwie trzecie budżetu pochłania spłata długów i utrzymanie armii. Jakby tego było mało, nadchodzą lata nieurodzaju. Po jesiennych ulewach w 1787 roku, gdy wiele pól pozostało nieobsianych, przyszła bardzo sucha wiosna, potem letnie nawałnice z gradem, w końcu niezwykle mroźna zima.

„Trawy prawie nie ma, źdźbła zbóż są krótkie, cienkie, blade i słabe. Żal mi tutejszych ludzi z całej duszy. Nie można kupić zielonego groszku, sałaty, jarzyn; owce i krowy na pastwiskach wyglądają jak chodzące szkielety” – opisuje sytuację amerykański dyplomata.

Generalny kontroler finansów próbuje ratować budżet podatkami nakładanymi na produkty, bez których nie można się obejść. Szczególnie zniechęcony jest podatek solny. Państwo ściśle kontroluje obrót solą: za jej kradzież lub fałszowanie grozi więzienie albo galery, za przemyt – kara śmierci.

Ceny żywności stale idą w górę. W końcu dwukilogramowy bochenek chleba kosztuje 15 sous – tyle ile wynosi dzienny zarobek robotnika. Głodujący paryżanie powtarzają sobie szydercze słowa Marii Antoniny: „Nie mają chleba, to niech jedzą ciastka”. Królowa nigdy ich nie wypowiedziała, ale to nie ma znaczenia – ludzie jej nienawidzą, bo jest Austriaczką i jak głośzą plotki, wydaje szalone pieniądze na ekstrawaganckie stroje, klejnoty, grę w karty, kochanków oraz urządzenie pałacu Petit Trianon, który ma ściany wyłożone złotem i brylantami.

Burzy się nie tylko stan trzeci, lecz także szlachta, gdyż generalny kontroler finansów zaproponował jej opodatkowanie. Po Paryżu krąży karykatura, na której lis w stroju kucharza mówi do tuczonych gęsi i kur: „Drodzy poddani! Zwołałem was, abyście mogli się wypowiedzieć, w jakim sosie chcecie trafić na stół”. „Ależ my nie chcemy zostać zjedzeni!” „Odbiegacie od tematu”.

17 czerwca – reprezentanci stanu trzeciego podnoszą bunt.

Królowie przez 175 lat obywali się bez zwoływania Stanów Generalnych, czyli zgromadzenia delegatów wszystkich trzech stanów, i wysłuchiwania ich skarg. Sytuacja państwa jest jednak krytyczna, a Stany Generalne mogły uchylać podatki nadzwyczajne, król zwołuje je więc do Wersalu. Wśród około 1200 deputowanych wybranych przez prowincje i miasta jest ponad 600 delegatów stanu trzeciego.

5 maja po uroczystym pochodzie, mowie tronowej i dwugodzinnym przemówieniu generalnego kontrolera finansów delegaci rozpoczynają obrady w trzech salach, gdyż każdy stan obraduje i głosuje osobno. Delegaci stanu trzeciego, wśród których jest wielu prawników (nie ma za to ani jednego chłopca), od razu widzą, że mają przewagę liczebną i będą mogli uchwalić, co tylko zechcą, jeśli wszystkie trzy stany będą głosowały wspólnie. Dwukrotnie stawiają taki wniosek, ale posłowie stanu pierwszego i drugiego dwa razy go odrzucają.

Napięcie rośnie i nagle 17 czerwca reprezentanci stanu trzeciego ogłaszają się Zgromadzeniem Narodowym. Szok! To prawie zamach stanu i nic dziwnego, że król w pierwszym odruchu każe zamknąć przed nimi salę obrad. Zbierają się w sali do gry w piłkę i składają ułożoną wcześniej przez księdza Emmanuela Sieyès'a przysięgę, że rozejdą się dopiero wtedy, gdy Francja otrzyma konstytucję.

Król ma teraz do wyboru użycie przemocy lub zgodę na ich postulaty. Wybiera to drugie i 27 czerwca zgadza się na wspólne obrady trzech stanów. To jednak na krótko zaspokaja rozbudzone apetyty: 9 lipca delegaci ogłaszają się Zgromadzeniem Narodowym Konstytucyjnym (Konstytuantą) i stawiają sobie za cel opracowanie konstytucji. Od tej pory Zgromadzenie będzie systematycznie ograniczać władzę króla aż do zera.

13 lipca – Paryż wrze.

„Lud rzemieślniczy i robotniczy rozlał się po mieście uzbrojony, w co się dało. Ci ludzie pijani winem i wściekłością wykorzystali noc, aby niszczyć i palić rogatki oraz statki i łodzie celników. W poniedziałek, 13, przebiegli cały Paryż, grożąc burżuazji, że spalą jej domy, jeśli ta się natychmiast do nich nie przyłączy. Uwolnili z więzień wszystkich zatrzymanych za długi i wykroczenia policyjne” – napisał w liście jeden z paryżan, a inny dodawał: „Można wszystkiego się obawiać ze strony ludu, skoro chleb jest tak drogi. Lud umiera z głodu i w rezultacie dojrzał do powstania”.

Zanim paryżanie poszli na Bastylię, ruszyli na piekarnie i sklepy. Żołnierze nie strzelali do tłumu, bo idące na jego czele kobiety krzyczały, że chcą chleba dla dzieci.

Ludzie zbierają się w parku przy Palais Royal, pałacu należącym do księcia Ludwika Filipa Orleańskiego, marzącego o koronie. Księżę oddał park na miejsce publicznych zgromadzeń i chętnie widzi tam mówców, którzy wzywają do buntu, strasząc rzezią przygotowywaną rzekomo przez króla. Paryżanie łupią rusznikarnie, a pod wieczór zajmują ogrody przy królewskim pałacu Tuileries. Krążą pogłoski, że wielki skład prochu strzelniczego znajduje się w Bastylii.

14 lipca – atak na Bastylię.

Tłum wdziera się do Pałacu Inwalidów i rabuje kilkadziesiąt tysięcy muszkietów oraz kilka dział, potem kieruje się pod Bastylię, dawną miejską bramę przerobioną na więzienie, którego załogę stanowi 82 weteranów wzmocnionych oddziałem 32 Szwajcarów. Komendant markiz de Launay przyjmuje kolejne deputacje, podejmuje je nawet obiadem, żądania jednak eskalują, tłum jest coraz bardziej agresywny i zbrojnie wdziera się na dziedziniec. Strzelanina trwa kilka godzin. W końcu Launay poddaje twierdzę, pod warunkiem że załogę nie stanie się krzywda.

Napastnicy uwalniają więźniów. Jest ich siedmiu: czterech fałszerzy, dwóch szaleńców oraz pewien hrabia osadzony tu na wniosek rodziny z powodu podejrzania o kazirodztwo. Tłum kieruje się teraz do ratusza, ciągnąc z sobą nieszczęsnego Launaya. Ludzie okładają go pięściami, garściami wyrywają mu włosy, w końcu go masakrują i odcinają mu głowę. Rozgorączkowany tłum zabija także burmistrza. Ludzie piją ich krew, głowy zaś nasadzają na piki i triumfalnie obnoszą po Paryżu. Rewolucja jest okrutna od samego początku, a jej motorem jest przemoc.

17 lipca – król przybywa do Paryża.

Konstytuanta błaga króla o przywrócenie porządku, Ludwik XVI przybywa więc z Wersalu do stolicy, gdzie witają go okrzyki: „Niech żyje król! Niech żyje wolność!”. Rewolucja wprowadziła swoje barwy – do niebieskiej i czerwonej, barw Paryża, dodano królewską biel Burbonów. Król robi dobrą minę do złej gry i w ratuszu pozwala sobie przypiąć trójkolorową kokardę, niejako rozgrzeszając bunt, i ani słowem nie wspomina o swych zmasakrowanych przed trzema dniami urzędnikach.

20 lipca–6 sierpnia – Wielka Trwoga.

Pod wpływem wieści o rozruchach w Paryżu chłopcy w całej Francji zaczynają napadać na dwory i klasztory, żądają wydania dokumentów dotyczących powinności feudalnych, potem je palą, a jeśli ktoś odmawia ich wydania, palą je razem z zamkiem lub klasztorem, mordując przy tym właścicieli.

Konstytuanta obraduje nieprzerwanie z nieopisanym zapałem i 4 sierpnia znosi wszystkie osobiste usługi chłopskie oraz podatki na rzecz pana. Porwani entuzjazmem przedstawiciele stanu pierwszego dobrowolnie zrzekają się dziesięciny, choć nikt tego nie żądał. Nie wiedzą, że w ten sposób sami kopią sobie grób.

26 sierpnia – Konstytuanta uchwała Deklarację praw człowieka i obywatela.

„Przedstawiciele Ludu Francuskiego, ukonstytuowani w Zgromadzenie Narodowe, uważając, że nieznanie, zapomnienie i lekceważenie praw człowieka są jedynymi przyczynami nieszczęść publicznych i nadużyć rządów, postanowili przedstawić w uroczystej Deklaracji naturalne, niezbywalne i święte prawa człowieka (...).

Artykuł I. Ludzie rodzą się i pozostają wolni i równi w swych prawach. (...)

Artykuł II. Celem każdej organizacji politycznej jest zachowanie naturalnych i nieprzedawnialnych

praw człowieka. Prawami tymi są: wolność, własność, bezpieczeństwo i opór przeciwko uciskowi. (...)

Artykuł IV. Wolność polega na możliwości czynienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu (...).

Artykuł VI. (...) Wszyscy obywatele są równi wobec prawa (...).

Artykuł VII. Nikt nie może być oskarżony, zatrzymany ani więziony bez podstaw prawnych określonych w ustawie i z zachowaniem form przez nią wskazanych. (...)

Artykuł IX. Każdy człowiek jest uważany za niewinnego, aż do momentu gdy zostanie uznany za winnego. Jeżeli konieczne okaże się jego zatrzymanie, każde zastosowanie rygorów, które nie są niezbędne dla zabezpieczenia jego osoby, winno być surowo karane przez ustawę.

Artykuł X. Nikt nie powinien być niepokoiony z powodu swoich przekonań, także religijnych (...).

Artykuł XI. Swobodne wyrażanie myśli i poglądów jest jednym z najcenniejszych praw człowieka: każdemu obywatelowi przysługuje więc wolność słowa, pisma i druku (...).

Artykuł XVII. Własność jest prawem nietykalnym i świętym, nikt nie może być go pozbawiony, z wyjątkiem przypadku, gdy wymaga tego konieczność publiczna prawnie uznana, ale pod warunkiem słusznego i wypłaconego z góry odszkodowania”.

Nim miną trzy miesiące, Konstytuanta zacznie łamać wszystkie te prawa po kolei.

6 października – król pod przymusem przenosi się do Paryża.

Paryż głoduje. Kobiety od piątej rano stoją w kolejkach przed piekarniami, żeby kupić chleb. Tymczasem król prowadzi w Wersalu niefrasobliwe życie, do tego odmawia podpisania Deklaracji praw człowieka i obywatela. Stutysięczny uzbrojony tłum z rozwścieczonymi przekupkami na czele rusza do Wersalu. Ludzie chcą sprowadzić króla do Paryża, bo wierzą, że to zagwarantuje lepsze zaopatrzenie. W środku nocy wdzierają się do pałacu, mordują gwardzistów ze straży przybocznej. Ludzie uspokajają się nieco, gdy Ludwik XVI obiecuje bezzwłocznie przenieść się do Paryża. Tłum niosący na pikach i widłach odcięte głowy gwardzistów otacza kawalkadę powozów i towarzyszy mu do samej stolicy.

Przeprowadzka do Paryża to dla króla nie tylko fizycznie odczuwalna presja polityczna, lecz także deklasacja. Pałac Tuileries, nieużywany od lat, jest zaniedbany, ciasny jak na potrzeby dworu, a otaczający go ogród stał się miejscem publicznym, w którym nieustannie przemawiają rozmaici mówcy, na tarasach zaś cisną się przekupki pragnące z bliska popatrzeć na dwór i wzbudzające w królewskiej parze strach pomieszany z obrzydzeniem.

2 listopada – nacjonalizacja dóbr kościelnych.

Biskup rewolucjonista Charles de Talleyrand proponuje, by państwo przywłaszczyło sobie majątek Kościoła i w ten sposób uzyskało środki na spłatę długów. Choć dopiero co w Deklaracji praw człowieka i obywatela własność uznano za świętą, Konstytuanta oddaje dobra kościelne „do dyspozycji narodu”.

Majątek Kościoła oszacowano na dwa miliardy liwów. Ponieważ w obiegu nie ma tylu pieniędzy, rewolucyjny rząd drukuje asygnaty, quasi-pieniądze, za które można nabywać dobra kościelne. Już Kopernik odkrył, że zły pieniądz wypiera dobry. Z rynku znikają srebrne i złote monety, asygnaty zaś, w miarę jak rośnie inflacja, tracą na wartości, aż są warte tyle, ile papier, na którym je wydrukowano.

13 lutego – decyzja o likwidacji klasztorów.

Przesiąknięci naukami doby Oświecenia rewolucjoniści cenili rozum i użyteczność, wątpili zaś w istnienie Boga, nic więc dziwnego, że postanowili zlikwidować klasztory jako do niczego nieprzydatne w społeczeństwie. Mnisi i mniszki są zmuszeni do powrotu do życia świeckiego. Rząd zakazuje składania na terenie Francji ślubów zakonnych jako niezgodnych z prawem naturalnym. Wyposażenie klasztorów, potem także wielu kościołów jest rabowane, sprzedawane na licytacji lub niszczone. Antyreligijny wandalizm staje się dowodem postawy obywatelskiej. Wystawiono na sprzedaż nawet paryską katedrę Notre Dame, na szczęście nie znalazła nabywcy. Konfiskowano wspaniałe kościelne biblioteki. Konstytuanta kazała wprawdzie zorganizować składy, gdzie miano decydować o dalszym przeznaczeniu ksiąg, jednak w większości stały się one ich cmentarzyskami. Jeden z ówczesnych urzędników tak to opisał: „Proszę sobie wyobrazić, Panie Prefekcie, bezładny stos ponad dziesięć tysięcy woluminów wszelakiego formatu wyrzucanych kosztami bez ładu na środku pustej sali. Proszę sobie wyobrazić, jak ponad połowa tych książek pochodząca z bibliotek dawnych kapucynów przybywa w czas ulewy w furgonach na węgiel, odkrytych, spiętrzona bezładnie, zmoczona i ziejąca smrodem”.

19 czerwca – Konstytuanta uznaje herby za „haniebne symbole”.

Jak Francja długa i szeroka skuwa się z murów francuskie lilie, rozbija zdobioną herbami porcelanę, pali oznaczone nimi księgi, wybija witraże. Potem z ulic, placów, fasad świątyń znikają figury królów – kamienne rozbija się na tłuczeń, spiżowe przetapia na działa, Konstytuanta uważa bowiem, że „święte zasady wolności i równości nie pozwalają na dalsze tolerowanie pomników wzniesionych gwoli zadośćuczynienia pysze i przesądom królewskiej tyranii i feudalizmu”.

12 lipca – księża stają się urzędnikami państwowymi.

Po likwidacji dziesięciny i nacjonalizacji dóbr kościelnych duchowni zostali bez środków do życia, Konstytuanta decyduje więc, że będą opłacani z kasy państwa i jako urzędnicy państwowi muszą składać publiczną przysięgę na wierność konstytucji: „Ktoś, kto odmówi tego świadectwa przywiązania do ojczyzny, powinien zostać uznany za niegodnego, by w niej żyć”. Potem rząd zmienia okręgi parafii i zmniejsza ich liczbę, dymisjonując 20 tysięcy proboszczów. Od tej pory proboszczowie i biskupi mają być wybierani przez lud.

Duchowieństwo rozpada się na dwie grupy: część jest za rewolucją, uważając, że wolność, równość i braterstwo to zasady ewangeliczne, część zaś przeciwko, bo francuski Kościół oderwano od Rzymu i skazano na schizmę. Przysięgę na konstytucję złoży siedmiu biskupów i połowa proboszczów. Ci, którzy odmówią, zostaną ogłoszeni „wrogami Wolności” i będą na różne sposoby prześladowani.

14 lipca – pierwsza rocznica ataku na Bastylie.

Dzień 14 lipca ogłoszono Świętem Federacji i na Polu Marsowym zorganizowano wspaniałą uroczystość z udziałem króla, jego rodziny oraz członków Konstytuanty. Biskup Talleyrand odprawił mszę, była „przysięga jedności”, odśpiewano *Te Deum*. Potem na miejscu rozebranej już Bastylii odbył się wielki bal.

20 czerwca – rodzina królewska pod osłoną nocy ucieka z Paryża.

Od pierwszych dni po przymusowej przeprowadzce do Paryża na dworze myślano o ucieczce. Słaby charakter i flegmatyczne usposobienie skłaniały króla do czekania, aż rewolucyjna burza przeminie, jednak pod naciskiem królowej przygotowania ruszyły pełną parą. Jedni mówią, że Maria Antonina popisała się wtedy brakiem rozsądku, zamawiając wielkie ilości nowych strojów i że ucieczka karetą obciążoną ogromnym kufrem z garderobą była powolna. Inni, że żadnego kufra nie było. Zbiegowie dojechali do Varennes, 250 kilometrów na wschód od Paryża. Do granicy z Niderlandami, należącymi do Austrii (cesarz Austrii Leopold II był bratem Marii Antoniny), zostało im jeszcze 50 kilometrów. Legenda głosi, że na jednym z postojów króla, przebranego za służącego, rozpoznał poczmistrz czy też jego syn, który porównał jego twarz z wizerunkiem na asygnacie. Trudno w to uwierzyć, w każdym razie w Varennes przygotowano zasadzkę, w którą wpadli zbiegowie.

W potwornym upale orszak eskortowany przez piechotę Gwardii Narodowej noga za nogą wracał do Paryża. Wsie i miasteczka witały króla grubiańskimi okrzykami, wśród których najłagodniejszy to: „Głupi grubas!”. 25 czerwca Ludwik XVI jechał ulicami stolicy wśród grobowego milczenia tłumów. Paryżanie, żeby okazać pogardę, mieli nakryte głowy, nawet ulicznicy postarali się o jakieś brudne chustki.

Po raz pierwszy zaczęto wtedy mówić o konieczności proklamowania republiki. Król został zamknięty pod strażą w Tuileries. Dopiero gdy 14 września złożył przysięgę na wierność konstytucji, odzyskał wolność i swoją część władzy.

27 sierpnia – małżeństwo staje się umową cywilną.

Rewolucja rozstrzygała wiele kwestii w duchu wolności, potem zaś stopniowo zmieniała kurs. Uznając, że małżeństwo jest cywilną umową między małżonkami, nie zakazano ślubu kościelnego: „Zgromadzenie Narodowe oświadcza, że nie ma zamiaru niczego zmieniać ani przeszkadzać obywatelom w swobodzie, jaką wszyscy oni dysponują w tym, co dotyczy chrzczenia dzieci, zawierania małżeństw czy pochówków w obecności duchownego zgodnie z zasadami kultu, który wyznają”. Gdy jednak wojna z religią się nasiliła, władze na różne sposoby utrudniały zawieranie ślubu kościelnego, aż w końcu go zakazały, ogłaszając, że „małżeństwo jest umową rozwiązywalną w drodze rozwodu”. Łatwo go było uzyskać i w latach 1792–1803 w Paryżu co czwarte małżeństwo kończyło się rozwodem.

3 września – Konstytuanta uchwała konstytucję.

Francja jest teraz monarchią konstytucyjną z podziałem władzy na ustawodawczą (Zgromadzenie Prawodawcze), wykonawczą (król) i sądowniczą. Urzędnicy i sędziowie mają pochodzić z wyboru. Prawo wyborcze, niezgodnie z Deklaracją praw człowieka i obywatela, mają tylko mężczyźni w

wieku powyżej 25 lat, dysponujący określonymi dochodami. Król zachowuje władzę zwierzchnią nad armią, ma prowadzić politykę zagraniczną, powoływać i odwoływać ministrów, ma także prawo weta w stosunku do uchwał Zgromadzenia Prawodawczego i jest nietykalny. Konstytucja nie dotyczy kolonii – Murzyni, Indianie, Azjaci pozostają niewolnikami.

20 kwietnia – Francja wypowiada wojnę Austrii.

Zgromadzenie Prawodawcze liczyło 745 członków i dzieliło się na wiele ugrupowań. Dwa główne to jakobini (nazwa wzięła się od klasztoru Świętego Jakuba, gdzie mieli siedzibę) i żyrondyści (kilku czołowych działaczy pochodziło z departamentu Gironde). Żyrondyści rwali się do wojny, po której w całej Europie miały zatriumfować idee rewolucyjne, narody zaś zostać wyzwolone spod władzy królów. Popierali ich deputowani, którzy pragnęli hegemonii Francji i rozszerzenia jej granic, a także ci, którzy chcieli się dostać do skóry francuskim emigrantom, duża część arystokracji uciekła bowiem za granicę już na początku rewolucji.

Francja zażądała od Austrii wyjaśnień dotyczących jej rzekomych przygotowań wojennych, a kiedy ta ich nie udzieliła, wypowiedziała jej wojnę. Nikt się nie spodziewał, że to początek niemal ćwierćwiecza wojen, które Francja będzie prowadziła aż do swej klęski pod Waterloo (1815). Skorzystają na nich niedawno wyzwolone spod brytyjskiego panowania Stany Zjednoczone, które będą ważnym dostawcą dla walczących z sobą państw.

11 lipca – „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!”

Wojna miała być krótka i zwycięska, tymczasem klęska goni klęskę. Armia niosąca na bagnietach idee rewolucyjne za Ren i Alpy nie ma bojowego doświadczenia, żołnierze nie słuchają dowódców, bo im nie ufają, całe oddziały przechodzą na stronę wroga lub pierzchają z pola walki. Gdy na początku lipca do wojny przyłączają się Prusy i pruska armia, uważana za najlepszą w Europie, wkracza do Szampanii, w Paryżu wybucha panika. Zgromadzenie Prawodawcze ogłasza apel: „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!”, a następnego dnia decyduje o zaciągu 50 tysięcy rekrutów. Tymczasem wsie i miasta, głuche na patriotyczne zawołania, zaczynają się powoływać na wcześniejsze ofiary dla ojczyzny i mówią: „Dość. Uprawa ziemi i obsługa warsztatów są ważniejsze niż wojna”. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie manifest wydany 25 lipca przez dowódcę połączonych wojsk prusko-austriackich z kwatery nad francuską granicą. Książę Karol Wilhelm wezwał w nim Francuzów, by „ukorzyli się przed królem”, zapewnili mu nietykalność i szacunek, „które według prawa przyrodzonego i międzynarodowego są obowiązkiem poddanych wobec panujących”. Jeśli zaś zadadzą mu „najmniejszy gwałt i najmniejszą zniewagę”, armia pruska zburzy Paryż. Tego było trzeba, by wzbudzić patriotyczny zapal. Do stolicy z całej Francji ciągną ochotnicy. 31 lipca przybywa 500 marsylczyków, pijanych winem i entuzjazmem, śpiewających nową, porywającą pieśń zaczynającą się od słów: „Naprzód ojczyzny dzieci, bo nadszedł dzień chwały”. Jest to *Marsz Armii Renu*, którego słowa i muzykę napisał przed trzema miesiącami kapitan Claude Joseph Rouget de Lisle, od tej chwili jednak wszyscy nazywają go *Marsylianką*. Za trzy lata, w szóstą rocznicę ataku na Bastylię, zostanie ogłoszony hymnem Francji.

10 sierpnia – atak na pałac królewski i wymordowanie Gwardii Szwajcarskiej.

Paryż pęka w szwach. Ochotnicy nie mieszczą się w koszarach, piją, wszczynają burdy. Wszyscy są uzbrojeni, tym bowiem, którzy przybyli bez broni, miasto rozdaje piki. Marsylczycy „w biały dzień zmasakrowali wielu mieszczan i członków Gwardii Narodowej. Lud, nie dość, że im w tym nie przeszkadzał, to jeszcze przyłączył się do nich, Zgromadzenie zaś przeszło nad tymi bezceństwami do porządku dziennego” – relacjonuje naoczny świadek. Jakobini podgrzewają nastroje, głośno wołają o zdradzie i żądają detronizacji króla. Zgromadzenie Prawodawcze, w którym przewagę mają zwolennicy monarchii konstytucyjnej, ociąga się z decyzją. Na przedmieściach wrze, czerwona flaga powiewa nad ratuszem, w którym obradują najbardziej radykalni członkowie miejskich władz zwanych Komuną, grożący wojną domową. 10 sierpnia tuż po północy uderzają w dzwon, wzywając do broni, i wkrótce zbiera się wielotysięczny tłum zbrojny w piki, bagnety, kosy, widły, siekiery. Georges Danton, członek Komuny, woła, by poszli do Tuileries, zabili tam wszystkich, zwłaszcza Szwajcarów, króla zaś z rodziną wzięli jako zakładników. Tymczasem zaalarmowany król nie potrafi podjąć decyzji: bronić się czy poddać bez walki. W końcu rodzina królewska eskortowana przez szwajcarskich gwardzistów przebiega ogród i chroni się w siedzibie Zgromadzenia. O dziewiątej rano 100 tysięcy ludzi otacza Tuileries. Najpierw na fasadę pałacu leci grad kamieni, potem napastnicy rąbią siekierami bramę i wpadają na dziedziniec. Na frontowych schodach pałacu widzą cztery oddziały gwardii. Wysocy, przystojni Szwajcarzy w czerwonych mundurach „stoją niczym mur, trwając w żołnierskim milczeniu”. Działa przyprowadzone przez tłum oddają salwę w kierunku schodów. Kilku gwardzistów pada, reszta odpowiada ogniem i napastnicy pierzchają. Ludwik XVI, zawsze chętny do manifestowania humanitaryzmu, słysząc strzelaninę, pisze na bileciku: „Król rozkazuje Szwajcarom natychmiast złożyć broń i wycofać się do koszar”. Ci, do których ten rozkaz dotarł, składają broń, i wtedy atakuje ich tłum. Nielicznym udaje się przedrzeć do siedziby Zgromadzenia. Broniący się w pałacu walczą do ostatniego naboju. Potem zaczyna się rzeź. Szwajcarzy są odzierani z mundurów, patroszeni, kobiety odcinają im genitalia i wciskają trupom do ust, zawiązują sobie na szyi kokardy z jelit. Przez kilka dni w całym mieście trwa polowanie na Szwajcarów. Zginęło ich około dziewięciuset. Zabito też nieustaloną liczbę Francuzów, których wzięto za gwardzistów, bo mieli nieszczęście ubrać się tego dnia na czerwono.

2–5 września – masakry wrześniowe.

Ludwik XVI uszedł z życiem, jednak tego samego dnia Komuna zmusza Zgromadzenie Prawodawcze do odebrania mu władzy i osadzenia go wraz z rodziną w Temple, ponurym zamczysku templariuszy przerobionym na więzienie. Strażnikami są członkowie Komuny, śledzący każdy ruch króla i nieuszczędzający mu wyszukanych złośliwości. Danton staje na czele rządu tymczasowego, potem doprowadza do rozwiązania Zgromadzenia i ogłoszenia wyborów do nowego ciała ustawodawczego, które zostanie nazwane Konwentem Narodowym. Francja jest krajem nieustających wyborów.

Nasila się psychoza zdrady, gazety wzywają do wytępienia wrogów rewolucji, którzy nawet w więzieniach spiskują, działając na szkodę ojczyzny. Gwardia Narodowa gorliwie patroluje ulice,

mnożą się donosy i przeszukiwania domów w pogoni za zdrajcami.

2 września, po pięciu dniach walk z Prusakami, kapituluje graniczna twierdza Verdun i droga do Paryża stoi otworem. Nie trzeba wiele, by uwierzyć, że to dzieło klechów i sprzedajnej arystokracji. W całej Francji tłumy wdzierają się do więzień. W stolicy masakrują około dwóch tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, na prowincji zaś dziesięć razy tyle. Najbardziej znana jest historia zamordowania księżnej Marii de Lamballe, ochmistrzyni dworu i przyjaciółki królowej Marii Antoniny (kiedyś krążyły plotki o ich lesbijskim związku). Z wieży Temple, gdzie przetrzymywano rodzinę królewską, przeniesiono ją do więzienia La Force przeznaczonego dla prostytutek. Gdy tłum wpadł do więzienia, ktoś uderzył ją kilka razy młotkiem w głowę, a gdy upadła, odarto ją z sukien, odcięto jej głowę, piersi i genitalia, rozplątano brzuch i wyrwano wnętrzności. Tłum obnosił po mieście te makabryczne trofea zatknięte na piki, w końcu ruszył pod Temple, aby królowa po raz ostatni mogła pocałować przyjaciółkę. Kiedy odcięta głowa pojawiła się w oknie wieży, strażnicy mieli dość przyzwoitości, żeby zamknąć okiennice. Tłum nie rezygnował, ludzie przez całą noc wspinali się po murach, by sięgnąć okien wieży. Rozeszli się dopiero nad ranem.

20 września – losy wojny się odwracają.

Po miesiącach klęsk Francuzi ogniem artyleryjskim zmuszają wojska prusko-austriackie do wycofania się spod Valmy w Szampanii. Ta bitwa, przez wielu historyków uznawana za nierozstrzygniętą, jest początkiem wielkiej ofensywy na wszystkich frontach. Francuzi zajmują i przyłączają do Francji ziemie nad górnym i środkowym Renem, a 6 listopada, po bitwie pod Jemappes, hiszpańskie Niderlandy (dzisiejszą Belgię).

22 września – Francja staje się republiką.

21 września odbyło się pierwsze posiedzenie Konwentu Narodowego, który przez trzy lata będzie rządził Francją. Przewagę mają w nim żyrondyści, drugim, bardziej radykalnym klubem są jakobini, reszta to chwiejne centrum pogardliwie nazywane bagnem. Pod koniec posiedzenia jeden z posłów zgłasza wniosek o zdetronizowanie króla: „Wszystkie dynastie to żarłoczna rasa żywiąca się ludzkim mięsem”, dwory zaś „to kuźnie zbrodni i wylęgarnie tyranów”. Demagogiczne przemówienie zostaje przyjęte owacją i Konwent jednogłośnie ustanawia zniesienie monarchii. Następnego dnia proklamuje republikę. Wszystko to dzieje się głównie głosami paryżan – z 749 posłów na posiedzeniach było obecnych około 250, reszta deputowanych nie dojechała jeszcze z prowincji.

11 grudnia – zaczyna się proces króla.

Przywódcą jakobinów Maximilien Robespierre powtarza: „Ludwik musi umrzeć, żeby Francja mogła żyć”, i dowodzi, że sam fakt wystąpienia ludu przeciwko władcy wystarczy do skazania go na śmierć bez sądu, większość Konwentu opowiada się jednak za procesem. Szkopuł w tym, że zgodnie z konstytucją król jest nietykalny. Nie na darmo jednak w Konwencie zasiada tylu prawników –

interpretacja prawa, choćby kuriozalna, jest ich zawodem. Ogłaszają, że Konwent jest zgromadzeniem reprezentantów narodu, a ponieważ to naród zagwarantował królowi nietykalność, naród, czyli Konwent, może mu ją odebrać. Jakobini nie kryją swych intencji: „Król powinien zostać osądzony jako nieprzyjaciel. Mamy go bowiem nie tyle sądzić, ile zniszczyć”. Jest to typowy proces polityczny: zebrano wyłącznie materiał przeciwko oskarżonemu. Przed Konwentem przewija się procesja wdów, sierot i inwalidów wojennych, obwiniających króla o swoje nieszczęścia, odczytuje się listy i petycje, w których król, do tej pory oskarżany o słabość i niezdecydowanie, jest przedstawiany jako „tygrys”, „ogr”, „bestia”, „koronowany krokodyl”, „nosorożec ziejący żądzą krwi”. Oskarżyciel odczytuje listę jedenastu głównych zarzutów, w tym tak absurdalnych, jak wywołanie wojny z Austrią (król pod przymusem wyraził zgodę na wojnę, o której zdecydowało Zgromadzenie) oraz posługiwanie się przyznanym mu w konstytucji prawem weta.

16 stycznia – do Paryża w tajnej misji przybywa Tadeusz Kościuszko.

Polska przy wsparciu Francji chce wywołać powstanie, by odzyskać ziemie stracone po pierwszym rozbiorze (1772). Kościuszko ma przekonać francuski rząd, by dostarczył uzbrojenie dla 100 tysięcy żołnierzy, dał 30 milionów złotych i nakłonił Turcję do ataku na Rosję. W zamian Polska obiecuje przeprowadzić reformy w duchu rewolucji, przede wszystkim znieść monarchię i uwolnić chłopów od poddaństwa, oraz wypowiedzieć wojnę zaborcom. Kościuszko prowadzi rozmowy z generałami i członkami Konwentu, kiedy jednak do wojny z Francją przystępują Anglia i Hiszpania, a potem wybuchają wojny domowe w Wandei, Bretanii i Prowansji, nikt już nie myśli o Polsce i w kwietniu Kościuszko wyjeżdża z niczym.

17 stycznia – skazanie Ludwika XVI na śmierć.

Widownia w Konwencie pęka w szwach. Pierwsze głosowanie 16 stycznia przynosi 366 głosów za bezwarunkowym wyrokiem śmierci, reszta Konwentu opowiada się za wyrokiem w zawieszeniu lub więzieniem. Każdy głosujący musi głośno powiedzieć, za czym głosuje i dlaczego. Jakobini oburzają się na tak słaby wynik (wymagana absolutna większość to 361 głosów), publiczność obrzuca wyzwiskami niezdecydowanych. Część deputowanych chce drugiego głosowania. Następnego dnia 360 członków Konwentu głosuje przeciwko karze śmierci dla króla, a 361 – za karą śmierci. Jeden z obrońców króla wybuchają płaczem. Robespierre, patrząc na niego, mówi: „Wybaczam obrońcom Ludwika rozważania, na jakie sobie tu pozwolili”. Litość szybko jednak się ulatnia: niedługo wszystkich trzech obrońców będzie ścigać Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego i tylko jednemu uda się ukryć, drugi trafi do więzienia, trzeci – na gilotynę.

21 stycznia – Ludwik XVI zgilotynowany.

20 stycznia Rada Egzekucyjna odczytuje królowi wyrok śmierci za „kospirację przeciwko wolności narodu”. Urzędnicy zezwalają mu na dwugodzinne spotkanie z rodziną. Następnego dnia rano król wychodzi z wieży Temple przez te same drzwi, przez które kiedyś szedł na stos wielki mistrz templariuszy Jakub de Molay. (Wieżę zburzy Napoleon w obawie, by nie stała się miejscem pielgrzymek rojalistów). Trasę przejazdu katowskiego wózka oraz plac Rewolucji (obecnie Place de la Concorde), gdzie stoi gilotyna, gęsto obstawiono Gwardią Narodową i żandarmami. Około 10 rano Ludwik XVI wchodzi na szafot. Władczym gestem ucisza doboszy i woła: „Umieram niewinny tych wszystkich zbrodni, o które mnie oskarżono! Wybaczam sprawcom mej śmierci i proszę Boga, by krew, którą przelejecie, nie spadła nigdy na Francję. A ty, nieszczęsny ludu...”. W tej chwili dowódca straży ruchem szabli daje rozkaz doboszom i łoskot werbli zagłusza słowa króla. Pomocnicy kata chwytają go i przywiązują do deski gilotyny. Opada nóż. Po egzekucji kat wysoko unosi głowę króla, pokazując ją zebranym tłumom. Niektórzy moczą chustki w królewskiej krwi, ktoś

skrapia nią tłum ze słowami: „Bracia, grożono nam, że krew Ludwika Kapeta spadnie na nasze głowy, no to niech spada”, inni radośnie wołają: „Niech żyje Naród!”. Po straceniu króla kilka francuskich miast przywdziało żałobę, a w Europie radykalnie zmieniły się nastroje – rewolucja przestała cieszyć się sympatią ludzi, monarchowie zaś grozili wojną.

24 lutego – Konwent nakazuje nowy zaciąg rekrutów.

Wielka Brytania, Austria, Prusy, Hiszpania i Holandia zawiązują koalicję przeciwko Francji, która dokonała królobójstwa. Tymczasem żyrondyści nadal wierzą w zwycięstwo nad całą Europą i Konwent nakazuje zaciąg 300 tysięcy rekrutów. Powoływano wszystkich kawalerów oraz bezdzietnych wdowców od 18 do 40 roku życia. W wielu regionach powoduje to zamieszki, niedługo zaś stanie się jednym z powodów wojny domowej.

Na froncie znowu źle się dzieje. Konwent ma proste środki zaradcze: zwalnia ze służby wszystkich oficerów pochodzenia szlacheckiego, a tych dowódców, którzy ponieśli klęskę, wzywa do Paryża na przesłuchanie. Większość kończy na szafocie. Nie poprawia to sytuacji: Austriacy wkraczają do Alzacji, Hiszpanie przekraczają Pireneje, Włosi nacierają od strony Alp, Marsylia i Tulon poddają się Anglikom. Francja przypomina oblężoną twierdzę. Z armii rewolucyjnej płyną raporty: „Brakuje nam nie ludzi, lecz broni”. Brakowało zresztą wszystkiego – mundurów, butów, chleba, mięsa. „Armia jest prawie goła, a pogoda robi się fatalna. Żołnierze z braku butów owijają sobie nogi sianem”.

10 marca – Konwent powołuje Trybunał Rewolucyjny.

„Bądźmy okrutni, żeby lud nie musiał być okrutny!” – woła Danton. „Śmierć wrogom ludu!” – odpowiadają deputowani i uchwalają dekret o powołaniu Trybunału Rewolucyjnego, który ma sądzić osoby podejrzane o zdradę i działania antyrewolucyjne. „Wrogami ludu są ci, którzy usiłują zniszczyć wolność przemocą lub podstępem. Uważani za wrogów są również ci, którzy usiłują wywołać upadek ducha, aby wspierać przedsięwzięcia tyranów złączonych przeciw Republice, albo szerzą fałszywe wieści, by wywołać zamieszanie i podziały wśród ludu”. To koniec zagwarantowanej w konstytucji wolności słowa. Trybunał wydaje tylko dwa rodzaje wyroków: skazuje na karę śmierci albo uniewinnia. Wyroki nie podlegają apelacji, a egzekucje wykonuje się w ciągu kilku dni. 21 marca Trybunał zaczyna wspomagać komisje bezpieczeństwa, których zadaniem jest nadzorowanie podejrzanych osób, na przykład cudzoziemców. Na prowincję ruszają tropić zdrajców wszechwładni prokonsulowie – to na nich będzie się wzorował Lenin, tworząc stanowisko komisarza politycznego.

11 marca – wybucha wojna domowa.

Wojna domowa zaczyna się od powstania ludowego w Wandei, na północnym zachodzie Francji. Wandejscy chłopcy przyjęli rewolucję z nadzieją, tymczasem nowa władza likwiduje istniejące od zawsze parafie, przysyła nikomu nieznanymi księżmi i urzędnikami, a gdy wystawia na sprzedaż ziemie

należące do Kościoła, chłopci przegrywają licytacje z bogatszą od nich burżuazją. W końcu uznają, że rewolucja jest sprawą bezbożnych burżujów wyzyskiwaczy. Na domiar złego w lutym, tuż przed rozpoczęciem prac w polu, rząd ogłasza pobór do wojska. W wielu miejscowościach rekruci żądają zwolnienia od służby, a gdy werbownicy grożą im bronią, przeganiają ich siłą. W wandejskich wsiach biją dzwony, wzywając do powstania. Rebelianci tworzą Wielką Armię Katolicką i Królewską. Republika wysłała przeciw niej 75 tysięcy żołnierzy, mimo to Wandejczycy walczą aż do zimy. Zostaną zmasakrowani 13 grudnia w bitwie pod Le Mans i dobitni w Savenay, w błotach nad Loarą. Odtąd w Wandei pozostanie tylko partyzantka. Generał François Westermann, zwany rzeźnikiem Wandei, meldował rządowi: „Wandea już nie istnieje. Zgodnie z waszymi rozkazami miażdżyłem dzieci kopytami koni i masakrowałem kobiety, by nie mogły już rodzić bandytów. Nie mam na sumieniu wzięcia ani jednego jeńca. Drogi są zasłane trupami. Jest ich tyle, że w wielu miejscach tworzą piramidy”.

W lutym 1794 Wandejczycy zostają nazwani „zbrodniarzami bliższymi zwierzętom niż ludziom” i rząd wydaje rozkaz ich eksterminacji. Do pacyfikacji Wandei wysłała 12 kolumn, które szybko zyskują miano kolumn piekielnych, z rozkazem zabicia wszystkich mieszkańców złapanych z bronią w rękę lub podejrzanych o sprzyjanie kontrrewolucji. Mordowano Wandejczyków bez względu na wiek i płeć, wyrzynano bydło, palono miasta, wsie i lasy. Oblicza się, że zginęło wtedy ponad 100 tysięcy ludzi.

6 kwietnia – Konwent powołuje Komitet Ocalenia Publicznego.

Jakobini krok po kroku zdobywają przewagę w Konwencie, opanowując mnożące się jak grzyby po deszczu komisje specjalne i trybunały. Oskarżają żyrondistów, że nie są patriotami, bo nie chcieli śmierci króla, że to oni parli do wojny, która teraz niszczy Francję. W końcu doprowadzają do powołania Komitetu Ocalenia Publicznego złożonego wyłącznie z jakobinów, z Dantonem na czele. To faktyczny rząd, a zarazem początek kolektywnej dyktatury jakobinów, która się przerodzi w osobistą dyktaturę Robespierre’a. Narzędziem władzy jest policja polityczna – Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego.

2 czerwca – aresztowanie żyrondistów.

Żyrondyści cieszyli się popularnością w miesiącach sukcesów wojennych, lecz kiedy przyszedł klęski, stracili ją, szczególnie gdy żyrondyista generał Dumouriez przeszedł na stronę Austriaków. Od początku kwietnia jakobini postulowali usunięcie żyrondistów z Konwentu. Deputowani nie godzili się na to, nawet gdy w nocy z 30 na 31 maja w Paryżu zaczęły się inspirowane przez Komunę rozruchy, a jednym z żądań było aresztowanie żyrondistów.

2 czerwca wielotysięczny tłum prowadzący 150 armat otacza budynek Konwentu. Deputowani, którzy chcą opuścić salę, nie wykluczwszy żyrondistów, słyszą gromki rozkaz: „Kanonierzy, do dział!”. Tego samego dnia przywódcy żyrondistów zostają umieszczeni w areszcie domowym. Pod

koniec października staną przed Trybunałem Rewolucyjnym oskarżeni o brak stanowczych działań wobec zagrożenia republiki i usłyszą wyrok śmierci. To właśnie wtedy pojawia się myśl, że rewolucja na podobieństwo Saturna pożera własne dzieci.

Noc przed egzekucją dwudziestu jeden żyrondistów spędzi razem. Zjedzą wykwitną kolację, potem będą dyskutować o losach ojczyzny. 31 października, w chłodny deszczowy ranek ruszą wozy katowskie. Będą umierali z okrzykiem: „Niech żyje Republika!”. „Niech żyje!” – odkrzykną zgromadzone tłumy.

26 lipca – dekret o spekulacji.

Pod karą śmierci nie wolno wykupywać ani ukrywać towarów pierwszej potrzeby. Ich lista jest długa: chleb, mięso, wino, zboże, jarzyny, owoce, mąka, masło, ocet, cydr, wódka, węgiel, łój, drewno, oliwa, soda, mydło, ryby, miód, cukier, papier, płótno, sukno. Kto zadenukuje spekulanta, dostaje jedną trzecią odkrytych zapasów, mnożą się więc donosy, rewizje, rekwizycje. Choć w Paryżu za spekulację na gilotynę trafia siedem osób, towarów na rynku nie przybywa i we wrześniu rząd wprowadza niskie jednolite ceny zboża, mydła, soli i tytoniu. Ludzie rzucają się na sklepy i wykupują wszystko. Niektórzy kupcy zamykają sklepy, inne świecą pustkami. W jatkach po urzędowej cenie można kupić tylko ochłapy, łój i kości. Rząd wprowadza więc kartki na chleb, cukier, świece, potem inne artykuły pierwszej potrzeby. Chłopi stosują bierny opór – mimo zagrożenia gilotyną ukrywają plony lub sprzedają je na czarnym rynku. „Wolę karmić kury najlepszą pszenicą i smarować masłem koła mego wozu, niż sprzedawać je po urzędowej cenie” – mówią. Komitet Ocalenia Publicznego był pewien, że rewolucyjna ekonomia sprawi cuda: „Wszystko wszędzie stanieje. To piękna i wielka operacja. Nienasyчени kupcy codziennie podwyższali ceny”. Prawa ekonomii są jednak głuche na patriotyczne zaklęcia. „Dziś nie było już niczego na targowiskach, ani masła, ani jaj. Można by sądzić, że sam diabeł się w to miesza, aby nas dręczyć”.

25 sierpnia – pacyfikacja Marsylii.

Wojna domowa toczyła się nie tylko w Wandei, Bretanii i Normandii, wybuchła także na południu. Pierwszy wypowiedział posłuszeństwo Konwentowi Lyon, drugie co do wielkości miasto Francji, potem Tulon i Marsylia. Do Tulonu wpłynęła flota angielska wspomagająca rebeliantów. Dowódcą 12. kompanii baterii nadbrzeżnej w Nicei był w tym czasie kapitan Napoleon Bounaparte, który organizował konwoje amunicji sprowadzanej doliną Rodanu dla armii duszącej bunt.

Marsylczycy oddają miasto bez walki, mimo to armia rewolucyjna pacyfikuje je z nieprawdopodobnym okrucieństwem. Oblężony przez dwa miesiące Lyon kapituluje 10 października. Konwent wydaje rozkaz zrównania miasta z ziemią. Giną tysiące mieszkańców, podobnie jak w Tulonie, który broni się przez trzy i pół miesiąca, zostaje zaś zdobyty dzięki planowi opracowanemu przez nowego dowódcę artylerii w armii rewolucyjnej – Bounapartego. Za to zwycięstwo Konwent mianuje dwudziestoczteroletniego kapitana generałem.

5 września – Konwent przyjmuje zasadę terroru jako nowy sposób rządzenia Francją.

Kraj, który walczy z wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi o nowy wspaniały świat, nie ma czasu na dyskusje i przekonywanie przeciwników – musi wymagać jednomyślności pod groźbą śmierci. „Potrzeba krwi, by skonsolidować rewolucję. Jeśli nie przelejemy krwi kontrrewolucjonistów, oni któregoś dnia przeleją naszą” – mówią jakobini. Ich system rządzenia jest oparty na represjach, donosach i strachu. Zapełniają się więzienia, trzeba szukać usprawnień, by szybciej posyłać skazańców na szafot. W paryskim trybunale zbudowano amfiteatralne ławy mieszczące nawet 150 oskarżonych. Komitet Ocalenia Publicznego zakazuje jednak sądzić więcej niż 60 oskarżonych naraz. Pewnego dnia jeden z oskarżonych orientuje się, że jego nazwiska nie ma na liście, którą odczytał prokurator. „Nie zostałem o nic oskarżony, nie ma mnie na liście”. „Nie szkodzi. Podaj nazwisko, zaraz je dopiszę”, mówi prokurator.

17 września – dekret o osobach podejrzanych.

„Za osoby podejrzane zostają uznani: (1) ci, którzy swym zachowaniem bądź poprzez swe znajomości albo też poprzez swe opinie wypowiedziane lub napisane dali się poznać jako zwolennicy tyranii i wrogowie wolności; (2) ci, którzy nie zdołają udowodnić zgodnie z dekretem z 21 marca źródeł swego utrzymania bądź wypełniania swych obywatelskich zobowiązań; (3) ci, którym odmówiono certyfikatów lojalności obywatelskiej; (4) urzędnicy zawieszani w prawach, których im następnie nie przywrócono; (5) dawna szlachta, mężczyźni i kobiety, oraz ojcowie, matki, synowie, córki, bracia, siostry i agenci emigrantów, nieokazujący wystarczającego poparcia dla rewolucji”.

5 października – Konwent wprowadza nowy kalendarz.

Początkiem dziejów dla rewolucjonistów nie jest narodzenie Chrystusa, lecz ustanowienie republiki. Lata są więc liczone od 22 września 1792 roku. Rok ma 12 miesięcy po 30 dni. Pozostałe pięć lub sześć dni to dodatkowe święta. Pierwszy miesiąc roku, trwający od 22 września do 21 października, to vendémiaire (winobraniec), potem są brumaire (mglisty), frimaire (mroźny), nivôse (śnieżny), pluviôse (deszczowy), ventôse (wietrzny), germinal (kiełkownik), floréal (kwietny), prairial (łąkownik), messidor (żniwnik), thermidor (gorący), fructidor (owocowy). Miesiące dzielą się nie na tygodnie, lecz na trzy dekady. Reformatorzy nie ukrywają, że chodzi im o pozbycie się niedziel. Dni dekad nie mają nazw, mówi się po prostu dzień pierwszy, drugi, trzeci. Dziesiąty jest dniem świątecznym. 11 nivôse’a XIV roku, czyli 31 grudnia 1805, Napoleon przywróci kalendarz gregoriański – będzie on obowiązywał od 1 stycznia 1806.

12–25 października – profanacja grobów królewskich w katedrze Saint-Denis.

Biskup Dionizy (Denis), patron królów Francji, został ścięty na Mons Martyrium, Górze

Męczenników (Montmartre), w 258 roku, w czasie prześladowań chrześcijan za cesarza Waleriana. Pochowano go pod miastem. W V wieku nad jego grobem zbudowano kościół, potem powstało tam opactwo Saint-Denis, miejsce pochówku francuskich królów. W skarbcu przechowywano insygnia królewskie – koronę, berło i jabłko, które nowy władca zabierał na koronację do Reims. Po wybuchu rewolucji zakonników wygnano, ołów z dachu katedry i z wybitych witraży odesłano do ludwisarni, w gazetach zaś pisano: „Jak to możliwe, że podczas gdy właśnie usuwamy wszystkie ślady monarchii, plugawe prochy naszych królów spoczywają jeszcze nietknięte w byłym opactwie Saint-Denis?”. Komitet Ocalenia Publicznego decyduje więc, że dla uczczenia rocznicy obalenia króla 10 sierpnia należy „zniszczyć wystawne mauzolea znajdujące się w Saint-Denis”. Od 6 sierpnia pod okiem grupy komisarzy kamieniarze przez trzy dni rozbijają nagrobki Merowingów, Kapetyngów, Karolingów, Walezjuszów. Szczątki są wrzucane do wykopanego przy katedrze rowu, zalewane wapnem gaszonym i zasypywane ziemią, metalowe trumny trafiają do odlewni. „Maczuga narodu słusznie uderzyła w tyranów nawet w grobach”.

W sierpniu było za mało czasu, by otworzyć wszystkie groby, komisarze wyruszają więc do Saint-Denis, a właściwie Franciade, ponieważ nazwę miasta zmieniono, 12 października. Kamieniarze rozbijają grób Henryka IV, otwierają trumnę i stawiają ją koło chóru, gdzie każdy ciekawski może popatrzeć na prawie nienaruszone ciało z dobrze zachowanymi rudymi włosami i brodą. Ludwik XIII, Ludwik XIV, Ludwik XV, królewskie żony i córki trafiają do dołów z wapnem. Trumny i cenne przedmioty znalezione w grobach jadą do przetopienia. Gapie biorą na pamiątkę kości albo zęby, niedługo rozkwitnie handel królewskimi relikwiami.

W listopadzie do Paryża jedzie sześć wozów rzeczy, które jeszcze ostały się w skarbcu. Jest wśród nich relikwia – głowa świętego Dionizego: „Ta czaszka i te święte łachmany wreszcie przestaną być przedmiotem ludowego kultu”. Kościół planowano zburzyć albo przerobić na halę targową, ciągle jednak brakowało na to środków. „Saint-Denis jest odludziem, trawa rośnie na jego roztrzaskanych ołtarzach. Zamiast pieśni śmierci, która rozbrzmiewała pod jego sklepieniami, słychać tam jedynie krople deszczu wpadające przez odkryty dach” – pisał Chateaubriand.

16 października – egzekucja królowej Marii Antoniny.

„Połączyliśmy dwoje dzieci” – powiedział Ludwik XV po ślubie piętnastoletniego delfina z czternastoletnią austriacką arcyksiężniczką Marią Antoniną. Młodą parę otaczał luksus, król spełniał każdą zachciankę synowej, która bez opamiętania rzuciła się w wir rozrywek. Stała się królową mody: „Każda młoda dama natychmiast chciała mieć taki sam strój jak królowa, nosić pióra jak ona, girlandy, którym jej uroda, wówczas w pełni rozkwitu, przydawała nieskończonego czaru”. Słabo wykształcona, niezbyt chyba mądra i na pewno lekkomyślna, nieznająca wartości pieniądza szybko stała się obiektem plotek, potem podejrzeń, pamfletów, w końcu nienawiści. Oskarżano ją o niesłychaną rozrzutność, rozwiązłość, wpływanie na króla w kwestiach politycznych i trzymanie strony Austrii. Ludzie mówili o niej pogardliwie Pani Deficyt i Austriaczka (*L'Autrichienne* brzmi bowiem jak *l'autre chienne* – „obca suka”).

Konwent oskarża Marię Antoninę o kolaborację z wrogiem i spisek przeciwko bezpieczeństwu państwa. Królowa doskonale wie, że sprawiedliwość to pozór, że jej los jest przesądzony, i odpowiadając na pytania sędziów, mówi o sobie wyłącznie w czasie przeszłym: „Nazywałam się Maria Antonina Lotaryńska”. Proces kończy się około czwartej nad ranem wyrokiem śmierci, a już o jedenastej królowa w białej sukni i zwyczajnym czepku wsiada do katowskiego wózka. Na ulicach są tłumy. Wszyscy niecierpliwie czekają na śmierć znenawidzonej Austriaczki, która uosabia całe zło i zepsucie monarchii. Mimo że ręce ma skrępowane na plecach, sama wysiada z wózka i wchodzi na szafot. „Ach, przepraszam pana” – mówi odruchowo do kata, któremu niechcący nastąpiła na nogę. Gdy jej głowa spada do kosza, wiwatom i okrzykom na cześć republiki nie ma końca. Tego samego dnia wieczorem, a może dzień lub dwa później, tego nigdy się nie dowiemy, grabarz, który z nakazu Konwentu ma pochować ciało królowej, znajduje na cmentarzu de la Madeleine jej obnażone zwłoki z głową wciśniętą między nogi. Krańcowe pohańbienie cesarskiej córki, żony Ludwika XVI, która powiedziała o sobie: „Błędy tak, ale żadnej zbrodni”.

7 listopada – prymas składa swój urząd.

Przed Konwentem staje prymas Francji Jean-Baptiste Göbel, ksiądz konstytucyjny, i składa uroczystą rezygnację z urzędu: „Dziś, gdy kończy się okres rewolucji i nadchodzi wolność, nie można celebrować innych nabożeństw jak nabożeństwa wolności i równości”, potem kładzie na pulpicie przewodniczącego swój krzyż biskupi i pierścień. Wiele wskazuje na to, że zadłużył się u jakobinów i w zamian za zwrot weksli, których nie był w stanie wykupić, zgodził się na tę żenującą ceremonię. Po tym akcie proces dechrystianizacji nabiera tempa: zakazano odprawiania nabożeństw poza świątyniami, potem w ogóle ich zabroniono, burzono kościoły lub zamieniano je na magazyny, stajnie, koszary, na świątynie Rozumu albo przynajmniej skracano ich wieże do „demokratycznej wysokości”, zmuszano księży do zawierania cywilnych małżeństw lub adopcji dzieci, zakazano noszenia jakichkolwiek znaków religijnych. W nowym kalendarzu nie było niedziel, a w zastępującym ją dniu dziesiątym mogły się odbywać jedynie świeckie uroczystości. (Trudno uwierzyć, że przez dwa pierwsze lata, do początku 1792, podczas rewolucyjnych świąt odprawiano mszę). Kult katolickich świętych zastąpiono kultem bohaterów rewolucji, takich jak Joseph Bara, kilkunastoletni dobosz, który poszedł na ochotnika walczyć z powstaniem w Wandei. Legenda mówi, że gdy powstańcy chcieli go zmusić, by krzyknął: „Niech żyje król!”, zawołał: „Niech żyje republika!” i został zabity. Wiele ulic i szkół we Francji do dziś nosi jego imię.

5 kwietnia – ścięcie Dantona.

Nigdy się nie dowiemy, ile ludzkich istnień pochłonęła rewolucja. „Le Moniteur” z 2 stycznia 1794 pisał o likwidacji powstańców z Nantes: „Jest ich tak wielu, że zaprzestano liczenia. Ponieważ gilotyna pracuje za wolno, a rozstrzelanie trwa za długo i jest marnowaniem kul i prochu, postanowiono umieszczać bandytów na łodziach, i wyciągnąwszy je na środek rzeki pół mili za miastem, tam je zatopić”. Szacuje się, że w okresie terroru jakobinów, od września 1793 do lipca 1794, na gilotynie zginęło 18 tysięcy ludzi. Robespierre uważał, że w polityce wszystko wolno, a każdy, kto myśli inaczej, nie jest przeciwnikiem, lecz wrogiem i trzeba go wyeliminować. Nic więc dziwnego, że kiedy Danton zaczął się domagać złagodzenia rewolucyjnego kursu i zwolnienia 200 tysięcy uwięzionych obywateli, wydał na siebie wyrok. Aresztowano go 31 marca razem z kilkoma najbliższymi współpracownikami. Aby ich skompromitować, sądzono ich razem z dwoma austriackimi bankierami, którzy w zamęcie rewolucji zbijali majątek na ciemnych interesach, z fałszerzem i kilkoma innymi aferzystami. Danton wygłosił najwspanialsze w swoim życiu przemówienie, cóż z tego, skoro wyrok został wydany jeszcze przed procesem.

W ciepłe wiosenne popołudnie skazańcy wsiedli na katowskie wózki. Kiedy mijali dom, w którym za przymkniętymi okiennicami stał Robespierre, Danton zawołał: „Robespierre, pójdziesz za mną!” lub może: „Z gilotyny powstałeś, pod gilotyną padniesz!”. Na szafot, śliski od krwi, wszedł ostatni. „Nie zapomnij pokazać mojej głowy ludowi, warta jest tego” – powiedział do kata.

8 czerwca – święto Istoty Najwyższej.

Pustkę, jaka została po religii, którą starano się wyrwać z korzeniami, miała zapełnić nowa religia państwowa ustanowiona z inicjatywy Robespierre’a – wiara w Istotę Najwyższą, Boga nie chrześcijan czy żydów, lecz wszystkich ludzi.

Pośrodku ogrodów Tuileries ustawiono amfiteatr, w którym zasiedli członkowie Konwentu. Robespierre, z bukietem kwiatów, kłosów i owoców w dłoni, wygłasza przemówienie, a potem podpala kukły symbolizujące Ateizm, Niezgodę i Egoizm. Gra muzyka, Robespierre wygłasza drugą mowę, o wrogach Republiki. Obywatelki odziane na biało, obywatele w dębowych i oliwnych wieńcach, dzieci z koszyczkami kwiatów formują procesję i idą na Pola Marsowe. Tu pod drzewem wolności młodzież męska dobywa szpad i składa przysięgę, że będzie bronić ojczyzny, matki podnoszą do góry dzieci, reszta unosi ręce w hołdzie dla Istoty Najwyższej. Pochód wraca do ogrodów, gdzie święto przeradza się w trwającą do rana zabawę.

10 czerwca (22 prairiala) – prawo prairiala.

Konwent wydaje dekret pozbawiający postawionych przed Trybunałem Rewolucyjnym możliwości obrony i odwołania się od wyroku. Teraz można aresztować i skazać na śmierć każdego „wroga

ludu” bez powołania obrońców i przesłuchania świadków. Nawet deputowani nie są bezpieczni – wolno ich aresztować bez zgody Konwentu. Procesy toczą się błyskawicznie, wózki katowskie niezmordowanie kursują z więzień pod szafot. Na szczęście koniec terroru jakobinów jest bliski: prawo obowiązywało tylko 47 dni, podczas których zgilotynowano 1736 osób. Była wśród nich polska księżna Rozalia Lubomirska oskarżona o spiskowanie z rojalistami.

27 lipca (9 thermidora) – upadek Robespierre’a.

Nikt we Francji nie ma powodów do zadowolenia. Kupcom i przemysłowcom narzucono system cen maksymalnych, robotnikom obniżono płace, chłopci są gnębieni nieustannymi rekwizycjami, nad wszystkimi zaś, z członkami Konwentu włącznie, wisi groźba oskarżenia o brak rewolucyjnego zapału, co wiedzie prosto na szafot. „Zdrajcy są wszędzie” – mówi 26 lipca w Konwencie Robespierre i zapowiada, że następnego dnia przedstawi ich listę. Zaczyna się walka na śmierć i życie. 9 thermidora, gdy Robespierre wchodzi na mównicę, wybucha okropna wrzawa: „Nie wysłuchuje się zbrodniarzy!”, „Krew Dantona cię dławi!”, „Precz z tyranem!” i w końcu: „Aresztować Robespierre’a!”. W obronie przywódcy stają czterej jego najbliżsi współpracownicy. Konwent jednak działa szybko: deputowani błyskawicznie głosują i wzywają żandarmów, by aresztowali pięciu oskarżonych. Tymczasem na wieść o aresztowaniu Robespierre’a Komuna wzywa paryżan do ataku na Konwent, z pomocą Gwardii Narodowej uwalnia więźniów i przewozi ich do ratusza. Deputowanych ogarnia przerażenie. Tłum otaczający budynek nie jest jednak agresywny, Konwent przegłosowuje więc wyjęcie spod prawa przywódców Komuny oraz pięciu oskarżonych jakobinów, potem wysyła żandarmów do ratusza. Około drugiej w nocy wchodzi do gmachu. Nie wiadomo, co się tam działo. Podobno czterej jakobini próbowali popełnić samobójstwo. Robespierre (ale może któryś z żandarmów) strzela, kula roztrzaskuje mu dolną szczękę i rozrywa policzek – nieludzkie cierpienia skraca dopiero nóż gilotyny. Jego brat Augustin wyskakuje przez okno, łamie nogę i żebra, Georges Couthon zadaje sobie cios sztyletem, ale ciągle żyje, Joseph Lebas pada martwy, tylko Antoine Saint-Just nie próbuje się zabić. Po południu czterej jakobini i trup piątego wśród urągających im najgorszymi wyrazami tłumów jadą na szafot. Robespierre’a wnoszą nań jako ostatniego z tej grupy. Kat brutalnie zrywa mu z twarzy bandaż. Krzyk rannego słychać na całym placu Rewolucji. Kiedy kat podnosi do góry odciętą głowę Robespierre’a, rozlega się burza oklasków, ludzie padają sobie w ramiona, krzycząc: „Tyran nie żyje! Francja ocalona!”. Ciała 22 straconych – ścięto bowiem także kilkunastu członków Komuny – jadą na cmentarz koło rogatki Monceau. Grabarze odzierają je z ubrań, wrzucają do zbiorowego grobu, przysypują niegaszonym wapnem i ziemią.

Tego dnia i przez kilka następnych domy i powozy są udekorowane trójkolorowymi kokardami, sztandarami, kwiatami, ludzie zaś powtarzają sobie inskrypcję, która powinna się znaleźć na nagrobku Robespierre’a: „Przechodniu, kimkolwiek jesteś, nie oplakuj mego losu! Gdybym żył, ty byłbyś w grobie”.

16 grudnia – egzekucja Jeana-Baptiste’a Carrier’a.

Skończyły się rządy Komuny, zamknięto na jakiś czas klub jakobinów. Konwent, który nadal rządzi, choć w wielkim stopniu ponosi odpowiedzialność za masowy terror i zbrodnie, szczególnie w Wandei, szuka sposobu, aby się oczyścić. W końcu znajduje kozła ofiarnego – Jeana-Baptiste’a Carrier’a, przewodniczącego Komitetu Rewolucyjnego w Nantes, organizatora mordów, w których w niezwykle okrutny sposób zginęło około siedmiu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Zaczyna się nagonka prasowa, Carrier zaś broni się źle – kpi z sądzących go deputowanych, mówi o odpowiedzialności innych za zbrodnie: „Każdy tu jest winny, kończąc na dzwonku przewodniczącego. Wszyscy zostaniecie uwikłani i doczekacie się nieuniknionej banicji”. Mówi też, że to Konwent wydawał mu rozkazy i ma na to dowody. Nie przedstawia ich jednak. Sprawa jest zresztą z góry przesądzona, wyrok dawno już zapadł i Carrier kończy na gilotynie.

Zima 1794/1795 jest niezwykle mroźna. Ceny żywności nieustannie rosną, Konwent wprowadza kartki na chleb, pieniądź traci jakąkolwiek wartość, kwitnie za to handel wymienny i czarny rynek. Francja nadal jest republiką, rewolucyjny zapał powoli jednak wygasa. Ludzie tęsknią za spokojem, chcą korzystać z życia. Radykalnie zmienia się moda – kobiety zaczynają nosić lekkie suknie w stylu greckim, odsłaniające szyję, ramiona i dekolt. Modne stają się krótkie włosy, takie jakie często miały kobiety wychodzące z więzienia – fryzura à la victime (na ofiarę). „Radość i śmiech, które terror usiłował wygnać, wróciły do Paryża” – donoszą gazety.

5 kwietnia – koniec wojny z Prusami.

Kiedy jakobini przejęli władzę, skończyły się nieustające dyskusje nad potrzebami armii – aparat państwowy, kierowany jedną wolą, z niesłychaną wydajnością zajął się ich zaspokajaniem. Wielu mężczyzn uznało też, że w wojsku ukryją się przed nieustannym zagrożeniem życia, i liczebność armii przekroczyła milion. Prusy i Austria musiały część sił odesłać na polskie granice, gdzie trwało powstanie kościuszkowskie – to także przyczyniło się do francuskich sukcesów na froncie.

Państwa antyfrancuskiej koalicji po kolei podpisywały z republiką traktaty pokojowe. Francja zyskała ziemie na zachód od Renu oraz wschodnią część Santo Domingo (Haiti). Zachodnią część tej wyspy francuscy korsarze podbili sto lat wcześniej.

8 czerwca – w więzieniu Temple umiera dziesięcioletni król Ludwik XVII.

Ludwik Karol, syn Ludwika XVI, stał się Ludwikiem XVII w dniu zgilotynowania jego ojca, delfin bowiem zostawał królem natychmiast po śmierci poprzednika, koronacja była tylko potwierdzeniem tego faktu. Delfina aresztowano z całą rodziną w sierpniu 1792, a po roku rozdzielono z matką. Przeniesiono go piętro niżej, do pomieszczeń zajmowanych wcześniej przez jego ojca, i oddano pod opiekę paryskiego szewca Simona i jego żony z prostym poleceniem: „Nie zabić, nie otruć, ale pozbyć się go”. Szewc bił chłopca, oblewał lodowatą wodą, kazał sobie usługiwać. Królowa słyszała z dołu płacz swego dziecka, słyszała także, jak śpiewa pieśni rewolucyjne i wykrzykuje wulgarne obelgi pod adresem swej rodziny. Musiała się domyślać, że dozorca go upija i że dziecko robi to w alkoholowym zamroczeniu. Potem przeniesiono młodego króla do celi bez okna, bez światła, nieogrzewanej zimą. Widywał tylko strażnika, który przez okienko w drzwiach podawał mu jedzenie, krzycząc: „Wstawaj, Kapet, ty źmijowy pomioście!”. Po ponad pół roku, gdy Robespierre i jego zaufani, z szewcem Simonem włącznie, skończyli na gilotynie, do celi wszedł nowy nadzorca. Zobaczył leżącego na kamiennej podłodze pokrytego wrzodami chłopca w podartym odzieniu rojącym się od robactwa. Ludwik miał zdeformowane ręce i nogi, nie mógł ustać o własnych siłach. Konwent udzielił zgody na umycie go ciepłą wodą i opatrzenie, nic ponadto. Nowy dozorca był łagodny, ale lekarza pozwolono mu wezwać dopiero, gdy chłopiec umierał. Konwent nakazał sekcję, by wykluczyć podejrzenia o otruciu. Lekarz ukradkiem wyniósł z więzienia królewskie serce. Ludwika XVII pochowano w nieoznaczonym masowym grobie, rewolucja bowiem zabijała nie tylko ciało, chciała zabić także pamięć o zmarłych.

5 października – Konwent z pomocą generała Buonapartego tłumi powstanie ludu Paryża.

W czasach jakobińskiego terroru nikt by się nie ośmielił afiszować z bogactwem, teraz ci, którzy się wzbogacili na kupnie ziemi skonfiskowanej Kościołowi, lukratywnych dostawach dla wojska, intratnych posiadach rządowych, chcą nie tylko używać życia, ale i zachować swą własność.

Członkowie Konwentu przestają udawać, że sprawę rewolucji traktują śmiertelnie poważnie, i zaczynają myśleć o interesach swej klasy – burżuazji. Tymczasem lud Paryża głoduje, patrząc na wystawy pełne smakołyków, ale za jakie pieniądze! Sankiuloci (od „*sans-culottes*”, „bez spodni” – ludzie z gminu, którzy zamiast obcisłych, spiętych pod kolanami *culottes* nosili luźne długie spodnie), którzy własnymi rękami zrobili rewolucję i mieli wrażenie, że nędza jest sprawiedliwie podzielona, teraz czują się straszliwie oszukani. W marcu, kwietniu i maju trzykrotnie próbują opanować budynek Konwentu, żądając chleba i sprawiedliwości. Rząd jednak daleko już odszedł od ideałów rewolucji i wysyła przeciwko ich zwolennikom wojsko, które pacyfikuje burzące się przedmieścia. Aby wzmocnić swą władzę, uchwała w sierpniu nową konstytucję. Od tej pory władzę ustawodawczą miały sprawować Rada Starszych i Rada Pięciuset, wykonawczą zaś dyrektoriat złożony z pięciu dyrektorów, aby zaś uciąć wpływy radykalnych mas, prawo wyborcze mają od tej pory wyłącznie ludzie majątni. W odpowiedzi Paryż zaczyna się szykować do powstania. Śmiertelnie przerażony Konwent wzywa na pomoc wojsko. Siedem dzielnic stoi w ogniu, powstańców jest 25 tysięcy, a nieudolnie dowodzone wojsko liczy pięć tysięcy żołnierzy. Przewodniczący Konwentu Paul Barras, który widział Buonapartego podczas zdobywania Tuluzy, dołącza go do grupy pięciu oficerów mających zaprowadzić porządek. Buonaparte przejmuje dowództwo i postanawia złamać morale rebeliantów przez użycie dział (jest w końcu generałem artylerii). Lecz w Paryżu nie ma armat. Wysyła więc Joachima Murata do oddalonego o kilka kilometrów obozu wojskowego z zadaniem błyskawicznego sprowadzenia 40 dział. Murat wyrusza konno o północy, po pięciu godzinach na paryskim bruku rozlega się turkot ciężkich armat, a o wpół do dziesiątej rano jest już po buncie. Przyszły cesarz nigdy o tym nie zapomniał. Jeśli ktoś skarżył się na Murata, odpowiadał: „No tak, ale pamiętajcie, co zrobił tamtej nocy w Paryżu”.

9 marca – ślub Bonapartego z Józefiną de Beauharnais.

Wdowa po ściętym na gilotynie podczas rewolucji wicehrabim Alexandre de Beauharnais nie ma grosza przy duszy, jest o sześć lat starsza od przyszłego męża, ma dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa. Jest też bardzo zgrabna, uwodzicielska, ma duże ciemnoniebieskie oczy, ciemnokasztanowe włosy, miękki, melodyjny głos, doskonale się ubiera, umiejętnie ukrywa wiek i brzydkie zęby. Starannie wybiera kochanków – jest w ich gronie minister wojny generał Hoche, potem przewodniczący Konwentu Paul Barras. Kosztuje ich krocie, uwielbia bowiem luksus, a Rozrzutność to jej drugie imię. Czemu przyjmuje oświadczyzny mężczyzny, którego chyba nigdy nie kochała, niezamożnego, drobnego, o niemal chorobliwym wyglądzie, źle ubranego, nieobytego, mówiącego z korsykańskim akcentem i opowiadającego w towarzystwie grubiańskie dowcipy? Czemu on się oświadcza, wiemy: zakochał się bez pamięci. „Budzę się wypełniony myślami o tobie. Twój obraz i odurzające wspomnienie wczorajszego wieczoru nie dają spokoju moim zmysłom. Słodka i niezrównana Józefino, jakąż dziwną moc masz nad moim sercem!”

W obecności dwóch świadków (jednym z nich jest Barras) biorą ślub cywilny. Przy okazji Buonaparte usuwa z nazwiska literę „u”, by lepiej brzmiało po francusku. Jego rodzina nie akceptuje tego romansu i nie przyszła na ślub, Józefina zaś nie zaprosiła swojej. Dwa dni po ślubie generał wyjeżdża do Włoch, by objąć dowództwo armii. Codziennie pisze pełne uwielbienia listy, ona odpowiada chłodno, zajęta nowym kochankiem. Bonaparte dowie się o zdradzie dopiero za dwa lata, podczas kampanii egipskiej. Chce się wtedy rozwieść, lecz Józefinie udaje się go przebłagać i małżonkowie się godzą. Nic już jednak nie będzie takie jak dawniej: ona stanie się wierną żoną, on będzie miał wiele kobiet. W 1804 uczyni Józefinę cesarzową. Rozwiedzie się z nią pięć lat później, gdy długi romans z Marią Walewską uświadomi mu, że może żyć z inną kobietą, do tego zostać ojcem. Zawrze małżeństwo polityczne z córką cesarza Austrii Marią Ludwiką, która 20 marca 1811 urodzi mu syna Napoleona Franciszka, zwanego Orlątkiem. Jego potomkowi nie będzie dana cesarska korona ani długie życie – umrze w Wiedniu, mając 21 lat, na gruźlicę krtani.

Po rozwodzie Józefina zachowała tytuł cesarzowej, pałac w Malmaison wypełniony cennymi meblami, obrazami i rzeźbami zrabowanymi w całej Europie, a Napoleon dorzucił Pałac Elizejski w Paryżu, roczną pensję wynoszącą trzy miliony franków w złocie i wspaniałą komplet porcelany z Sèvres. Nie odprowadzał jej, gdy na zawsze wyjeżdżała do Malmaison, jednak jego ostatnie słowo, gdy umierał na Wyspie Świętej Heleny, podobno brzmiało: „Józefino!”

10 maja – bitwa pod Lodi – pierwsze wielkie zwycięstwo Bonapartego.

„Żołnierze! Jesteście głodni, obdarci. Rząd wam zawdzięcza wiele, ale nic wam nie może dać w zamian. Wasza cierpliwość, odwaga, jakiej dajecie dowody wśród tych skał, są godne podziwu. Ale nie przynosi wam to żadnej chwały, żaden blask nie świeci nad wami. Chcę was poprowadzić do

najurodzajniejszych równin na ziemi. Bogate prowincje, wielkie miasta będą w waszym posiadaniu. Znajdziecie tam zaszczyty, sławę i bogactwo. Żołnierze Armii Włoch, czyżby miało zabraknąć wam odwagi i wytrwałości?” W tej pierwszej odezwie Bonapartego napisanej 27 marca, tuż przed podjęciem wielkiej ofensywy, widać nie tylko militarny geniusz, ale i nowoczesne podejście do spraw wojny. Umiał natchnąć żołnierzy wiarą w zwycięstwo, umocnić ich morale, dać nadzieję na lepszy byt. Wiązał ich losy ze swoim – w żadnej innej armii nie było wtedy atmosfery duchowej łączności wodza z żołnierzami, w żadnej bata i kija nie zastąpiono jeszcze żołnierskim honorem i rywalizacją. Zapowiadał też, że pokonani słono zapłacą za swą klęskę. Rzeczywiście, kontrybucje, jakie nakładał, były mordercze, a kraje, przez które maszerowała jego armia, musiały ją żywić.

Oficerowie Armii Włoch nie byli zachwyceni nowym wodzem. Widzieli w nim generała politycznego narzuconego im przez dyktatoriat, protegowanego Paula Barrasa, byli od niego starsi, bardziej doświadczeni. Bonaparte szybko jednak pokazał, co potrafi. Miał około 35 tysięcy niedożywionych, źle wyekwipowanych, zdemoralizowanych żołnierzy, armia piemoncko-austriacka była dwa razy liczniejsza. Zastosował taktykę, która przyniesie mu wiele zwycięstw: sprytnym manewrem rozdzielił obie armie i zaatakował je po kolei. Szybkość jego działań olśniewała i przerażała. Na pokonanie wojsk Piemontu wystarczyło mu 15 dni. Potem skierował się przeciwko armii austriackiej. W morderczej bitwie pod Lodi nad Addą, aby poderwać żołnierzy do walki o most, szedł na ich czele z trójkolorowym sztandarem w ręku. Napisał później do swego wojska: „Żołnierze! Runęliście jak potok ze szczytów Apenin; obaliliście, rozgromili i zamienili w proch wszystko, co stało na waszej drodze. (...) Zdobędziecie nieśmiertelną sławę, zmieniając oblicze najpiękniejszej części Europy”. Zwycięstwo uwolniło Lombardię od wojsk austriackich i Mediolan witał Francuzów jak wyzwolicieli. Bonaparte powie później: „Po Lodi nie patrzyłem już na siebie jak na zwykłego generała, lecz jak na człowieka wezwanego do wpływania na los ludu”.

Wiedział, że liczy się nie tylko genialne dowodzenie, lecz także umiejętność psychologicznego oddziaływania na żołnierzy, przywiązania ich do siebie. Wprowadził w swej armii rozdawany za darmo biuletyn. Żołnierze czuli, że nie są traktowani jak bezduszne maszyny do zabijania czy mięso armatnie: krótko i jasno informowano ich o najważniejszych wydarzeniach, tłumaczono operacje wojenne, wyjaśniano, za co walczą, wyliczano zasługi poszczególnych oddziałów i ludzi. W biuletynach pisano prawdę, choć podkreślano, czasem nawet koloryzowano dokonania Bonapartego. Czy to źle? Żołnierze, wiedząc, że prowadzi ich znakomity wódz, który wszystko widzi, czuwa nad każdym ich krokiem, razem z nimi znosi trudy wojenne, bili się dzielnie, gotowi atakować każdego, kogo im wskaże. To wtedy powstała legenda Małego Kaprała. Wtedy także narodził się mąż stanu, który nie oglądając się na dyktatoriat w dalekim Paryżu, prowadził negocjacje pokojowe, zawierał traktaty, tworzył nowe państwa.

„Tam, gdzie cesarz był największy, to wojna we Włoszech. Tam był bohaterem, teraz jest cesarzem. We Włoszech miał mało ludzi, i to prawie bez broni, bez chleba, bez butów, bez pieniędzy, bez administracji, nie miał w nikim pomocy, anarchiczną władzę w państwie, niską pozycję, reputację matematyka i marzyciela, żadnych jeszcze czynów za sobą, bez przyjaciół, patrzył jak nieufny

niedźwiedź, ponieważ o wszystkim musiał myśleć sam. Oto, gdzie był najbardziej zachwycający” – napisze po latach jeden z bohaterów kampanii włoskiej generał Antoine Lasalle.

9 stycznia – generał Dąbrowski podpisuje z Republiką Lombardzką umowę o tworzeniu Legionów Polskich.

Od samego początku rewolucji Polacy widzą we Francji potęgę, która może im pomóc w walce o odzyskanie państwa. Dla Republiki natomiast daleka Polska jest pionkiem w grze z Prusami. Gdy generał Jan Henryk Dąbrowski zaczyna zabiegać o zgodę na powołanie polskiego korpusu u boku armii francuskiej, dyktatoriat dostrzega jeszcze jeden aspekt sprawy polskiej: możliwość wykorzystania Polaków jako żołnierzy. Bonaparte początkowo nieufnie podchodzi do tego pomysłu – nie chce w swej armii obcego legionu. Ostatecznie jednak się zgadza i Dąbrowski w Mediolanie podpisuje z lombardzkim rządem umowę o tworzeniu Legionów Polskich posiłkujących zależną od Francji Lombardię. Ich trzonem staje się kilka tysięcy polskich jeńców wziętych do niewoli przez Bonapartego podczas walk z armią austriacką we Włoszech. Polacy już wyobrażają sobie, jak z wojskami francuskimi wkraczają do Galicji, gromiąc Austriaków, gdy przychodzi wiadomość o podpisaniu pokoju. Nie wiedzą, że podczas negocjacji Charles Talleyrand, francuski minister spraw zagranicznych, chcąc skłonić Austriaków do szybszych ustępstw, użył Polski jako środka nacisku. Opowiedział mianowicie, jak to Polacy błagają Francję o pomoc, ta jednak nie stawia ich sprawy i nie wysuwa żadnych roszczeń podczas rozmów, choć przecież by mogła.

17 października – Republika Wenecka przestaje istnieć.

Poniedziałek wielkanocny, 17 kwietnia, był tragiczny dla stacjonujących w Weronie, na terytorium Republiki Weneckiej, kilkuset francuskich żołnierzy – w odwecie za gwałty i brutalne rekwizycje wybito ich co do nogi. Dla Bonapartego, który już wcześniej w tajemnicy ustalił z Austrią, że rekompensatą za ich ziemie tracone na rzecz Francji będzie terytorium weneckie, był to znakomity pretekst nie tylko do nałożenia drakońskiej kontrybucji, ograbienia Werony z dzieł sztuki, złota, srebra i koni, lecz także do odebrania Wenecji niepodległości. Okupował wprawdzie większość jej terytorium, Wenecja jednak była państwem neutralnym i mimo nacisków króla Sardynii nie przyłączyła się do wojny z Francją.

25 kwietnia w kwaterze głównej w Grazu Bonaparte przyjął delegację weneckiego Senatu. Nie przebierając w słowach, zarzucił Republice wrogość wobec Francji, atakował jej ustrój, zacofanie, ucisk ludu, nadużycia inkwizycji. Posłowie byli zdumieni jego furią, a przede wszystkim ignorancją, wiadomości o Wenecji generał czerpał bowiem z francuskich romansów. Tydzień później samowolnie, bez porozumienia z Paryżem, wypowiedział Wenecji wojnę, przedstawiając listę żądań mających uczynić z niej państwo oparte na zasadach rewolucji francuskiej, ale i upokorzyć ją, jednym z punktów było bowiem odprawienie nabożeństw dziękczynnych w katedrze Świętego Marka. Aby ratować Republikę, 12 maja doża Ludovico Manin zrzekł się władzy na rzecz rządu tymczasowego. Żywot tego rządu był krótki – 17 października 1797 roku na mocy pokoju w Campo Formio dokonał

się rozbiór Republiki Weneckiej. Francja zagarnęła Wyspy Jońskie (między innymi Korfu), Austria dostała Dalmację, Istrię, miasto Wenecję i część prowincji weneckich na stałym lądzie. Po 1071 latach Serenissima (Najjaśniejsza), władczyni mórz, przestała istnieć. Bonaparte już wtedy liczył się tylko z wielkimi, małych miał za nic.

19 maja – Bonaparte wypływa do Egiptu.

Po co właściwie Bonaparte podjął tę wyprawę? Nie bardzo wiadomo. Powodów niby było wiele, ale dość niejasnych. Talleyrand uważał, że państwo tureckie się rozpada, jego władza w Egipcie jest nominalna i Francja powinna zdobyć tę właśnie część imperium osmańskiego, czyniąc z niej swą kolonię. Dyktoriał chciał zadać cios Anglii, a Bonaparte zaproponował, by podbić Egipt i zagrozić w ten sposób rządowi brytyjskim w Indiach, przeciąć wymianę handlową między Wyspami a Indiami, przy okazji rozpraszać siły morskie Albionu. Gdzie jednak Egipt, a gdzie Indie! I gdzie francuskiej flocie do angielskiej! Może po prostu Bonaparte, wiedząc, że jego sława wynika ze zwycięstw, nie widział dla siebie pola do popisu w Europie, dyktoriał zaś przyklasnął pomysłowi wielkiej egzotycznej wyprawy, bo chciał się pozbyć samowolnego, cieszącego się zbyt wielką popularnością generała? Wiemy natomiast, skąd Bonaparte wziął pieniądze na tę eskapadę – wycisnął je z berneńczyków, którzy jako jedyni stawili mu opór, gdy rok wcześniej wkroczył do Szwajcarii, i słono za to zapłacili.

Z Tulonu wypłynęła armia licząca około 35 tysięcy żołnierzy i ponad 100 uczonych – lingwistów, matematyków, astronomów, geografów, przyrodników, inżynierów, architektów, rysowników. Anglicy, którzy spodziewali się inwazji na Wyspy, zgromadzili swą flotę przy Gibraltarze, Francuzi mogli więc spokojnie pożeglować na południowy wschód, z przystankiem na Malcie, którą oczywiście zajęli. 1 lipca przybili do brzegów Afryki, następnego dnia zdobyli Aleksandrię, potem Kair – po bitwie pod piramidami, przed którą Bonaparte skierował do żołnierzy słynne słowa: „Czterdzieści wieków patrzy na was z wierzchołków tych piramid”. Kawaleria mamelucka była znakomita, niewiele jednak mogła zdziałać przeciwko francuskiej artylerii.

Bonaparte, który lubił się stroić w piórka wyzwoliciela, zapewniał paszę Egiptu, że wkroczył do jego kraju jako sojusznik Turcji, by wyzwolić Egipt z ucisku mameluków. Słał także listy do sułtana, zapewniając, że walczy tylko z tymi obrzydłymi mamelukami. W odpowiedzi sułtan ogłosił świętą wojnę przeciwko Francji. Ośmieleni tym kairczycy podnieśli bunt, mordując ponad 200 Francuzów. To prawdopodobnie wtedy zginął wyborny polski żołnierz Józef Sułkowski, adiutant Bonapartego. Powstanie szybko zostało stłumione, represje były brutalne, potem Bonaparte wrócił do polityki tolerancji, demonstracyjnie okazywał szacunek dla islamu, patronował pracom europejskich uczonych, którzy odkrywali i katalogowali zabytki, tworząc nową naukę – egiptologię. Dla żołnierzy baśniowy Wschód okazał się jednak koszmarem: potworne upały, brak wody, dzuma, żółta febra, szkorbut, trąd, tężec, egipskie zapalenie oczu. Do tego zostali uwięzieni w Egipcie, kontradmirał Horatio Nelson wytropił bowiem francuskie statki w okolicy Aleksandrii i zniszczył prawie wszystkie. Jediną rozrywką żołnierzy było wylawianie płynących Nilem trupów memeluków, szybko bowiem się zorientowali, że mamelucy, idąc w bój, biorą z sobą wszystkie kosztowności.

Turcy szykowali się do uderzenia na Egipt. Bonaparte postanowił ich uprzedzić i pomaszerować do

Konstantynopola, i w lutym 1799 na czele 13-tysięcznej armii ruszył do Syrii, po 500-kilometrowym marszu przez pustkowia zdobywając Gazę, potem Jaffę. Nie brał jeńców, nie mógł ich bowiem transportować ani żywić, i w Gazie kazał zamordować dwa tysiące wziętych do niewoli Turków. Bez powodzenia oblegał Akkę, a gdy nadciągnęła armia turecka, rozbił ją w dwóch bitwach. Odwrót spod Akki daleki był jednak od triumfu: wyprawa syryjska praktycznie nic nie dała, żołnierze zaś masowo umierali na przywleczoną stamtąd dżumę.

Tymczasem w Europie znów rozgorzała wojna. Turcja i Rosja opanowały Wyspy Jońskie, desant rosyjski zdobył Neapol, feldmarszałek Aleksander Suworow wkroczył do Mediolanu i Turynu. Wszystkie zdobycze Armii Włoch z 1796 i 1797 zostały utracone, a wojska koalicji antyfrancuskiej były o krok od wkroczenia na terytorium Francji. Ludzie mieli dość władzy dyktatoratu, zamach stanu wisiał w powietrzu. Bonaparte chciał wziąć udział w tej rozgrywce i 23 sierpnia 1799 potajemnie odpłynął z Egiptu z grupą najbliższych współpracowników, przekazując dowódzenie generałowi Jeanowi Kléberowi. Była to właściwie dezercja, bo bez rozkazu zostawił armię, która ostatecznie skapitulowała przed Anglikami i wróciła do kraju wiosną 1801.

10 listopada (19 brumaire'a roku VIII) – Bonaparte zostaje mianowany konsulem.

Bonaparte, witany entuzjastycznie, przybył do Paryża w najlepszym momencie. Już od jakiegoś czasu dwaj dyrektorzy, Emmanuel Sieyès i Pierre Ducos, przemyślali, jak zachować władzę w kompletnie beznadziejnej sytuacji: zapaści gospodarczej, klęsk na wszystkich frontach, coraz głośniejszej protestującej opozycji. Wymyślili, że wyjściem będzie wprowadzenie na jakiś czas dyktatury, i zaczęli się rozglądać za odpowiednim człowiekiem. Ich wybór padł na generała Barthélemy Jouberta, który jednak w sierpniu zginął w Piemontcie. I wtedy gruchnęła wieść, że Bonaparte wrócił do Francji. Wszyscy się do niego zbiegli, salon, w którym królowała Józefina, był pełen gości. Tymczasem Bonaparte najpierw odbył rozmowę zasadniczą z niewierną żoną, potem ostrożnie zaczął badać sytuację polityczną. Giętki i chytry jak wąż eksopat Sieyès – ten sam, który ułożył tekst przysięgi złożonej przez delegatów stanu trzeciego w sali do gry w piłkę w 1789, potem zakładał klub jakobinów, których następnie zwalczał, a w czasach terroru, by przetrwać, wyrzekł się wiary – prowadził rozmowy z Bonapartem, wcześniej zaś zapewnił mu poparcie bankierów. Wyobrażał sobie, że w nowym rządzie to on będzie pociągał za sznurki. Jakże się mylił!

Wszystko zostało ustalone i 9 listopada o wpół do ósmej rano rozpoczęło się posiedzenie Rady Starszych, na które przybyli sami zwolennicy Bonapartego, jego przeciwników „zapomniano” bowiem zawiadomić. Jeden ze spiskowców roztoczył katastroficzną wizję wielkiego sprzysiężenia anarchistów, którzy ciągną na Paryż, by zniszczyć Republikę. Poparli go inni mówcy i wtedy padła propozycja, by w tej straszliwej godzinie powierzyć władzę wojskową mężowi opatrnościowemu, generałowi Bonapartemu. Rada natychmiast przegłosowała wniosek i już o ósmej rano jej wysłannik pogalopował z nominacją do Bonapartego, który czekał na rozwój wypadków w otoczeniu swych dowódców i 1500 kawalerzystów. Kawalkada przejechała do Tuileries, gdzie Bonaparte złożył przysięgę na wierność konstytucji.

Trzej dyrektorzy, którzy nie należeli do spisku, zostali zmuszeni do podpisania prośby o dymisję. Została jeszcze Rada Pięciuset, niezbyt przychylnie nastawiona do Bonapartego, mająca jednak słaby punkt w osobie jej przewodniczącego, którym był młodszy brat Napoleona. Lucjan Bonaparte odczytał zarządzenie Rady Starszych o mianowaniu nowego dowódcy paryskiego okręgu wojskowego i nie bacząc na tumult, zamknął posiedzenie, przenosząc je do zamku Saint-Cloud pod Paryżem, gdzie można było nie obawiać się niespodzianek ze strony paryskiego ludu.

Następnego dnia wczesnym popołudniem w Saint-Cloud rozpoczynają się posiedzenia obu Rad. W obu podnoszą się głosy: „Nie chcemy dyktatury!”. Bonaparte, na bieżąco informowany o przebiegu obrad, wkracza na salę Rady Starszych. Jego przemowa wypada fatalnie: płacze się, powtarza, mówi łamiącym się głosem, z coraz silniejszym korsykańskim akcentem, w końcu woła: „Kto mnie kocha, pójdzie za mną!”, i kieruje się do sali drugiej Rady. Idzie między deputowanymi w stronę trybuny, gdy nagle zostaje rozpoznany. Rozlegają się okrzyki: „Precz z tyranem!”, ludzie zaczynają go szarpać

i popychać. Ratuje go interwencja jego żołnierzy, którzy torując sobie drogę pięściami, wyprowadzają go z sali. Gonią go wołania: „Wyjąć spod prawa!”, co jest równoznaczne z wyrokiem śmierci. Kiedy nieco przychodzi do siebie, wzywa swych żołnierzy do broni. Oni jednak się wahają. Dopiero gdy Lucjan Bonaparte woła, że jego brat omal nie stał się ofiarą morderstwa, potem zaś wydobywa szpadę i przysięga, że przebije mu serce, jeśli kiedykolwiek porwie się na wolność Francuzów, żołnierze wkraczają do sali Rady Pięciuset. Murat, idący na czele, woła: „Wyrzucić mi tych łobuzów!”, do deputowanych zaś mówi: „Jesteście rozwiązani”. Na widok bagnatów członkowie Rady chowają się pod krzesła, wyskakują przez okna do parku. Lucjan Bonaparte każe żołnierzom ich łapać i sprowadzić na posiedzenie. Tymczasem Rada Starszych uchwała dekret o powierzeniu władzy trzem konsulom: Bonapartemu, Sieyèsowi i Ducosowi, a Lucjan Bonaparte uprzejmie zaprasza doprowadzonych przez wojsko deputowanych, którym nie udało się uciec, do dyskusji. Pierre Larousse nie bez kozery pisze w swoim słowniku: „Bonaparte, generał Republiki Francuskiej, zmarł w zamku Saint-Cloud 18 brumaire’a roku VIII”.

13 grudnia – Francja dostaje nową konstytucję.

Dekret Rady Starszych o powierzeniu władzy trzem konsulom nie zawierał ich gradacji. W konstytucji było inaczej: Bonaparte został wymieniony jako pierwszy konsul, wybitny prawnik Jean Jacques Cambacérès jako drugi, zdolny finansista Charles François jako trzeci. Sieyès i Ducos zrezygnowali ze stanowiska, a Bonaparte w podzięcie dał im wielkie majątki ziemskie. Konsulowie byli władzą wykonawczą, pierwszy zaś miał nadzwyczaj wielkie kompetencje. Władza ustawodawcza została oddana aż czterem organom, co wybitnie ją osłabiało, z drugiej strony stwarzało wiele lukratywnych posad, które można było ofiarować wiernym zwolennikom nowego porządku, odpowiednio przy tym zamożnym, gdyż do władz wybierano ludzi płacących największe podatki, a listę tych osób ustalał minister finansów. Mimo że konstytucja niemal jawnie wprowadzała dyktaturę Bonapartego, Francuzi zatwierdzili ją w plebiscycie, oddając trzy miliony głosów za, przy 1562 przeciwko. Różnica miażdżąca, choć pewnie byłaby znacznie mniejsza, gdyby głosowanie było tajne. Plebiscyty nie gwarantowały jednak tajemnicy: władze w każdej gminie wykladały listę uprawnionych do głosowania, ci zaś przy swoim nazwisku wpisywali „tak” lub „nie” oraz ewentualne uzasadnienie odpowiedzi. Do wyniku doliczano pół miliona głosów żołnierzy na „tak”. Wojsko wprawdzie nie głosowało, ale jak zapewniano, entuzjastycznie przyjmowało każdą decyzję pierwszego konsula.

14 czerwca – Francuzi zwyciężają pod Marengo.

Bonaparte lubi porządek i jest niezwykle pracowity. Zaczyna od porządkowania spraw państwowych. Reformuje administrację na wzór wojskowy: urzędnicy mają dużą swobodę działania, każdy jednak osobiście odpowiada za swe decyzje. Egzaminy dla kandydatów na urzędników są surowe, a Bonaparte osobiście podpisuje ich nominacje aż do szczebla mera. Zakłada Bank Francji. Kończy wojnę w Wandei i Bretanii, ofiarowując amnestię, którą większość powstańców przyjmuje, nieprzejednanych zaś szybko pokonuje wysłane tam wojsko. Zakazuje prześladowania księży, którzy nie złożyli przysięgi na wierność konstytucji, otwiera kościoły, potem podpisuje konkordat ze Stolicą Apostolską. Żelazną ręką wykorzenia bandytyzm, który był plagą francuskich dróg, bezlitośnie tępi aferzystów, fałszerzy, morderców, podpalaczy. Cena chleba jest gwarantowana i biedota już nie głoduje. Ci, którzy kupili ziemię Kościoła lub emigrantów, mogą spać spokojnie, bo konstytucja gwarantuje im jej wieczyste posiadanie. Choć Bonaparte pozuje na republikanina, jego władza opiera się na wojsku oraz niezwykle skutecznej policji, także politycznej, która jednak działa dyskretnie. Więźniów politycznych jest niewiele i nie wolno ich maltretować, tylko czasem szczególnie opornych wysyła się do szpitali dla obłąkanych, żeby zmiękli. Francuzi są zadowoleni z nowych rządów. W 1802 w plebiscycie o powierzenie Bonapartemu dożywotniego konsulatu 3,6 miliona będzie za, 8374 przeciw.

Tymczasem w północnych Włoszech francuscy generałowie resztkami sił powstrzymują napór Austriaków. Cesarz odrzuca ofiarowany przez Bonapartego pokój, pierwszy konsul, jak kiedyś Hannibal, przechodzi więc z armią przez zasypane śniegiem alpejskie przełęcz – działa grenadierzy ciągną na saniach – i zaskakuje wroga na jego własnym terytorium. Zajmuje Mediolan, potem część armii wysyła ku Genui, z resztą zaś rusza na południowy wschód. Pod wsią Marengo natyka się na silniejszego przeciwnika, który wydaje mu bitwę. Bonaparte decyduje się na niezwykle ryzykowny manewr: wysyła gońca do generała Louisa Desaix z rozkazem, by niezwłocznie przybył pod Marengo, a sam staje do walki. Tego samego sposobu użyje 15 lat później pod Waterloo, tam jednak marszałek Emmanuel de Grouchy nie przybędzie na pole walki. Niezwykle krwawa bitwa trwa cały dzień. Austriacy mają przewagę liczebną i dużo więcej armat. Po południu, gdy jej los jest przesądzony, lekko ranny generał Michael von Melas opuszcza pole i śle gońca do Wiednia z wiadomością o zwycięstwie. Chwilę później przybywa Desaix. Patrząc na zegarek, mówi: „Ta bitwa jest przegrana, ale jest dopiero piąta, mamy czas, by wygrać następną” i rusza do kontrataku na czele lekkiej półbrygady. Kula trafia go prosto w pierś, ale Bonaparte zwycięża, Austriacy ponoszą wielkie straty i w rezultacie wycofują się z Włoch.

Marengo to ulubiona bitwa tych, którzy są krytycznie nastawieni do Bonapartego. Nie tylko właściwie ją przegrał, bo dopiero przybycie generała Desaix zmieniło nieuchronną klęskę w triumf, lecz jeszcze w biuletynie armijnym, choć wychwalał jego bohaterstwo, pominął jego rolę w

zwycięstwie.

1 października – Bonaparte podpisuje tajny pakt przyjaźni z Hiszpanią.

Bonaparte obiecał Francuzom pokój, wiedział jednak, że pobicie Austrii do tego nie wystarczy. Musiał coś zrobić z najzacieźszym wrogiem – Anglią, która była sprężyną wszystkich antyfrancuskich koalicji i hojnie wspierała je złotem. Brytyjczycy odrzucili pokój, który im ofiarował, nie dali się zastraszyć, nie sposób było ich kupić, pozostało więc pokonać ich na polu walki. Do tego jednak trzeba było mieć flotę, na taką zaś, jaką miała Anglia, Francji nie było stać. Bonaparte potrzebował sojusznika, który był morską potęgą. Dlatego choć na hiszpańskim tronie zasiadał jeden ze zniechęconych w republikańskiej Francji Burbonów – Karol IV, podpisał z Hiszpanią tajny pakt o przyjaźni. Zaraz też zażądał dowodu tej przyjaźni w postaci wymiany terytoriów. Córka króla Hiszpanii i jej mąż dostali koronę odebranej Habsburgom Toskanii, Hiszpania zaś przekazała Francji wyspę Elbę oraz Luizjanę – wielką połąć ziem ciągnących się od Missisipi do Gór Skalistych. Francuzi zajęli je w drugiej połowie XVII wieku i na cześć króla Ludwika XIV nazwali Luizjaną, utracili zaś po przegranej wojnie siedmioletniej. Niecałe trzy lata później Bonaparte sprzedał Luizjanę Amerykanom za nieco ponad 23 miliony ówczesnych dolarów. To ogromna suma, jednak Stany Zjednoczone, które kończyły się wtedy na Missisipi, dzięki tej transakcji dwukrotnie zwiększyły swą powierzchnię.

1801

9 lutego – Bonaparte podpisuje traktat pokojowy z Austrią.

Po podpisaniu bardzo korzystnego układu z Austrią (Francja powiększyła się o Belgię, Nadrenię i część Flandrii, a zależne od niej nowo powstałe republiki tworzyły chroniący ją mur od ujścia Renu aż do Alp) Francja jest w stanie wojny już tylko z Rosją i Anglią. Wieść o zawarciu pokoju raduje Francuzów, Polacy jednak wpadają w rozpacz. Podczas wojny byli potrzebni, rząd zgodził się nawet na utworzenie nowego legionu zwanego Legią Naddunajską. Teraz gdy Bonaparte podczas negocjacji z Austrią ani słowem nie wspomniał o Polsce, wiara w odbudowę państwa przy pomocy Francuzów się chwieje.

1803

27 stycznia – polscy legioniści wyruszają pacyfikować Santo Domingo.

Chociaż rewolucyjna Deklaracja uznawała za człowieka i obywatela tylko białego, jej wpływ był tak wielki, że zaczęły się bunty w koloniach, które żądały równych praw. W 1794 jakobini wydali dekret o zniesieniu niewolnictwa we francuskich koloniach i o zakazie handlu niewolnikami. Ponieważ pozostał on na papierze, na Santo Domingo (Haiti) wybuchło powstanie. Właściciele plantacji odpowiedzieli represjami, Murzyni wyrzynali białych, w końcu w 1801 ogłosili Santo Domingo niepodległą republiką i przyjęli konstytucję. Zyski ze sprzedaży cukru trzcinowego były zbyt wielkie, a wyspa zbyt ważna, by Bonaparte mógł pozwolić na takie ekstrawagancje. W 1802 unieważnił jakobiński dekret i posłał na Santo Domingo korpus generała Charles'a Leclerca. Brutalne walki, straszny dla Europejczyków klimat i żółta febra sprawiły, że szybko musiał wysłać posiłki. Trafiła się świetna okazja do pozbycia się z Europy niepotrzebnych już polskich oddziałów. Z Genui wypłynęło sześć tysięcy legionistów. Wróciło pięciuset, drugie tyle z różnych przyczyn pozostało na Santo Domingo, tak jak kości ich pięciu tysięcy towarzyszy. Podsumowując swoje życie na Wyspie Świętej Heleny, Napoleon uznał sprawę Santo Domingo za swój największy błąd. Była to, mówiąc wprost, zbrodnia.

21 marca – rozstrzelanie księcia d’Enghien.

Tuż po zamachu stanu w 1799 Bonaparte zapowiedział, że będzie zwalczał i jakobinów, i rojalistów, rząd bowiem uznaje tylko Francuzów, a ich podział na stronnictwa polityczne jest szkodliwy dla państwa. Rewolucyjny zapał ludu oszukiwanego przez kolejne rządy już się wyczerpał, jakobini pozbawieni jego poparcia oraz przywódców straconych na gilotynie zmienili się w grupę polityków kawiarnianych. Tylko rojaliści nadal byli groźni, zasilani angielskim złotem organizowali spiski, nawet zamachy na Bonapartego. Z tymi, których mógł osiągnąć, pierwszy konsul rozprawiał się bez tworzenia męczenników, po cichu skazując ich na śmierć, zamykając w więzieniu lub po prostu usuwając z wpływowych stanowisk. Aby zaś zmniejszyć siłę oddziaływania 150 tysięcy emigrantów politycznych, kazał opracować listę najbardziej zagorzałych rojalistów, terrorystów, awanturników, którym zakazano powrotu do Francji, pozostałych zaś objął amnestią i pozwolił im wrócić.

W Paryżu ciągle jednak krążyły plotki o tajemniczym księciu Burbonie, który pewnego dnia zjawi się w Paryżu i da hasło do rojalistycznego powstania. Tajna policja długo myślała, o kogo może chodzić, w końcu wskazała Ludwika Burbona, księcia d’Enghien, którego część rojalistów na emigracji ogłosiła następcą zmarłego w więzieniu Temple dziesięcioletniego Ludwika XVII. W nocy z 14 na 15 marca 300-osobowy oddział przekroczył granicę francuską na Renie i z terytorium neutralnej Badonii porwał księcia. 20 marca przywieziono go do zamku Vincennes, w nocy komisja wojskowa po farsie procesu skazała go na śmierć, choć zaprzeczył, by brał udział w jakimkolwiek spisku. Za przyznanie się do winy uznano jego słowa, że zawsze będzie walczył przeciwko rewolucji. O trzeciej nad ranem zaprowadzono go do zamkowej fosy, gdzie już czekał wykopany grób, i rozstrzelano. Europa zatrzęsła się z oburzenia, książę stał się legendą, symbolem męczeńskiej śmierci dla wielkiej sprawy. Tylko republikanie, którzy mieli na sumieniu Ludwika XVI i jego rodzinę, przyklasnęli Bonapartemu. Ten zaś do końca życia twierdził, że postąpił słusznie.

27 marca – ogłoszenie kodeksu cywilnego Francuzów.

Szybko zaczęto nowo wprowadzony kodeks nazywać kodeksem Napoleona. Przez dziesięciolecia wzorowano na nim prawo rozmaitych państw. Był jasny, nowoczesny, ujedynolcał rozmaite normy prawne. Główne zasady, na których był oparty, to wolność osobista, równość obywateli wobec prawa, wolność sumienia, słowa i wyznania, laicki charakter państwa, nienaruszalność własności prywatnej, zakaz tworzenia robotniczych stowarzyszeń zawodowych i organizowania strajków. Z prawa rewolucyjnego zachowano także małżeństwa cywilne i rozwody. Artykuł 213 głosił: „Kobieta ma być posłuszna swemu mężowi”. Mąż zarządzał wspólnym majątkiem, kobieta miała prawo rozporządzania pieniędzmi, tylko jeśli sama je zarobiła. Mąż, który zabił kochankę żony w swoim domu, nie podlegał żadnej karze, jeśli natomiast żona zabiła kochankę męża, była karana. Dzieci aż do pełnoletności podlegały władzy ojca do tego stopnia, że ojciec mógł wystąpić do trybunału o karę

więzienia dla swego dziecka do 6 miesięcy bez wyroku sądowego.

2 grudnia – koronacja Napoleona I na cesarza Francuzów.

To była akcja świetnie przygotowana propagandowo. Najpierw francuscy dyplomaci przeprowadzili dyskretny sondaż na europejskich dworach, w rozmaity sposób przekonując niezdecydowanych co do korony dla pierwszego konsula, on sam zaś napisał do zaufanych generałów z prośbą o opinię w sprawie, która, jak zapewniał, nie jest jeszcze przesądzona i którą podejmuje jedynie dla dobra Francji. Gdy generałowie wyrazili pełne poparcie, a europejscy władcy zgodzili się w nim uznać cesarza, senat dostał zielone światło i poprosił Bonapartego, by zgodził się na dziedziczenie władzy w swej rodzinie, później trybunał postanowił ogłosić go cesarzem Francuzów, senat tę decyzję zatwierdził i odbył się plebiscyt, w którym pomysł poparło 3,5 miliona Francuzów. Tylko 2579 ośmieliło się być przeciw.

W przeddzień koronacji Bonaparte wystosował odezwę do senatu zaczynającą się tak: „Wstępuję na tron, na który powołała mnie jednogłośnie wola senatu, narodu i armii, z sercem pełnym współczucia dla losu tego narodu, który kiedyś z obozu polowego nazwałem wielkim. Od czasu mojej młodości poświęcone mu są wszystkie moje myśli (...). Moi następcy będą długo zasiadać na tym tronie”.

W słoneczny grudniowy ranek wspaniała kareta zaprzężona w osiem śnieżnobiałych koni zawiozła Bonapartego i Józefinę z królewskiego pałacu Tuileries do udekorowanej aksamitnymi draperiami – maskującymi ślady rewolucyjnego wandalizmu – katedry Notre Dame. Zatrzymali się w pałacu biskupim, gdzie włożyli purpurowe cesarskie płaszcze podbite gronostajami, Bonaparte wziął królewskie jabłko i miecz, potem zaś oboje wkroczyli do katedry przez specjalnie zbudowaną bramę triumfalną. Obrzędu namaszczenia dokonał Pius VII, wybrany, aby usunąć najmniejszą wątpliwość co do prawowitości tej ceremonii. Pius, pierwszy papież, który opuścił Rzym, by koronować króla w jego własnej stolicy, musiał zrezygnować z przywileju włożenia na głowę Bonapartego świeżo zrobionej korony wzorowanej na średniowiecznej francuskiej koronie koronacyjnej, zwanej koroną Karola Wielkiego (francuskie regalia zostały zniszczone podczas rewolucji). Bonaparte wziął ją z rąk papieża, odwrócił się do niego tyłem, przodem zaś do zgromadzonej publiczności (trudno nazwać tych ludzi wiernymi), i włożył sobie koronę na głowę prawą ręką, w lewej trzymając miecz. „Całość robi wrażenie teatralne i brutalne” – napisał historyk. Potem Napoleon I ukoronował żonę klęczącą przed nim w cesarskim płaszczu, długiej białej sukni i wspaniałych klejnotach. Huk armat obwieścił ludowi, że ma nowego władcę.

Pół roku później skroń cesarza uwieńczyła druga korona. Istniejąca od 1802 roku na północy dzisiejszych Włoch zależna od Francji Republika Włoska właśnie przerodziła się w królestwo i Józef Bonaparte miał zasiąść na jego tronie. Odmówił jednak, gdyż po pierwsze, uznał, że to dla niego za małe i zbyt uzależnione od Francji państwo, po drugie, musiałby się zrzec prawa do francuskiego tronu, do którego był pierwszy w kolejce, póki Napoleon nie miał dzieci. Tak więc 26 maja 1805 w Mediolanie to cesarz włożył sobie na głowę żelazną koronę królów longobardzkich,

naśladować niemieckich cesarzy, którzy w drodze do Rzymu, gdzie byli koronowani na cesarzy Zachodu, w Mediolanie koronowali się na królów Włoch. „Nie jestem spadkobiercą Ludwika XVI, lecz Karola Wielkiego” – powie później Napoleon.

1805

2 grudnia – bitwa pod Austerlitz, zwana bitwą trzech cesarzy.

I znów wybucha wojna. Rozpoczęli ją Anglicy, którzy w maju 1803 zatrzymali francuskie statki znajdujące się w angielskich portach, potem zaś na wszystkich morzach zaczęli polowanie na Francuzów. Napoleon wrócił wtedy do myśli o inwazji na Wyspy, kazał nawet zbudować flotyllę płaskodennych szalup, jednak pierwszy sztorm obnażył ich nieprzydatność do sforsowania kanału La Manche.

Europejscy monarchowie, ośmieleni przykładem Anglii i zasileni jej złotem, postanawiają kolejny raz połączyć siły, by nauczyć rozumu „korsykańskie zwierzę”. Do wojny przeciwko Francji sprzymierzonej z Hiszpanią przystępuje prawie cała Europa: starzy wrogowie Anglia i Austria, Neapol, którego królową jest siostra Marii Antoniny, Rosja, bo car nie lubi Napoleona, odkąd w odpowiedzi na protest po rozstrzelaniu księcia d’Enghien Francuzi w swej nocy zawarli aluzję do tego, że maczał palce w zabiciu swego ojca. Prusy zachowują neutralność. 20 października pod Ulm Napoleon pokonuje Austriaków, dzień później u wybrzeży Hiszpanii, koło przylądka Trafalgar, Anglicy rozbijają w puch flotę francusko-hiszpańską, ostatecznie grzebiąc nadzieje Francuzów na inwazję na Wyspy.

Nadchodzi pierwsza rocznica koronacji Napoleona i – jak uważa wielu historyków – najpiękniejsza jego bitwa. W pobliżu Austerlitz naprzeciwko 73-tysięcznej Wielkiej Armii stanęło 90 tysięcy Rosjan i Austriaków. Dzień jest bezchmurny. Napoleon dowodzi wspaniale, wprowadza przeciwnika w błąd, przewiduje jego ruchy, doskonale wykorzystuje ukształtowanie terenu. Po pięciu godzinach, około południa, los bitwy jest przesądzony. Rosyjska piechota zepchnięta na zamarznięte jezioro próbuje jeszcze kontratakować. Napoleon każe artylerii bombardować tafłę, lód pęka i Rosjanie toną w lodowatej wodzie. Jedyne generał Michaił Kutuzow zdoła wyprowadzić część swej armii, reszta rzuca się do panicznej ucieczki. Car Aleksander płacze. O czwartej jest już po bitwie. Na polu pozostaje 34 tysiące trupów. Żadna bitwa nie jest piękna.

30 marca – Józef Bonaparte koronowany na króla Neapolu.

„Ci, którzy nie idą za mną, nie będą się więcej zaliczali do mojej rodziny. A z niej uczynię rodzinę królów” – napisał Napoleon do swego brata Józefa. Ludwik Bonaparte został królem Holandii, Hieronim – Westfalii, Eliza Bonaparte dostała we władanie Wielkie Księstwo Toskańskie, Paulina – księstwo Guastalla, Karolina została królową Neapolu. Jedynie Lucjan nie przyjął od brata żadnej korony, miał tylko skromny tytuł księcia rzymskiego.

„Wspaniałość, bajeczny przepych we wszystkim, co otaczało cesarza, zabawy, obfitość diamentów, klejnotów i kwiatów, uciechy, miłostki i intrygi” – wspominała dwór cesarski księżna Laura d’Abrantès, córka kupca. Skoro był dwór, czemu nie miało być arystokracji? Od starej różniło ją to, że wszystko zawdzięczała Napoleonowi i że cesarz, nadając tytuły, zawsze wybierał obce nazwy geograficzne, by nie drażniły Francuzów. Mąż księżnej Laury generał Andoche Junot dostał tytuł za zajęcie Lizbony. Abrantes to pierwsza portugalska miejscowość, do której wkroczył. Napoleon żartował, że chciał nadać Junotowi inny tytuł, kojarzący się z kampanią syryjską, w której generał się odznaczył: „Chciałem go nazwać księciem Nazaretu, ale mówiono by o nim Junot Nazareński”. Każdy żołnierz Napoleona nosił w plecaku marszałkowską buławę, każdy jego poddany mógł aspirować do tytułu. Joachim Murat, syn oberżysty, został marszałkiem cesarstwa i królem Neapolu. Michel Ney, syn bednarza, marszałkiem, księciem Elchingen, potem księciem Moskwy.

Syn młynarza François Lefèbvre, który po 15 latach służby w królewskim pułku gwardii doszedł do stopnia starszego sierżanta, a awansować zaczął dopiero po rewolucji, został marszałkiem i księciem Gdańska. Gdy jego żona zjawiała się w Tuileries, by podziękować za obdarzenie tytułem, odźwierny poszedł zapytać szambelana, czy może ją wpuścić, nie prosiła bowiem o audiencję. Potem oznajmił: „Pani marszałkowa może wejść”. Nowo upieczona księżna spojrzała na niego spod oka i weszła do salonu, gdzie siedziała cesarzowa Józefina, która rzekła na powitanie: „Jak się pani miewa, księżno Gdańska?”. Marszałkowa, zamiast odpowiedzieć, odwróciła się do odźwiernego i zawołała: „No i co, synu, zatkało cię?!”.

14 października – zwycięstwo Francuzów pod Jeną i Auerstädt.

Tym razem wojnę rozpoczęły Prusy. Fryderyk Wilhelm III liczył na to, że w nagrodę za dotychczasową neutralność będzie mógł zaanektować Hanower. Poczul się śmiertelnie urażony na wieść, że Napoleon zaofiarował Hanower Anglikom w zamian za ich zgodę na pokój. Kiedy więc Wielka Brytania, która znów dążyła do wojny, obiecała dać na nią pieniądze, a car Aleksander przyrzekł wesprzeć w niej Prusy, Fryderyk Wilhelm wystosował do Napoleona ultimatum z żądaniem, by francuskie wojska w ciągu sześciu tygodni wycofały się za Ren. Było to praktycznie wypowiedzenie wojny. Wojenny amok ogarnął Berlin. Generałowie z pogardą mówili o francuskiej zbieraninie, młodszy oficerowie prześcigali się w przechwałkach, jak to pogonią Francuzów do

samego Paryża. Niezwyciężoności pruskiej armii nikt nie kwestionował. Tymczasem ta armia – źle wyposażona, powolna, oparta na przestarzałej doktrynie wojennej – lata świetności miała już za sobą.

Bitwę pod Jeną wygrał Napoleon. Połowa armii pruskiej poległa lub dostała się do niewoli, resztę uratowała zapadająca noc. Tocząca się jednocześnie bitwa pod Auerstädt była triumfem marszałka Louisa Davouta. Z 26 tysiącami żołnierzy musiał stawić czoło 50-tysięcznej armii pruskiej. Po całodziejnej krwawej bitwie na polu leżały trupy 27 tysięcy Prusaków, 18 tysięcy dostało się do niewoli. Król Fryderyk Wilhelm uciekł. Resztki pruskiej armii poddawały się Francuzom bez jednego wystrzału. Wielka Armia wkroczył do Berlina. Na jej czele szedł marszałek Davout, bohater spod Auerstädt. „W prochu, krwi i hańbie państwo pruskie leżało u stóp Napoleona” – napisał historyk.

3 listopada – odezwa generała Henryka Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego do Polaków w zaborze pruskim.

Napoleon się wahał. Mógł podpisać z Prusami pokój, o który zebrał Fryderyk Wilhelm, albo iść dalej, za Odrę, i ostatecznie pogrzebać szczególnie mu wrogie państwo pruskie. Wielka Armia stanęłaby wtedy na progu Rosji. Car Aleksander był zajęty wojną z Turcją i przegrał już raz z Napoleonem, daleko jednak od swych granic. Czy wieczysty pokój w środkowej Europie był możliwy bez pobicia Rosjan? Napoleon uważał, że nie.

Do tej pory francuska racja stanu w żadnym punkcie nie była zbieżna z polską. Teraz gdy wojna miała się toczyć na polskich ziemiach, cesarz uznał, że Polacy mogą mu się przydać, i intensywnie „zaczął się uczyć Polski”. Wezwał do Berlina generała Jana Henryka Dąbrowskiego, ten zaś ściągnął Józefa Wybickiego. „Wiem, że posiadasz wielkie zaufanie u swoich współrodaków – powiedział cesarz do Wybickiego – napisz tu więc zaraz proklamację do nich, iż wchodzę do Polski w trzykroć sto tysięcy wojska, i gdy obaczę, że są godni być narodem, będą nim”. Polacy szybko odpowiedzieli na ten apel, tworząc coraz to nowe oddziały wojska. Napoleon zaś nakazał swym marszałkom i urzędnikom, by niczego Polakom nie obiecywali i nie zachęcali ich do patriotycznych manifestacji: „bo jeżeli ich tutaj pozostawię, co stać się może, to należy dbać o to, aby możliwie najmniej zostało powieszonych”. Nikomu nie udało się uzyskać od cesarza konkretnych obietnic – ani Kościuszce, którego Napoleon bez powodzenia starał się zaprząć do swego rydwanu, ani księciu Józefowi Poniatowskiemu, który mimo to do końca wiernie służył cesarzowi, ani pięknej dwudziestolatce Marii Walewskiej, w której Napoleon się zakochał.

8 lutego – nierozstrzygnięta bitwa pod Iławą Pruską.

Napoleon zdecydował się na wojnę z Rosją. Francuzi opanowali przeprawy na Wiśle, oblegli Gdańsk (który skapituluje 24 maja) i Grudziądz (którego nie zdobędą). Gdy jednak Wielka Armia zaczęła się rozkładać na zimowe leże, zaatakowali ją Rosjanie chcący wyprzeć Francuzów za Wisłę i przyjść z pomocą oblężonym twierdzom. Na bardzo trudnym terenie, pełnym lasów, jezior, bagien i moczarów, Wielka Armia potykała się z Rosjanami, próbując ich zmusić do przyjęcia walnej bitwy.

Dochodzi do niej pod Iławą Pruską (Preussisch Eylau), 50 kilometrów na południe od Królewca. Rosjanie mają przewagę w ludziach i 460 armat przeciwko 200 francuskim. Śnieg, który prószy od rana, jest coraz gęstszy, w końcu rozpętuje się zamieć. Wiatr wieje Francuzom prosto w twarz, śnieg zakleja im oczy. Atakujący lewe skrzydło 12-tysięczny francuski korpus traci orientację i wchodzi prosto pod rosyjskie armaty. Niewiele z niego zostaje. Rosjanie ruszają do ataku. Napoleon, który kieruje bitwą z niebezpiecznie blisko położonego cmentarnego wzgórza, mówi do Murata: „Joachimie, chyba nie pozwolisz, żeby ci Azjaci zjedli nas żywcem”. Murat szarżuje na czele 11 tysięcy kawalerzystów. Jak taran przebija rosyjskie szeregi, zawraca i ponownie uderza. Bitwa byłaby wygrana, gdyby nie pojawił się ośmiotysięczny pruski korpus. Wzmocnieni Rosjanie walczą nadal. Zapada noc i bitwa wygasa bez rozstrzygnięcia. Armia rosyjsko-pruska wycofuje się w stronę Królewca. Na polu leży 40 tysięcy trupów. Gdy Napoleon objeżdża pobojuwisko, z rzadka słyszy: „Niech żyje cesarz!”. Większość żołnierzy woła: „Niech żyje pokój!”. Ofensywa zostaje odłożona do wiosny.

25 czerwca – spotkanie Napoleona i Aleksandra w Tylży.

Ostatnią operacją w wojnie nazwanej przez Napoleona wojną polską była bitwa stoczona 14 czerwca pod Frydlandem, 30 kilometrów na wschód od Iławy Pruskiej. Armia francuska, w której składzie walczyła polska dywizja generała Dąbrowskiego, rozbiła w puch wojska rosyjsko-pruskie. Car Aleksander, który po nierozstrzygniętej bitwie pod Iławą miał nadzieję, że pokona Napoleona, poprosił o rozejm. Obaj władcy spotkali się w Tylży, na promie zakotwiczonym na środku Niemna, i podzielili się Europą.

Aleksander zaczął od słów: „*Sire*, nienawidzę Anglików tak samo jak pan”. „Wobec tego pokój jest zawarty” – odrzekł Napoleon. Car zgodził się zamknąć swe porty dla handlu z Anglią, mimo że Wielka Brytania była wielkim odbiorcą rosyjskiego zboża. Napoleon uznał, że Turcja leży w strefie wpływów rosyjskich. Cesarz chciał, by Prusy znikły z mapy, Aleksander jednak twardo ujął się za sojusznikiem. Napoleon zaproponował wtedy, by car wskrzesił Polskę w granicach zaboru rosyjskiego i pruskiego i ogłosił się jej królem. Car uważał jednak, że królem ziem polskich zdobytych przez Francuzów powinien zostać Hieronim Bonaparte. To rozwiązanie zbytnio by uzależniło Napoleona od spraw polskich, odrzucił więc ten pomysł. Wtedy zrodziła się koncepcja

Księstwa Warszawskiego z królem saskim Fryderykiem Augustem jako władcą. Nazwę wymyślił Napoleon.

7 lipca Napoleon i Aleksander podpisali w Tylży traktat pokojowy. W jego tajnej części Francja i Rosja zobowiązały się „działać wspólnie w każdej wojnie, lądowej i morskiej, którą jedna ze stron miałaby podjąć przeciw którejkolwiek potędze europejskiej”.

18 października – do Hiszpanii wkracza francuski I Korpus Obserwacyjny Żyrondy.

Hiszpańską rodzinę królewską trudno uznać za sympatyczną. Król Karol IV był dobrodusznym idiotą zainteresowanym wyłącznie polowaniami. Nie orientował się ani w polityce, ani w gospodarce i we wszystkich sprawach państwowych zastępowała go żona Maria Luiza. Faktycznie jednak rządził królewski faworyt Manuel Godoy, kochanek królowej, młodszy od niej o 16 lat. Młody, przystojny gwardzista najpierw został mianowany grandem, potem diukiem, pierwszym ministrem i Księciem Pokoju. Ledwie umiał czytać i pisać, za to pięknie śpiewał i grał na gitarze. Miał też głowę do interesów – na lichwie i handlu urzędami dorobił się ogromnego majątku.

Z czternaściorga dzieci królewskiej pary najważniejszy był następca tronu Ferdynand, książę Asturii, słabo wykształcony, odsunięty od życia politycznego, gdyż należne mu miejsce na dworze zajmował Godoy.

Jesienią 1806 roku, gdy Napoleon szykował się do bitwy pod Jeną i Europa wstrzymała dech, spodziewając się, że tym razem ulegnie połączonym siłom rosyjsko-pruskim, ukazała się podpisana przez Karola IV proklamacja wzywająca naród hiszpański do zmiążdżenia wroga. Rozgniewany cesarz poprzysiągł wtedy, że hiszpańscy Burbonowie zapłacą mu za to. Kiedy do Madrytu dotarła wieść o zwycięstwie Napoleona, Godoy zasypał go listami, w których przekonywał, że wrogiem z proklamacji byli Anglicy, i od tej chwili znów służył wykonał wszystkie rozkazy cesarza.

Latem koło Bajonny zaczęły się zbierać francuskie wojska. Napoleon ogłosił, że portugalski książę regent odmówił przyłączenia się do blokady Wielkiej Brytanii i siły te będą użyte, by go do tego zmusić. Zerwanie wszelkich kontaktów handlowych między Wyspami a kontynentem miało zniszczyć brytyjską gospodarkę, blokada jednak musiała być szczelna, a dwa państwa, Portugalia i Szwecja, do niej nie należały. Uderzyć na Portugalię można było tylko od strony lądu, gdyż na Atlantyku panowali Anglicy. Hiszpania bez oporu zgodziła się na przemarsz francuskich wojsk przez swoje terytorium, potem także na udział w wojnie z Portugalią i obsadzenie na stałe części Hiszpanii przez Francuzów. Karol IV ogłosił swym poddanym: „Zapewniamy, że armia naszego ukochanego sojusznika, Cesarza Francuzów, przemierza nasze królestwo w duchu pokoju i przyjaźni”.

5 listopada – Karol IV udziela przebaczenia swemu synowi.

Hiszpański następca tronu nie należał do ludzi odważnych. Gdyby miał więcej charakteru, na pewno znalazłby sposób na pozbycie się nienawidzonego pierwszego ministra, lecz stać go było tylko na napisanie do ojca dwóch listów, w których przedstawiał wszystkie bezceństwa Godoya i jego chęć

zagarnięcia korony. Nie zdobył się jednak na to, żeby je wręczyć królowi. Wpadł na inny pomysł: porozumiał się z francuskim ambasadorem w Madrycie, a potem za jego pośrednictwem przekazał Napoleonowi list, w którym błagał, by „bohater zesłany przez Opatrzność dla ocalenia Europy przed anarchią” otworzył królowi oczy na intrygi jego faworyta, w dowód zaś przyjaźni dla Ferdynanda wybrał mu żonę ze swej rodziny. Dwudziestotrzyletni książę był bezdzietnym wdowcem i najlepszą partią w Europie.

Oplacani przez Godoya szpiegzy natychmiast donieśli mu o tym liście. Ten skłonił króla, by w nocy 27 października wkroczył ze strażą do apartamentów Ferdynanda i oskarżył go o zdradę. Księcia uwięziono, w jego komnatach nie było jednak nic kompromitującego – znaleziono jedynie dwa listy dotyczące Godoya. Król niewiele z nich zrozumiał, a w to, co zrozumiał, nie uwierzył, i za namową faworyta podał do publicznej wiadomości, że Ferdynand uknuł spisek, by pozbawić ojca tronu, a może nawet go zabić, i że musiał umieścić syna w areszcie domowym.

Książę Asturii bez wahania wymienił nazwiska wszystkich, którzy mu pomogli skontaktować się z Napoleonem, potem zaś pod naciskiem Godoya napisał do ojca: „Drogi Tato! Źle postąpiłem: zawiniłem wobec Waszej Królewskiej Mości zarówno jako poddany, jak i syn (...). Błagam o wybaczenie za to, że okłamałem Waszą Królewską Mość tamtej nocy, a także o udzielenie wdzięcznemu synowi pozwolenia na ucałowanie monarszych stóp Waszej Wysokości”. Król kazał opublikować to żalosne skamlenie, opinia publiczna stanęła jednak po stronie Ferdynanda. Ludzie byli wściekli, że takie zero jak Godoy zmusiło następcę tronu do napisania podobnego listu.

Napoleon, zadowolony z afery ujawniającej prawdziwe oblicze hiszpańskiej rodziny królewskiej, rozkazał Godoyowi, by tak kierował sprawą, żeby nie padło ani jedno słowo o cesarzu czy jego ambasadorze, faworyt nie mógł więc pozwolić na wytoczenie głównego zarzutu: korespondencji z obcym władcą za plecami króla. Nakłonił Karola IV do wydania proklamacji zaczynającej się od słów: „Głos natury każe rzucić broń dłoni dokonującej pomsty. Wybaczam mojemu synowi i przywrócę go do łask, gdy swoim postępowaniem dowiedzie, że zaszła w nim prawdziwa przemiana”.

30 listopada – Francuzi zajmują Lizbonę.

I Korpus Obserwacyjny Żyromy pod dowództwem generała Andoche’a Junota liczył 25 tysięcy żołnierzy. Towarzyszyły mu trzy hiszpańskie korpusy posiłkowe o podobnej liczebności. Na polecenie Napoleona wojskowi inżynierowie potajemnie szkicowali wszystkie mijane umocnienia, twierdze, miejsca trudne do przebycia dla wojska oraz inwentaryzowali zasoby miast. Junot niespiesznie doszedł do Salamanki, kierując się do nadgranicznej twierdzy Almeida, cesarz kazał mu jednak iść krótszą drogą – z Salamanki na Alcántarę, w dół rzeki Tag, i jak najszybciej zająć Lizbonę. Zaczęły się już listopadowe deszcze, rzeki wezbrały. Korpus maszerował przez bezładne skaliste pustkowia poprzecinane wąwozami. Połowa koni padła, prawie wszystkie działa porzucono po drodze, wojsko rozchodziło się na boki, żeby zdobyć coś do jedzenia. Po 11 dniach udręki, 23 listopada, Junot dotarł do Abrantes, gdzie czekał poseł od księcia regenta Jana, który w zamian za

zatrzymanie się Francuzów ofiarowywał kontrybucję i niewolniczą uległość wobec Napoleona. Generał zdecydował się wtedy na niezwykle ryzykowny krok: wybrał najmniej steranych drogą żołnierzy i forsownym marszem ruszył do Lizbony. Do stolicy dotarło półtora tysiąca. Ledwie się wlekli, mundury mieli w strzępach, ładunki przemoczone, tak że praktycznie byli bezbronni. Gdyby lizbończycy rzucili się na nich z gołymi rękami, pewnie by ich pokonali. Nie było jednak komu organizować obrony miasta: dzień wcześniej księżę regent załadował na okręty rodzinę, skarbiec, dokumenty państwowe i w towarzystwie 20 statków pełnych szlachty i kupców, którzy woleli nie oglądać Francuzów, odpłynął do Brazylii. Trzymilionowa Portugalia skapitulowała bez jednego wystrzału przed budzącym grozę cesarzem Francuzów.

13 grudnia – trójkolorowa flaga nad Lizboną.

Generał Junot próbował zaskarbić sobie sympatię Portugalczyków. Postanowił urządzać w stolicy wielką uroczystość połączoną z opuszczeniem królewskiego sztandaru i zawieszeniem na publicznych budynkach francuskiej flagi. Lizbońscy urzędnicy posłusznie przyklasnęli temu pomysłowi, lecz mieszkańcy miasta uznali go za zniewagę. Wybuchły zamieszki, które stłumiła szarża kawalerii. Nienawiść do najeźdźców pogłębiły rozkazy Napoleona. Cesarz kazał skonfiskować i sprzedać majątki 15 tysięcy Portugalczyków, którzy uciekli z regentem do Brazylii, a jakby tego było mało, ściągnąć drakońską kontrybucję w wysokości 100 milionów franków. Przemoc, gwałty, rekwizycje i egzekucje niepokornych były codziennością.

Aby Portugalczycy porzucili myśl o buncie, Junot pozbawił ich armii – zwolnił wszystkich żołnierzy, którzy służyli mniej niż pół roku i więcej niż osiem lat, z pozostałych ośmiu tysięcy stworzył Legion Portugalski, który najpierw został wysłany do Hiszpanii, potem do Niemiec, w końcu do Rosji. W 1812, podczas odwrotu spod Moskwy, uległ zagładzie.

19 marca – Karol IV zrzeka się tronu.

Przez Pireneje wlewało się do Hiszpanii coraz więcej francuskiego wojska. Nazwy oddziałów miały działać uspokajająco: po I Korpusie na hiszpańskie ziemie wkroczył II Korpus Obserwacyjny Żyrondy, Korpus Obserwacyjny Wybrzeży Oceanu, Korpus Obserwacyjny Pirenejów. Karol IV zgodził się wprawdzie, by w razie angielskiego desantu Napoleon wysłał posiłki Junotowi, jednak ani Anglików nie było widać, ani te oddziały nie szły dalej, do Portugalii. Gdy Francuzów było już ponad 100 tysięcy i zaczęli podstępem zajmować hiszpańskie twierdze – Pampelunę, Montjuïc w Barcelonie, San Sebastián, Figueras, a marszałek Murat zbliżał się z wojskiem do Madrytu, dla Hiszpanów wszystko stało się jasne: Godoy zdradził swój kraj, zaprzedał go Napoleonowi. Tymczasem przerażony rozwojem wypadków pierwszy minister myślał już tylko o ucieczce do Ameryki i zarządził wyjazd rodziny królewskiej do Sewilli. Na pierwszym postoju w Aranjuez, gdy wczesnym rankiem Godoy jako pierwszą wysłał w dalszą drogę swą kochankę Josephę Tudó, eskortujący ją oddział wdał się w szamotaninę z jakimiś włóczęgami i nagle rozległy się wołania, że Godoy uprowadza króla i królową. Zbiegli się ludzie, ruszyli ku jego domowi, wyważyli drzwi, przetrząsnęli pokoje, szukając pierwszego ministra, a gdy go nie znaleźli, splądrowali dom. Potem poszli pod królewski pałac i zażądali wydania Godoya. Ani król, ani królowa nie odważyli się przemówić do tłumu. Na ich błagania na balkon pałacu wyszedł Ferdynand, oznajmiając wszem wobec, że król zwalnia Godoya ze stanowiska i wygania z dworu. Gniew tłumu przerodził się w radosne wiwaty. Tymczasem Godoy prawie dwa dni przesiedział w kryjówce urządzonej na strychu, w końcu jednak głód wygnał go z domu. Naciągnąwszy kapelusz na oczy, wymknął się na ulicę, gdzie prawie natychmiast go rozpoznano. Od niechybnej śmierci uratował go oddział gwardii, który go aresztował i zaprowadził do królewskiego pałacu.

Tłumy otoczyły rezydencję, żądając głowy faworyta. Książę Ferdynand postanowił wykorzystać sytuację: obiecał, że uspokoi ludzi i uratuje Godoyowi życie, jeśli król abdykuje. Karol IV bez namysłu podpisał stosowny dokument i książę Asturii został królem Ferdynandem VII. Na wieść o tym wszystkich ogarnęła szalona radość. Ulicami Aranjuez przeciągały wesołe pochody, ludzie rzucali się sobie w ramiona, tak jakby z usunięciem faworyta znikło francuskie niebezpieczeństwo.

10 maja – tron hiszpański jest pusty.

Mało kto pomylił się tak jak Hiszpanie, gdy uznali, że razem z młodym królem nastał dla nich wiek złoty. 23 marca, kiedy do Madrytu wkroczył marszałek Murat, w stolicy i jej okolicach nagle znalazło się 35 tysięcy francuskiego wojska, które wyraźnie nie miało zamiaru maszerować dalej, do Lizbony albo Gibraltaru. Nie przypominało to przemarszu sojusznika przez zaprzyjaźnione państwo, raczej okupację. I rzeczywiście było okupacją, która będzie trwała sześć długich lat.

Ferdynand, niemający żadnego doświadczenia w rządzeniu państwem, zachował się jak dziecko:

napisał do Napoleona wiernopoddany list, ponownie błagając o żonę z rodziny cesarza, i spokojnie wrócił do Madrytu, gdzie już panował Murat. Nie dało mu do myślenia, że ani francuski ambasador, ani marszałek nie tytułują go królem, lecz księciem Asturii. Niepokoiło go tylko, że Napoleon nie odpowiada na jego list. Tymczasem cesarz był zajęty przekonywaniem swego brata Hieronima, by zrezygnował z korony holenderskiej na rzecz hiszpańskiej. Kiedy Hieronim stanowczo odmówił, Napoleon zwrócił się do Józefa Bonaparte, który zgodził się przeprowadzić z Neapolu do Madrytu. Jednocześnie Murat doniósł swemu władcy, że królowa Maria Luiza szaleje z niepokoju o Godoya uwięzionego w zamku Villaviciosa. Okazja sama pchała się w ręce. Murat najpierw skłonił królową do opisanie całej sytuacji („Ze strony naszego syna nie spodziewamy się niczego prócz aktów przemocy i prześladowań. Zaczął od fałszerstwa i dalej będzie fabrykował dowody, żeby Księżę Pokoju wyglądał na przestępcę w oczach hiszpańskiego ludu i samego Napoleona. Proszę nie wierzyć ani jednemu jego słowu”), potem Karol IV napisał do Napoleona oficjalny list z protestem przeciwko własnej abdykacji, do której, jak twierdził, został zmuszony siłą. Pułapka była gotowa i pozostawało skłonić ofiarę, by w nią weszła.

Ferdynand nie doczekał się listu z Francji, dostał jednak wiadomość, że Napoleon być może odwiedzi Madryt. Natychmiast wysłał młodszego brata, by przywitał cesarza na granicy. Tymczasem do stolicy przybył generał Savary, by nadzorować przygotowanie apartamentów dla cesarza. Naprawdę jednak dostał polecenie zwabienia Ferdynanda do Bajonny, choć może to sam Ferdynand wpadł na pomysł, że powita Napoleona w Burgos, gdzie cesarz miał stanąć 13 kwietnia. Tak czy inaczej 10 kwietnia obaj wyruszyli z Madrytu. W Burgos nie było jednak cesarza, pojechali więc dalej, do Vitorii, gdzie Ferdynandowi doręczono upragniony list od Napoleona. Cesarz napisał, że chciałby porozmawiać z nim osobiście. Choć niemal wszyscy odradzali Ferdynandowi dalszą podróż, razem z Savarym ruszył w drogę i 20 kwietnia dotarł do Bajonny. Napoleon przyjął go łaskawie, zaprosił na kolację, podczas której ani słowem nie wspomniał o polityce, wieczorem zaś wysłał do niego Savary'ego z wiadomością, że po zastanowieniu uznał, iż dla Hiszpanii najlepiej będzie, jeśli na jej tronie zasiądzie Francuz. Jeżeli Ferdynand się na to zgodzi, dostanie koronę włoskiego Królestwa Etrurii, w którym do tej pory panowała jego siostra w imieniu swego dziewięcioletniego syna. Ferdynand długo nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. A kiedy uwierzył, zaciął się w uporze i oświadczył, że zrobi wszystko, czego zażąda cesarz, ale z hiszpańskiego tronu nie zrezygnuje.

Napoleon, który miał listy od królowej Marii Luizy z niepochlebnym wizerunkiem jej syna oraz oświadczenie Karola IV o zmuszeniu go do abdykacji, posłał po królewską parę. Kazał też przywieźć do Bajonny Godoya. Król i królowa nie posiadali się z radości na widok Księcia Pokoju. Wieczorem, gdy Napoleon zaprosił królewską parę na kolację, Karol IV nie był w stanie nic przełknąć, dopóki cesarz nie posłał po Godoya. Dwa dni później Napoleon zaaranżował spotkanie rodziców z Ferdynandem. Karol VI na wstępie rozkazał synowi, by podpisał akt bezwarunkowego zrzeczenia się tronu, cesarz zaś dorzucił kilka gróźb. Ferdynand odmówił. Rozwścieczony król zamierzył się na niego laską, królowa zaś obrzuciła syna wyzwiskami. Napoleon był świadkiem tego

zenującego widowiska. Zresztą już wcześniej był jak najgorszego zdania o hiszpańskiej rodzinie królewskiej, o Ferdynandzie zaś napisał do Talleyranda: „Król Prus jest bohaterem przy księciu Asturii. Jak dotąd nie powiedział ani jednego mądrego słowa, jest na wszystko obojętny, dba tylko o wygodę, je cztery razy dziennie i nie ma pojęcia o niczym”.

4 maja dotarła do Francji wiadomość o powstaniu w Madrycie. Otóż jeden z Hiszpanów uciekł z Bajonny, przedostał się do Madrytu i zdał relację z wydarzeń Najwyższej Juncie (ciału przypominającemu współczesny rząd, kierującemu państwem pod nieobecność króla). Wieści lotem błyskawicy rozniosły się po mieście, ludzie opowiadali sobie, że mieszkańcy północnych prowincji chwycili za broń i idą na ratunek Ferdynandowi, a Anglików tylko patrzeć. Marszałek Murat dołał oliwy do ognia, rozkazując Juncie wydać tych członków rodziny królewskiej, którzy przebywali w stolicy. Rankiem 2 maja ulicami Madrytu w kierunku pałacu królewskiego płynęły rzeki ludzi. Gdy podjechał powóz, który miał zabrać czternastoletniego księcia Franciszka, tłum rozniósł karetę w drzazgi, Francuzów zaś obrzucił kamieniami. Żołnierze odpowiedzieli ogniem, ludzie się rozbiegli, na bruku zostały dziesiątki rannych i zabitych. Na odgłos strzałów wszyscy Hiszpanie chwycili za broń. W ruch poszły pistolety, strzelby myśliwskie, noże. Walki w mieście trwały kilka godzin. Nie wiadomo, ilu ludzi zginęło – szacuje się, że około tysiąca. Murat wydał rozkaz, że każdy schwytany z bronią w ręku ma być rozstrzelany, i wykonano egzekucję na co najmniej 100 osobach.

Napoleon, dowiedziawszy się o powstaniu, wezwał Ferdynanda i w obecności jego rodziców zarzucił mu, że to on wywołał zamieszki, i zagroził, że jeśli nie podpisze aktu abdykacji, to „rozprawi się z nim jak ze zdrajcą i buntownikiem”. Ferdynand uległ, podpisał, nie wiedząc, że Napoleon ma w kieszeni dokument, w którym Karol IV zrzeka się tronu „na rzecz cesarza Napoleona, jedynego człowieka, który w obecnej sytuacji potrafi przywrócić porządek”. Ferdynandowi obiecano pałac we Francji i dużą pensję, ulokowano go jednak w należącym do Talleyranda zamku Valençay, którego nie opuścił przez następne sześć lat.

10 maja – sumy bajońskie.

Rząd pruski udzielił obywatelom ziemskim w Wielkopolsce pożyczek na sumę ponad 40 milionów franków. Na mocy prawa wojennego wierzytelności te stały się własnością Francuzów. W zniszczonym wojną kraju były nie do odzyskania i Napoleon zmusił Księstwo Warszawskie do ich przejęcia.

W Bajonnie francuski minister spraw zagranicznych i trzej komisarze Księstwa Warszawskiego podpisali układ finansowy. Napoleon zrzekł się w nim na rzecz księcia warszawskiego Fryderyka Augusta między innymi pruskich wierzytelności. W zamian za nie oraz za kwoty wydane na uzbrojenie i wyżywienie wojsk Księstwa kazał sobie wypłacić 3 miliony franków 1 lipca 1808 i 20 milionów w ciągu następnych trzech lat. Sumy bajońskie kompletnie zrujnowały skarb Księstwa.

7 czerwca – złupienie Kordoby.

Kiedy podczas targów o podpisanie aktu abdykacji nauczyciel Ferdynanda zauważył, że jej skutkiem może być zbrojne powstanie w Hiszpanii, Napoleon się roześmiał: „Kraje takie jak wasz, gdzie jest pełno mnichów, łatwo ujarzmić. Może dojść do zamieszek, ale Hiszpanie się uspokoją, kiedy zobaczą, że oferuję im nienaruszalność granic monarchii, liberalną konstytucję, a także zachowanie ich wiary i zwyczajów”. Potem zlekceważył doniesienia o buntujących się prowincjach, myśląc, że to drobne zamieszki, a nie powstanie całego narodu. Pierwsza zbuntowała się Asturia – 24 maja uwięziono stronników nowego rządu, tydzień później wysłano do Londynu dwóch emisariuszy z prośbą o pomoc. Jak można się było spodziewać, Anglia nie odmówiła i zaczęła zaopatrywać Asturię, a potem także inne prowincje, w broń, amunicję i złoto. 30 maja powstała Galicja, potem Estremadura, Stara Kastylia, Walencja, Andaluzja, Murcja, Aragonia. Wszędzie pierwszymi ofiarami byli Francuzi oraz dawni stronnicy Godoya i gorliwi urzędnicy bez namysłu wypełniający polecenia okupantów. W Walencji motłoch wymordował kolonię francuskich kupców – ponad 300 osób. W Kadyksie zajęto stojące w porcie francuskie okręty.

Generał Pierre-Antoine Dupont dostał rozkaz podbicia Andaluzji, pomaszerował więc z 13 tysiącami żołnierzy na Kordobę i Sewillę. Hiszpanie, choć ich siły złożone ze świeżo uzbrojonych chłopów i mieszczan nie przekraczały 12 tysięcy, postanowili bronić mostu na Gwadalkiwirze, 10 kilometrów od Kordoby. Artyleria i kawaleria szybko sobie poradziły z Hiszpanami, którzy rzucili się do ucieczki. Mieszkańcy zamknęli bramy Kordoby, nie obsadzili jednak murów.

Generał Dupont zaczął rozmowy o poddaniu miasta, gdy z murów padło kilka strzałów. Był to dobry pretekst, by przerwać negocjacje. Salwy armatnie rozbiły bramę. Żołnierze wpadli do miasta, przebiegali puste ulice, wdzierali się do domów. Kordoba była bogata, miała mnóstwo świetnie zaopatrzonych sklepów, kościoły ze złotymi relikwiarzami wysadzanych drogimi kamieniami, piwnice pełne andaluzyjskich win. Zaczął się rabunek. Przy najmniejszym oporze żołnierze zabijali bez litości. Nawet oficerowie ładowali na wozy worki pieniędzy z miejskiego skarbcza, dywany, obrazy, bele jedwabiu. Żołnierze wytaczali na ulice beczki wina, potem urządzili polowanie na kobiety. Gwałty trwały do rana.

Kiedy kilka dni później Francuzi opuszczali miasto, za kolumną wojska ruszyło 500 skonfiskowanych w Kordobie wozów wyładowanych łupami.

9 czerwca – na wieść o powstaniu w Hiszpanii zaczynają się rozruchy w Portugalii.

15 czerwca – zaczyna się oblężenie Saragossy.

Saragosę oblewają dwie rzeki: od północy Ebro, od wschodu Huerva. Za ceglany średniowieczny murem, nieodpornym na atak regularnej armii, była płatanina wąskich uliczek. Solidne kamienne lub ceglane domy z ciężkimi drzwiami i okratowanymi oknami przypominały małe twierdze. Kiedy pod miastem stanął marszałek François Lefévre z francusko-polską armią, postanowił zdobyć je z marszu.

Pierwsze natarcie przeprowadza szwadron polskich lansjerów. Szarżują na niewielką baterię dział, przejeżdżają przez nią i wpadają do miasta. Z każdego okna sypie się na nich grad kul. Tylko nielicznym udaje się zawrócić, większość ginie. Tymczasem piechota wspina się na mury, szturmując bramy. Żołnierze, którzy dostają się do miasta, natykają się na barykady, wpadają wprost pod lufy armat i karabinów. Nigdy dotąd się nie zdarzyło, by mieszkańcy bronili się na ulicach, w dodatku tak zawzięcie. Po całodziennym szturmie Francuzi i Polacy się wycofują, a marszałek wysyła gońców do Madrytu i Bajonny z prośbą o posiłki. Nie wie, że oblężenie potrwa dwa miesiące, że do walki z nim staną także kobiety, подростki, starcy, zakonnicy, że będzie musiał się bić o każdy dom, każde piętro i że ostatecznie nie zdobędzie miasta.

20 lipca – „nieproszony król” uroczyście wjeżdża do Madrytu.

Najwyższa Junta udała, że oba akty abdykacji hiszpańskich królów zostały podpisane dobrowolnie, choć Ferdynand zdołał jej posłać sekretne polecenie, by potraktowała wywiezienie rodziny królewskiej do Francji jako wypowiedzenie wojny i wezwała naród do powstania. Mało tego, na polecenie Murata Junta wysłała do Bajonny uniżoną prośbę o powołanie nowego monarchy, proponując, by został nim Józef Bonaparte. Marszałek Murat, który marzył o koronie i miał nadzieję osiąść w Madrycie, dostał do wyboru tron Portugalii lub Neapolu. Wybrał Neapol.

Król Józef I odebrał w Bajonnie hołd swoich nowych poddanych i ruszył do Madrytu. Granicę przekroczył 9 lipca, musiał jednak zatrzymać się w Burgos, gdyż armie Galicji i Starej Kastylii zeszły z gór, szykując się do ataku na wojska marszałka Jeana-Baptiste'a Bessières'a na równinie między Burgos a Madrytem. Do bitwy doszło 14 lipca koło Mediny del Rio Seco. Francuzi pokonali Hiszpanów, którzy salwowali się ucieczką, potem złupili Medinę. Niebezpieczeństwo przerwania komunikacji między Bajonną a Madrytem zostało zażegnane, Józef mógł ruszyć w dalszą drogę. Zatrzymywał się w każdej miejscowości, gdzie witali go urzędnicy i notable oraz puste uliczki i zamknięte na głucho okiennice. Tak samo wyglądał jego wjazd do Madrytu. Pułkowe orkiestry głośno grały, wzdłuż ulic stali francuscy żołnierze, Hiszpanów jednak – prócz garstki urzędników i dworzan – nie było widać. Józef starał się zjednać sobie nowych poddanych. Był jednak marnym administratorem i słabym człowiekiem. Hiszpanie nim pogardzali. Wyśmiewali jego długie przemowy, przedstawiali jako pijaka, obzartucha, lenia, tchórza, nazywali nieproszonym królem i Józiem Flaszka.

Józef I nie zagrzał miejsca w stolicy. Ledwie 24 lipca został oficjalnie obwołany królem Hiszpanii, już 1 sierpnia uciekł na wieść, że armia generała Duponta została rozbita i powstańcy idą na Madryt. Wrócił do miasta w styczniu 1809, potem znów uciekł w 1812, znowu wrócił, a w 1813 wyjechał z Madrytu na zawsze, wywożąc hiszpańskie klejnoty koronne i olbrzymie zbiory sztuki.

23 lipca – wzięcie do niewoli dwóch francuskich dywizji pod Bailén.

Z Kordoby generał Dupont poszedł w kierunku Andújar, miasta leżącego u stóp Sierra Morena, na

rozwidleniu dróg z Madrytu do Grenady i Kordoby. Aby zastraszyć powstańców, wysłał kilka oddziałów do pobliskiej stolicy prowincji Jaén, którą Francuzi po rozpędzeniu hiszpańskich rekrutów zdobyli i bezlitośnie złupili. Dupont wiedział, że idzie na niego armia Andaluzji pod dowództwem generała Francisca Castaños, i choć uznał, że ma za małe siły, by się poważyc na ofensywę, postanowił utrzymać pozycję na linii rzeki Gwadalkiwir. Hiszpanie planowali go okrążyć, a potem całą dywizję wziąć do niewoli. Obie strony źle oceniły liczebność przeciwnika, obaj dowódcy niepotrzebnie dzielili siły w kluczowych momentach, mieli mało informacji i podejmowali błędne decyzje. 18 lipca pod osłoną nocy Dupont porzucił umocnioną pozycję nad Gwadalkiwirem, by połączyć się z drugą francuską dywizją znajdującą się w okolicy Bailén. Marsz utrudniały ogromne taborzy: 500 wozów z łupami oraz wozy z 600 chorymi, na tych terenach bowiem panowała malaria. Nie wiedział, że dzień wcześniej dywizja generała Dominique'a Vedela poszła do La Caroliny, Bailén zaś obsadzili Hiszpanie.

Po całonocnym marszu Francuzi, idąc wąską doliną między wzgórzami, wyszli prosto na hiszpańskie armaty. Nie mogli się cofnąć, gdyż rozciągnięte na odcinku czterech kilometrów taborzy blokowały drogę. Dupont, bojąc się, że zostanie zaatakowany także od tyłu, wydał rozkaz natarcia. Pierwszy atak został odparty, potem drugi, trzeci, czwarty i piąty. Upał był potworny, żołnierze nie mieli wody, wielu umarło na udar słoneczny. Wyczerpana piechota leżała w rzadkim gaju oliwnym i nic nie było w stanie zmusić jej do dalszej walki. Nagle dała się słyszeć wymiana ognia od strony taborów: Hiszpanie zaatakowali tyły. Dupont nie miał wyjścia i poprosił o zawieszenie broni. Niedługo potem nadeszła dywizja generała Vedela, która zaatakowała Hiszpanów, lecz na rozkaz Duponta przerwała ogień. Po raz pierwszy w dziejach wojen napoleońskich armia francuska została pobita i wzięta do niewoli. Ustalanie warunków poddania się trwało kilka dni. W końcu zgodzono się, że żołnierze złożą broń, staną się jeńcami wojennymi i zostaną przetransportowani hiszpańskimi okrętami do francuskiego portu Rochefort.

Flota brytyjska prowadziła wtedy blokadę Rochefort i dowódca eskadry lord Collingwood zapowiedział, że nie przepuści żadnego okrętu z Francuzami na pokładzie. Do Francji ostatecznie odplynęli tylko generałowie i sztab. Żołnierze trafili na pontony zacumowane koło Kadyksu, gdzie wielu zginęło z głodu, potem na Cabrere – bezludną wyspę na Morzu Śródziemnym, koło Majorki. Większość z nich tam umarła. Ci, którzy przeżyli, odzyskali wolność dopiero w 1814, po upadku Napoleona.

17 sierpnia – Anglicy pokonują Francuzów pod Roliçą.

„Nic nie może bardziej leżeć w interesie Brytyjczyków niż zwycięstwo Hiszpanii. Żaden podbój nie może być równie korzystny dla Anglii, jak pokonanie Francji” – powiedział w parlamencie brytyjski minister spraw zagranicznych, gdy na Wyspy dotarły wieści o powstaniu. Wczorajszy wróg został nagle przemieniony w sojusznika i rząd postanowił wysłać do Portugalii korpus ekspedycyjny pod dowództwem generała Arthura Wellesleya. 1 sierpnia Anglicy wylądowali w zatoce Mondego, niedaleko Coimbrzy. Wybrano to miejsce, gdyż strzegąca portu twierdza Figueras została wcześniej

zajęta przez Portugalczyków. 5 sierpnia Wellesley na czele 13 tysięcy żołnierzy rozpoczął marsz na Lizbonę. Szli wybrzeżem, czasem po kolana w piachu, w upale. Brakowało wody pitnej, do jedzenia często były tylko suchary. Generał Junot, któremu od razu doniesiono o lądowaniu, posłał na wybrzeże generała Henriego Delaborde'a z pięcioma tysiącami ludzi i rozkazem, by obserwował Anglików, sprawdził ich liczebność i zatrzymał z dala od Lizbony, dopóki armia francuska nie będzie gotowa do walki.

Delaborde obsadził wzgórze koło miejscowości Roliça i mimo że przeciwnik był trzy razy liczniejszy, do Anglików bowiem dołączyło dwa tysiące żołnierzy portugalskich, przyjął bitwę. Walka była ciężka. Anglicy atakowali w górę stromego stoku pociętego wąskimi jarami. Po kilku godzinach zagrożeni oskrzydleniem Francuzi wycofali się, odwrót jednak szybko się zmienił w paniczną ucieczkę.

21 sierpnia Francuzi pod dowództwem generała Junota zaatakowali oddziały Wellesleya koło wsi Vimeiro, a po kilkugodzinnej bitwie uciekli z pola. Junot poprosił o rozejm, zgodził się poddać Anglikom Lizbonę i wszystkie portugalskie twierdze. 13 września odpłynął do Francji, zabierając z sobą nie tylko 25-tysięczne wojsko, lecz także najcenniejsze okazy z królewskiej biblioteki oraz skrzynie indygo i złota.

26 października – brytyjski korpus generała Moore'a wyrusza z Lizbony do Hiszpanii.

6 października dowództwo nad brytyjskim korpusem w Portugalii objął John Moore, 46-letni generał, który wcześniej walczył w Ameryce, Indiach, Egipcie, Irlandii i Holandii. Był odważny i lubiany przez żołnierzy. Jego nominację żołnierze przyjęli z entuzjazmem, pewni, że marsz do Hiszpanii rozpocznie się natychmiast. Tymczasem ewakuacja wojsk generała Junota się ślimaczyła, Hiszpanie odmawiali wyekwipowania korpusu i dostarczenia transportu. W angielskich pamiętnikach z tego okresu jasno widać rozczarowanie sojusznikiem: „Hiszpanie w Starej Kastylii, przerażeni klęskami, poddawali się lada szwadronowi jazdy francuskiej, a nas witali zimno, nic dawać nie chcieli, chyba że za złote suwereny lub srebrne piastry, i to płacone natychmiast przy dostawie”.

Decydując się na udzielenie pomocy Hiszpanii, Anglicy oparli się na entuzjastycznych doniesieniach o powszechnym oporze wobec Francuzów oraz o świetności hiszpańskiej armii, nie zaś na znajomości realiów. Tymczasem zebrane naprędce hiszpańskie wojska były niewyszkolone, niezdyscyplinowane i słabo uzbrojone. Armia każdej prowincji miała swego dowódcę, a ich rywalizacji nie miał kto powściągnąć, nie wyznaczono bowiem głównodowodzącego. Napoleon pisał do swego brata Józefa: „W całej mojej wojskowej karierze nie zdarzyło mi się spotkać czegoś równie nędznego jak te hiszpańskie bandy i oddziały”.

26 października korpus Moore'a wyruszył z Lizbony, 11 listopada przekroczył hiszpańską granicę koło Ciudad Rodrigo. Kłopoty z aprowizacją i transportem oraz ulewne deszcze sprawiły, że kolumna coraz bardziej rozciągała się w marszu. Za korpusem szły tabory, a za nimi kobiety i dzieci – zgodnie z przepisami sześć spośród żon żołnierzy z każdej kompanii mogło towarzyszyć mężom na wojnie. Oblicza się, że w armii Moore'a było około 1200 kobiet.

6 listopada – Napoleon przybywa do Vitorii.

Napoleon sądził, że bitwa pod Mediną del Rio Seco rozstrzygnęła o losach Hiszpanii, tymczasem nadeszły wieści o klęsce pod Bailén, potem o ucieczce Józefa Bonapartego z Madrytu. Cała Europa zobaczyła, że Francuzów można pokonać. Józef Załuski napisał w swych pamiętnikach: „Zaufanie nasze w potęgę Napoleona i w doświadczeniu wojennym naszych dowódców francuskich było bez granic. Czuliśmy w sobie przekonanie, że w razie starcia się z nieprzyjacielem żadne wojsko, mianowicie żadna jazda, nam się oprzeć nie zdoła (...) nie pojmowaliśmy, jak generał Dupont mógł się dać zwyciężyć powstańcom”.

W Wiedniu znów myślano o wojnie. Napoleon zaprosił więc cara Aleksandra do Erfurtu i w październiku podpisał z nim układ o wzajemnej pomocy militarnej w razie zaatakowania Francji lub Rosji przez jakiekolwiek państwo. Mając zabezpieczone tyły, ruszył z Wielką Armią za Pireneje. Zamierzał do zimy spacyfikować Hiszpanię i Portugalię, potem zaś zająć się Austrią. W wygłoszonej w Paryżu pod koniec października mowie pożegnalnej powiedział: „Wyjeżdżam w ciągu kilku dni, aby stanąć na czele armii i z Bożą pomocą koronuję w Madrycie prawdziwego króla Hiszpanii, potem zaś osadzę moje orły na murach Lizbony”.

23 listopada – pod Tudelą wojska francusko-polskie pod dowództwem marszałka Lannes’a pokonują armię hiszpańską pod dowództwem generałów Castaños i Palafoxa.

„Istnieją wszelkie nadzieje, że nieprzyjaciel, który teraz się chełpi, że był w stanie posunąć się aż do Burgos, wkrótce zostanie ukarany za swą zuchwałość. Skoro zaś jest niewątpliwe, że cesarz Francuzów przybył we własnej osobie, (...) możemy żywić nadzieję, że waleczni obrońcy naszej ojczyzny będą mogli zdobyć chwałę, zmuszając go do ucieczki w takim samym pośpiechu, z jakim jego brat Józef został zmuszony do porzucenia tronu i stolicy” – napisała w swej proklamacji Najwyższa Junta 25 listopada. Ale wojen nie wygrywa się zakłęciami. Dwa dni wcześniej pod Tudelą Francuzi zdobyli most na Ebro, rozbijając armię hiszpańską, a ułani pułkownika Jana Konopki przypieczętowali zwycięstwo, ścigając wroga aż do Alagónu. „Droga cała zasłana była trupami, których wyziewy przez kilka tygodni zatrzymywały powietrze, bo nikt nie pomyślał o ich grzebaniu. Po większej części były to ciała nieumundurowanych ochotników, którym ścigająca jazda nie dawała pardonu” – wspominał Henryk Brandt.

28 listopada – generał Moore zarządza odwrót.

Wojska hiszpańskie ponosiły jedną klęskę za drugą i w końcu było jasne, że nie ma kogo wspierać i najlepszym pomysłem jest odwrót. Lecz gdyby Moore wycofał się bez jednego wystrzału, potwierdziłby prawdziwość napoleońskiej propagandy podkreślającej egoizm Anglików. Kiedy jednak z Londynu dostał wiadomość o klęsce pod Tudelą (Hiszpanie go o niej nie poinformowali), zarządził odwrót. „Jest to dla mnie bolesna decyzja” – napisał do swego zastępcy, generała Johna

Hope'a. Tymczasem generałowie Morla i Castelfranco poprosili Anglików o pomoc w obronie Madrytu, do którego zbliżał się Napoleon. Szacowali siły francuskie na 11 tysięcy (w rzeczywistości na Madryt szło 45 tysięcy, a licząc z odwodami – ponad 100 tysięcy). Po rozmowie z nimi Moore zanotował: „Obaj generałowie wydają mi się słabymi starymi mężczyznami, a raczej kobietami, z którymi niemożliwe byłoby dla mnie ustalić jakąkolwiek wojskową operację, nawet gdybym się ku temu skłaniał”. Wierząc jednak, że Madryt będzie się bronił, zmienił decyzję, postanowił zostać w Hiszpanii, przeciąć francuskie szlaki komunikacyjne między Burgos a Madrytem i odciążyć w ten sposób hiszpańską armię.

30 listopada – legendarna szarża Polaków na Somosierrę.

Hiszpanie wierzyli, że Madryt jest bezpieczny, bo bronił go łańcuch Sierra de Guadarrama. Myśleli też, że w północnej Hiszpanii Napoleon ma nie więcej niż 80 tysięcy ludzi, podczas gdy miał ich 250 tysięcy. Somosierrę, przełęcz o wysokości 1400 metrów, przez którą prowadziła droga do Madrytu, obsadzili trzema tysiącami żołnierzy mających 16 armat.

30 listopada był pochmurny. Od czasu do czasu kropił deszcz, a mgły wisiały nisko nad górami. Od świtu dziewięć batalionów francuskiej piechoty bezskutecznie atakowało przełęcz. Widząc próżność ich wysiłków, Napoleon rozkazał polskiej kawalerii, która tego dnia stanowiła jego eskortę, by zdobyła działa ustawione w poprzek głównej drogi, w najwyższym punkcie przełęczy. Brawurowa szarża 3. szwadronu szwoleżerów pod dowództwem Jana Kozińskiego (zawołał podobno: „Naprzód, psiekrwie, cesarz patrzy!”) wprost na hiszpańskie baterie złamała opór Hiszpanów i otworzyła Napoleonowi drogę do Madrytu.

Tomasz Łubieński, szwoleżer, który wspomagał atakujących, napisał tego samego dnia w liście do żony: „Mieliśmy wiele rozpraw, z których dzięki Opatrzności wyszliśmy szczęśliwie, a szczególnie z dzisiejszej bitwy pod Somosierrą możemy się pochwalić, że rozstrzygnęliśmy los tej bitwy (...). Zabraliśmy mu [nieprzyjacielowi] 13 armat, 5 sztandarów i rozproszyliśmy zupełnie, a to w wąwozie prawie nieprzystępnym dla jazdy. Koziński okrył się sławą”.

4 grudnia – Napoleon wkracza do Madrytu.

Wiść o zdobyciu Somosierry lotem błyskawicy dotarła do Madrytu. Hiszpanie rzucili się do fortyfikowania miasta, które nie miało już ani kawałka średniowiecznych murów. Miasto zostało otoczone wałami, rozdano całą broń z arsenału, nawet piki i miecze. 2 grudnia, w trzecią rocznicę bitwy pod Austerlitz, Napoleon stanął pod Madrytem i wezwał miasto do poddania się. Hiszpanie odpowiedzieli: „Król Ferdynand albo śmierć”. Przez całą noc z 2 na 3 grudnia Francuzi ostrzeliwali stolicę. Mieszkańcy walczyli zażarcie, pewni, że mają dość sił, by ich odeprzeć, władze jednak patrzyły bardziej realnie i 4 grudnia rano poddały miasto.

Napoleon nie zamieszkał w pałacu królewskim, lecz za miastem, w wiejskim domu księcia Infantado, i zajął się reformowaniem Hiszpanii. Zaczął od unieważnienia aktu kapitulacji, w którym

zagwarantował madrytczykom bezpieczeństwo ich samych oraz ich własności. Rozpoczęły się aresztowania i konfiskaty. Jednocześnie cesarz wydał wiele dekretów, które miały służyć dobru Hiszpanii: zniósł wszelkie powinności feudalne oraz cła między prowincjami, zlikwidował inkwizycję, zredukował liczbę klasztorów do jednej trzeciej. Wszystkie te reformy zostały przez Hiszpanów zbojkotowane jako dzieło najeźdźcy.

20 grudnia – zaczyna się pościg za Anglikami.

Po zajęciu Madrytu Napoleon planował marsz z głównymi siłami na Lizbonę, kiedy jednak doniesiono mu, że korpus generała Moore'a widziano w okolicach Ávili i Segowii, postanowił najpierw rozprawić się z Anglikami. Jako pierwszy wyruszył marszałek Ney, dwa dni później, 22 grudnia, Napoleon z gwardią. Pogoda stopniowo się pogarszała – zaczął padać śnieg, ścisnął mróz, drogi pokryły się lodem, zerwał się taki wiatr, że przewracał ludzi i konie. Napoleon nie zważał na pogodę ani na sarkania dowódców – szedł pieszko, dając żołnierzom przykład niezłomności. Na wyżynie za Sierra de Guadarrama było cieplej, ale zaczął lać deszcz i drogi zmieniły się w potoki błota. Napoleon, chcąc jak najszybciej dogonić Anglików, zmuszał wojsko do forsownego marszu – żołnierze pokonywali nawet 50 kilometrów dziennie.

Francuski wywiad był najlepszy w Europie, lecz w Hiszpanii zawodził, i Napoleon (podobnie jak Moore) nie miał dobrego rozeznania ani w liczebności, ani trasie marszu przeciwnika. Uzyskanie wiarygodnych informacji od miejscowej ludności graniczyło z cudem – nawet księża, którzy powinni mieć jakieś wykształcenie, często po raz pierwszy widzieli mapę swego kraju.

24 grudnia Moore dostał wiadomość, że Napoleon wyruszył z Madrytu. Zrozumiał, że droga do Portugalii jest odcięta, i wziął nogi za pas, kierując się na Astorgę: „Ruch, który zamierzam wykonać, zalicza się do najbardziej niebezpiecznych. Nie tylko ryzykuję okrażenie w każdej chwili przez liczniejsze siły, lecz także przechwycenie mych linii komunikacyjnych z Galicjanami. Chciałbym, aby to było jasne dla całego świata, tak jak jest jasne dla każdego członka tej armii, że zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy dla poparcia sprawy hiszpańskiej i opuściliśmy ją długo po tym, jak Hiszpanie opuścili nas”. Moore uznał, że najważniejsze jest bezpieczne wyprowadzenie z Hiszpanii jedynej brytyjskiej armii lądowej.

Napoleon pewien, że Anglicy nie są zdolni do tak forsownych marszów jak Francuzi, kazał Józefowi Bonapartemu podać do madryckich gazet, że 36 tysięcy Anglików (armia Moore'a liczyła 26 tysięcy) znalazło się w okrażeniu – cesarz jest na ich tyłach, a marszałek Soult przed nimi: „Jeśli Anglicy jeszcze się nie wycofali, są zgubieni. Nawet jeżeli już się przemieścili, będą ścigani aż nad brzeg morza i choćby połowa z nich nie wejdzie z powrotem na pokład”. W końcu jednak zrozumiał, że zamiast jednym ruchem wziąć do niewoli całą armię, może ją jedynie nękać, ścigając aż do morza, gdzie Anglicy na jego oczach wsiądą na okręty i odpłyną. Oddał dowództwo marszałkowi Soultowi i 1 stycznia 1809 roku przez Valladolid pojechał do Paryża. Nigdy już nie wrócił do Hiszpanii.

16 stycznia – Anglicy odpływają na Wyspy po bitwie pod La Coruña.

Anglicy ani razu nie starli się ze ściągającymi ich Francuzami – ich jedynymi przeciwnikami były bezdroża, góry, mróz i śnieg, ulewy i błoto, głód. „Kiedy rozejrzeliśmy się wokół po osiągnięciu najwyższego punktu tych śliskich urwisk i patrzyliśmy na tyły armii wijące się wzdłuż wąskiej drogi, widzieliśmy, jak na całej długości jej granicę wyznaczają nasi własni nieszczęśni żołnierze, którzy leżeli, umierając z wyczerpania i ostrego zimna, a biała powierzchnia ziemi była upstrzona czerwienią ich mundurów”.

W nocy 11 stycznia pierwsze oddziały dotarły do La Coruñi, a 14 stycznia do portu wpłynęły angielskie okręty i Moore zaczął na nie ładować chorych i rannych. Podjął także przygotowania do obrony, na wypadek pojawienia się pościgu. 15 stycznia nadciągnęli Francuzi. Moore zajął lepszą pozycję, Soult miał więcej wojska, jednak nie atakował. Gdy Moore był już prawie pewien, że Soult nie wyda mu bitwy, 16 stycznia przed drugą po południu Francuzi zaczęli ostrzał artyleryjski. Obie strony z radością powitały możliwość walki: Moore chciał odnieść zwycięstwo, zanim odpłynie, i uczynić w ten sposób krytykę, której się spodziewał, Francuzi po morderczym pościgu pragnęli dopaść i zniszczyć Anglików.

Walka była zacięta. W pewnej chwili kula armatnia trafiła Moore’a, urywając mu lewy bark i zrzucając z konia. Podniósł się zaraz i mając świadomość, że jest śmiertelnie ranny, przekazał dowództwo generałowi Hope’owi. Francuzi w końcu się wycofali i bitwa wygasła o zmierzchu. Hope wiedział, że nie może ich ścigać, wracając w góry Galicji, i że jedynym rozsądnym wyjściem jest zaokrętowanie się i odpłynięcie. Generał Moore umarł tak, jak zawsze chciał: po zwycięskiej bitwie. Pochowano go w La Coruñi, a marszałek Soult zadbał o jego grób i umieścił pomnik w miejscu, gdzie generał został ranny.

20 lutego – Saragossa kapituluje.

20 grudnia 1808 roku mieszkańcy Saragossy po raz drugi ujrzeli armię Napoleona pod swoim miastem, a następnego dnia o ósmej rano francuskie armaty rozpoczęły ostrzał. W odległości 300 kroków od murów zaczęto kopać transzeje, zwane wtedy paralelami, saperzy zaś robili podkopy, by pod murami założyć miny. 11 stycznia po dziewięciogodzinnym przygotowaniu artyleryjskim atakującym udało się zrobić pierwszy wyłom w murach i wdrzeć się do klasztoru Świętego Józefa. Przez kilka następnych dni umacniano tę pozycję, szykując się do ataku na następny budynek. Podciągano armaty, budowano nowe paralele. I tak bez końca.

20 stycznia dowództwo objął marszałek Lannes, który przybył pod miasto dwa dni później, a w południe 27 stycznia zarządził szturm generalny. Francuzi zdobyli wtedy między innymi klasztor Trynitarzy (kosztem 43 zabitych i 135 rannych), który potem jeszcze kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk. Walki toczyły się o każdy dom, nawet piętro – marszałek Lannes rozkazał zdobywać Saragossę

„krok po kroku i dom po domu”.

„Im posuwaliśmy się dalej, tym zajadlejszy był opór. (...) trzeba nam było zdobywać jeden po drugim domy zamienione na reduty, gdzie śmierć czyhała na nas zewsząd: z otworów piwnicznych, zza drzwi, zza okiennic podziurawionych zawczasu. Wchodząc do domu, trzeba go było przeglądać starannie, od fundamentów do strychu. Nauczyło nas doświadczenie, że nagłe zaniechanie oporu mogło być wojennym wybiegiem” – wspominał Henryk Brandt.

W mieście szalał tyfus. Codziennie umierało kilkuset saragosyjczyków. Nie było już gdzie ich grzebać, brakowało trumien i ciała leżały w workach na ulicach. „Wszędzie widać było gruzy i zniszczenia, wszędzie ziemia zbroczona była krwią i pokryta trupami i rozszarpanymi członkami ludzkimi”.

Kierujący obroną generał Palafox, sam ciężko chory, widząc beznadziejność sytuacji, wysłał adiutanta z listem do marszałka Lannes’a, prosząc o trzydniowe zawieszenie broni. Marszałek Lannes nie zgodził się na nie. Wtedy Palafox oddał dowództwo 40-osobowej radzie, która 20 lutego wysłała do Lannes’a prośbę o zawieszenie działań, potem zaś podpisała akt kapitulacji. 21 lutego w południe garnizon Saragossy wyszedł z miasta przez bramę Portillo i złożył broń o sto kroków od tej bramy. Ci, którzy zgodzili się przysiąc wierność królowi Józefowi, mogli wstąpić do jego armii, reszta została uznana za jeńców wojennych i odprowadzona do Francji.

Miasto było zrujnowane, zginęło około 50 tysięcy saragosyjczyków, na ulicach leżało kilka tysięcy niepogrzebanych trupów. Straty atakujących wyniosły około 10 tysięcy zabitych i rannych. „Przejeżdżałem tamtędy we trzy lata później (...). Pałace, kościoły, klasztory były w gruzach; na próżno szukałem owych ogrodów, domów, spacerów, kanałów i mostów, których wspaniałości zdumiewałem się niegdyś; z dawnej wielkości nic nie pozostało, prócz owej ku Francuzom nienawiści bez granic, którą konając Hiszpanie zamiast błogosławieństwa dzieciom przekazywali” – napisał w swych wspomnieniach Kajetan Wojciechowski.

1810

8 lutego – piechota Dywizji Księstwa Warszawskiego pacyfikuje Malagę.

„Dzień 8 lutego 1810 roku pamiętnym będzie na zawsze dla miasta Malagi” – napisał w swych pamiętnikach Stanisław Broekere i rzeczywiście Malaga do dziś co roku czci pamięć bohaterskich obrońców miasta zaatakowanego przez wojska francusko-polskie.

Dywizja Księstwa Warszawskiego wchodząca w skład korpusu generała Horacego Sebastianiego stała obozem „o pół mili od Malagi w cytrynowym i pomarańczowym lesie. (...) W mieście nie było prawie wcale broni, a garnizon składał się z różnorodnej mieszanki ludzi rozmaicie uzbrojonych, między którymi było kilkaset inwalidów (...). Cała ta zbieranina zgromadziła się przed miastem i ustawiła się w pozycji z 11 armatami”. Generał wysłał do komendanta parlamentariuszy z wezwaniem do kapitulacji, ale „otrzymał zuchwałą i ironiczną odpowiedź”. Kiedy wracali, dały się słyszeć strzały i jeden ułan padł martwy. Sebastiani w odwecie kazał zaatakować miasto. „Ułani ruszyli natychmiast idąc po prawej stronie, wzdłuż wybrzeża morskiego, piechota zaś poszła na armaty. Sprawa ta poszła tak szybko, że Hiszpanie zaledwie zdążyli dać jeden wystrzał z armaty. (...) Starych weteranów prawie wszystkich wykłuto pikami i bagnietami, a my w całości wtargnąwszy do miasta zajęliśmy prawie wszystkie ulice. Uzbrojeni mieszkańcy walczyli na ulicach, a z okien domów rzucano na nas kamieniami lub palącymi się głowniami, ale byliśmy nieustraszeni i nic w świecie niezdolnym było powstrzymać naszego zapału i rozjątrzenia. Tymczasem utarczka na rynku skończyła się i rozproszeni Hiszpanie w ucieczce szukali ocalenia dążąc do portu i starając się dostać na okręty. Piechota nasza strzelała do okrętów napęcznionych mężczyznami, kobietami i dziećmi, a ułani nacierali i kłuli pikami uciekających w łodziach (...). Kogo tylko spotkaliśmy na ulicy, czy to starca, młodzieńca, kobietę lub dziecko – wszystko padało trupem. Takim sposobem zginęło przeszło 600 mieszkańców (...). Mnóstwo ludzi rozbiegło się w przyległe góry, pozostawiając miasto na pastwę rabunku, który trwał przez trzy dni. Z naszej strony poległo zaledwie 33 ludzi. Ciało zabitych Hiszpanów przez sześć dni leżały na ulicach wystawione na widok publiczny dla przykładu mieszkańców innych miast”.

13 marca – szczęśliwe wyzwolenie Teruel.

Tak o trwającym od 25 lutego do 13 marca oblężeniu szpitala w klasztorze Jezuitów w Teruel opowiada Henryk Brandt: „Podczas gdy generał Suchet szedł z wojskiem do Walencji, przysłano z głównego sztabu pułkownika Plicque’a z rozkazem zajęcia Teruelu i zabezpieczenia komunikacji z Saragossą z jednej, a Walencją z drugiej strony. W tym celu zajęto seminarium klasztoru Jezuitów, mającego dobre położenie; tam szpital przeniesiono oraz zapasy, i obsadzono go 150–200 ludźmi. (...) Zaledwie generał Suchet odszedł drogą do Walencji (...), ukazał się pod Teruelem Villacampa z zebranymi na nowo wojskami, otoczył miasto i wezwał załogę do poddania się. (...) Hiszpanie, osaczywszy nas ze wszystkich stron, przysłali drugiego parlamentarza z ostrzeżeniem, że nas wysadzą

w powietrze. Przez dom sąsiedni dostali się do piwnic klasztornych – czemu nie mogliśmy przeszkodzić – i usłyszeliśmy wnet ich robotę pod ziemią. Leżąc w łózkach, mogliśmy rachować uderzenia hiszpańskich motyk i każdej chwili spodziewać się podróży do nieba. (...) Wszyscy ranni, którzy mogli utrzymać się na nogach, brali udział w obronie. (...) Tymczasem, 13 marca, wybiła nagle godzina naszego wyzwolenia. Główny korpus armii, 10–12 000 ludzi, po niepowodzeniu doznanym pod Walencją zmuszony do odwrotu, cofał się niepokojony ciągle przez nieprzyjaciela i 13 marca ukazał się niespodziewanie pod Teruelem. (...) Można sobie wyobrazić naszą radość. Było nam, jakbyśmy się obudzili z długiego snu gnębiącego”.



Wywołana przez Bonapartego wojna na Półwyspie Iberyjskim trwała siedem lat, od 1807 do 1814 roku. Francuzi nigdy nie kontrolowali całego terytorium Hiszpanii. „Tu żadnemu człowiekowi ufać nie można było, ani zatrzymywać się w marszu choćby o dwieście kroków w tyle. Często spotykaliśmy na głównych gościńcach trupy zabitych żołnierzy, u których powylupiane oczy i pourzynane nosy i uszy dostatecznie przekonywały o barbarzyńskim pastwieniu się nad tymi nieszczęśliwymi ofiarami. Straszne rzeczy się działy!” – wspominał Stanisław Broekere. Wojna w Hiszpanii była wyjątkowo okrutna. Żadna strona nie umiała się wyrwać z błędnego koła przemocy. „Obrzynali uszy, nosy, wylupywali oczy, wyciągali wnętrzności (...); a pomimo tych okrucieństw, których nikt pochwalić nie może, wyznać jednak należy, iż Francuzi bezbożnością, rozpustą i swawolą swoją wówczas zasłużyli na nie” – napisał w pamiętnikach Kajetan Wojciechowski. Dalej opowiedział, jak pod Madrytem powstańcy pojмали dwudziestu kilku piechurów z Legii Nadwiślańskiej, ustawili ich na placu, „gdzie poobwijani w pakuły i słomę zmaczane w oliwie spaleni zostali”. Odwet Polaków był krwawy: „wieś do szczytu spalona została, a mieszkańcy bez różnicy płci i wieku wykluci”. Potwierdza to Broekere: „Obchodziliśmy się z nimi bez litości, każdy schwyty z bronią w rękę natychmiast był powieszony lub rozstrzelany”.

Kajetan Wojciechowski napisał: „Pięć lat trwała ta krwawa wojna: wygraliśmy dziesięć wielkich bitew, nie rachując pomniejszych i ustawicznych potyczek, wszystkie prawie fortece hiszpańskie były w naszym ręku, a jednak ani jednej piędzi ziemi nie posiadaliśmy spokojnie. Hiszpanie zawojowani, lecz nie podbici, jeżeli nie opór, to nam przynajmniej ciągle stawiali przeszkody, jeżeli nie w otwartym polu, to w bezustannych zasadzkach, to w ciągłych skutkach okrutnej, nieprzebląganej zemsty, silniejsi od nas, bo silni dobrą sprawą. (...) Znaleźliśmy w Saragossie rodaka Suligowskiego, oficera od piechoty, który ożeniwszy się z Hiszpanką, wziął dymisję i tam pozostał. (...) Stary ksiądz kanonik, stryj żony Suligowskiego, zapytał nas jednego razu: »Dlaczego Polacy, tej samej religii co Hiszpanie, są jednak ich nieprzyjaciółmi? Czyśmy kiedy wasz kraj naszli, wasze mienie zabrali, wasze znaczenie zniszczyli? Powiedzcie otwarcie, dlaczego się tak ślepo za cudzą

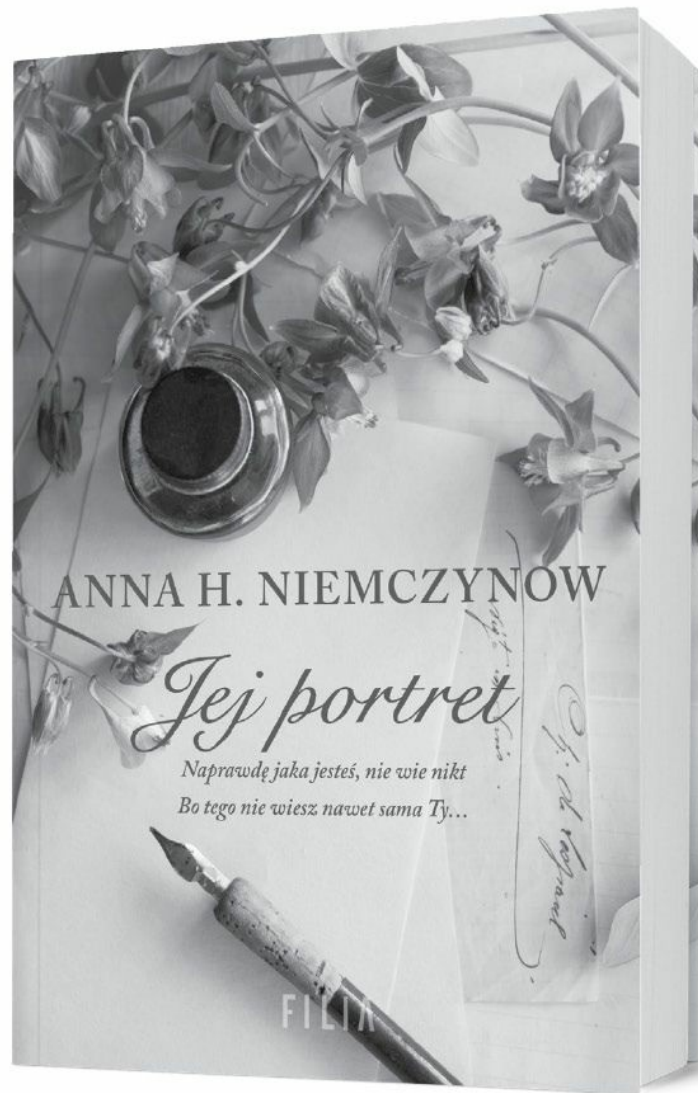
sprawę poświęćcie. Nie możecie się pomieścić wygodnie na waszej ziemi, szukacie u Francuzów chleba? To przyjdźcie do nas i my wam chleba damy, a będziecie braćmi naszymi«”.

Literatura



- Jerzy Baszkiewicz, Stefan Meller, *Rewolucja francuska 1789–1794. Społeczeństwo obywatelskie*, Warszawa 1983.
- Ludwik Bazylow, *Historia powszechna 1789–1918*, Warszawa 1981.
- Antoni Białkowski, *Wspomnienia starego żołnierza*, Gdynia 2003.
- Robert Bielecki, *Wielka Armia*, Warszawa 1995.
- Louis Antoine Bougainville, *Podróż Bougainville'a dookoła świata*, przeł. Maria i Ludwik Szwykowski, Warszawa 1962.
- Henryk Brandt, *Moja służba w Legii Nadwiślańskiej. Wspomnienia z Hiszpanii oraz Rosji 1807–1812*, Gdynia 2002.
- Stanisław Broekere, *Pamiętniki z wojny hiszpańskiej 1808–1814*, Gdynia 2004.
- Chirurgia polowa (dla lekarzy i studentów)*, red. płk prof. dr hab. med. Stanisław Barcikowski, Łódź 1988.
- Kamila Cieplińska, *Kampania hiszpańska Johna Morre'a*, Oświęcim 2011.
- Czarna księga rewolucji francuskiej*, red. Renaud Escande, przeł. Katarzyna Kubaszczyk, Beata Biały, Jolanta Gruszka, Marek Jurek, Dębogóra–Kraków 2015.
- Christopher Duffy, *Orły nad Alpami. Suworow we Włoszech i Szwajcarii w 1799 roku*, przeł. Grzegorz Smółka, Oświęcim 2015.
- Józef Frank, *Pamiętniki*, t. 2, przeł. Władysław Zahorski, Wilno 1913.
- Aleksander Fredro, *Trzy po trzy. Pamiętniki z epoki napoleońskiej*, Warszawa 1957.
- Horst Gebhard, *Wolność, równość, morderstwo. Zbrodnie rewolucji francuskiej*, przeł. Jacek Jurczyński, Kraków 2017.
- Bernd Heinrich, *Umysł kruka. Badania i przygody w świecie wilczych ptaków*, przeł. Michał Szczubiałka, Wołowiec 2018.
- Historia medycyny*, red. prof. dr hab. med. Tadeusz Brzeziński, Warszawa 1988.
- Homer, *Iliada*, przeł. Franciszek Ksawery Dmochowski, Wrocław 1996.
- <http://czubajka.pl/>
- <http://napoleon.org.pl/>
- Ilustrowana historia strojów. W co ubierali się ludzie, czyli moda od czasów starożytnych do XIX wieku*, przeł. Bożena Mierzejewska, Warszawa 2008.
- Paweł Jasienica, *Rozważania o wojnie domowej*, Kraków 1985.
- Franciszek Karpiński, *Już ja nie ten, Mazurek, Pożegnanie, Przypomnienie dawnej miłości, Trzeba się kochać*, w: tenże, *Wiersze zebrane*, cz. I, oprac. Tomasz Chachulski, Warszawa 2005.

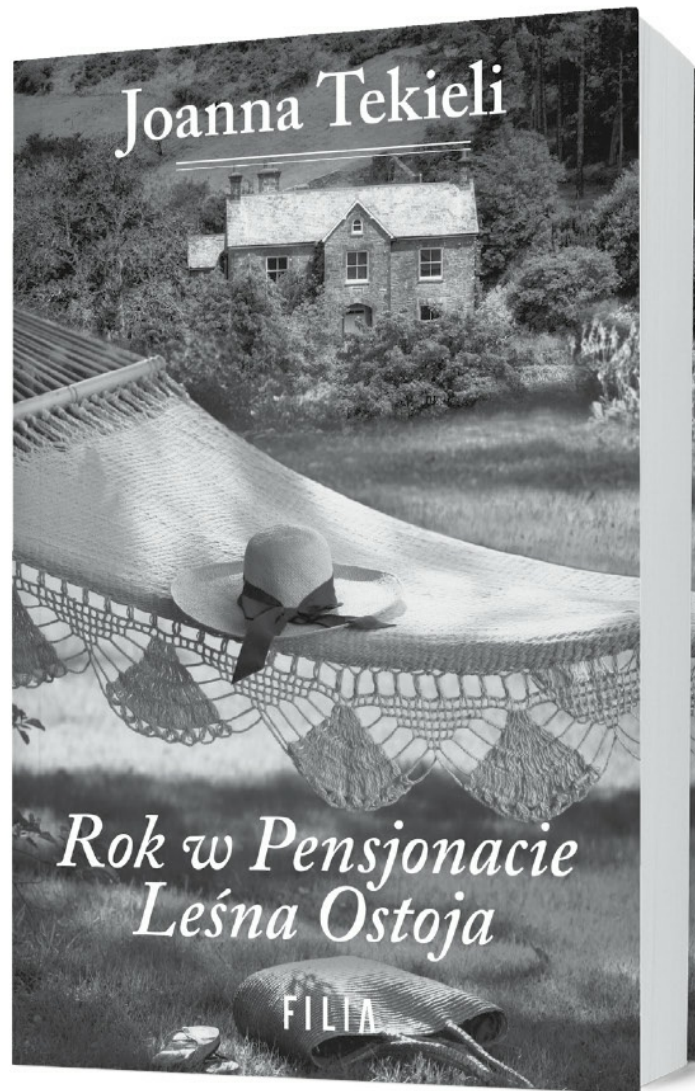
- Ignacy Krasicki, *Doktor*, w: tenże, *Bajki i przypowieści*, Wrocław 1976.
- Laura księżna d'Abrantès, *Pamiętniki*, t. 1–2, przeł. Elżbieta Wassongowa, Warszawa 1974.
- Listy Wincentego Krasińskiego z Hiszpanii (1808–1809)*, oprac. Konrad Ajewski, Pułtusk–Warszawa 2012.
- Archibald Gordon Macdonell, *Napoleon i jego marszałkowie*, przeł. Feliks Rutkowski, Londyn 1992.
- Rafał Małowiecki, *Kampania w Hiszpanii, 1811–1812*, Zabrze 2009.
- Molière, *Szkoła żon*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 1972.
- Robert T. Morris, *Pięćdziesiąt lat z życia chirurga*, przeł. Róża Centnerszwerowa, Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1936.
- Józef Mroziński, *Oblężenie Saragossy w latach 1808 i 1809, ze względem szczególniejszym na czynności korpusu polskiego*, Gdynia 2004.
- Charles Oman, *Historia wojny na Półwyspie Iberyjskim 1807–1814*, t. 1, przeł. Katarzyna Mróz-Mazur, Oświęcim 2015.
- Pamiętniki Filipa Pawła de Ségura, adiutanta Napoleona*, przeł. Emilia Leszczyńska, Warszawa 1982.
- Jurek Potański, *Wódka albo gorzałka*, w: *Polska fraszka mieszczańska. Minucje sowiżrzalskie*, oprac. Karol Badecki, Kraków 1948.
- Przedziwna Matka Stworzyciela Swego. Antologia dawnej polskiej poezji maryjnej*, oprac. Roman Mazurkiewicz, Warszawa 2008.
- Mikołaj Rybowski, *Kruk. Obrazek z historyi naturalnej*, Lwów 1883.
- François Souchal, *Wandalizm rewolucji*, przeł. Paweł Migasiewicz, Warszawa 2016.
- Antoni Paweł Sułkowski, *Listy do żony z wojen napoleońskich*, przeł. Robert Bielecki, Warszawa 1987.
- Maria J. Tuross, *Dominique Jean Larrey (1766–1842). Chirurg Wielkiej Armii*, Oświęcim 2017.
- Maria J. Tuross, *Medycy polskich szwoleżerów*, Oświęcim 2017.
- Adam Władysławiusz, *Kto mądry na świecie*, w: *Polska fraszka mieszczańska. Minucje sowiżrzalskie*, oprac. Karol Badecki, Kraków 1948.
- Kajetan Wojciechowski, *Pamiętniki moje w Hiszpanii*, Warszawa 1978.
- Andrzej Zahorski, *Napoleon*, Warszawa 1982.
- Józef Załuski, *Wspomnienia*, Kraków 1976.



To historia o sile uczuć, trudnych wyborach i pragnieniach, wobec których stajemy się bezbronni. Oczarowała mnie od pierwszej do ostatniej strony. Gorąco polecam!

Dorota Gąsiorowska

FILIA



Zapraszamy do pięknego pensjonatu położonego wśród wysokich,
starych drzew, w którym każdy może znaleźć to, czego szuka.

Wystarczy tylko chcieć.

FILIA

Spis treści



[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Cytat](#)

[Mapa](#)

[Prolog. Sztandar ze spódnicy](#)

[Rozdział 1. Buonaparte](#)

[Rozdział 2. Polak nikogo się nie boi](#)

[Rozdział 3. Pościg za Anglikami](#)

[Rozdział 4. Kobieta o zielonych oczach](#)

[Rozdział 5. *Maris stella*](#)

[Rozdział 6. Muriel](#)

[Rozdział 7. Sztylet mistrzów z Murano](#)

[Rozdział 8. Miasto bohaterskie](#)

[Rozdział 9. Syn rewolucji](#)

[Rozdział 10. Kruk](#)

[Rozdział 11. Jaskinia czterdziestu rozbójników](#)

[Rozdział 12. Gerylasi](#)

[Rozdział 13. Na bezludnej wyspie](#)

[Rozdział 14. Kochankowie z Teruel](#)

[Historia mało znana](#)

[Literatura](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Bogumiła Ziembła-Ziembicka, 2018

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcie na okładce: © Mark Owen / Trevillion Images Redakcja: Anna Sidorek Korekta: Marta Akuszczyńska Skład i łamanie: Dariusz Nowacki Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: „DARKHART”

Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-643-4

FILIA

Wydawnictwo Folia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofolia.pl kontakt@wydawnictwofolia.pl